Wydanie na święta – aż 148 stron

ŚWIĄTECZNA GWIAZDA: MARTA MANOWSKA
HISTORIA: KOBIETY OJCÓW NIEPODLEGŁOŚCI
PRL: KOZIOŁEK MATOŁEK NA CENZUROWANYM



DODATEK: NASI AUTORZY PISZĄ, CO BY BYŁO, GDYBY GŁOŚNE ZAMACHY POTOCZYŁY SIĘ ZUPEŁNIE INACZEJ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 51–52 (265–266) 2017
18–27 grudnia
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

Tajemnice Świętej Rodziny

INDEKS 287393 ISSN: 2300-6315
9 772300 631604 51



Wesołych Świąt!

eprasa.pl b7843a2655

Niech moc Świąt Bożego Narodzenia
wyprostuje nasze ścieżki,
uspokoi myśli,
a miłości i dobru pozwoli zwyciężać!

Wesołych Świąt życzą
Zarząd, Redaktorzy i Pracownicy
grupy medialnej Fratria

FRATRIA
grupa medialna

SIECI · SIECI HISTORII · wPolityce.pl · W POLSCE PL · GAZETA BANKOWA · wGospodarce.pl

Autopromocja

eprasa.pl b7843a2655

RED IS BAD™

OSTATNIA W TYM ROKU

PROMOCJA ŚWIĄTECZNA

-20%

NA WSZYSTKO

TRWA DO 23.12.2017

OBOWIĄZUJE RÓWNIEŻ NA
SYMBOWEAR.COM









KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa:
Jagiellońska 69
Chmielna 7

Kraków:
Szewska 25

www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
22 290 66 55

RED IS BAD™

eprasa.pl b7843a2655



Czas pracuje dla Polski

Według portalu Politico, powołującego się na źródła w niemieckiej dyplomacji, Berlin był gotów zrezygnować z budowy gazociągu Nord Stream 2 w zamian za wycofanie się przez Polskę z żądań reparacyjnych.

Niezależnie od tego, jak poważne to były zamiary, i pomijając sensowność takiej „wymiany”, to cenny sygnał. Sygnał potwierdzający to, co już wiemy: podniesienie przez Warszawę sprawy odszkodowań wojennych było posunięciem niezwykle trafionym. Gołym okiem widać, że ta sprawa Niemców mocno irytuje, tym bardziej że pierwsze próby jej zamknięcia za pomocą klasycznej presji medialnej i dyplomatycznej się nie powiodły.

Prace systematycznie prowadzone w tym obszarze (wielka zasługa posła Arkadiusza Mularczyka) obalają twierdzenia głoszące, iż Polska zrzekła się w 1953 r. roszczeń; nie ma żadnych poważnych dokumentów, które mogłyby tego dowodzić. Staranna kwerenda ukazała nam, że temat wracał w stosunkach międzynarodowych aż do początku lat 90. Widać też, że niektóre ścieżki prawne mogą się okazać skuteczne. Jest także jasne, że Polska – kraj, który wycierpiał najwięcej – dostała jedynie nędzne ochłapy. Przy okazji dzięki ożywieniu tematu do kolejnych pokoleń dociera skala polskich strat wojennych, zarówno materialnych, jak i ludzkich, co jest wartością samą w sobie.

Dobrze, że kwestia roszczeń jest prowadzona spokojnie. Ale jeszcze lepiej, że konsekwentnie. Czas działa na korzyść Polski.

Jacek Karnowski

Niezły początek

Słusznie przestrzega wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego Ryszard Czarnecki w wywiadzie dla naszego tygodnika (str. 36) przed przekreślaniem obecnej opozycji. Dziś są intelektualnie słabi, pogrążeni w spirali totalności, ale nadal groźni. Odwrotną stroną tego medalu są próby zalania lawiną przesłodzonych pochwał premiera Mateusza Morawieckiego. Nowy szef rządu kreślony jest w niektórych mediach jako cudotwórca z magicznymi zdolnościami. To wobec tego polityka nieuczciwe. Wolę opowieść skromniejszą, ale prawdziwą: o sprawnym menedżerze ze społeczną wrażliwością, ładną kartą opozycyjną z okresu PRL, krok po kroku przekonującym do siebie wyborców dobrej zmiany, innych też.

Exposé Mateusza Morawieckiego też było w tym stylu. Konkretne, precyzyjne, bez nadmiernie wielkich haseł, choć z podkreśleniem solidaryzmu społecznego, tego rdzenia pisowskiego programu, za to z jasno wytyczoną ścieżką rozwojową w poszczególnych obszarach. Trudno wyobrazić sobie patriotę, który nie trzymałby kciuków za powodzenie tego projektu. Bo to ten sam projekt, który Polacy wybrali w 2015 r. Łatwo nie było i łatwo nie będzie, ale obietnica „damy radę” wciąż brzmi aktualnie. To był niezły początek drugiej połowy meczu.

Michał Karnowski

37/0717/F

eprasa.pl b7843a2655

SIECI spis treści



42 Alfabet dobrej zmiany
Krzysztof Feusette



55--68 Na celowniku zamachowców. Historie alternatywne
Dodatek specjalny



102 Święta ze starym kinem
Łukasz Adamski

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **BYDLĘTA KLĘKAJĄ**
Krzysztof Feusette

12 **WARSZAWA BEZ STALINA**
Jan Pietrzak

13 **POLITYCZNE PIĘKNODUCHY**
Bronisław Wildstein

14 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

14 **KORSUN CHILI KORSUN**
Paweł Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **W ODPOWIEDZI MOIM KRYTYKOM**
Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

BOŻE NARODZENIE

22 **NA TROPACH ŚWIĘTEJ RODZINY**
Grzegorz Górny

26 **Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy – część pierwsza

KRAJ

32 **PROJEKT MORAWIECKI**
Stanisław Janecki

36 **Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

42 **ALFABET DOBREJ ZMIANY**
Krzysztof Feusette

46 **OSOBISTE ZAPISKI PRYMASA**
Milena Kindziuk

50 **DECYZJA SOJUSZNIKA. ZARYZYKOWAŁ DLA PRZYJACIÓŁ**
Jan Rokita

52 **DOSTARCZYCIELE DOBRA**
Marcin Wikło

POD CHOINKĘ

77 **Z MARTĄ MANOWSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

82 **KOBIETY OJCÓW NIEPODLEGŁOŚCI**
Stanisław Janecki

88 **CIAŁA OBCE**
Przemysław Barszcz

92 **Z RAFAŁEM WILKIEM**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

98 **JAK KOZIOŁKA MATOŁKA RYSOWANO NA NOWO**
Piotr Gontarczyk

101 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

102 **ŚWIĘTA ZE STARYM KINEM**
Łukasz Adamski

106 **NAJBARDZIEJ POSTNA WIGILIA**
Anna Monicka

110 **PRAWDZIWA OPOWIEŚĆ O ŚW. MIKOŁAJU**
Piotr Słabek

112 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

114 **POLECA ŚWIĄTECZNIE**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

116 **KATALONIA PRZEDARTA NA PÓŁ**
Maja Narbutt

120 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

KUCHNIA

128 **MOJE SMAKI: MONIKA ŚMIGIELSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

129 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

130 **JA JESTEM DROGĄ, PRAWDĄ I ŻYCIEM**
Wojciech Reszczyński

131 **PANTEON DZIECI POLSKICH**
Wojciech Wencel

132 **ISLAMSKA EUROPA**
Dariusz Karłowicz

134 **MORAWIECKI I ASPIRACJE**
Piotr Skwieciński

135 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

136 **TE OKROPNE KATEDRY**
Wiktor Świetlik

137 **NIE WYBACZĘ**
Aleksander Nalaskowski

138 **SPEŁNIENIA MARZEŃ I CHODU**
Robert Mazurek

139 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

142 **PAMIĘTAM SWOJĄ NIECHĘĆ**
Andrzej Zybertowicz

39/0317/F

Następne wydanie naszego tygodnika ukaże się w czwartek 28 grudnia 2017 r.

eprasa.pl b7843a2655



Ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz samych sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku

życzą

Zarząd, Rada Nadzorcza i Pracownicy Cedrob S.A.

CEDROB

eprasa.pl b7843a2655

Z życia koalicji

Jest w centrum Warszawy mieszkanie, nieduże, niedaleko Sejmu, wynajmują je politycy PiS (a płaci kancelaria). Najpierw miał je Mariusz Antoni Kamiński, ale przy akompaniamencie lamentów byłej żony rozstał się z polityką. Wtedy zamieszkał tam Marcin Mastalerek, którego w nagrodę za świetną kampanię Kaczor wyrzucił z list do Sejmu. Wówczas wprowadził się tam Łukasz Rzepecki, niedawno usunięty z partii i klubu. Ciekawe, kto po Rzepeckim, nie?

Tę historyjkę usłyszeliśmy z informacją dodatkową – otóż właścicielem owego mieszkania miałby być prezydencki rzecznik Krzysztof Łapiński. Sprawdziliśmy i w zasadzie się zgadza. No z małymi detalami. Bo Łapa owszem mieszka, ale nie w Śródmieściu, tylko w Miasteczku Wilanów, a mieszkania nie ma, lecz sam wynajmuje. Aha, teraz żąda, by mu to pechowe lokum dać. Pazerny Czerepach.



No i już, chwilowo po wszystkim. Najzabawniejsze podsumowanie wymiany premiera jest autorstwa Tomka Łysiaka, który napisał na Twitterze, że grupy rekonstrukcyjne są ostatnio bardzo modne. Jedni rekonstruują hitlerowców i powstańców, inni bitwę pod Grunwaldem, a ***Mateusz Morawiecki*** zrekonstruował rząd. Dodajmy, że podszedł do tego z godną zazdrości precyzją i podróbka jest nie do odróżnienia od oryginału.

Trochę żałujemy, że Morawieckiemu nie starczyło fantazji i nie pozamieniał ich resortami (to pewnie już też ktoś napisał, bo wszystko na świecie już wymyślono). To byłoby coś – ministrowie ci sami, ale biorą co innego. I tak, dla Jurgiela widzielibyśmy miejsce w MON, Szyszkę rzucilibyśmy na cyfryzację, a Antoni dobiłby ostatnie korniki jako pan od środowiska.

Przełożona na styczeń rekonstrukcja oznacza np. przedłużoną agonię Waszczykowskiego, który bardzo to przeżywa, bo mu się spodobało bycie ministrem. A teraz musi znosić liczne upokorzenia, jak choćby wywiady Krzysztofa Szczerskiego, że gdyby tylko chciał, toby Waszcza zastąpił. A my mamy jakąś słabość do Waszcza. W końcu to miłe, że ktoś jest jeszcze większą ofiarą niż my.

Złe wieści dla czwartej osoby w państwie, oj, złe wieści. Otóż marszałek Senatu Stanisław Karczewski przepadł w wyścigu o pisowską nominację na prezydenta Warszawy. Tu wyjaśnienie, że formalnie Karczu jest trzecią, po prezydencie i Kuchcińskim, osobą w państwie, ale my liczymy też Kaczora.

No i właśnie to Kaczor skreślił Karcza. Nie z braku sympatii, wręcz przeciwnie, Kaczyński długo Karczewskiego wspierał. Niestety, PiS zrobiło badania, z których wynika, że pan marszałek Karczewski jest w Warszawie bardzo słabo rozpoznawalny. Hm, maski w Senacie opatentował już Rulewski, ale gdyby Karczu prowadził obrady z nagim torsem i imponującą muskulaturą, to mogłoby się przebić.

Dała o sobie znać Krajowa Rada Tego i Owego, przechowalnia nikomu już niepotrzebnych pisowców. Zamówiła ona ekspertyzę, że TVN 24 rok temu strasznie był stronniczy podczas puczu. Ekspert o wigilijnym nazwisku Hanna Karp (z domu – uwaga – Karaś) napisała wszystko jest jak należy. Aha, Krajowa Rada przysoliła TVN-owi półtorej bańki kary. To jednak wyjątkowe pacany, nawet jak na PiS. Bo obciach już zyskali, a TVN-owi nie zaszkodzili.



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl b7843a2

Z życia opozycji



Trwa festiwal memów z ***Ryszardem Petru***, komentujących jego polityczny upadek. Nam najbardziej podobał się ten, na którym Rysiek się odgraża: „Jeszcze powstanę! Jak penis z popiołów...”

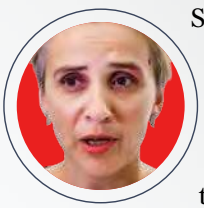
A to ci historia! Katarzyna Kolenda-Zaleska przedstawiła Donalda Tuska jako profesora. Profesor Donald Tusk, znany ze swej przełomowej teorii o ciepłej wodzie w kranie. Toż Geremek musi się w grobie przewracać!

Opozycja przeprowadza ciekawe akcje graficzne. Na przykład Platforma Obywatelska kolportuje plakaty z hasłem nawiązującym do słynnej sentencji księdza Jerzego Popiełuszki. Po opozycyjnemu to idzie tak: „PiS dobrem zwyciężaj”. Bardzo szlachetnie. Ostatnio dobrem wymieszanym z klasą strzyknął oksfordczyk Radosław Sikorski, nazywając Beatę Szydło „wredną babą”. No to chyba PiS już jest zwyciężony?



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Inaczej działa Nowoczesna. Niedawny kandydat na szefa partii Piotr Misiło, podobny z twarzy do Michała Milowicza po dwuletniej diecie ziemniaczanej, walnął taki plakacik: jego fizjonomia, a obok hasło „Nigdy, nigdy, nigdy się nie poddawaj. I my w Nowoczesnej się, panie prezesie Kaczyński, nie poddamy”. I gdyby nie ten upasiony ryjek Misiły, toby nawet porywające było.



Skądinąd oni tam mają obsesję na punkcie Kaczora, o której chyba powinni porozmawiać z lekarzem. Taka pani ***Joanna Scheuring-Wielgus*** z Nowoczesnej poszła do radia w koszulce z napisem „Jarosław Kaczyński to tchórz”. A Kaczor powinien założyć taką koszulkę: „Joanna Scheuring-Wielgus to nie wiem, kto to”. To my wyjaśnimy: to ta kobiecina, co kiedyś na feministycznej demonstracji krzyczała: „Dość dyktatury kobiet!”. Możliwe więc, że i w napisie coś pochrzaniła.



Biedny ekspisowiec Paweł Zalewski został wysłany przez ***Grzecha Schetynę*** na odpowiedzialne stanowisko komisarza w regionie świętokrzyskim. Pokomisarzował tam na tyle chwacko, że można było przeprowadzić wybory na normalnego szefa regionu. Pawełek wystartował i... przegrał. Szefem miejscowego PO został niejaki Artur Gierada, znany z tego, że jest kompletnie nieznany. Takie przegrywające fajtłapy to chyba Schetynie nie bardzo się przydadzą.

Jeden Obywatel RP zwyzywał dziennikarkę TV Październik. Naprawdę chamsko i grubiańsko to zrobił. Przy okazji: zaobserwujmy, co z ludzi robi frustracja wypływająca z długotrwałej opozycyjności. Mówiąc delikatnie, dziwaczeją. Objawia się to liczbą znaczków, przypinek, tabliczek, emblematów i transparentów noszonych na sobie. Kiedyś tak się prezentowali niektórzy zwolennicy prawicy, a teraz postępowi, oświeceni demokraci. Wystarczyły dwa lata, a niektórzy nosili helikoptery zamiast czapek już rok temu.

Jacek Kozłowski, były wojewoda mazowiecki z PO, ogłosił, że wewnętrzne wybory w jego partii to farsa. To naszym zdaniem też wina Kaczora. Niszczy demokrację w Polsce, to przy okazji zniszczył i w Platformie. Dyktator jeden.

Senator PO Jan Rulewski (legenda „Solidarności”, jak wiadomo) wystąpił w debacie na temat Sądu Najwyższego w masce. W ten sposób chciał zwrócić uwagę na łamanie prawa w Polsce. Niestety, wszyscy się jedynie dopytują, skąd bierze towar.

Fot. Andrzej Skwarczyński (x2), Julita Szewczyk

eprasa.pl b7843a2655

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Opozycja leży i kwiczy. Odpływają wyborcy, odpływają politycy. Już nawet bez żadnej śluzy, wprost do PiS. Niejeden z platformersów marzy dziś o moherach, z których szydzono, a które uratowały PiS w najtrudniejszych czasach, bo trwały bez względu na wszystko. Przy moherach lemingi to zwykłe mięczaki. No i jednak przekupne.

No i oczywiście ***PiS uratował Jarosław Kaczyński***, nie pękając pod nawałą medialnych organów Stalina. Schetyna może i umie trwać, ale z myśleniem już gorzej. Liczył na to, że powtórzą się lata 2005–2007, wystarczy rozpętać histerię, postraszyć Polaków i będzie posprzątane. W zasadzie jest, ale nie o to mu chodziło.

„Faktowy" sondaż dający ***PiS 50 proc. poparcia*** nie uwzględniał niezdecydowanych. Niewiele to jednak zmienia. Bo czy sondaże mają dziś jakieś znaczenie? Maska, którą założył Jan Rulewski, była jasnym komunikatem: mamy opozycję hippisowską, a hippisi chcą się dobrze bawić, nie rządzić.

Może to i dobry pomysł, bo jak Platforma ma walczyć z Morawieckim? Skoro brakuje języka w gębie, ***maski są dobrym pomysłem***. Zwłaszcza że Jan Rulewski ma ich całą kolekcję. Serio.

Po zmianie premiera partia jednak wciąż w szoku, więc dla otuchy „Fakt" zrobił mapkę pokazującą, ileż to mandatów więcej zdobędzie PiS dzięki premierowi Morawieckiemu. Właściwie tak na pewno to w opozycji są dziś „Newsweek", „Wyborcza" oraz „Polityka". No i jakiś kawałek TVN. Ale bardzo mały. Coraz mniejszy.

Zmiany w rządzie dopiero w styczniu. Przyniosą wyważenie frakcji. Będzie tak: Szczerski za Waszczykowskiego, Wild za Adamczyka, Emilewicz (być może) za Szyszkę. Rosną akcje Daniela Obajtka, który może objąć rolnictwo. Odejdzie także Radziwiłł, którego zastąpi ktoś mało znany, i oczywiście ludzie z KPRM. Antoni Macierewicz spełnił główny warunek prezydenta – zamknął sprawę gen. Kraszewskiego – i nie wydaje się zagrożony.

Zmian dokona Jarosław Kaczyński. Zapowiedział to w TVP, ale nie musiał zapowiadać. To jednak mistrz. Zamieszał w bigosie, wszystko pozmieniał, powywracał, wyczekał parę tygodni i jeszcze wychodzi, że nad tym wszystkim panuje.

A ***Beata Szydło*** w świetnej formie. Dzielna kobieta. Trochę odpoczywa, trochę myśli. O naturze ludzkiej, sukcesach i błędach. Do tych ostatnich można zaliczyć to, co działo się wokół wizyty we Francji. Prezes uznał, że nie wiedział o wszystkim, co wiedzieć powinien. To przyspieszyło zmianę.

Czy Morawiecki zrobi wrażenie na Polakach, tego jeszcze nie wiemy. Na pewno jednak robi wrażenie na zawodowych politykach. „Nudna nasiadówa dobiega końca. Połowa ministrów już czmychnęła, druga połowa myśli, jak to zrobić. A ten zostaje jeszcze godzinę i rozmawia z asystentami". Maszyna.

Trochę posłodziliśmy, ale gdzie tam nam do Igora Jankego. Były dziennikarz, dziś w PR, opisał, jak to umęczony podróżą i głodny Mateusz Morawiecki obgryzał brzegi pierogów, bo – mimo namów – nie chciał w piątek jeść mięsa. Żeby było jasne: też ***w piątek nie jemy mięsa***, a historia nas wzruszyła.

Partie Zjednoczonej Prawicy podpisały umowę w sprawie wyborów europejskich. Do brukselsko-strasburskiego raju ma wrócić Adam Bielan. To wciąż będzie raj, ale czy nadal spokojny?

Prezydent bawił na balu Polsatu. I ponoć słuchał żartów o Smoleńsku. Sprawdziliśmy. Nic takiego strasznego tam nie było, choć grepsy były zdecydowanie lemingowe. Towarzystwo raczej też, choć – znak czasu – nikt nie gwizdnął na prezydenta. Na imprezie TVP byłoby inaczej. Polsatu gwiazdy i gwiazdeczki się boją.

Z kolei TVN dostało karę za podżeganie do puczu. Z kary ostatecznie nic nie będzie, bo wezwani na pomoc Amerykanie popędzili z odsieczą dla swojego kapitału. Najciekawsza jest mapa obrony TVN, zdumiewająco pluralistyczna. Finał sprawy był klasyczny: nagonka na dzielną dr Hannę Karp. Bo nie jest z Towarzystwa. Smutne.

Na medialnej prawicy z kolei plotki o taśmach i innych kompromatach obyczajowych. Że są, że pogrążą, że będzie skandal, a może jest i szantaż. Naszym zdaniem to zwykłe bajki. To przecież niemożliwe.

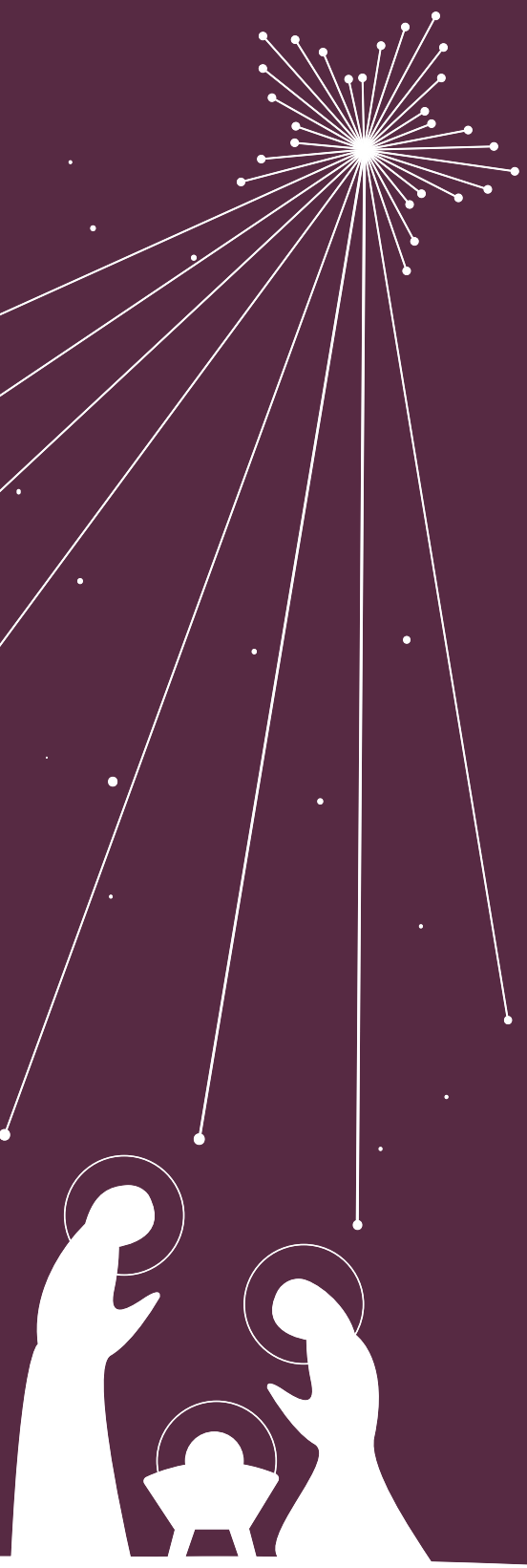
Sygnalista



Następne wydanie naszego tygodnika ukaże się w czwartek 28 grudnia 2017 r.

eprasa.pl b7843a2655

„Cicha noc, święta noc,
Narodzony Boży Syn
Pan wielkiego majestatu.
Niesie dziś całemu światu
Odkupienie win”



Zatrzymajmy się w nieustannym biegu
i zapomnijmy o trudach dnia codziennego.
Niechaj nadchodzące Święta Bożego Narodzenia
będą czasem radości i jednoczesnej zadumy,
a momenty refleksji uświadamiają nam istotę
narodzenia Najwyższego. Życzymy Państwu, by
te wyjątkowe dni obfitowały w dobroć, wzajemne
zrozumienie i pewność dobrego jutra.

Pracownicy i Zarząd
Saltus Ubezpieczenia

SALTUS
UBEZPIECZENIA

eprasa.pl b7843a2655

Bydlęta klękają

Podobno w noc wigilijną zwierzęta znowu przemówią ludzkim głosem. Wielki mi powód do radości. Po pierwsze, rzecz dotyczy zwierząt wyłącznie domowych i hodowlanych, bo o świątecznym zachowaniu dzikich wiemy niewiele. Taki np. lis jako zwierzę zupełnie nieokrzesane, a czasem nawet wściekłe, może mleć ozorem przez cały rok, a i tak nikt go nie słucha. Z czego wniosek płynie przedświąteczny, że czasem, owszem, człowiek człowiekowi wilkiem, ale lisem? Przenigdy.



KRZYSZTOF FEUSETTE

A może po prostu bydło odzywa się po ludzku tylko w święta, bo na co dzień niewiele ma do powiedzenia? Zresztą owo „po ludzku" też jest mylące, bo czy to oznacza, że godnie? Świnia, która codziennie wydaje z siebie wyłącznie „chrum, chrum" i „kwik, kwik", nagle zacznie w obcym sobie języku cytować Wyspiańskiego? Głupia krowa, a zdarzają się takie nie tylko w filmach o miłości, o północy w Wigilię przestanie przeżuwać mowę-trawę całą dobę i otworzy się na debatę o zagrodzie? Baran sięgnie po Thomasa Mertona? A skąd miałby go znać? Z internetu, gdzie barany szukają okazji wyłącznie do hejtu? A papuga, która jedyna potrafi sklecić parę słów, także poza świętami – czy na pewno po ludzku skrzeczy mądrzej niż po swojemu?

Niestety wiele wskazuje na to, że nawet w noc wigilijną przykładowa gęś z przykładowym prosięciem mogą mieć problem ze znalezieniem wspólnego języka, a co dopiero tematu do rozmowy. Pozostają nieśmiertelne: polityka i Kościół.

I oto właśnie w tegoroczną Wigilię spotkają się, hen, za siedmioma lasami, i na pewno nie w siódmym niebie, następujące zwierzęta: Zwyczajna Świnia, Głupia Gęś, Święta Krowa, Kompletny Osioł, Skończony Baran, Pies na Baby, Hiena Dziennikarska oraz Złota Rybka, której pozostali wytłumaczą, że ryby głosu nie mają, więc skończy na patelni, co będzie stanowiło dowód na to, że była po prostu leszczem. A dalej będzie to leciało mniej więcej tak.

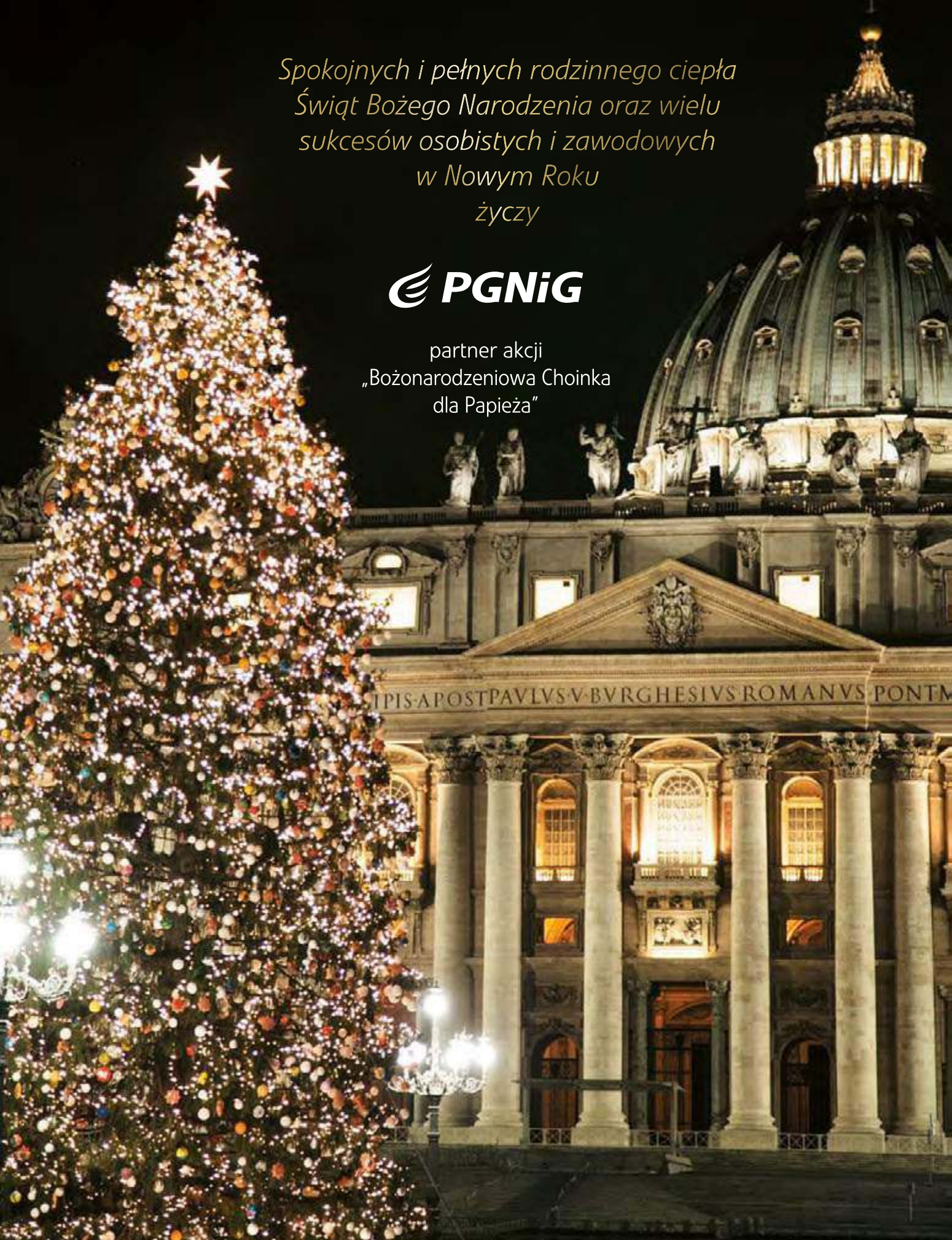
Zwyczajna Świnia: Musimy coś zrobić! Ludzkie zachowania cieszą się coraz większą popularnością w zagrodzie. Jeśli w ciągu kilku godzin nie podłożymy ludziom żadnej świni, proces zbydlęcenia naszego środowiska może zostać zatrzymany.

Głupia Gęś: *Czy pani jest gotowa?*
Zwyczajna Świnia: *Na co?*
Głupia Gęś: *Żeby się podłożyć.*
Zwyczajna Świnia: *Oczywiście. Pod warunkiem że ktoś mnie potem z tego bagna wyciągnie. Ja bez koryta długo nie wytrzymam.*
Głupia Gęś: *Ja panią wyciągnę. Ale najpierw namaluję sobie jakiś napis pod dziobem, fajnie to będzie wyglądało: czysta żółć na białym tle.*
Święta Krowa: *Wy tu sobie akcje wymyślacie, a mnie potem ciągają na przesłuchania. Święta Krowa to, Święta Krowa tamto, no ileż można...*
Kompletny Osioł: *Nie chcę się wtrącać, bo jestem trochę nietutejszy, ale ja się w konia robić nie dam. I skoro mnie zaprosiliście, chciałbym wszystkim bohaterom naszej walki jajami zaoferować swoje usługi prawnicze. Nie ma bydła, którego bym nie bronił. Do tego jestem przysłowiowo uparty...*
Pies na Baby: *Przepraszam, że wchodzę ci w ryczenie, ale korzystając z okazji, ja także mam ofertę. Co tydzień prowadzę za stodołą warsztaty przygotowujące samice do aktów przemocy seksualnej. Wszystko odbywa się z pełnym uwzględnieniem realiów, żadnego udawania. Jak łapię, to łapię, jak ściskam, to ściskam.*
Skończony Baran: *A mnie się wydaje, że trzeba wyjść poza płot. Stanąć ramię w ramię, baran obok barana, tchórzofretka przy tchórzofretce, jeleń niech będzie jeleniem, kruk krukowi niech oka nie wykole, a kiedy wleziemy między wrony, musimy krakać. Inaczej ludzie nas zjedzą.*
Hiena Dziennikarska: *Bez przesady. Żreć to my, ale nie nas. Na chwilę obecną proponuję wypuścić trochę bydła na ulicę i zobaczymy, co będzie. My to sfilmujemy.*
Głupia Gęś: *A nie można by obrzucić ludzi jajami?*
Zwyczajna Świnia: *Ma pani jakieś?*
Głupia Gęś: *Głupie pytanie. Tutaj nikt nie ma.*
Kompletny Osioł: *Jaja są super, ale lepsze będą kamienie. Do tego musimy rzucać mięsem. Ktoś na ochotnika?*
Głupia Gęś: *Mnie to się nawet śniły koktajle Mołotowa!*
Święta Krowa: *Kur... zapiał! Chyba na pierwszą? Niestety, muuu... muszę powiedzieć, że muuu... musimy kończyć. Każdy wie, co ma robić. I pamiętajmy: człowiek to nie brzmi dumnie. Dumnie brzmi tylko bydło.*
Zwyczajna Świnia: *Zaraz, zaraz, chwilecz... chwi... chrum, chrum... chwi... chwik... kwik, kwik. Kwiiik!*

Ciąg dalszy pozostaje niezrozumiały dla ludzi, więc oszczędzę państwu zapisu fonetycznego. Zwłaszcza przed świętami. One niech będą wesołe, piękne i spokojne.

44/1117/F

eprasa.pl b7843a2655


Spokojnych i pełnych rodzinnego ciepła
Świąt Bożego Narodzenia oraz wielu
sukcesów osobistych i zawodowych
w Nowym Roku
życzy
PGNiG
partner akcji
„Bożonarodzeniowa Choinka
dla Papieża"

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Warszawa bez Stalina*



Jan Pietrzak

Uczestniczyłem w spotkaniu zainicjowanym przez Tadeusza Płużańskiego (Fundacja Łączka) w sprawie rozbiórki Pałacu Stalina. Z dawna oczekiwana inicjatywa, można powiedzieć: odważna pierwsza jaskółka. Jak śpiewa Stan Borys, „jaskółka błyskawica, jaskółka siostra burzy". Oj będzie burza, będzie...

Nie da się już tematu wyciszyć, wyhamować, choć zwolenników Stalin ma tu zdumiewająco wielu, niestety. To są ci, którym jego pałac nie przeszkadza. Przeszkadza jednak potomkom ofiar tego zbrodniarza, który osobiście odpowiada za Katyń, za napaść na Polskę z Hitlerem, „operację polską NKWD", za milionowe zsyłki na nieludzką ziemię... Także za ekshumowane w ostatnich latach zwłoki żołnierzy niezłomnych. Takich miejsc jak powązkowska Łączka są w Polsce setki, może tysiące... Długo można wymieniać zbrodnie Stalina, które nigdy nie zostały osądzone przez żaden trybunał.

Od 2015 r. nareszcie mamy rząd, który myśli i czuje po polsku. W 2018 r. świętujemy odzyskanie Niepodległości. Czyż nie jest to doskonały splot okoliczności, by zburzyć symbol „podległości" i zbudować centrum Warszawy XXI w.? Kilkadziesiąt hektarów na nowoczesne sale koncertowe, teatry, muzea, galerie sztuki i oczywiście Łuk Triumfalny Cudu na Wisłą!

Przyznaję, że przez parę lat propagując ten monument, odsuwałem na bok projekty umiejscowione na gruzach PKiN. Wściekły opór władz stolicy sprawił, że jedynie realna stała się lokalizacja w nurtach Wisły, bo rzeki nie podlegają samorządom. Ale obecnie, kiedy jest oczywiste, że złodziejska ekipa zostanie wymieciona z ratusza, należy wrócić do tego najbardziej sensownego pomysłu. Do 11 listopada 2018 r. nic nowego postawić się nie zdąży, ale splantować teren należy do zera. Tym marudnym rodakom, którzy opowiadają, że to koszty, że trudności itp., przypominam, że przodkowie odzyskujący 100 lat temu Polskę mieli dużo trudniej i ponosili znacznie wyższą cenę. To ma być dla bohaterskich polskich pokoleń nasz dar: Warszawa bez Stalina!

** Pomysły, projekty, jak zagospodarować 30 ha warszawskiego centrum, prosimy nadsyłać do redakcji z dopiskiem „Warszawa bez Stalina!"*

Wspólny mianownik z Betlejem



Z Mieczysławem Szcześniakiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Bożonarodzeniowy czas niesie radość, nadzieję, pokój. Śpiewając kolędy, nie tylko chwalimy Pana, lecz i cieszymy się z obecności ludzi wokół nas. Coś państwo wiedzą, tworząc projekt „Betlejem w Polsce"?

Mieczysław Szcześniak: Rzeczywiście jest ogromna energia w tym zajściu muzycznym, które ma inspirować do rzeczy ważniejszych niż muzyka. Raz, że jest to opowieść o kimś, kto podzielił czas na pół; kto zrobił rewolucję w dziejach ludzkości. Żadna filozofia, żadna religia do tej pory nie postawiła takiego wyzwania, żeby kochać innego...

...jak siebie samego.

A oprócz tego, żeby jeszcze kochać nieprzyjaciół, co jest ponad niejedne siły, więc można to zrobić tylko z siłą, która jest większa od nas. Muzyka jest taką siłą, ale jest ktoś spoza nas, kto jest jeszcze większy od muzyki. I myślę, że będziemy dawać temu wyraz w sposób naturalny, nie patetyczny, nie przesadzony, lecz prawdziwy. Niosąc przesłanie dla każdej tradycji, dla każdej kultury, dla każdej religii.

12 multimedialnych widowisk w 12 miastach, począwszy od 29 grudnia, wypełni się kolędami z różnych stron świata i różnych epok.

Bardzo się cieszę, że sięgamy w tych koncertach do wielu kultur i tradycji; także tych, które przez wieki współistniały na ziemiach polskich, bo w czasach, kiedy jest niepokój, podziały i brak zrozumienia, kiedy ludzie się kłócą, kto jak nie artyści powinni stwarzać wspólny mianownik.

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl b7843a2655

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polityczne pięknoduchy

Zdobycie władzy przez PiS to odbudowa pluralizmu w naszym kraju. III RP była oligarchią, w której wszelkie centra pozapolitycznej dominacji znajdowały się w rękach jednego środowiska

Podnoszone jest obecnie, i słusznie, zagrożenie upartyjnienia debaty publicznej. Ja jednak chciałbym zająć się innym, dużo mniej opisanym niebezpieczeństwem, które możemy obserwować dziś także w Polsce. Jest to swoiste pięknoduchostwo, które, jak zwykle tego typu postawa, prowadzi do cynizmu. Tylko z pozoru wygląda to paradoksalnie. Stawianie polityce absolutystycznych wymagań jest świadectwem niedojrzałości. Dorastanie to zrozumienie komplikacji oraz ułomności ludzkiego świata i dostosowywanie do niego swoich oczekiwań. Żyjemy jednak w dobie infantylizmu, który podnoszony jest do rangi ideału, osobniki niedojrzałe z dumą obnoszą swoje zdziecinnienie, obrażają się na świat i głoszą, że skoro nie odpowiada on ich oczekiwaniom, to one są w prawie robić wszystko i zawsze są usprawiedliwione.

Kiedy słyszę marudzenie, że dobra zmiana nie jest taka, jak wyobrażały ją sobie poszczególne jednostki, że kompetencje niektórych urzędników pozostawiają wiele do życzenia, że zdarzają się przypadki kumoterstwa oraz korupcji i w związku z tym nowa władza niczym nie różni się od starej – dochodzę do wniosku, że osoba, która nas nimi zanudza, albo nie ma pojęcia o polityce, albo...

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Media czy w ogóle obserwatorzy powinni wskazywać i krytykować przypadłości wszystkich rządów, naciskać, aby je eliminować, ale jednocześnie rozumieć naturę otaczającego nas świata. Jeśli oczekujemy, że ugrupowanie niosące na sztandarach hasło sanacji składa się z samych aniołów, a po wygraniu przez nie wyborów korupcja i nieprawości wyparują, znaczy to, że pozostaliśmy na poziomie przedszkolnym i zamiast narzekać, powinniśmy się trochę pouczyć.

W ludzkiej rzeczywistości wszystko jest kwestią proporcji. I jest fundamentalną różnicą, czy korupcja jest marginesem, czy normą. Czy ambicje polityków wprzęgnięte są w projekt dobra wspólnego, czy są zupełnie od niego niezależne. Czy dobiera się ludzi pod względem kompetencji, czy układów. Chociaż nawet ta ostatnia zasada nie jest aż tak oczywista. Funkcjonujący obecnie kult ekspertów musi prowadzić do wyobrażenia świata jako wielkiego mechanizmu, którego zarząd należy oddać fachowcom posługującym się nieomylnymi algorytmami. Konsekwencją tego jest koncepcja konkursów, które bezstronnie wyłaniać mają najlepszych profesjonalistów. Zwodnicza to wizja, a wiara w konkursy jest naiwna, co nie znaczy, że w określonym zakresie nie należy ich stosować.

To prawda, że wszelkie cele stać się mogą wygodnym pretekstem dla osobniczych interesów, a nawet traktowane serio mogą ulec takiemu zniekształceniu w praktyce, że prowadzić do swojego zaprzeczenia. Grozi to każdemu ugrupowaniu, również PiS. Tyle że na razie, pomimo wielu zastrzeżeń, symptomów owej dewiacji nie widzimy. Przed tym ryzykiem najlepiej zabezpiecza demokracja, pomimo że stwarza kolejne problemy. Umożliwia odebranie rządów tym, którzy sprzeniewierzają się swoim zadaniom i opiera się na pluralizmie kontrolujących się wzajemnie ośrodków.

Zdobycie władzy przez PiS to odbudowa pluralizmu w naszym kraju. III RP była oligarchią, w której wszelkie centra pozapolitycznej dominacji znajdowały się w rękach jednego środowiska. W ostatniej instancji mogło ono odwołać się do korporacji sędziowskiej, która stanowiła jego istotny element i pilnowała, aby społeczeństwo nie potraktowało demokracji zbyt serio. Na wszelki wypadek polityka była obrzydzana na wszystkie możliwe sposoby. Epitet „polityczny" stał się najgorszą obelgą. Najbardziej groteskowe, że używają go w tym charakterze zawodowi politycy.

Ci, którzy trzymali w rękach realną władzę, starali się ostatecznie zdeprecjonować polityków – i w konsekwencji demokrację – po to, aby wyeliminować konkurencję, a zbiorowość nie miała już żadnych możliwości zmiany status quo. Jedną z technik prowadzących do tego jest twierdzenie, że PiS niczym się nie różni od PO. Jeśli wszyscy politycy są siebie warci, to należy machnąć ręką na cały ten szajs i zostawić go w rękach „fachowców". A ci potrafią już zadbać o nasze sprawy. Marudzenie pięknoduchów, że polityka nie dorasta do ich wymagań, zmierza w tym kierunku.



Fot. Andrzej Wiktor

TRENDY I OWĘDY

Wiwat polskie Boże Narodzenie

We współczesnej Europie Zachodniej święta Bożego Narodzenia są traktowane jak bulwersujące jasełka



Ryszard Makowski

Jakie my mamy szczęście, że u nas nikt nie kombinuje, by poprawiać tradycję i co w związku z Bożym Narodzeniem wypada, a co nie. We Francji są przypadki, że sąd administracyjny lub prefektura zakazują wystawiania szopki bożonarodzeniowej w budynkach publicznych. Taka szopka prowokuje politycznie i uderza w świecki charakter Republiki. Rozgorzała dyskusja, czy szopka jest symbolem religijnym, czy też nie. Niby można uznać, że to ukłon oddany rodzinie, a Trzej Królowie też nie wadzą, bo w historii Francji przecież byli monarchowie, ale... W każdej chwili mogą wkroczyć obrońcy praw zwierząt. Bo czy osiołek i inne szopkowe pogłowie chce brać udział w takiej ostentacji? Można sobie zafundować taki na pozór zabawny galimatias. Sprawa jest jednak poważna, w ten sposób zaprzecza się chrześcijańskim korzeniom Europy.

Przychodzący na świat Jezus Chrystus nagle stał się niewygodny. To efekt ubogacenia nas przez przybyszów z innych kultur i religii. Duńskich muzułmanów od dawna irytuje choinka. Ponoć w kanadyjskim Quebecu jest dobrze widziane, żeby zamiast Wesołych Świąt życzyć Wesołego Grudnia. Po co Merry Christmas? Równie ładnie brzmi Happy Holidays. Dziękujmy Bogu, że potrafiliśmy się oprzeć tego typu „nowinkom". Radujmy się naszym polskim Bożym Narodzeniem! Wszelkich Bożych łask od narodzonego Jezusa Chrystusa! I niech tak zostanie.

KORSUN *chili* KORSUN



Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock



Paweł Korsun

Guy Verhofstadt, czyli w wolnym niderlandzkim tłumaczeniu Facio Żywopłociasty lub Skrytomiejski, myśli chyba, że polityka UE to jedna z baśni braci Grimm, a Polska to Jaś i Małgosia. Kuszenie, a właściwie zmuszanie, naszego kraju za pomocą lukrowanego jabłka nasyconego klątwą migracji i libertyńskiej (nie)poprawności, to w istocie nic innego jak zaproszenie do babojagowego pieca. Cel: pożarcie jednej z ostatnich nieopętanych dusz Europy. Udając urzędników Unii, na sabat zlatują się trolle i czarownice, by czarować opinię publiczną i zaklinać rzeczywistość, że demokratyczne zmiany wprowadzane przez demokratycznie wybrany rząd to naruszenie praworządności.

Natomiast nałożenie na jedną taką telewizję kary za sianie zamętu i podjudzanie społeczeństwa do puczu to – jak ćwierka pokój i brukselkę miłujący Żywopłot – nakładanie kagańca na media. Ale wygląda na to, że ta ich (liberalna) rewolucja pożre wyłącznie własne Johny i Margarety. Utuczone na coca-coli i miodku, znudzone kolorowymi zabawkami nie dostrzegają, kiedy zabawa (w dziewczynkę z) zapałkami zmienia się w pożar. Zachowując się jak słynna Baba-Jaga, Belg nie tylko zapomina, jak sam kończy w duńskiej bajce, lecz wydaje się niepomny tego, że Polska dokłada dość dużo pierników do tej europejskiej chatki, więc coś do powiedzenia musi mieć, tym bardziej że ma rację (stanu).

67/1117/F

eprasa.pl b7843a2655



20 lat
OLPP
1997 - 2017

Wczoraj Naftobazy – Dziś OLPP – Jutro PERN

Świąt Bożego Narodzenia wypełnionych radością i miłością,
niosących spokój i odpoczynek w gronie najbliższych
oraz Nowego Roku pełnego wyzwań i sukcesów
w życiu osobistym i zawodowym

życzy
„Operator Logistyczny Paliw Płynnych" sp. z o.o.





eprasa.pl b7843a2655

OGNIEM NA WPROST

Namiętny pocałunek gwiazdora

Dzwonił do mnie znajomy z Zakopanego. Góral. „Zdenerwowany" to mało powiedziane. Właśnie obejrzał w internecie „hit sezonu", czyli gejowsko-lesbijski klip „Jakub & Dawid – pokochaj nas w święta". Ten kuriozalny, bożonarodzeniowy manifest to homoseksualna impreza w chacie na Podhalu, która odbywa się w rytm głupawej muzyki wokół choinki. Wyciętej zresztą nielegalnie, bo siekierą z pobliskiego lasu. „Jesteśmy tuż obok tacy sami jak ty" – rozpoczynają swój zaśpiew odmieńcy w oczekiwaniu na gości. W końcu się schodzą: „Jakub i Dawid, Jacek z Arkiem/Piotrek i Paweł [nomen omen], Cezary z Darkiem", a z nimi: „Marzena i Dagmara, Krzysiek z Robertem [i znowu chłopy]/ Bartek i Sławek, Hubert z Albertem". Do tego towarzystwo przyprowadziło dwoje czarnych dzieci (gratulujemy mamom oddania pociech w „dobre" ręce), które musiały oglądać wejście mikołaja, choć lepiej w tym przypadku posłużyć się nomenklaturą sowiecką – gwiazdora. Rzeczony gwiazdor tuż po przekroczeniu progu natychmiast uderzył w namiętny pocałunek chyba z Jakubem, znacznie gorętszy niż niegdyś Gomułka z Breżniewem na lotnisku w Warszawie. Znajomy z Zakopanego mówił, że górale już namierzyli chatę, w której kręcono klip, i czekają tylko na powrót radosnej ekipy. Ale i na Krupówkach też lepiej mieć się na baczności.



Muzeum Zamek Górków w Szamotułach wpadło na świetny pomysł połączenia Adwentu z obchodami 500-lecia reformacji w formie wydania płyty. Jubileuszowy krążek jest do nabycia tylko we wspomnianej placówce kultury. Zawiera m.in. dwa utwory skomponowane przez kalwina Wacława z Szamotuł „Już się zmierzcha" oraz „Alleluja, chwalcie Pana". Pomysłodawca projektu dyrektor muzeum Michał Kruszony powierzył wykonanie dzieł nie komu innemu tylko Maciejowi Maleńczukowi, który – jak sam o sobie mówi – jest satanistą. „Nie znosiłem krótkich spodenek i najgorszym dniem mojego życia była Pierwsza Komunia Święta. Prawdopodobnie wtedy zostałem satanistą. Być artystą i nie wierzyć w nic – tak się nie da" – stwierdził kiedyś wokalista. Później sprecyzował: „Mój szatan to jest Woland, w zasadzie porządny gość – cyniczny, ale porządny". To, że Maleńczuk porwał się na utwór „Już się zmierzcha", jest wytłumaczalne. W wyższych stadiach alkoholizmu zdarza się tzw. pomyłka w spożyciu. Zamiast etylowego trafia się alkohol metylowy, który powoduje najpierw ślepotę, a bywa, że i zgon (stąd słynne: „Pij szybciej, bo się ściemnia"). Ale skąd „Alleluja, chwalcie Pana"? Widać elastyczny chłop.

41-letniemu Brytyjczykowi Benjaminowi Stimsonowi zachciało się przeżyć drugą młodość i dołączył do separatystów na Ukrainie. Widać, dobrze się bawił, bo na Facebooku zamieścił swoje zdjęcie z karabinem automatycznym Kałasznikowa w ręce, które podpisał: „Donbas to wódka, kobiety i karabiny". Na front się nie pchał, ale jak stwierdził sędzia David Stockdale, Stimson wspierał rebeliantów „swą obecnością i swym zaangażowaniem". Kiedy mu się znudziło, postanowił wrócić do kraju. Dwa lata temu tuż po wylądowaniu w Manchesterze założono mu kajdanki i do tej pory nie opuścił pomieszczenia ze stalowymi drzwiami o powierzchni 14 m². Niedawno dostał wyrok 5 lat i 4 miesięcy za kratami. Za wspieranie terroryzmu. To pierwszy taki wyrok na terenie Wielkiej Brytanii. Szef policji antyterrorystycznej na północno-zachodnią Anglię Russ Jackson wyraził nadzieję, że skazanie Stimsona będzie ostrzeżeniem „dla wszystkich tych, którzy choćby rozważają przyłączenie się do konfliktów". Jakkolwiek by liczyć, Benio musi jeszcze co najmniej ze trzy lata spędzać bez „wódki, kobiet i karabinu". Na wspomnieniach też nie zarobi, ponieważ talentem reporterskim nigdy nie grzeszył, a z wyjazdu pamięta niewiele.

Sinéad O'Connor znana jest z kilku rzeczy. Z wykonania utworu napisanego przez Prince'a „Nothing compares 2U", ogolenia głowy na łyso i ataków na Kościół katolicki. W 1992 r. w programie „Saturday Night Live" piosenkarka wykonała a cappella utwór „War" Boba Marleya, po czym podarła zdjęcie papieża Jana Pawła II. Innym razem publicznie stwierdziła, że „gdyby Jezus był z nami, spaliłby Watykan". Wszystko to w kontekście molestowania przez księży dzieci oraz kościelnej krytyki homoseksualnych praktyk, albowiem według O'Connor „nauczanie przeciwko homoseksualizmowi jest bluźnierstwem". Dziś dawna gwiazda wygląda jak śmierć na chorągwi, opowiada w mediach o swojej wieloletniej depresji, próbach samobójczych i pobiciu przez 30-letniego syna. Tak to się niestety często kończy z artystami rebeliantami. Dopada ich bolesna rzeczywistość.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b7843a2655

W odpowiedzi moim krytykom



Marta Kaczyńska

Kilka tygodni temu w felietonie poświęconym inicjatywie wprowadzenia do programu lekcji wychowawczych w szkołach cyklu prelekcji poświęconych wrażliwości wobec zwierząt napisałam, że zwierzęta odczuwają cierpienie tak jak ludzie. O zdolności odczuwania bólu, począwszy od czworonogów aż po ryby, dowodzą wyniki badań prowadzonych przez międzynarodowe grono naukowców. Poza tym każdy, kto ma do czynienia ze zwierzętami, zdaje sobie doskonale sprawę, że np. pies poza odczuwaniem fizycznego bólu potrafi zwyczajnie tęsknić za swoim właścicielem, okazywać radość, smutek i całą gamę innych emocji. Moje słowa zostały poddane w mediach zdecydowanej krytyce. Padło nawet stwierdzenie, że przekraczają one chrześcijańską antropologię i stanowią przykład bezsensownej antropomorfizacji. Tomasz Terlikowski napisał, że zwierzęta nie mają duchowego charakteru, nie są rozumne, nie tworzą kultury, poezji i nie są w stanie filozofować. Nie są w stanie odczuwać strachu, lęku, osamotnienia. Z tego, co wynika z naukowych opracowań – jak najbardziej mogą.

Nie ulega wątpliwości, że zwierzęta są znacznie mniej skomplikowanymi istotami niż ludzie, i nikt tego nie kwestionuje. Pisząc o zdolności do odczuwania cierpienia zwierząt, nie próbowałam zrównać ich wrażliwości z tą jedyną właściwą człowiekowi wypadkową duchowości i rozumu. Za niezbędne uważam jednak uświadamianie, że zwierzęta nie mogą być traktowane przez nas przedmiotowo, a tym bardziej że nie można ich krzywdzić. Czynione mi zarzuty uważam za bezpodstawne, a – wbrew temu, co stara się mi sugerować – potrzebę rozwijania empatii dla braci mniejszych uważam za szczególnie uzasadnioną postawę chrześcijańską i katolicką.

Chrześcijanie wierzą, że cały świat, a więc wszelkie stworzenia, ma swoje źródło w Bogu i jemu zawdzięcza swoje istnienie. Św. Franciszek uważał, że cześć i szacunek wobec stworzenia są tożsame z oddawaniem czci samemu Stwórcy, co stanowi logiczną konsekwencję miłości za dar stworzenia. W swoich przemyśleniach odwoływał się do Starego Testamentu, w którym zapisano, że człowiek został powołany do roli ogrodnika (Rdz 2, 15: „Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał"). Z Biblii wynika zatem jednoznacznie, że człowiek ma obowiązek troszczenia się o faunę i florę. Św. Franciszek stawiał się pośród stworzeń, z pokorą uznając, że tylko Bóg jest Panem, a wszelkie stworzenia ziemskie są jego dziełem. Poza powszechnie znanym świętym, patronem obecnego papieża, ze szczególną atencją do zwierząt podchodzili święci: Filip Nereusz, Hubert, Roch – patron zwierząt domowych, oraz Marcin de Porres, który pierwszy na świecie założył schronisko dla bezdomnych zwierząt.

Katechizm Kościoła katolickiego stanowi, że „zwierzęta są stworzeniami Bożymi. Bóg otacza je swoją opatrznościową troską. Przez samo swoje istnienie błogosławią Go i oddają Mu chwałę. Także ludzie są zobowiązani do życzliwości wobec nich". Św. Jan Paweł II pisał: „Stwórca chciał, aby człowiek korzystał z przyrody jako rozumny i szlachetny pan i stróż, a nie jako bezwzględny eksploatator" (encyklika „Redemptor hominis"). Polski papież podpisał także m.in. deklarację „O obowiązku szanowania świata stworzonego". „Pewnego dnia zobaczymy nasze zwierzęta podczas ponownego przyjścia Chrystusa. Niebo jest otwarte dla wszystkich stworzeń Bożych" – powiedział z kolei papież Franciszek.

Widać zatem wyraźnie, że troska o los naszych braci mniejszych nie powinna być uznawana za przykład zaprzeczenia chrześcijańskiej antropologii czy przejaw skłonności do antropomorfizacji. Ma ona bowiem swoje głęboko osadzone tradycje w chrześcijaństwie i w katolicyzmie. Swoją drogą na antropomorfizację można pozwolić sobie raz do roku – w Wigilię, by usłyszeć, jak zwierzęta mówią ludzkim głosem, czego państwu i sobie życzę.

REKLAMA





56/1117/F

eprasa.pl b7843a2655

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Rzeczywistość i kreacja



W swojej ostatniej rubryce nasz redakcyjny Sygnalista sugerował, że „w programie »W tyle wizji« z okazji zmiany szefa rządu wyciszono telefony od słuchaczy. To znaczy kilka telefonów było, ale tylko z poparciem dla nowego premiera. Naprawdę jesteśmy ciekawi, czy były prawdziwe. Rozróżniać rzeczywistość od kreacji to najważniejsze dziś zadanie". Tu niestety Sygnalista mocno się pomylił. Nikt niczego nie wyciszał, bo nie ma takiej możliwości. Gdyby ktoś natomiast zadał sobie trud, żeby w tygodniu zmiany na stanowisku premiera dokładnie prześledzić emocje telewidzów, to było tak, że w pierwszej połowie była zdecydowana przewaga osób, które prosiły Jarosława Kaczyńskiego, żeby do zmiany premiera nie dopuścił. Peany na cześć Beaty Szydło nie miały końca. Gdy już jednak do zmiany doszło, telewidzowie zaczęli sobie dodawać otuchy, dzwoniąc do nas i mówiąc, że prezes na pewno wie, co robi, aż wreszcie pojawiły się głosy telewidzów kibicujących nowemu premierowi. To rzeczywistość. Nie kreacja. A dzwoniący do „W tyle wizji" widzowie są świetnym papierkiem lakmusowym społecznych emocji. Nawet ci nieprzychylni obozowi rządzącemu, bo przecież i tacy są w społeczeństwie. Gdyby opozycja słuchała naszych widzów, to zrozumiałaby, dlaczego przegrała wybory. Ale oni wolą siedzieć pod kloszem swojego „Szkiełka". Sygnalista powinien zaś mniej słuchać podszeptów sfrustrowanych nienawistników, którzy biją we „W tyle wizji" głównie dlatego, że ich tam nie ma.

40 mld zł

opiewający na taką kwotę polski program wspierania energii ze źródeł odnawialnych zatwierdziła Komisja Europejska.

11 proc.

o tyle w I kwartale 2018 r. wzrośnie zatrudnienie. To wniosek płynący z najnowszego Barometru Perspektyw Zatrudnienia, przeprowadzonego przez firmę ManpowerGroup.

6,6 proc.

tyle w listopadzie br. wyniosła stopa bezrobocia. To o 1,6 pkt proc. mniej niż przed rokiem. W porównaniu z poprzednim miesiącem stopa bezrobocia nie uległa zmianie. Tak niskiego bezrobocia nie było w Polsce od stycznia 1991 r.

Banan a sprawa europejska

Egipski sąd skazał na dwa lata więzienia piosenkarkę występującą pod pseudonimem Shyma. Powodem był jeden z teledysków, na którym 25-letnia artystka w sugestywny sposób jadła banana. Egipski sąd uznał Shymę winną „podżegania do rozpusty" i „opublikowania nieprzyzwoitego filmu". Z kolei piłkarka z Iranu poprosiła o azyl w Szwajcarii. Nie może wrócić do kraju, bo będąc za granicą, zagrała mecz z mężczyznami bez hidżabu. O wszystkim doniesiono władzom kraju. Shiva Amini boi się o swoją wolność, a nawet życie. Czy na pewno o takiej przyszłości dla swoich córek marzą urzędnicy Komisji Europejskiej, dopuszczając do galopującej islamizacji kontynentu?



Boczek i artysta

Michael Wolfe z Titusville na Florydzie wybił kilka okien i wrzucił boczek do meczetu. W związku z tym trafi na 15 lat do więzienia. Może facet po prostu naoglądał się różnych artystycznych instalacji w kościołach katolickich, takich jak krowa na krzyżu czy kort w kościele i też zapragnął być artystą?



eprasa.pl/7843a2655



Wielka miłość

33-letnia Amanda Liberty z Wielkiej Brytanii chce poślubić własny żyrandol. „To była miłość od pierwszego wejrzenia. Nie mogę przestać o nim myśleć” – tłumaczy. Dziewczyna od lat twierdzi, że jest osobą obiektoseksualną. Lekarze określają takie zaburzenie mianem pigmalionizmu. Osoby cierpiące na to schorzenie czują nienaturalną więź z przedmiotami. W ostatnie walentynki kobieta oświadczyła się 90-letniemu żyrandolowi, a teraz zamierza poślubić przedmiot. „Mam nadzieję, że wkrótce odbędzie się ceremonia. Nigdy wcześniej nie byłam zaręczona, więc to bardzo ekscytujące” – dodaje. Nie jest to jednak pierwsza miłość Brytyjki. Gdy miała 14 lat, zauroczyła ją perkusja. Później zakochała się w Statui Wolności. Oby tylko Amanda nie zapragnęła mieć z żyrandolem dzieci...

Obudziłem się rano 13 grudnia, też nie ma »Teleranka« i pełzający stan wojenny trwa” **napisał na Facebooku płk Adam Mazgula w rocznicę ogłoszenia stanu wojennego. Na pełzającą głupotę niestety nie ma lekarstwa**

Józefów dwóch

W sieci pojawiło się zdjęcie kontrowersyjnego żłóbka. Przy nowo narodzonym Jezusie czuwa dwóch Józefów, w dodatku przyodzianych w różowe szaty. Niestety brak informacji, który Józef urodził dzieciątko, a który je karmi. I znów chrześcijanie okazali się wygodnym celem ataków. Trudno się dziwić. Gdyby ktoś zdecydował się pokazać dwóch różowych Mahometów albo dwie tęczowe Fatimy, mógłby skończyć jak bohaterowie wcześniejszych notek albo znacznie gorzej.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nierdzewne skrzydełka na cokole



Dominik Zdort

Obecna władza wydzieliła z terytorium Warszawy plac Piłsudskiego podobno po to, aby ukradkiem postawić tam pomnik smoleński, a może jeszcze gorzej – pomnik Lecha Kaczyńskiego. Tak przynajmniej mówią teorie spiskowe rozpowszechniane przez media związane z opozycją. Przy okazji część wspomnianych mediów pryncypialnie skrytykowała polską pomnikomanię. Że to taka przypadłość prawicowych ciemnogrodzian nad Wisłą, by stawiać monumenty na prawo i lewo.

Jeśli z upamiętnianiem historycznych wydarzeń i bohaterów jest jakiś problem, to dotyczy tego, kogo uczcić. Taki wybór to znacząca decyzja, bo wskazuje przyszłym pokoleniom, co było ważne dla ich przodków – a w państwie wolnym i demokratycznym trudno zburzyć raz postawiony pomnik. Radni Platformy w Bydgoszczy mogli zmienić nazwę mostu Lecha Kaczyńskiego na Uniwersytecki, ale czy mieliby śmiałość, żeby zrzucić tragicznie zmarłego prezydenta z cokołu? Pomniki obala się tylko w momentach rewolucyjnych. Stąd ogromny niepokój przeciwników obecnego rządu. Gdyby na placu Piłsudskiego stanął monument mający uczcić Lecha Kaczyńskiego, nie dałoby się już go wygumkować z polskiej historii i z pamięci przyszłych pokoleń.

Wszystkich tych, którzy krytykują nadmiar pomników w Polsce, należałoby wysłać choćby na krótką wycieczkę do Londynu, który cały jest monumentem podupadłego imperium brytyjskiego. Także tam przekonają się, że pomnikomania to nie przypadłość ciemnogrodu. Każda władza, także światła, nowoczesna, chce mieć swoje pomniki. Dlatego w stolicy Zjednoczonego Królestwa kilkanaście lat temu stanął monument poświęcony „wszystkim zwierzętom, które służyły i zginęły wraz z brytyjskimi i sprzymierzonymi siłami w wojnach i kampaniach na przestrzeni wieków”. Dopisek na pomniku brzmi tak dramatycznie, że aż komicznie: „Nie miały wyboru”.

Podczas wizyty w Hiszpanii spotkałem się z przypadkami jeszcze bardziej poprawnymi politycznie. Poświęcony Waltowi Disneyowi pomnik Kaczora Donalda był nawet sympatyczny. Stojący nieopodal katedry w Walencji, sławiący tolerancję monument (w kształcie kilku połączonych zielonych liter) był po prostu ohydny. A pomnik oddający cześć energii odnawialnej – kilkumetrowa nierdzewna obręcz ze skrzydełkami – już tylko zabawny.

Ja, szczerze mówiąc, wolę na cokole Kaczyńskiego niż takie dziwactwa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl b7843a2655

RZECZY POSPOLITE

Polski adwent



Tomasz Łysiak

W jakiejś mierze szczególne to Boże Narodzenie. Wszyscy czujemy, że w sferze symbolicznej wchodzimy w czas niezwykły – rok uroczystych obchodów Stulecia Odzyskania Niepodległości.

Przed świętami Narodzenia Pańskiego jest zawsze adwent, oczekiwanie. W tym sensie taki adwent narodowy to będzie ten najbliższy rok – pełen spotkań, wystaw, uroczystości, koncertów. Czas oczekiwania na 11 listopada roku 2018.

Jednak dzień 11 listopada nie był dniem o jakiejś wybitnej wadze. Owszem, wtedy Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu władzę nad wojskiem polskim. Powierzono mu również misję pokierowania sprawami polskimi – powołania rządu, przyszykowania pierwszych wyborów... Ale do tego momentu, do tego dnia, doprowadziły: długi łańcuch wysiłków kolejnych pokoleń oraz wiele działań (na wielu polach) ojców polskiej niepodległości, a także wielu innych naszych rodaków zaangażowanych w Świętą Polską Sprawę. Idąc dalej – trzeba było jeszcze powstań, walk, plebiscytów, wojny z bolszewikami – by w końcu mieć Niepodległą. Ale jednak naszym Świętem Niepodległości cieszymy się zawsze 11 listopada. To nasze ponowne odrodzenie i zarazem zmartwychwstanie. Nie byłoby tej niepodległości, gdyby nie została wymodlona w tysiącach polskich rodzin. Gdyby nie była wymodlona i przez samych żołnierzy. Wystarczy wspomnieć wigilie okopowe – np. tę pod Łowczówkiem roku 1914, gdy z jednej strony śpiewali „Podnieś rękę, Boże dziecię" legioniści pod wodzą Sosnkowskiego, a z drugiej strony, z okopów rosyjskich, odpowiadali im nasi rodacy, siłą wcieleni do wojska rosyjskiego.

Radość narodzin i radość zmartwychwstania mieszają się z sobą. I tak oto adwentem religijnym zaczęliśmy oczekiwanie na wspaniałą rocznicę. Jak nie dziękować Bogu za to, że obchodzić to święto będziemy w wolnej Polsce? Obyśmy jeszcze potrafili w tej niepodległościowej, rocznicowej sprawie, zupełnie jak przy wigilijnym stole, odłożyć na bok bieżące waśnie. Byśmy z tego stulecia cieszyli się razem. Błogosławieni ręką Bożego Dziecięcia.

Mikołaj na szczudłach



Piotr Cywiński

Wigilia to ponoć najbardziej radosne święta w roku. Nawet w pracy. „Na zakładowym opłatku pewien facet wypił za dużo grzańca. Rano pyta żonę, czy nie rozrabiał. A ona: – Owszem, wyzwałeś szefa, że jest starym, głupim osłem. – O, Jezu... – jęknął mąż. – I co? – zapytał. Żona: – Wylał cię z roboty... Mąż z wyrzutem: – A ty nie mogłaś jakoś zareagować?! Żona: – Zareagowałam. Powiedziałam mu, że może mnie pocałować gdzieś... Mąż: – I co? Żona: – Odzyskałeś pracę...".

Wigilia to ponoć najbardziej radosne święta w roku. „Przy dekoracji choinki mały Jaś pyta: – Mamusiu, czy aniołki potrafią fruwać? Mama: – Oczywiście, synku. Jaś: – Pani Jola też potrafi? Mama: – Przecież pani Jola to nasza pomoc domowa. Jaś: – A tatuś, gdy ją przytula, to mówi: mój ty słodki aniołku. Mama: – To pani Jola też zaraz wyfrunie...".

Wigilia to ponoć najbardziej radosne święta w roku. „Mały Jasio, miłośnik gier komputerowych, pisze do Mikołaja: – Ty, Święty! Jak nie dostanę od ciebie PlayStation Blood & Truth, to tak cię urządzę, że twoja matka cię nie pozna...!". Czasy się zmieniają, ale niektóre świąteczne tradycje nigdy. „Przy wigilijnym stole ojciec zamyślił się, jakie piękne miał święta w dzieciństwie – wtedy nie musiał płacić za prezenty. Żona dostrzegła jego smutną minę i rzuciła: – No, ja ciebie Stefan nie rozumiem, od 30 lat dostajesz pod choinkę skarpety i nagle ci się nie podoba?".

Wigilia to najbardziej radosne święta. Pewien niemiecki Mikołaj chodził w Wismarze na szczudłach, żeby było go lepiej widać. Nagle potknął się o betonowe zapory dla tych, którzy świętują inaczej, rymsnął na bruk, czapka mu spadła, broda się osunęła, spodnie pękły... więc z nieświętymi słowami na ustach pozbierał się i zniknął.

Wigilia to ponoć najbardziej radosne święta. Nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem. Pewien znany w świecie elektryk z Matką Boską w klapie włączył na tę okoliczność specjalną iluminację. Po zaprzysiężeniu nowego premiera w pewnym bardzo katolickim kraju nad Wisłą rozświetlił Twitter wpisem: „Cyrk ten sam, tylko małpy zamieniły się miejscami – LW". Ale skoro nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem, to i ja przemówię: Panie Elektryku! Wszystkiego najlepszego! Ciicha noc, świeęta noc...

eprasa.pl b7843a2655

Wesprzyj budowę Pomników

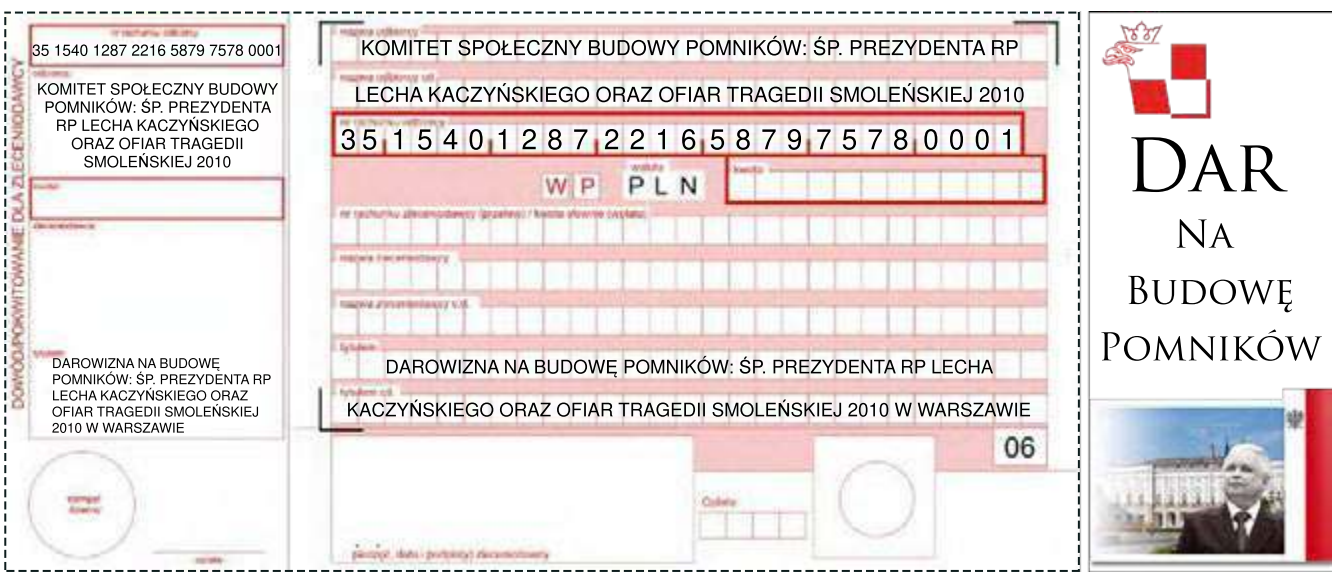
Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy, ***Redakcja tygodnika „Sieci”***



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, MARTA LEWANDOWSKA, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MAREK OLEKSICKI, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, BARTOSZ SZTYBOR, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, MARCIN WOLSKI, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
78 1750 1325 0000 0000 2103 8946
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 129 570 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
ANNA PUCHACZ – DYREKTOR DS. PROJEKTÓW SPECJALNYCH
TEL. 602 42 00 14, ANNA.PUCHACZ@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC Polskie Badania Czytelnictwa

NA OKŁADCE: „ADORACJA TRZECH KRÓLI”, NIEZNANY ARTYSTA ARAGOŃSKI, OK. 1490 R., NARODOWE MUZEUM SZTUKI, ARCHITEKTURY I WZORNICTWA W OSLO, FOT.: ALBUM/PRISMA/EAST NEWS

eprasa.pl b7843a2655



Na tropach Świętej Rodziny

Uciekali pod osłoną nocy, udając się na południe. Było ich troje: mężczyzna, kobieta i niemowlę. Najprawdopodobniej towarzyszył im osioł, użyczając grzbietu matce i dziecku. Wybierali boczne ścieżki, by uniknąć wojska. Wiedzieli, że nawet przypadkowa kontrola może się zakończyć tragicznie



GRZEGORZ GÓRNY

Kiedy oddalili się od Betlejem na bezpieczną odległość, mogli już wejść na główny trakt. Droga łącząca Judeę z Egiptem była jednym z najbardziej uczęszczanych szlaków komunikacyjnych w tamtym rejonie świata. Uciekinierzy mogli się wtopić w strumień ludzi przemierzających pustynne okolice wschodniej prowincji imperium. Znikli z oczu gdzieś w tumanach piasku niesionego przez południowy wiatr, wśród powozów, wielbłądów i kupieckich karawan.

NAZARET W GALILEI

Poszukiwania śladów Świętej Rodziny trwają niemal od dwóch tysięcy lat. Józef, Maryja i Jezus pojawiają się wspólnie w Nowym Testamencie zaledwie w dwóch miejscach – w początkowych rozdziałach Ewangelii św. Mateusza i św. Łukasza. Wzmianki o ich życiu są enigmatyczne. Relacje ewangelistów dotyczą głównie okoliczności narodzin Chrystusa – spisu powszechnego, powicia dziecięcia w Betlejem, ofiarowania w świątyni, pokłonu mędrców, rzezi niemowląt i ucieczki do Egiptu. Jest także opis pielgrzymki do Jerozolimy, gdy Jezus miał 12 lat. Na temat najdłuższego okresu spędzonego przez Świętą Rodzinę w Nazarecie mamy natomiast tylko jedno zdanie: „Jezus zaś czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi".

Skąpość materiałów źródłowych nie zniechęcała jednak przez całe wieki rzesz uczonych, biblistów, historyków czy archeologów do poszukiwań najmniejszych choćby śladów pozostawionych przez najsłynniejszą w dziejach rodzinę, która odmieniła losy świata. Tropy wiodły zaś do miasta zwanego Nazaret.

W czasach biblijnych była to tak mało znacząca mieścina, że nie ma o niej żadnej wzmianki ani w Starym Testamencie, ani w pismach rabinów. Jej mieszkańcy byli przeważnie ubogimi chłopami, zajmującymi się albo uprawą własnego spłachetka pola, albo najmującymi się do pracy u wielkich posiadaczy ziemskich. Przez kapłanów i uczonych w Piśmie traktowani byli z poczuciem wyższości nie tylko jako ludzie biedni, lecz także posądzani o nieznajomość Tory oraz zaniedbywanie rytualnych przepisów czystości. Św. Jan zanotował kąśliwą uwagę przyszłego apostoła Natanaela, który na wiadomość o tym, skąd pochodzi Jezus, zapytał retorycznie: „Czy może być co dobrego z Nazaretu?".

Według tradycji starochrześcijańskiej Święta Rodzina mieszkała tam w domu, który składał się z dwóch części. Pierwszym była wykuta w skale pieczara, a drugim dobudowany do niej kamienny budynek z płaskim dachem-tarasem. Tego rodzaju domostwa, będące zarazem warsztatami, kuchniami i sypialniami, były typowym elementem tamtejszego krajobrazu. W ich wnętrzach stały zazwyczaj krosna do tkania i żarna do mielenia mąki, w upalne noce spano na dachach, a w dzień suszono owoce i niekiedy spożywano posiłki.

Przez pierwsze trzy wieki istnienia Kościoła pamięć o tym miejscu przekazywana była przez wyznawców Chrystusa ustnie i miała charakter poufny. Zaczęło być ono otaczane kultem publicznym, począwszy od IV stulecia, gdy skończyły się prześladowania chrześcijan w Imperium Rzymskim. Przez kolejne wieki wzniesiono tam pięć następujących po sobie świątyń. Ostatnią jest stojąca do dziś bazylika Zwiastowania Pańskiego, wybudowana w latach 1961–1969.

Dwa z owych kościołów nazaretańskich (najpierw bazylika bizantyjska z V w., a potem katedra krzyżowców

Fot. National Gallery of Art

eprasa.pl b7843a2655

z XII w.) były czymś w rodzaju relikwiarza skrywającego w sobie drogocenną relikwię, czyli Domek Maryi. Zostały bowiem wzniesione nad miejscem zamieszkania Świętej Rodziny, sytuując grotę oraz dobudówkę do niej w samym centrum świątyni. W 1263 r. sułtan Bajbars nakazał zburzyć katedrę, oszczędzając jednak znajdujący się w niej domek. Być może zadecydowało o tym to, że Koran wspomina o zwiastowaniu.

Dziś ów Święty Domek (Santa Casa) znajduje się w sanktuarium w Loreto we Włoszech. Zgodnie z miejscową legendą przenieśli go z Galilei do Italii aniołowie. W rzeczywistości – jak wynika z watykańskich dokumentów – w 1294 r. „święte kamienie wyniesione z domu Naszej Pani i Matki Bożej" podarował królowi Neapolu zamożny arystokrata Niceforo Angeli (którego nazwisko oznacza po włosku anioła). Stało się to trzy lata po ostatecznym wyparciu krzyżowców z Ziemi Świętej, gdzie rodzina de Angelis miała liczne posiadłości. Na początku rozebrany budynek wywieziono do Rijeki w dzisiejszej Chorwacji, a w końcu trafił on na Półwysep Apeniński.

Czy rzeczywiście Domek w Loreto pochodzi z Nazaretu? W 2006 r. prof. Giorgio Nicoloni ogłosił wyniki swych badań archeologicznych. Wykazały one, że ołtarz w Santa Casa powstał z tego samego budulca, z którego składa się grota w Nazarecie. Poza tym loretańska izba została wybudowana z kamieni obrobionych według metody nabatejskiej, charakterystycznej dla Galilei, a niespotykanej we Włoszech. Ozdobiona była inskrypcjami wczesnochrześcijańskimi w języku greckim i hebrajskim, nie zaś łacińskim czy włoskim. W cemencie odnaleziono też skorupy strusich jaj, czyli materiał używany do zaprawy w Ziemi Świętej, lecz nie w Italii.

Kolejne badania przeprowadzone w 2009 r. przez izraelską archeolog prof. Yardennę Alexandre wykazały, że wszystkie wymiary domku w Loreto idealnie pasują do parametrów schodów wykutych w jaskini skalnej w Nazarecie, znanej dziś jako Grota Zwiastowania. Wydaje się więc, że jedna z zagadek związanych ze Świętą Rodziną została rozwiązana.

MIRIAM Z NAZARETU

Nie da się napisać historycznej biografii Matki Bożej w oparciu jedynie o ewangelie. Historycy sięgają więc do innych źródeł, głównie apokryfów, czyli pism z okresu wczesnochrześcijańskiego, które z różnych powodów nie zostały włączone do kanonu Biblii. Wśród nich na pierwszy plan wybija się księga zatytułowana „Pochodzenie Maryi – Objawienie dane Jakubowi", znana bardziej jako Protoewangelia Jakuba. Z niej wywodzi się część oficjalnej tradycji katolickiej, która ma swoje odzwierciedlenie także w kalendarzu liturgicznym. O tym, że rodzicami Maryi byli Joachim i Anna, których wspomnienie obchodzimy 26 lipca, wiadomo właśnie z tego tekstu. Apokryficzne źródło ma również święto Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny w świątyni jerozolimskiej, obchodzone w Kościele katolickim 21 listopada.

Nie da się napisać historycznej biografii Matki Bożej w oparciu jedynie o ewangelie. Historycy sięgają więc do innych źródeł, głównie apokryfów

Protoewangelia Jakuba zawiera wiele konkretnych szczegółów dotyczących żydowskiego życia w tamtych czasach i potwierdzonych przez licznych badaczy. Jeden z najwybitniejszych archeologów biblijnych, zmarły w 2002 r. benedyktyn o. Bargil Pixner, był przekonany, iż księga wzięła swój początek z ustnego przekazu rodziny Jezusa.

Właściwe imię Matki Bożej brzmiało Miriam i pochodziła z rodu Dawida. Protoewangelia Jakuba podaje, że jako trzyletnia dziewczynka została oddana na służbę jako konsekrowana dziewica w świątyni jerozolimskiej (zwyczaj ów istniał wówczas w Izraelu). Po skończeniu 12 lat takie osoby wracały do rodzinnych domów. Ona jednak nie miała dokąd wrócić, ponieważ jej rodzice zmarli. Sierotą zajęli się więc jedyni żyjący jej krewni – sędziwe stryjostwo Elżbieta i Zachariasz (później rodzice św. Jana Chrzciciela). Postanowili oni znaleźć dla Maryi męża. Wybór padł na Józefa z Nazaretu, pochodzącego również z rodu Dawida. Zadecydował o tym znak: na jego głowie miała usiąść wypuszczona z różdżki gołębica.

Żydowskie prawo przewidywało dwa etapy zaślubin. Pierwszy („erusin") oznaczał zaręczyny i był przedwstępną umową małżeńską, deklarującą wzajemną wierność narzeczonych. Jego stroną mogła być dziewczyna, która ukończyła 12,5 roku. Musiała ona oczekiwać w domu swych rodziców na właściwy akt ślubu („nisuin"), po którym następowała przeprowadzka do męża. Ponieważ Joachim i Anna już nie żyli, sierotka zamieszkała w domu Józefa w Nazarecie, jednak on sam – jak podaje Protoewangelia Jakuba – był w tym czasie nieobecny. Opuścił Nazaret, by budować w innych miejscach domy. Gdy wrócił, okazało się, że Maryja jest brzemienna za sprawą Ducha Świętego. Mogła mieć wówczas 16–17 lat.

Istnieją rozbieżności, gdzie rozegrała się scena zwiastowania, gdy Archanioł Gabriel przywitał Maryję słowami „Bądź pozdrowiona, łaski pełna", by chwilę potem oświadczyć jej, iż pocznie i porodzi syna, któremu nada imię Jezus. Jedna tradycja mówi, że stało się to w domku w Nazarecie; druga, że zdarzenie było rozłożone na dwa etapy: najpierw Miriam spotkała posłańca z niebios przy studni, a następnie już w domu doszło do poczęcia Jezusa.

Na płótnie Jana van Eycka, przedstawiającego ów moment, pod Maryją uginają się nogi, jakby omdlewała, a jej twarz wyraża błogość. W ten sposób flamandzki malarz chciał wyrazić prawdę zbawczą, iż wcielenie Syna Bożego dokonało się w Nazarecie – dziewięć miesięcy przed Jego narodzinami w Betlejem.

Po powrocie do domu Józef stanął przed dylematem. Zastał swą małżonkę

eprasa.pl b7843a2655

w ciąży, ona zaś utrzymywała, że z nikim nie współżyła. Nie mógł uwierzyć, że może go okłamywać, ale zarazem nie mógł zrezygnować ze zdrowego rozsądku. Ponieważ ją kochał, nie chciał jej krzywdy. Postanowił więc oddalić ją potajemnie, by nie narażać jej na ukamienowanie. Ówczesne prawo przewidywało bowiem karę śmierci za cudzołóstwo, a cień takiego podejrzenia mógł paść z łatwością na brzemienną nastolatkę. Dopiero pod wpływem anioła, który ukazał mu się we śnie, Józef zmienił zdanie. Pozostawił Miriam przy sobie i zaopiekował się jej synem.



Fot. National Gallery of Art

JÓZEF BUDOWNICZY

Z całej Świętej Rodziny najmniej wiadomo o przybranym ojcu Jezusa – Józefie. Ewangelie wspominają, że był z zawodu cieślą. Greckie słowo „tekton", używane na określenie tej profesji, oznacza jednak rzemieślnika zajmującego się nie tylko obróbką drewna, lecz także kamienia. Tacy ludzie wykonywali wiele rozmaitych czynności, np. budowali domy, sporządzali drzwi, naprawiali przedmioty domowego użytku. Byli mistrzami w swoim fachu, niekiedy nawet przedsiębiorcami budowlanymi kierującymi robotami większych zespołów ludzkich. Jest wielce prawdopodobne, że Józef pracował jako budowniczy w Seforis, stolicy Galilei, oddalonej 4 km od Nazaretu. Był to czas intensywnej rozbudowy tego miasta, wznoszono tam m.in. akwedukty czy amfiteatr.

Św. Mateusz nazywa go sprawiedliwym, a to tytuł zarezerwowany w Biblii dla mężów szczególnie bogobojnych, nie tylko zgłębiających prawo, lecz także nim żyjących. Nic dziwnego, że nauczył małego Jezusa pisać, czytać i studiować Torę. Chodził też razem z nim modlić się do synagogi. Zgodnie z panującym obyczajem nauczył go również swojego zawodu. Jak mówi bowiem Talmud: „Ojciec musi wyżywić swojego syna, musi także nauczyć go pracy własnymi rękami wykonywanej". A także: „Kto nie nauczy swego syna pracować własnymi rękami, uczyni z niego złoczyńcę".

Józef najprawdopodobniej zmarł dość wcześnie, ponieważ ostatnie zdarzenie z nim związane, o którym wspomina Ewangelia, to pielgrzymka do Jerozolimy, gdy Jezus miał 12 lat. To mogłoby potwierdzać tezę, że w momencie ślubu z Miriam był od niej dużo starszy.

Od wieków stale pojawiają się dociekania, czy Jezus był jedynakiem, a Maryja miała tylko jedno dziecko. Skąd biorą się takie pytania? Otóż w Nowym Testamencie siedmiokrotnie powtarzają się wzmianki o braciach Jezusa, zaś dwukrotnie o Jego siostrach. Charakterystyczny jest zwłaszcza fragment z Ewangelii św. Mateusza. Gdy Jezus naucza w synagodze w Nazarecie, tamtejsi mieszkańcy zdumieni pytają samych siebie: „Czyż nie jest On synem cieśli? Czy Jego Matce nie jest na imię Maria, a Jego braciom Jakub, Józef, Szymon i Juda? Także jego siostry czy nie żyją wszystkie u nas?".

W języku aramejskim słowo „ah" oznaczało zarówno brata, jak i kuzyna. Ewangelie zostały spisane jednak z języku greckim, który posiada takie rozróżnienie. We wspomnianym fragmencie użyto słowa „adelphoi", oznaczającego „braci", a nie „anepsioi", czyli „kuzynów".

W przywoływanej już Protoewangelii Jakuba znajdujemy zapis, że Józef, zanim poślubił Maryję, był wcześniej żonaty, owdowiał i miał dzieci z poprzedniego małżeństwa. Tak twierdzili również chrześcijańscy pisarze z IV w.: Epifaniusz z Salaminy oraz Euzebiusz z Cezarei w swej „Historii kościelnej". To właśnie rodzina Józefa miała być źródłem tradycji ustnej, która znalazła później swój wyraz nie tylko w Protoewangelii Jakuba, lecz również w Ewangelii św. Mateusza. Jest znamienne, że wszyscy owi bracia nosili imiona patriarchów Izraela, co oznaczało, że ich rodzina nie była zhellenizowana, lecz głęboko zakorzeniona w żydowskiej tradycji. To kolejne potwierdzenie, iż Józef był człowiekiem Tory.

Wiadomo, że „bratem Jezusa" był Jakub Sprawiedliwy, pierwszy biskup Jerozolimy, który zginął śmiercią męczeńską w roku 62. Jego następcą został kolejny z „braci Pańskich" – Szymon – którego ukrzyżować miano jako sędziwego starca w roku 107. Cesarz Trajan obawiając się żydowskich buntów, nakazał nawet ścigać wszystkich mężczyzn z „domu Dawida", a więc członków rodu, z którego wywodził się Jezus. Ostatni z krewnych Chrystusa św. Konon z Magydas zginął śmiercią męczeńską w 250 r.

Dzieje Świętej Rodziny toną w mrokach tajemnicy. Wiele szczegółów związanych z jej życiem nadal stanowi zagadkę. Być może dzięki odkryciom archeologów, historyków czy biblistów będziemy w stanie w przyszłości powiedzieć coś więcej na ten temat. Nie ma to jednak większego wpływu na kult tej niezwykłej wspólnoty trojga osób z Nazaretu. Od wieków pozostaje ona niedoścignym wzorem postawy dla milionów chrześcijańskich rodzin na całym świecie. I tak już chyba zostanie.

eprasa.pl b7843a2655



Chrześcijaństwo może wybudzić Europę

Stary Testament bez Nowego Testamentu, bez Jezusa, jego narodzin i losu, jest jak książka bez happy endu, bez zakończenia. Spełnienie Starego Testamentu stanowi Jezus Chrystus. Dlatego już na kartach Starego Testamentu znajdujemy mnóstwo odniesień i oczekiwań, które Chrystusa dotyczą, zarówno początków życia, jak i nauczania, śmierci oraz zmartwychwstania

eprasa.pl b7843a2655



Fot. Andrzej Wiktor

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim, biblistą, konsultorem Rady Episkopatu Polski ds. Dialogu Religijnego, laureatem watykańskiej Nagrody Ratzingera (2014)

Księże profesorze, czy nasza wiedza o Bożym Narodzeniu jako wydarzeniu historycznym jest w miarę pełna? W kręgu naukowców ten temat zdaje się nie budzić większych sporów czy emocji.

Ks. prof. Waldemar Chrostowski:
Wiedza zawsze jest ukierunkowana ku przyszłości, niosąc pragnienie lepszego poznania i zrozumienia tego, co już wiemy. Niemal zawsze, gdy patrzymy na życie człowieka, skupiamy się na tym, kim on był i kim jest. Rzadko spotykamy się np. z reportażami ze szpitala, które opisywałyby narodziny jakiegoś dziecka. Dotyczą one dzieci osób słynnych czy ważnych, np. rodziny królewskiej. W starożytności takich reportaży wcale nie było. Jezus nie przychodził na świat w sławie i bogactwie. A więc to, co dotyczy początków jego życia, czyli dziewicze poczęcie w Nazarecie i narodziny w Betlejem, jest widziane i przedstawiane przez autorów Ewangelii ex post, z pewnej perspektywy.

Jakiej konkretnie?
Z perspektywy tego, kim Jezus był i czego dokonał, przede wszystkim z perspektywy jego męki, śmierci i zmartwychwstania. Ewangelie nie powstały bezpośrednio po tych wydarzeniach, bo najstarsza z nich, czyli Ewangelia wg św. Marka, pochodzi z połowy I wieku, a więc z czasu 20–25 lat po śmierci Jezusa. Dwie pozostałe Ewangelie, w których mamy nawiązania do dzieciństwa Jezusa, czyli św. Mateusza i św. Łukasza, pochodzą z okresu jeszcze późniejszego. Ewangeliści, poza św. Mateuszem i św. Janem, zadawali pytania tym, którzy byli świadkami albo uczestnikami wydarzeń, i z tego czerpali swoją wiedzę.

Czy wiedza o narodzinach w Betlejem, którą nam przekazują, jest spójna?
Ewangelia wg św. Mateusza przedstawia narodziny w Betlejem z perspektywy Józefa. To Ewangelia specyficznie żydowska, odzwierciedlająca męski punkt widzenia. Natomiast Ewangelia wg św. Łukasza przedstawia te same wydarzenia z perspektywy Maryi, przy czym dominuje w niej mentalność i wrażliwość hellenistyczna, grecka. Nasz obraz narodzin Jezusa powstał z zestawienia obu Ewangelii, porównania ich, a także na podstawie tego, co wiemy o ówczesnym świecie żydowskim i – szerzej – świecie rzymskim. To obraz, który nawiązuje do rzeczywistych wydarzeń, a zarazem ukazuje ich najgłębsze

eprasa.pl b7843a2655

znaczenie. Ukazuje, kim jest Ten, który narodził się w Betlejem, oraz dlaczego jest On tak ważny dla Izraela i dla świata.

Gdybyśmy spróbowali się odwołać do współczesnych kategorii, to jak można opisać środowisko, w którym narodził się Jezus? Czy przekonanie, że jego rodzina była biedna, jest prawdziwe?

Na starożytne społeczeństwa, zwłaszcza semickie, nie można przenosić naszych modeli społecznych, bo byłoby to bardzo mylące. Do dziś rozwarstwienie społeczne na Bliskim Wschodzie wygląda zupełnie inaczej niż w Europie. W Palestynie istniały ugrupowania mające najwięcej do powiedzenia. Byli to faryzeusze i saduceusze. Nie chodzi tylko o zamożność w sensie materialnym, lecz o dostęp do edukacji i wykształcenie, a także możliwość sprawowania władzy – świeckiej i religijnej. To nie zawsze wiązało się z zasobami majątkowymi. Istniała również warstwa mieszkańców miast, głównie rzemieślników, handlarzy i kupców. W osadach mieszkały natomiast dwie zasadnicze grupy ludności: ci, których moglibyśmy nazwać rolnikami, uprawiający rolę, zwłaszcza winorośl i oliwki, oraz pasterze. Obie nie należały do biednych. Najniżej stali ludzie, których dziś nazwalibyśmy robotnikami najemnymi, pracujący za dniówkę. Rodzina Jezusa sytuowała się gdzieś w stanach średnich.

Św. Józef był oczywiście cieślą.

Tak mówi nam tradycja starochrześcijańska. Obróbka drewna na pewno pozwalała godnie żyć. Kobiety pozostawały przy mężu. Była to więc rodzina zwyczajna, ale na pewno niebiedna.

Jak żyła taka przeciętna rodzina? Czy mamy wiedzę na ten temat?

Dużo nowego w tym obszarze wniosła archeologia, zwłaszcza powierzchniowa i lotnicza, rozwijana w drugiej połowie XX w. Dzięki niej poznajemy nie tylko świat elit, którego świadectwem są okazałe zabytki, lecz i życie zwykłych ludzi. Badane są nasiona, resztki żywności, kości zwierząt i szczątki ludzkie. Nie tylko z tego jednak czerpiemy naszą wiedzę. Aż do naszych czasów życie na Bliskim Wschodzie nie zmieniło się tak dalece jak w świecie zachodnim. Na Pustyni Judzkiej wciąż żyją nomadzi, którzy prowadzą styl życia podobny do tego, jaki wiedli ich przodkowie setki, a zapewne i tysiące lat temu.

Jak więc żyli?

Dzień był regulowany przez rytm słońca. Wstawano przed wschodem. Wyżywienie było skromne, z naciskiem na zboża, owoce i warzywa. Mięso spożywano rzadko, przy okazji szabatu i wielkich świąt. Nie jadano wieprzowiny, a więc nie ma żadnych śladów hodowli świń. Występowała separacja płci, życie mężczyzn i kobiet szło osobnymi torami. Wychowaniem dziewczynek zajmowały się matki, a chłopców, od trzeciego roku życia, ojcowie. W ósmym dniu po narodzinach chłopcy przechodzili obrzezanie, a w 13. roku życia obrzęd o nazwie bar micwa, czyli „syn przykazań", który wdrażał w obowiązki dorosłego Izraelity. Znamy ówczesne życie dość dobrze. Rzecz jasna, inaczej wyglądało ono w Jerozolimie, inaczej w mniejszych osadach, takich jak Nazaret czy Betlejem, a jeszcze inaczej na wzgórzach judzkich.

> Musimy odstąpić od uproszczenia. Nie możemy wybierać ze Starego Testamentu tylko niektórych zapowiedzi niczym rodzynków z ciasta. A właśnie na tym często polega nastawienie wobec pierwszej części Biblii chrześcijańskiej

Jaka jest nasza wiedza dotycząca miejsca narodzin Jezusa?

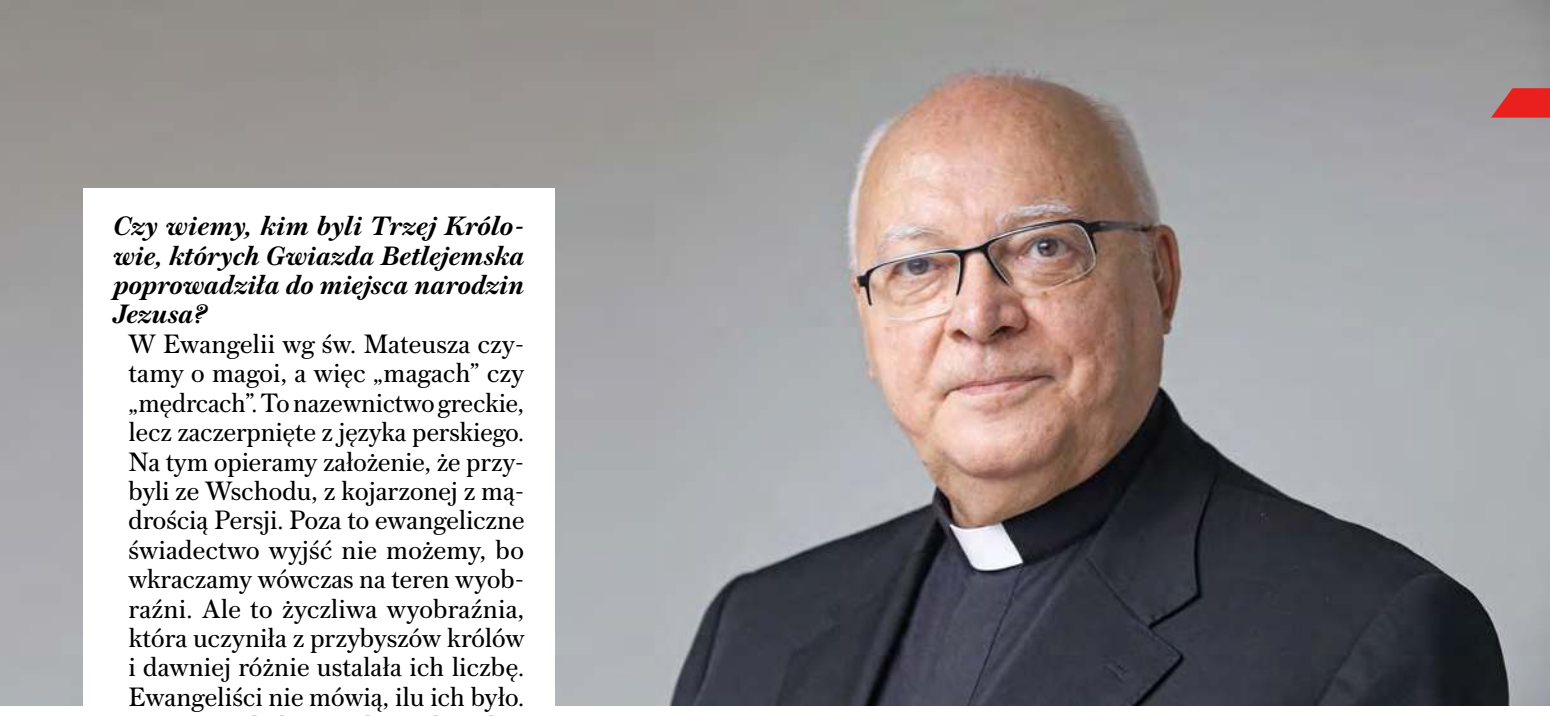
Opieramy się na solidnej pamięci pierwszych pokoleń chrześcijańskich. W przypadku miejsca narodzin jest to tradycja sięgająca początków II w. po Chrystusie. W roku 135, po upadku drugiego powstania Żydów przeciwko Rzymianom, na Palestynę spadły surowe represje. Zakazano Żydom wstępu do Jerozolimy, a w Betlejem, na miejscu wczesnochrześcijańskiego kultu, zbudowano niewielkie pogańskie sanktuarium. Podobnie postąpiono na Golgocie, miejscu śmierci Jezusa. Gdy po 313 r. chrześcijaństwo stało się religią uprawnioną w Imperium Rzymskim, było jasne, gdzie znajdują się miejsca związane z życiem Jezusa.

W tym miejsce narodzin.

Tak. Ale spójrzmy na tę sprawę właściwie. Oprowadzając po Betlejem, często pytam pielgrzymów: „A pan gdzie się urodził?". Zawsze pada jakaś odpowiedź. Gdy jednak dopytuję o konkretny szpital i oddział szpitalny, słyszę: „To mama będzie wiedziała". Ale czy każda mama pamięta, która to była sala? Szukamy precyzyjnego miejsca narodzin Jezusa, nie zdając sobie sprawy, że nie potrafimy sprostać tej ciekawości w odniesieniu do samych siebie.

W Ewangelii wg św. Marka nie ma nic o dzieciństwie Jezusa, bo rozpoczyna się ona wówczas, gdy Chrystus jest już dorosły. A więc inny przykład: wyobraźmy sobie chłopców powołanych do wojska. Czy rozmawiają o tym, gdzie kto się urodził czy został poczęty? Nie! To pytania, których sobie nie zadajemy, ale stawiamy je w odniesieniu do Jezusa. Jedno jest pewne: miejsce narodzin Chrystusa jest tym, które wskazuje się od IV w., gdy na miejscu pogańskiego sanktuarium powstała Bazylika Narodzenia. I żadnego innego miejsca nigdy w Betlejem nie wskazywano. Nie ma więc powodu, aby szukać go gdzie indziej.

eprasa.pl b7843a2655



Czy wiemy, kim byli Trzej Królowie, których Gwiazda Betlejemska poprowadziła do miejsca narodzin Jezusa?

W Ewangelii wg św. Mateusza czytamy o magoi, a więc „magach" czy „mędrcach". To nazewnictwo greckie, lecz zaczerpnięte z języka perskiego. Na tym opieramy założenie, że przybyli ze Wschodu, z kojarzonej z mądrością Persji. Poza to ewangeliczne świadectwo wyjść nie możemy, bo wkraczamy wówczas na teren wyobraźni. Ale to życzliwa wyobraźnia, która uczyniła z przybyszów królów i dawniej różnie ustalała ich liczbę. Ewangeliści nie mówią, ilu ich było. Wiemy, że były trzy dary: złoto, kadzidło i mirra; stąd domniemanie, że było ich trzech.

A Gwiazda Betlejemska?

Polegamy na świadectwie Ewangelii, które w tym szczególe nie podlega racjonalizacji. To częsta pokusa, by próbować zrozumieć i objaśnić wszystko w naszych kategoriach nauk przyrodniczych. Ale istnieją granice takiej racjonalizacji Biblii. Pismo Święte, to jest Stary i Nowy Testament, wyrosło z wiary religijnej i powstało dla umacniania wiary. Elementy racjonalne są niezbędne, ale nie da się wszystkiego zredukować do poziomu nauk przyrodniczych, tak nam bliskich.

Jezus był Galilejczykiem, a więc pochodził z Galilei, a nie Judei. Czy to istotna różnica?

Palestyna stanowiła wówczas jedność jako rzymska prowincja. Dzieliła się, i nadal dzieli, na Judeę, Samarię i Galileę. Rzecz w tym, że leżąca pośrodku Samaria była zamieszkana przez ludność mieszaną. Żyli tam potomkowie Izraelitów, którzy pozostali po asyryjskich deportacjach i zmieszali się z napływową ludnością sprowadzoną przez Asyryjczyków z Mezopotamii. Żydzi uważali tę krainę za nieczystą. Dlatego udając się do Galilei, albo ją obchodzili i podróżowali wzdłuż Jordanu, albo starali się przejść przez nią możliwie szybko.

A więc Judea i Galilea były od siebie oddzielone nieczystą Samarią.

Tak, ale łączność między nimi była stale utrzymywana. Galilea była krainą rolniczą, zamożniejszą, położoną przy ważnym szlaku handlowym znanym jako Via Maris, Droga Morska. Czerpała z tego powodu duże zyski. W Kafarnaum nad Jeziorem Galilejskim znajdował się odpowiednik dzisiejszego urzędu celnego. Galilea leży także blisko portów i Fenicji. Była więc bardziej otwarta i kosmopolityczna. Przypuszcza się, że w synagogach w Galilei modlono się po grecku, a nie po hebrajsku. Nie jest to do końca potwierdzone, ale bardzo możliwe. Wprawdzie między Galileą a Judeą dawały o sobie znać pewne różnice i napięcia, ale nie były większe niż np. między Warszawą a Krakowem albo między Mazowszem a Podhalem. Znajdowały wyraz w różnych stereotypach, ale nie przekraczały ustalonych granic.

Księże profesorze, które zapowiedzi narodzin Jezusa w Starym Testamencie są dla nas najważniejsze?

Musimy odstąpić od utrwalonego uproszczenia. Nie możemy wybierać ze Starego Testamentu tylko niektórych zapowiedzi, niczym rodzynków z ciasta. A właśnie na tym często polega nastawienie wobec pierwszej części Biblii chrześcijańskiej. Ważne jest co innego: cały Stary Testament cechuje dynamizm chrystologiczny. Cały Stary Testament jest ukierunkowany ku radykalnemu działaniu Boga, które miało się spełnić w Jezusie Chrystusie; jest pełen nadziei i napięcia.

Stary Testament bez Nowego Testamentu, bez Jezusa, jego narodzin i losu, jest jak książka bez happy endu, bez zakończenia. Spełnienie Starego Testamentu stanowi Jezus Chrystus. Dlatego już na kartach Starego Testamentu znajdujemy mnóstwo odniesień i oczekiwań, które Chrystusa dotyczą, zarówno początków życia, jak i nauczania, śmierci oraz zmartwychwstania.

One są spójne, jednoznaczne?

W relacji między Starym Testamentem a Jezusem istnieją trzy aspekty: ciągłość, brak ciągłości oraz radykalna nowość osoby i dzieła Jezusa Chrystusa. Wszystko zależy od tego, co akurat eksponujemy i rozważamy. W ciągłości widzimy jedność Bożego planu zbawienia. W braku ciągłości widzimy, że Jezus nie jest jeszcze jedną postacią Starego Testamentu, jak Abraham, Mojżesz czy Jeremiasz. W radykalnej nowości widzimy, że oczekiwania Izraela zostały spełnione w nadmiarze w osobie i posłannictwie Jezusa. Bóg dokonał znacznie więcej, niż oczekiwano.

Kiedy zaczęła się kształtować tradycja świętowania Bożego Narodzenia?

Początki sięgają wieku IV, czyli czasu, kiedy na dobre zainteresowano się miejscami świętymi. Wcześniej, np.

eprasa.pl b7843a2655

gdy św. Paweł, już po nawróceniu, przybył do Jerozolimy, Dzieje Apostolskie nie mówią nam, że szukał miejsc związanych z życiem Jezusa albo że udał się do Betlejem. Nie, to się zaczęło później. O zainteresowaniu miejscami świętymi przesądziła intensywność i powszechność wiary w Jezusa jako Mesjasza i Syna Bożego. Z tego ducha wyrastały pierwsze świątynie wybudowane przez św. Helenę, wśród nich na miejscu narodzin Jezusa w Betlejem. To trochę jak ze świętowaniem urodzin: tym ważniejsze wydarzenie, im ważniejszy jest człowiek. Boże Narodzenie jako święto liturgiczne zostało wprowadzone i okrzepło w V oraz VI w. i trwa do dziś.

Dlaczego świętujemy te wyjątkowe urodziny właśnie 24 grudnia?

Ten dzień nie odzwierciedla dokładnej daty przyjścia Jezusa na świat. Są świadectwa pisarzy starochrześcijańskich, którzy twierdzą, że Jezus narodził się w listopadzie. Nie potrafimy oczywiście stwierdzić, czy to prawda. 24 grudnia to dzień symboliczny, bo to przesilenie dnia i nocy. W tym dniu rozpoczyna się nowy etap, gdyż dzień staje się coraz dłuższy. To podkreśla rolę Jezusa jako światłości świata, postaci, która odmieniła losy wszystkiego, ponieważ zbawiła świat.

Gdy chodzi o rok narodzin, to nie ma już wątpliwości, że to kilka lat przed Chrystusem, czyli naszą erą?

W Imperium Rzymskim czas liczono od założenia Rzymu. Żyjący na przełomie V i VI w. wczesnochrześcijański pisarz i mnich Dionizy Mały otrzymał polecenie, by przeliczył czas, który upłynął od urodzin Jezusa. Dionizy, korzystając z obliczeń Klemensa Aleksandryjskiego, z tym zadaniem się uporał, ale popełnił błąd. Skąd o tym wiemy? Bo gdy porównamy obliczenia Dionizego z historią żydowską, to okazuje się, że król Herod Wielki, za którego czasów Jezus przyszedł na świat, wtedy już nie żył, bo zmarł od czterech do sześciu lat wcześniej.

W ten sposób powstał problem, który odżywa przed każdym Bożym Narodzeniem. Trzeba podkreślić, że źródłem pomyłki Dionizego nie jest niespójność tekstu biblijnego, ale wynik ludzkiego błędu, którego nie sposób naprawić, gdyż bardzo się utrwalił.

> W sprawie Gwiazdy Betlejemskiej polegamy na świadectwie Ewangelii, które w tym szczególe nie podlega racjonalizacji. To częsta pokusa, by próbować zrozumieć i objaśnić wszystko w naszych kategoriach nauk przyrodniczych

Wspomniał ksiądz profesor o spójności tekstu biblijnego. To ważne, bo często spotykamy się z próbami ośmieszenia Biblii za pomocą wybiórczego przywoływania ustaleń nauki.

Patrząc na historię i objaśniając Biblię, używamy kategorii „naukowe" lub „nienaukowe". Ta druga kategoria używana jest jako zarzut, lecz nie zawsze słusznie, bo często obnaża to naszą bezsilność. Trzeba wprowadzić trzecią kategorię: „przednaukowe". Taki charakter ma rozeznanie, które daje nam Biblia. Nie jest ona zapisem naukowym w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Nauki jako takiej wówczas jeszcze nie było. Nasze zadanie, do którego należy podchodzić z pokorą, polega na tym, by z uzyskanej wiedzy przednaukowej wysupłać te elementy, które są ważne dla współczesnych prac badawczych, prowadzonych zgodnie z wymogami metodologii.

Jak wiedza naukowa, którą ksiądz profesor zgromadził i wciąż gromadzi, wpływa na postrzeganie Bożego Narodzenia?

Moja wiedza jest spójna z moją wiarą. Nigdy nie potrzebowałem dociekania sprawy Gwiazdy Betlejemskiej ani szczegółów dotyczących pochodzenia i wyglądu Magów. To ważne sprawy wtedy, gdy kręcimy film, gdy słowo Biblii trzeba przełożyć na język obrazu. Zawsze będzie to ryzykowne, ponieważ oznacza nałożenie na starożytność wyobrażeń, które nosimy w sobie.

Pamięta ksiądz profesor swoje pierwsze spotkanie z Betlejem?

Oczywiście. Od dzieciństwa bardzo chciałem zobaczyć Betlejem. Gdy miałem trzy albo cztery lata, w moim rodzinnym kościele, w Troszynie na północnym Mazowszu, wisiała plansza przedstawiająca rozgwieżdżone niebo, a na jego tle szopkę. Betlejem było więc dla mnie zawsze miejscem z rozgwieżdżonym niebem. Kiedy 15 sierpnia 1979 r. pierwszy raz odwiedziłem to miejsce, zderzenie z moimi wyobrażeniami było nieuniknione. Zresztą każdy, kto odwiedza Ziemię Świętą, styka się z czymś podobnym. Są nawet ludzie, którzy mogą jechać do Ziemi Świętej, ale się na to nie decydują.

Czego się obawiają?

Obawiają się zderzenia swojej wiary, wyobrażeń i tzw. świętego spokoju z rzeczywistością tej ziemi. Prowadziłem dotąd prawie sto grup pielgrzymkowych do Ziemi Świętej, łącznie ok. 5 tys. wiernych. Najtrudniejsze są pierwsze godziny po wylądowaniu na lotnisku w Tel Awiwie i wjazd do Jerozolimy czy innego miasta. A tam pielgrzym widzi autostrady, autokary i nowoczesną infrastrukturę. I w tym świecie, podobnym do naszego, mamy miejsca święte, wśród nich Betlejem, które jest zazwyczaj zwiedzane na samym początku pobytu. Później jest już łatwiej, bo człowiek się oswaja z tymi miejscami i do nich przyzwyczaja.

Drugą część rozmowy opublikujemy w następnym numerze tygodnika „Sieci"

26/1217/F

eprasa.pl b7843a2655



Spokojnych i radosnych
Świąt Bożego Narodzenia
oraz szczęśliwego
Nowego Roku
życzy PZU

eprasa.pl b7843a2655



STANISŁAW JANECKI



Projekt Morawiecki

Nowy premier to ogromne wyzwanie dla bezproduktywnej i bezprogramowej opozycji oraz dla leniwych, wypalonych elit europejskich

Premier Mateusz Morawiecki w swoim exposé nic nie mówił o Platformie Obywatelskiej. Nazwa tej partii nie padła ani razu. Podobnie nazwisko najdłużej urzędującego premiera III RP Donalda Tuska. Nie używał języka socjologii polityki ani politologii, nie wszedł w polityczny spór z opozycją. Przeniósł debatę o Polsce i jej miejscu w świecie na inny poziom – zadań i wyzwań. Jedyne, do czego się odniósł poza tym, to polska tradycja i wartości jednoczące Polaków, pozwalające przetrwać polskości, obecne w polskiej kulturze. Plus tradycja rodzinna: to, co wpoili mu ojciec i matka, dalsi krewni i przyjaciele. Dlatego opozycja podczas wygłaszania exposé była ponadstandardowo cicha. Nie bardzo wiedziała, jak reagować na język premiera Morawieckiego i na to, co przedstawił jako swój program. Zapewne z tego powodu prezentowane na sejmowej sali recenzje exposé były tak oderwane od jego treści i tak emocjonalne. Posłowie opozycji byli wściekli, że bezpośrednio nie mogą zaatakować programu Morawieckiego, gdyż uciekł on od klasycznej politycznej „nawalanki". „Pokojowość" tego exposé opozycję obezwładniła, a jej bezsilność zrodziła agresję słowną, szczególnie w wypadku Sławomira Neumanna, Katarzyny Lubnauer czy Michała Kamińskiego. Program Morawieckiego nie jest jednak technokratyczny, lecz głęboko zakorzeniony w polskich i chrześcijańskich wartościach. Kształt i treść programowego wystąpienia nowego premiera pokazują, jak może wyglądać rządzenie w jego wydaniu, i w jakimś sensie tłumaczą, dlaczego w ogóle doszło do powołania Mateusza Morawieckiego na szefa rządu.

SPOSÓB NA TOTALNĄ OPOZYCJĘ

Zamiar szefostwa dobrej zmiany był zapewne taki, żeby poprzez manewr z Morawieckim utrudnić opozycji atakowanie premiera i całego rządu. Także dlatego, że 12 grudnia 2017 r. Jarosław Kaczyński w rozmowie z TVP Info zasugerował, iż po Nowym Roku zmiany w rządzie będą jednak głębokie, a więc część dotychczasowych ministrów zejdzie z linii strzału. Jeśli Morawiecki będzie z opozycją rozmawiał takim językiem jak w exposé, atakując go, jeszcze bardziej wyjdą na awanturników. Biorąc pod uwagę zapowiedzi eskalacji protestów na ulicy, strategia Morawieckiego może podminować najbardziej agresywne działania opozycji. Nowy premier po prostu nie przyjmie języka opozycji ani nie wejdzie na wyznaczone przez nią pole, więc bardzo trudno będzie mobilizować ludzi do protestów, a opinii publicznej wytłumaczyć, że powinna protesty masowo popierać. Generalnie chodzi więc o obniżenie temperatury politycznych sporów w Polsce. Także poprzez „normalizację" stosunków z Andrzejem Dudą. Nieprzypadkowo podczas uroczystości zaprzysiężenia prezydent deklarował, że Mateusz Morawiecki jest „jego premierem". Tę normalizację mają pogłębić zmiany w rządzie, choć nie wszystkie życzenia prezydenta muszą być spełnione.

„Polska polityka rozpięta jest między dwie błędne wizje. Z jednej strony wizja rozwoju zależnego, czyli 25 lat III RP, która przewiduje dla Polski jedynie rolę peryferii. Z drugiej strony głosy, że Polska miałaby się odgrodzić murem od reszty świata" – mówił Morawiecki w exposé. Bardzo wyraźnie zaznaczył, że w III RP realizowano błędny model rozwoju, i ten model był głównie odpowiedzialny za „cztery chroniczne choroby naszego życia społecznego i go-

eprasa.pl b7843a2655



Fot. Andrzej Wiktor

spodarczego, a zarazem oznaki naszej słabości", czyli „biedę, bezrobocie, brak mieszkań i cywilizacyjne zapóźnienia w służbie zdrowia". A opinia publiczna w Polsce doskonale kojarzy, że ten model wdrażały głównie Unia Wolności (wcześniej Unia Demokratyczna) i jej kontynuacja, czyli Platforma Obywatelska. „Z tych czterech jeźdźców apokalipsy w ogromnej mierze dzięki naszym działaniom w tych dwóch pierwszych widać już znaczącą poprawę" – mówił szef rządu. Sukcesy w walce z biedą i bezrobociem mogą Polaków przekonać, że podobna, znacząca poprawa nastąpi w mieszkalnictwie i ochronie zdrowia. Nowy premier zadeklarował, że ostatecznie zerwie z poprzednim modelem, i dał do zrozumienia, iż pozostałych „chronicznych chorób" nie będą leczyć ci, którzy nimi Polaków zarazili, a przynajmniej ich nie leczyli. To oczywiście bardzo osłabia legitymację opozycji, szczególnie PO i PSL, do powrotu do władzy oraz podważa ich argumenty, że mogą i powinni naprawiać to, co sami zepsuli.

SPOSÓB NA EUROPĘ

Bezradność opozycji słuchającej Mateusza Morawieckiego wskazuje na zamysł strategiczny tego premierostwa. Równie trudno jak w wypadku krajowej opozycji, a nawet trudniej, będzie nowego prezesa Rady Ministrów atakować eurokratom wyspecjalizowanym w antypolskiej krucjacie. Jak to robić, kiedy przeciwnik nieustannie schodzi z linii ciosu, a nawet nie podejmuje konfrontacyjnego języka? Nadal będą atakowane Polska czy polski rząd, ale w rozmowach z samym premierem Morawieckim Jean-Claude Juncker, Donald Tusk czy Frans Timmermans będą mieli kłopot. Choćby z powodu jego odmowy używania języka i pojęć klasycznego konfliktu, opisywanego m.in. przez Maxa Webera, Georga Simmla, Lewisa A. Cosera czy Ralfa Dahrendorfa. Można przypuszczać, że wybór kogoś takiego jak Morawiecki na szefa rządu ma zmniejszać liczbę pól konfliktów z najważniejszymi eurokratami i głównymi unijnymi instytucjami. Także poprzez przeniesienie sporów poza ideologię i ponad język konfliktu. Trudno powiedzieć, na ile to wystarczy do uspokojenia polsko-unijnych relacji i czy w ogóle, ale na pewno jest jakąś strategią, która choćby na początku może wiele sporów wygasić, a przynajmniej je zamrozić.

Kierownictwo obozu dobrej zmiany najwyraźniej uznało, że poziom konfliktu z instytucjami UE stał się dla Polski niebezpieczny i trzeba to zmienić. Nowy premier może mieć na tym polu większe szanse. Jedyną wątpliwość budzi to, jak Morawiecki miałby się porozumiewać z sędziami Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu oraz Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu, a wiele wskazuje na to, że tam przeniesie się większość sporów z Polską. I tam dominuje najbardziej ideologiczne podejście do tzw. wartości europejskich. Pod tym względem te trybunały niczym się nie różnią od najważniejszych polskich sądów i dialog z nimi będzie równie trudny jak ten w naszym kraju.

Nie jest pewne, jak najważniejsi gracze w UE zareagują na zapowiedź wepchnięcia się Mateusza Morawieckiego w niewidoczne, a ważne miejsca kumulacji władzy i wpływów. Nieprzypadkowo nowy premier w exposé stwierdził, że „dziś bronią w bitwach współczesnego świata są też decyzje regulatorów, które przesądzają o losach niekiedy całych branż. Niekiedy przez jedną regulację można stracić więcej, niż zyskiwaliśmy w prywatyzacjach". Chodzi o regulacje całych rynków lub konkretnych produktów i usług, np. rynku energii, żywności czy emisji dwutlenku węgla. Regulacje nie są obiektywne na takiej zasadzie jak prawa przyrody, lecz są wypadkową gier

eprasa.pl b7843a2655

interesów państw oraz wielkich korporacji, i najsilniejsze państwa oraz firmy najwięcej na regulacjach zyskują. A gra się toczy o gigantyczne pieniądze i Polska dotychczas niewiele ugrała.

Morawiecki chce to zmienić, ale to nie zależy tylko od niego. Dlatego mówił w exposé, że „o zwycięstwach w tych bitwach nie decyduje tylko liczba dywizji, lecz również soft power – miękka siła". Oznacza to stworzenie właściwie od zera polskiego lobbingu, polskiej soft power, także poprzez działania w dziedzinie kultury (również popularnej), co udało się nie tylko Niemcom, ale np. Turcji. Morawiecki miałby tworzenie polskiej soft power zapoczątkować i szybko przeprowadzić. Sam już zresztą to robił jako wicepremier, często z pozytywnym dla wizerunku Polski efektem, występując we wpływowych telewizjach na Zachodzie.

Nowy premier może być trudnym do ogrania partnerem także dla Merkel i Macrona. Ośrodek dyspozycji politycznej dobrej zmiany również w tym wypadku najwyraźniej uznał, że poziom konfliktu, szczególnie w relacjach z Berlinem, należy znacząco obniżyć. Z Paryżem obniżenie napięcia było już widoczne podczas wizyty w Paryżu premier Beaty Szydło (23 listopada 2017 r.), a w wypadku Berlina nie było takiej okazji z powodu kłopotów z utworzeniem rządu po wyborach 24 września 2017 r. Morawiecki będzie zapewne chciał często się z kanclerz Niemiec i prezydentem Francji spotykać, będzie też występował w tamtejszych mediach z bezpośrednim przesłaniem od Niemców i Francuzów, więc tamtejsza opinia publiczna będzie znać stanowisko polskiego rządu w znacznie większym stopniu z pierwszej ręki, a nie tylko poprzez media, generalnie wrogie Polsce rządzonej przez PiS.

Zmiana w relacjach z Berlinem i Paryżem ma być wstępem do wspólnego reformowania Unii, czyli nie na zasadach narzuconych przez Niemcy i Francję. Dlatego w exposé nowy premier mówił: „My nie chcemy Unii dwóch prędkości. Nie chcemy znowu podziałów i pozostawiania niektórych w tyle. Nie zgadzamy się na dzielenie Europy na lepszych i gorszych. [...] Kochana Europo! Polski kawałek na pewno doskonale pasuje do europejskich puzzli, ale nie wolno go umieszczać niewłaściwą stroną albo wbijać na siłę. Zniszczy się wtedy i całość obrazka, i ten nasz kawałek". Berlin i Paryż oczywiście łatwo nie zrezygnują z faktycznej hegemonii, jaką mają obecnie w UE, ale bardzo trudno będzie im używać argumentu, że Polska chce z Unii wychodzić czy jest jej hamulcowym lub dla niej ciężarem. A podkreślenie strategicznego znaczenia NATO i sojuszu z USA dla Polski wcale temu nie przeczy, gdyż UE zawsze i bardzo poważnie brała ich zdanie we wszelkich reformach wewnętrznych czy w rozszerzaniu się o nowe państwa.

> Posłowie opozycji byli wściekli, że bezpośrednio nie mogą zaatakować programu Morawieckiego, gdyż w exposé uciekł on od klasycznej politycznej „nawalanki"

POLSKIE DNA

Poza ściśle politycznymi celami w polityce wewnętrznej i międzynarodowej premier przedstawił plan cywilizacyjnego skoku Polski, przede wszystkim w oparciu o nowe technologie. I to też jest bardzo twardy orzech do zgryzienia dla opozycji, walczącej z PiS argumentami o „powrocie do średniowiecza". Co to za średniowiecze i europejski zaścianek, gdy motorem rozwoju Polski mają być nowe technologie i cyfryzacja wszystkich dziedzin życia, z reformowaną służbą zdrowia na czele? „Polska polityka musi być ambitna. Dryfowanie czy płynięcie z prądem to nie jest nasze DNA" – mówił Morawiecki, odcinając się tym samym od minimalistycznej filozofii „ciepłej wody w kranie". Nieprzypadkowo mówił o projektach odpowiadających budowie Gdyni w II RP, czyli przede wszystkim o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Takie projekty i w ogóle strategię skokowej modernizacji Polski ma planować Centrum Analiz Strategicznych. A kluczowa w tej modernizacji Polski jest rola „przedsiębiorczego państwa". Takiego, które „wylało fundamenty pod sukces amerykańskiej Doliny Krzemowej czy izraelskiej innowacyjności, czy przemysłu koreańskiego albo niemieckiego". Jak zaznaczył premier, „jesteśmy świadkami rewolucji technologicznej, która oznacza nowe rozdanie w gospodarce światowej. To nowe rozdanie powinno się odbywać z udziałem Polski. To zresztą pierwsza rewolucja przemysłowa, w której Polska może odegrać poważną rolę, nawet w niektórych obszarach rolę lidera".

Nie średniowiecze, lecz lider rewolucji przemysłowej. I nie Polska „starych, niewykształconych, z małych miejscowości", lecz polegająca na młodych, gdyż „umiejętności młodych Polaków są dziś kołem napędowym naszej innowacyjności, naszej nowoczesności. I to w ich entuzjazmie, i to w ich ciekawości świata, konkurowaniu z najlepszymi tkwi klucz do sukcesu". Klucz tkwi też w nauce, gdyż „polska nauka w dużo większym niż obecnie stopniu stwarzać musi podstawy rozwoju naszej gospodarki i zamożności Polaków". Czyli nie „ciemnota" – jak chciałaby opozycja, lecz nauka i nowoczesne uczelnie, których zadaniem jest także „formacja elit narodowych".

Najwyraźniej „projekt Morawiecki", zapewne pomyślany także jako zmiana w przyszłości przywództwa zjednoczonej prawicy, jest zdecydowaną ucieczką do przodu, jeśli chodzi o wizję rozwoju Polski, naszego miejsca w UE i naszej konkurencyjności gospodarczej oraz atrakcyjności kulturowej i cywilizacyjnej. Poprzez połączenie nowoczesności z tradycją i fundamentalnymi dla Polaków wartościami, poprzez patriotyzm i dobrze ugruntowaną asertywność. To ogromne wyzwanie dla bezproduktywnej i bezprogramowej opozycji oraz dla leniwych, bezideowych, wypalonych elit Unii Europejskiej.

55/1117/F

eprasa.pl b7843a2655

TEATR POLSKI
IM. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

Dyrektor Naczelny Teatru Polskiego
im. Arnolda Szyfmana w Warszawie
Andrzej Seweryn

Kup bilet na teatrpolski.waw.pl

PARTNER STRATEGICZNY
PKO Bank Polski



Fot. Krzysztof Bieliński

Stanisław Wyspiański
WESELE
reżyseria **Krzysztof Jasiński**

spektakle: 26, 27, 28 grudnia



Fot. Krzysztof Bieliński



Fot. Jacek Poremba

Molier
SZKOŁA ŻON
reżyseria **Jacques Lassalle**

spektakle: 9, 10 stycznia

Wiesław Myśliwski
NIEZATAŃCZONE TANGO
reżyseria **Leszek Bzdyl**

spektakle: 17, 18, 19 stycznia

Partner medialny chillizet

Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mazowsze. serce Polski

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fot. Fratria

To twórcza kontynuacja

Z numerem pierwszym jedzie teraz zawodnik, który wcześniej jechał z numerem drugim, a ten z jedynką jedzie z numerem drugim. Ale dalej w tej samej drużynie i nadal stanowią drużynę

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Ryszardem Czarneckim, wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego, politykiem Prawa i Sprawiedliwości

Rozmawiamy w Strasburgu, w drugiej, obok brukselskiej, siedzibie Parlamentu Europejskiego. Ale nawet tutaj, w pana gabinecie, znajdujemy pamiątki i pisma o tematyce żużlowej. Polityka przypomina ten sport, który tak aktywnie pan wspiera?

Ryszard Czarnecki: Na szczęście nie. W żużlu jeździ się wyłącznie w lewo, a hamuje, odcinając dopływ benzyny do silnika. W polityce jeżdżę w prawo i umiem hamować.

Gdybyśmy przyrównali obecną sytuację polityczną do meczu żużlowego, to gdzie jesteśmy? Kto prowadzi?

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że wysoko prowadzimy, ale też zostało na tyle dużo biegów, iż nie wolno jeszcze przesądzać o końcowym wyniku. Wciąż obowiązują podstawowe hasła naszego politycznego klubu: pokora, powściągliwość, praca.

Sondaże sugerują jednak, że opozycja musiałaby dokonać jakiegoś cudu, by szybko dogonić obóz rządzący.

Jestem w polityce na tyle długo, by wiedzieć, że pycha zawsze kroczy przed porażką, a niejedna prognoza głosząca, iż wszystko jest rozstrzygnięte, brzmiała po latach jak pusty żart. Co najważniejsze: taka postawa oznaczałaby brak szacunku dla wyborców, których trzeba przekonywać do naszego projektu każdego dnia i każ-

eprasa.pl b7843a2655

dego dnia rozliczać się z tego, co zostało zrobione. Zresztą dużo zostało do zrobienia. A jeszcze więcej można by zrobić, gdyby udało się zyskać w parlamencie większość konstytucyjną. Wszystko to zależy od naszej pracy i decyzji Polaków.

To dla tej większości konstytucyjnej trener drużyny, czyli prezes Jarosław Kaczyński, zdecydował się na zmiany w składzie tejże drużyny?

Na razie zmian nie było, tylko przesunięcia. Z numerem pierwszym jedzie teraz zawodnik, który wcześniej jechał z numerem drugim, a ten z jedynką jedzie z numerem drugim. Ale dalej w tej samej drużynie i nadal stanowią dobrą parę na torze.

Niech będzie „przesunięcie". Ponawiamy pytanie o przyczyny.

Zamierzeniem prezesa Kaczyńskiego, który był w sposób oczywisty architektem propozycji, aby tandem Szydło–Morawiecki zastąpić tandemem Morawiecki–Szydło, by w drugiej połówce kadencji postawić w jeszcze większym stopniu na rozwój gospodarczy, pracę, innowację. Wysyłamy w ten sposób sygnał do polskich przedsiębiorców, że będziemy na nich stawiać, zachęcamy też inwestorów zagranicznych do lokowania swoich fabryk i centrów technologicznych w Polsce. Zresztą właśnie wygraliśmy wyścig o inwestycję Toyoty na Dolnym Śląsku, co jest w dużej mierze zasługą Mateusza Morawieckiego. Walka była twarda, rywalizowało wiele krajów na kilku kontynentach. Można wskazać jeszcze jedną przyczynę zmiany: poszukiwanie nowego otwarcia w polityce międzynarodowej.

Czy ta zmiana, sprawność jej przeprowadzenia, nie jest też pośrednio dowodem na słabość opozycji? Poważna dyskusja o sprawach publicznych toczy się właściwie wyłącznie wewnątrz obozu dobrej zmiany.

Przestrzegam przed minimalizowaniem roli opozycji. Faktycznie, dzisiaj są często intelektualnie nieprzygotowani do dyskusji, skupiają się na happeningach, a nie ciężkiej pracy sejmowej, niemniej są i mogą być groźni.

W jaki sposób?

Ich linia jest stała: granie na emocjach, cyniczne wykorzystywanie narastającego gniewu odsuniętych od władzy środowisk lub ludzi zmanipulowanych. Bardzo mocno bym więc oponował przeciwko stwierdzeniom, że cała dyskusja toczy się wewnątrz naszego obozu, że wypełniamy całą przestrzeń sceny politycznej. Opozycja ma w swoim arsenale nie tylko ulicę, lecz i zagranicę. Tymi narzędziami grają bezwzględnie i będą to robili.

> Opozycja świeci światłem odbitym mediów opozycyjnych. To one promują tych polityków, którzy są radykalni

Jedno trudno zrozumieć: przecież ta linia polityczna nie przynosi im efektów, są słabsi niż w dniu wyborów, ale nadal w nią brną. Dlaczego?

Ciekawe pytanie. Myślę, że opozycja w dużym stopniu świeci światłem odbitym mediów opozycyjnych. To one nakręcają pewne postawy, promują tych polityków, którzy są radykalni. Pewien bardzo znaczący działacz PSL powiedział mi niedawno, że do pewnych stacji zapraszani są wyłącznie ci przedstawiciele jego partii, o których wiadomo, że przyłożą rządowi. Ci bardziej pojednawczy, merytoryczni, nie mają tam wstępu.

Ale wewnątrz partii opozycyjnych jest podobny proces: im ktoś bardziej agresywny, tym szybciej tam awansuje.

Tak. Rozbicie obozu opozycyjnego na dwie główne partie i kilka mniejszych daje efekt nakręcania radykalizmu. Ścigają się nie na dobre programy, projekty ustaw, dobre przemówienia, ale ostrość sformułowań, nawet wulgarność. Inna sprawa, że to wynika też z lenistwa. Kiedy my byliśmy w opozycji, Jarosław Kaczyński gonił wszystkich do ciężkiej pracy nad programem i projektami ustaw, a także do pracy w terenie. Dzisiaj niczego takiego liderzy opozycji od swoich ludzi nie wymagają. I jeszcze jedna przyczyna: zachęty z zagranicy do radykalizmu. Wszystko to powoduje, że opozycja się totalizuje.

Czyli nie ma szans na zmianę po stronie opozycji? To byłby smutny wniosek, jej jakość ma znaczenie, oni też współtworzą scenę polityczną.

W tej kadencji bardzo trudno będzie im wyjść z tej spirali totalności. Obecni liderzy opozycji są zakładnikami własnych słów i własnej taktyki. Nie mogą jej porzucić, bo wtedy przyznaliby się, że źle rozpoznali rzeczywistość. W związku z tym będą cały czas sięgać do arsenału bomb atomowych, a nie zaczną ćwiczyć szermierkę.

Ale powtarzamy: Ryszard Petru właśnie stracił partię, którą sam stworzył, Grzegorz Schetyna ma dziś mniejsze poparcie, niż gdy przegrywał wybory. Wszyscy razem mają na koncie romanse polityczne z przedziwnymi osobnikami z tzw. KOD, co jest dla nich kompromitujące. Ten bilans jest jednoznacznie negatywny i powinien skłaniać do wyciągania wniosków.

Co do pana Petru, to nie płakałem po jego utraconym przewodnictwie, i chyba nikt nie płakał. Dla obozu rządzącego to scenariusz dobry, bo pani Katarzyna Lubnauer jest politykiem bardzo ideologicznym i będzie Nowoczesną przesuwała w lewo. Co może zabrać trochę głosów zarówno lewicy, jak i Platformie. Pani Lubnauer może być też trudniejszym rozmówcą dla PO, niż był zrezygnowany pod koniec Petru.

Dlaczego były już lider Nowoczesnej aż tak przegrał? Gdzie są źródła tej porażki?

eprasa.pl b7843a2655

Po pierwsze, Ryszard Petru był człowiekiem, który szedł przez życie od sukcesu do sukcesu i nie umiał sobie poradzić z porażkami, które w polityce są normalne. Po drugie, uznał, że politykę robi się przez studia telewizyjne, co jest prawdą tylko w małej części. Za mało pracował w partii, z ludźmi, z klubem parlamentarnym. Zwracam uwagę, że zapaść sondażowa Nowoczesnej zaczęła się w listopadzie 2016 r., jeszcze przed słynną Maderą, i była wynikiem popełnionych już wcześniej błędów.

A Platforma?

Myślę, że scenariusz przewodniczącego Schetyny jest taki: nie ma sensu być opozycją merytoryczną, trzeba być opozycją radykalną i nikomu nie pozwolić się w tym radykalizmie wyprzedzić. Bo – zakłada szef PO – kiedyś wahadło nastrojów społecznych pójdzie w drugą stronę i wtedy to Platforma i on osobiście będą beneficjentami tej zmiany.

Sensowne?

Jeśliby doczekali, ale to dla Polski bardzo szkodliwa postawa. Jeśli jednak nie doczekają tego momentu, to wtedy jest to strategia samobójcza także dla PO.

Polacy mogą się szybciej zmęczyć taką opozycją niż rządami Jarosława Kaczyńskiego?

Dokładnie. Ten wyścig na radykalizm ma jeszcze jeden efekt – bardzo utrudnia zjednoczenie opozycji. Możliwe, że w wyborach samorządowych gdzieniegdzie wystąpią razem, ale już w wyborach parlamentarnych będzie to bardzo trudne.

Jakie z tego wnioski dla rządzących?

Cały czas musimy mieć się na baczności, musimy być zjednoczeni, solidarni i pokorni. Dlatego bardzo się cieszę, że pan prezes Kaczyński przeforsował pomysł, by była prezes Rady Ministrów była obecnie wiceprezesem Rady Ministrów. Dla naszych wyborców to czytelny sygnał, że jesteśmy jedną drużyną.

Czyli kontynuacja ze zmianą?

Tak. Twórcza kontynuacja. Beata Szydło nadal będzie ważnym czynnikiem decyzyjnym w sprawach społecznych oraz być może także europejskich.

Kiedy spodziewa się pan dalszych zmian w rządzie?

Sądzę, że w styczniu nastąpią dalsze zmiany. Pojawią się nowe twarze, będzie kilka przesunięć, ale będzie to nadal twórcza kontynuacja.

> Mamy przesunięcie akcentów na kwestie ekonomiczne, ale nie mamy odejścia od priorytetu polityki społecznej

A które atuty premiera Mateusza Morawieckiego uważa pan za szczególnie istotne?

W wymiarze międzynarodowym jego życiorys jest odbierany pozytywnie. To polityk pragmatyczny, mający świetne kontakty międzynarodowe, respekt świata finansów i biznesu. Myślę, że można użyć tu nawet, w pozytywnym znaczeniu, słowa technokrata. Przypomnę, że jako pierwszy polski minister finansów został zaproszony na posiedzenie ministrów finansów strefy euro. W wymiarze wewnętrznym można wskazać na zakorzenienie w historii, znajomość polskich dziejów, co czyni go lepszym politykiem. Do tego wyniesiona z domu zasada solidaryzmu społecznego – to powoduje, że nikt uczciwy nie powie o nim, iż jest lub był banksterem. Jego wrażliwość społeczna jest znana i jest faktem.

Jakie wrażenie zrobiło na panu exposé nowego premiera?

Potwierdziły się moje nadzieje, że usłyszymy nowy język, zobaczymy nową perspektywę, zyskamy nową energię. Jednocześnie było to przemówienie pięknie ujmujące kwestie historyczne, solidaryzm społeczny, a także ważny dla nas wszystkich nurt sprawiedliwości, dążenia do likwidacji patologii naszego życia publicznego, ukarania tych, którzy Polaków okradali. Mamy więc pewne przesunięcie akcentów na kwestie ekonomiczne, ale nie mamy odejścia od priorytetu polityki społecznej, która jest i będzie elementem tożsamościowym dla Prawa i Sprawiedliwości. To jest komplementarne, musimy prowadzić politykę prorozwojową, żeby mieć pieniądze na politykę społeczną.

Czy w pana opinii opcja premierostwa Jarosława Kaczyńskiego jest w przyszłości jeszcze możliwa?

Nie wiem, czy jest rzeczą właściwą dywagowanie o kolejnym premierze w pierwszych dniach urzędowania obecnego, ale też nigdy bym się nie założył, że Jarosław Kaczyński nie będzie premierem. Żadnego wariantu nie można w przyszłości wykluczyć. Dzisiaj wszyscy wspieramy Mateusza Morawieckiego, który był kandydatem i jest premierem wskazanym przez prezesa PiS.

Jarosław Kaczyński wskazywał kilkakrotnie na element narastającej presji na Polskę ze strony części ośrodków zagranicznych, napuszczanych na nasz kraj przez odsuniętych od władzy w 2015 r. Tym także uzasadniana była zmiana szefa rządu. Czy w pana opinii, ważnego polityka europejskiego, premier Morawiecki może skuteczniej wytłumaczyć polskie racje, to pragnienie zreformowania państwa, naszym partnerom? Przeciwstawić się nagonkom na nasz kraj?

To dobry ruch z naszej strony, dobre posunięcie, poważna szansa na nowe otwarcie. Jestem pewien, że premier Morawiecki zrobi wszystko, by nasze racje wybrzmiewały jeszcze precyzyjniej i skuteczniej, że zwiększy naszą aktywność. Ale też muszę podkreślić, że nikt nie ma dzisiaj czarodziejskiej różdżki, za pomocą której natychmiast i całkowicie odmieni relacje Polski z Unią. Te relacje były i są trudne ze względu na to, co UE robi

3/07/17/F

eprasa.pl b7843a2655

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i dobrej energii w Nowym Roku



Niech niezwykłe, świąteczne chwile będą czasem spokoju i pojednania, odpoczynku od trosk i problemów dnia codziennego, spędzonym w gronie rodziny i przyjaciół.

Życzy Energa

Energa

eprasa.pl b7843a2655

wobec Polski, a nie Polska wobec Unii. Obiektywnie rzecz biorąc, czasami mamy też różne interesy, a że obecny obóz rządzący tych interesów twardo broni, to pojawiają się spory, konflikty. Nie tylko z Komisją Europejską, ale też z największymi graczami w Unii – Niemcami i Francją. Te różnice nie znikną, napięcia także.

Przyczyną są interesy, które robiono na Polakach? Ta kolonizacja, o której wspomniał w exposé premier Morawiecki?

Są cztery główne powody ataku na Polskę. Pierwszy jest ideologiczny. Katolicka Polska rządzona przez prawicę jest ością w gardle. Spójrzmy na to z perspektywy lewicowego z ducha establishmentu europejskiego. Oto mają przed sobą kraj, jedyny spośród 28 członków Unii, w którego parlamencie nie ma lewicy. Dla nich to obraza. Drugi powód rzadko jest zauważany w naszym kraju, a z perspektywy Strasburga czy Brukseli jest ważny. To fakt, że PiS należy do innej europejskiej rodziny politycznej niż PO. Bo tutaj, niestety, swoich się broni.

Stosuje się podwójne standardy?

W praktyce bardzo często. Dlatego broniono Silvia Berlusconiego mimo jego ekscesów. Dlatego nie zauważano, całkiem niedawno, ogromnych marszów przeciw korupcji wokół socjalistycznego rządu w Rumunii. I z tego samego powodu starano się przemilczeć fakt, że na rządzonej przez socjalistów Malcie zamordowano dziennikarkę tropiącą korupcję w układzie władzy. Zauważmy, że Guy Verhofstadt atakując Polskę, jednocześnie podlewa konewką Nowoczesną, partię z międzynarodówki liberalnej ALD. A już największą więź plemienną mamy w Europejskiej Partii Ludowej, do której należą PO i PSL.

A powody trzeci i czwarty?

Organizacja państw Europy Środkowo_Wschodniej z udziałem Polski. Czyli Grupa Wyszehradzka, kraje bałtyckie, Wałkany, pomysł Międzymorza, nasza aktywność. To zmienia układ sił w Europie, bo trudniej rozgrywać grupę niż pojedyncze kraje. Kiedyś były premier Czech Petr Neczas powiedział mi: „Im częściej pytają mnie Niemcy i Francuzi, po co trzymamy się razem w Grupie Wyszehradzkiej, bo to przecież bez sensu, tym bardziej się przekonuję, że warto to robić". I to prawda, w bloku możemy osiągnąć więcej. Ale też to irytuje, to drażni. Kiedyś pewien niemiecki eurodeputowany z CDU powiedział w windzie w Parlamencie Europejskim, nie wiedząc, że jedzie tam też Polak: „O co chodzi tym Polakom? Dostali tyle pieniędzy, a teraz chcą brać udział w podejmowaniu decyzji?!". To, że rośniemy, budzi opór. Tym bardziej że Donald Tusk przyzwyczaił partnerów do pełnej uległości.

Przyczyna czwarta to sprawy gospodarcze?

Tak. Polska rozwija się bardzo szybko, wyprzedzamy już – jeśli chodzi o PKB na głowę mieszkańca – Grecję. Ten symboliczny moment nastąpił za tego rządu. Jeśli nic złego się nie stanie, jeśli np. nie przedstawi się nas za granicą jako kraju antysemitów, w którym strach inwestować, to możemy poważnie zagrozić niektórym interesom państw najbogatszych. Oni to widzą, oni rozumieją też, jak prorozwojowy jest kierunek obecnego rządu. Nic dziwnego, że mamy do czynienia z kontrakcją.

Ta kontrakcja to groźba sankcji. Realna?

Jest nierealna. Ale tu chodzi o to, by króliczka gonić, a nie złapać. Panowie, przecież Komisja Europejska była już skłonna złagodzić, choćby częściowo, stanowisko wobec Polski. Wtedy jednak, w dużej mierze za sprawą polityków PO, do gry włączył się Parlament Europejski, który zaczął debatować o uruchomieniu artykułu 7 przeciw Polsce.

Mogą nas ukarać obcięciem pieniędzy unijnych?

Wątpię. Ale już dzisiaj trzeba Polakom otwarcie i uczciwie mówić, że pieniędzy w kolejnym rozdaniu będzie mniej. Polska się bogaci, a te pieniądze są przede wszystkim dla biednych, na wyrównanie szans rozwojowych – to są obiektywne powody i to nastąpiłoby i tak, bez względu na to, kto by rządził w Warszawie. Odchodzi Wielka Brytania z jej międzynarodową składką. I trzeci, także istotny: bogate państwa kombinują coraz mocniej, by jak najwięcej z tych funduszy odzyskać. I to ma swoje konsekwencje.

Na przykład?

Weźmy choćby postulat wspólnej polityki obronnej. Brzmi pięknie, ale w praktyce może oznaczać ogromne zamówienia w niemieckich i francuskich zakładach zbrojeniowych – a niekoniecznie polskich. Podkreślam: u źródeł tego wszystkiego leży konflikt interesów.

I na koniec pytanie obowiązkowe: Tusk wróci?

Panowie, faktycznie to pytanie obowiązkowe. Ale dla mnie dużo ciekawsze jest obserwowanie, jak ponosi klęskę na scenie europejskiej.

Klęskę?

Tak. Początkowo grał sprytnie. Wiedział, że nie zna się na tych sprawach, więc nie wchodził w spory kompetencyjne z szefem Komisji Europejskiej Jeanem-Claude'em Junckerem, w odróżnieniu od swojego poprzednika Hermana Van Rompuya, który kłócił się z Barroso. Ale z czasem okazało się, że ten spryt to wszystko, co ma do zaoferowania. To Tusk w europejskiej opinii jest współwinny Brexitu, on prowadził negocjacje go poprzedzające. Ale najważniejsze jest to, że narasta zniecierpliwienie jego pozoranctwem, lenistwem, niezdolnością do ciężkiej, codziennej pracy.

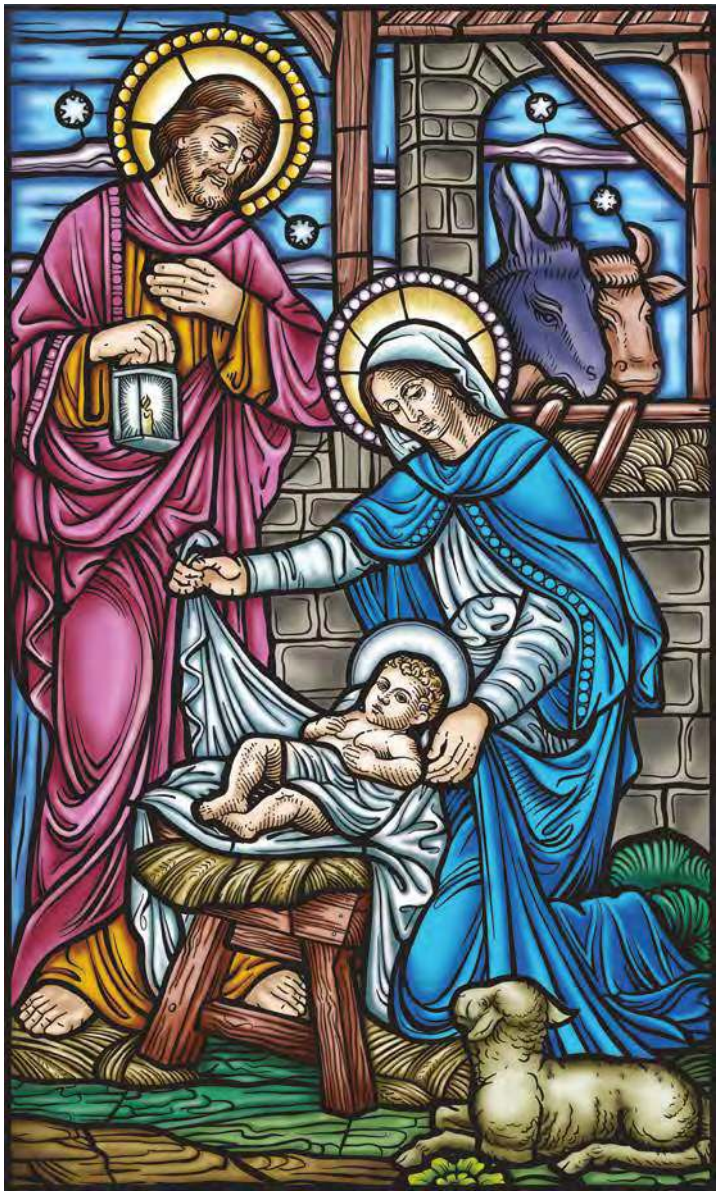
No dobrze, czyli wróci czy nie wróci do Polski?

Chciałby wracać wyłącznie wtedy, kiedy miałby pewność wygranej. Na dziś uważam, że tej szansy nie ma. Wybierze więc zapewne karierę urzędniczą gdzieś na obrzeżach unijnych struktur, na przykład będzie pełnomocnikiem UE do rozwiązania problemów, które sam stworzy, czy coś podobnego.

30/0117/F

eprasa.pl b7843a2655

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH



Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku
Zarząd Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych S.A.
w imieniu swoim i wszystkich pracowników, pragnie złożyć
najserdeczniejsze życzenia szczęścia i pomyślności.

Niech wigilijny stół otoczony będzie rodzinną atmosferą,
a świąteczny czas przyniesie miłość, ciepło i radość.

eprasa.pl b7843a2655

Alfabet dobrej zmiany

Wydarzenia polityczne nabrały z końcem roku tempa. W natłoku nowych pojęć i obelg łatwo się pogubić, stąd konieczność ich usystematyzowania. Niniejszy słowniczek pomoże podjąć dialog przy świątecznym stole z każdą stroną politycznego sporu



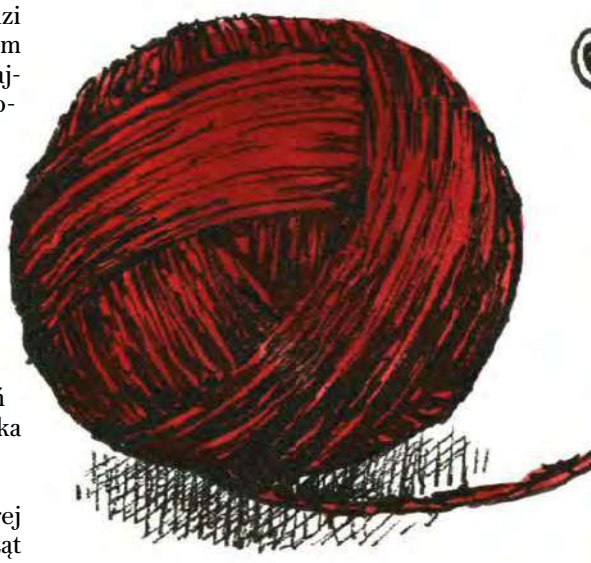
KRZYSZTOF FEUSETTE

Adrian – wszyscy wiedzą, kim jest. To znaczy był. To znaczy jest, bo gdy dla jednych Andrzej Duda Adrianem być przestał, dla drugich właśnie zaczął. Mowa o postaci symbolu z internetowego kabaretu „Ucho Prezesa", tworzonego przez członków Kabaretu Moralnego Niepokoju, którzy natychmiast po ostatnich wyborach zaniepokoili się sami sobą. Bo odkryli, że śmiać się z władzy można nie tylko w sposób kulturalny i grzeczny, tak by nikogo z rządzących nie urazić (jak czynili to za rządów PO-PSL), lecz skuteczniej, bo z większym rozgłosem, można drwić z niej na tzw. chama. Stąd w ich satyrycznych scenkach rodzajowych postać żałosnego Adriana (w domyśle Andrzeja) drepczącego pod gabinetem prezesa PiS w oczekiwaniu na wiecznie odkładaną audiencję. Prawdziwy Adrian Duda, pardon, Andrzej nie komentował swoich wrażeń z „Ucha...", więc może nie oglądał. Ale na wszelki wypadek zawetował dwie najbardziej znienawidzone przez establishment ustawy. W tym samym czasie autentyczny Adrian, konkretnie Zandberg z Partii Razem, mógł tylko gryźć paznokcie w poczuciu, że bywają w polityce ludzie, którzy najlepiej parodiują się sami.

Amber Gold – firma symbol najważniejszych dokonań aparatu państwowego za czasów rajskiej krainy ułudy w latach 2007–2015. Większość ludzi związanych z owym przedsiębiorstwem krzakiem, w którym sztabki złota najpierw zastępował Bąk Józef, syn Donalda, a potem noszono je po mieście w torbach na zakupy, nie pamięta zupełnie niczego. Wirus amnezji nabytej okazał się tak mocny, że dopadł samego prezydenta Gdańska, który nie pamięta już nawet, ile ma mieszkań ani w którym aktualnie schował torbę z pieniędzmi od teściów na słodycze dla dzieci. Wystarczyłoby tego spokojnie na budyń z konfiturami dla całej Polski. Bo rybka lubi pływać, a budyń – konfitury.

Atlas kotów – książka, bez której Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Krakowie nie kupiłoby sprzętu USG, a opozycja nie doznała kolejnej porażki z przedstawicielami kociego gatunku. Jarosław Kaczyński przeglądający to dzieło w trakcie akrobacji językowych posła Borysa „Borysława" Budki obiegł cały świat. To znaczy zdjęcie obiegło, bo sam prezes, także z powodu kontuzji kolana, wybiega dziś jedynie myślami w przyszłość.

Czarny protest – manifestacja poparcia dla matek usuwających dzieci na skutek problemów mieszkaniowych piosenkarki lub podobnie ogromnych. Adam Michnik, jeden ze stałych gości Tomasza Lisa w jego internetowym okienku na świat własnych fobii, uparcie nazywa protest ów „parasolkowym", bo „tak mu się bardziej podoba". Na znak solidarności z paniami, których „wyklęte macice" rozpostarto wtedy na dziesiątkach transparentów – inne panie pomaszerowały w dniu marszu



do pracy w czarnych barwach. Panie, które na co dzień pracują na czarno, nie zrozumiały idei protestu.

Dobra zmiana – ogół zmian na lepsze, które, paradoksalnie, bywa jednocześnie wrogiem dobrego. Dla niektórych zmiana „podła", dla innych po prostu „zła", dla prawicowych pupilów salonu – rozdzielona kropką i pisana „Dobra. Zmiana". To ostatnie miało zresztą miejsce całkiem niedawno, gdy w tzw. ramach tzw. dobrej zmiany doszło do zmiany na stanowisku premiera (patrz: rekonstrukcja). Zmiana w zmianie nie jest jednak niczym stałym, więc do kolejnej może nie dojść wcale. Byłby to pierwszy przypadek, gdy w ramach zmiany zmian nie ma. Zwłaszcza tych na lepsze. Które jest wrogiem dobrego.

Faszyści – ok. 60 tys. ludzi, którzy świętowali na Marszu Niepodległości

eprasa.pl b7843a2655



polską suwerenność i niezawisłość od tych, którym niepodległość kojarzy się głównie z faszyzmem. Niestety kilku inteligentnych inaczej młokosów opacznie zrozumiało niechęć Polaków do przyjmowania imigrantów, uznając to za deklarację rządów białej rasy. W tym samym czasie w państwie ościennym, gdzie faszyzm rozwinął się swego czasu do rozmiarów obozów koncentracyjnych, liczba brutalnych, faszystowsko-antysemickich aktów przemocy szybko rośnie. Premier Izraela śle do jego władz listy, a jego władze przekierowują je z Berlina do Warszawy. Via – wybrani europosłowie Platformy Obywatelskiej (patrz: targowica).

Gorszy sort – od czasu gdy Jarosław Kaczyński nazwał tak wąską grupę ludzi donoszących obcym mocarstwom na własny kraj, wielu bojowników o wolność i demokrację zapisało się do tej formacji. Sprawia to niestety, że coraz trudniej odróżnić autentycznych reprezentantów gatunku od podróbek tak nieudanych, iż o żadnym sorcie w ogóle nie może być mowy. No chyba że o „gorszącym".

Handlarze roszczeń – biznesmeni o nieskazitelnej reputacji w latach 2008–2015, znawcy rynku nieruchomości nie tylko w Warszawie, czarodzieje dokumentów bez trudu przekonujący zaprzyjaźnionych urzędników, że w Ameryce Południowej średnia wieku wynosi 170 lat, a podpis nieczytelny można interpretować dowolnie. W ramach dowodów wdzięczności (nie wiadomo za co) urzędnicy podsuwali handlarzom adresy kamienic razem z ich właścicielami, bezskutecznie starającymi się dochodzić swoich praw. Po wykupieniu od nich roszczeń handlarze wracali do urzędu i sprawę załatwiali niemal od ręki.

Kodziarze – gatunek wymierający, ostatnio głównie przed komputerami, bo i pogoda nie taka, i lider Kijowski, znakomity informatyk, okazał się niewart zaufania. Słynna w świecie żeńska KOD-Kapela też straciła menedżera i twórcę, kiedy się okazało, że już wcześniej handlował kobietami, nakłaniając je do nierządu. Są lekarze, którzy twierdzą, że kodziarzem zostaje się na całe życie, ale frekwencja na ostatnich kodziarskich spacerach po skwerach zdecydowanie temu przeczy. A może to tylko zasłona dymna i na wezwanie króla Europy raz jeszcze staną ramię w ramię z esbekami, szpiclami i pałkarzami Jaruzelskiego, by zawalczyć o powrót demokracji ludowej? Na razie wypchnęli ich z mediów Obywatele RP, przez wielu uważani za jeszcze godniejszych potomków dawnych, komunistycznych „UB-ywateli".

Madera – wyspa świętej Heleny dla Ryszarda Petru, tam wszystko się skończyło: i sondażowe odbicia Nowoczesnej, i wizerunek jej przewodniczącego jako kandydata na lidera całej opozycji. Wszystkie późniejsze wpadki, potknięcia i uderzenia głową w mur nie do przebicia to wynik permanentnej irytacji maderskiego zdobywcy swoim własnym zachowaniem. Jak mógł polecieć na taką (wyspę oczywiście, nie działaczkę Joannę Schmidt, która dzieli z nim wszelkie odloty i przyloty) – nie wie chyba już nawet on sam. Zawiódł, opuścił towarzyszy pasztetowej niedoli w Sejmie, i to w czasie, gdy Joanna Mucha śpiewała o miłości. Dokładnie w tym samym czasie rozpoczęła się polityczna kariera Katarzyny Lubnauer. Od briefingu na temat powodów wyjazdu miksta Petru–Schmidt na Maderę. Pani Kasia twierdziła, że w grę wchodzi interes partii. Dziś wiemy już, że znała prawdę, bo ją pani Joasia przed wyborami w Nowoczesnej podkablowała.

Misiewicze – w ustach opozycji zbiór niekompetentnych działaczy PiS, pnących się po szczeblach kariery nienaturalnie szybko, na niesprecyzowanym bliżej politycznym dopingu. Do dziś łowcom „Misiewiczów" udało się upolować tylko jednego przedstawiciela gatunku, konkretnie Misiewicza

eprasa.pl b7843a2655



Bartłomieja, cudowne dziecko ministra Macierewicza, które w zastępstwie szefa resortu chętnie prężyło pierś do przyjmowania honorów. Poszukiwania kolejnych „Misiewiczów" spełzły na razie na niczym. Może dlatego, że osoby ich poszukujące same są niekompetentne, a może po prostu liczba mnoga od początku była mocno naciągana. Na przykład o artystach wspierających PO nikt nie mówi „Piesiewicze". A mógłby.

Myszka Agresorka – najcelniejszy (bo jedyny) polityczny pseudonim „artystyczny" (wszak wymyślił go artysta Paweł Kukiz, oprócz prezydenta Dudy największy gwiazdor gali 25-lecia Polsatu). Posłanka Nowoczesnej Kamila Gasiuk-Pihowicz bywała już tak nazywana przez reprezentantów władzy i opozycji. A jak na myszkę, to jej wpływy w partii okazały się całkiem spore, gdy weszła w „koalicję" z późniejszą szefową Katarzyną Lubnauer – przeciwko Ryszardowi Lewe Serce, zwanemu także Tym, Który Przynosił Pieniądze. Podobno miała obiecane przez PO (co już jest potwornie zabawne), że zostanie wystawiona przez opozycję totalną jako kandydatka do przejęcia Warszawy z rąk Hanny Gronkiewicz-Waltz. Śmieją się z niej już nawet w opozycyjnym „Uchu Prezesa", w którym sugerowano, że z posłem Budką łączy ją coś więcej niż ustawa o KRS. Budka obraził się natychmiast, „Myszka Agresorka" stała się pobudzona jeszcze bardziej. Ostatnio na komisji znowu siedzieli obok siebie.

Nadzwyczajna kasta – najbardziej niezależna od niezawisłości grupa zawodowa wymiaru sprawiedliwości. „Nadzwyczajną kastą" nazwała ją jedna z członkiń grupy, choć trwają zabiegi, by wcisnąć to w usta któregoś z polityków PiS. Kaście brakuje wszystkiego. Po pierwsze, pieniędzy, bo za 10 tys. to można przeżyć tylko na prowincji. Po drugie, towarów pierwszej potrzeby, jak nośniki pamięci, pendrive'y, spodnie damskie, nawet elementy wiertarki. Wszystko to wygłodniali sędziowie musieli wynosić ze sklepów bez płacenia. Trudno się dziwić, że w obliczu tak skrajnego ubóstwa część z nich nie widzi niczego zdrożnego w dorabianiu sobie na boku, a nawet na kolanach.

Obywatele RP – formacja uliczna specjalizująca się w zakłócaniu wszystkiego i wszystkich mogących mieć jakikolwiek związek z działaniami ludzi, którzy wygrali ostatnie wybory. Blokują legalne manifestacje i uroczystości, wyzywają dziennikarki od k..., cieszą się z łamania prawa i wypadków drogowych najwyższych rangą urzędników państwowych. Że nie wszyscy? Kilku rasistowskich transparentów na Marszu Niepodległości także nie nieśli wszyscy, a jednak w opinii Obywateli RP świadczą one o fali faszyzmu w Polsce. Ogólnie przykre zjawisko. Kiedyś ludzie tak ponuro udający kogoś, kim nie są, mogliby zrobić kariery w aktorstwie. Dziś to aktorzy zapisują się do nich, by choć przez chwilę pokazać się w kamerze.

500+ – program, który nie miał prawa się udać, nie niszcząc jednocześnie gospodarek polskiej, europejskiej, na końcu światowej. Nierealny, nieopłacalny i nie do pomyślenia okazał się nagle jednym z głównym haseł wyborczych... opozycji. Nie chcieli dać nikomu, dziś daliby wszystkim. I nie 500 zł, ale tysiąc – na każde dziecko. Pod warunkiem, rzecz jasna, że nie „pisowskie", bo te, jak zapowiedział redaktor Żakowski z tygodnika postulującego debatę o kazirodztwie, spotka już wkrótce pełen ostracyzm pokoleniowy. W każdym razie pan Jacuś nigdy już im nie pożyczy ani foremek, ani łopatki.

Rekonstrukcja – medialny tasiemiec. Kiedy tylko pojawi się na horyzoncie, media będą go przeżuwać od rana do nocy, za każdym razem winą za własne fake newsy obarczając... inne media. O rekonstrukcji mówi się dużo i namiętnie tylko przed nią, potem temat wygasa. W przypadku poprzedniej władzy, wbrew oczekiwaniom społecznym, nigdy się nie zaczynała, w przypadku obecnej, wbrew oczekiwaniom społecznym, chyba nigdy się nie skończy.



Rezolucja – wezwanie z Brukseli lub Strasburga do kapitulacji rządu w Polsce, współtworzone lub tworzone od podstaw przez wybranych europosłów PO przy aplauzie krajowych posłów Nowoczesnej. Jednym z współautorów takiej rezolucji jest kandydat PO na prezydenta Warszawy Rafał Trzaskowski. W najbliższym czasie powinien on opracować rezolucję kolejną, zakazującą Polsce domagania się wojennych reparacji od Niemiec, podchodzenia ubogich staruszek do znanych polityków oraz przypominania kandydatom na prezydentów miast ich wcześniejszych poglądów na sprawy, na które w zależności od sytuacji mogą oni dziś patrzeć zupełnie inaczej.

Targowica – sześcioro biedaków z PO wierzących Fransowi Timmermansowi, że dla dobra Polski trzeba jej odebrać i fundusze, i suwerenność. Niewymuszona inteligencja Julii Pitery, patriotyzm Janusza Lewandowskiego, lojal-

eprasa.pl b7843a2655

ność Michała Boniego, wdzięk Róży Marii Barbary Grafin von Thun und Hohenstein, z domu Woźniakowskiej, erudycja Barbary Kudryckiej i rozpoznawalność Danuty... chwileczkę, muszę zerknąć: Jazłowieckiej – wszystko to sprawia, że ludzie ci, chociaż chcieli się zapisać na płótnach polskiej historii, budzą w narodzie przede wszystkim politowanie. Ich tłumaczenia, czemu chcą, by rodacy mieli gorzej, przypominają tłumaczenia pijaka, dlaczego musiał zapaskudzić dywan. W obu przypadkach zapach jest nie do zniesienia.

Totalna opozycja – pojęcie wygaszane przez samych członków. Podobnie jak w przypadku „nadzwyczajnej kasty" trwają próby wmówienia choćby części opozycyjnego elektoratu, że hasło to zostało wymyślone przez wrogów opozycji, by ją ośmieszyć.



Niestety fakty są takie, że to sama totalna „totalną" się nazwała. Zobowiązywało ją to zresztą do podejmowania „totalnych" akcji, w stylu grudniowego „puczu", blokowania mównicy sejmowej czy rzucania kartek z ustawami wprost na głowę protokolantki przez niepanujących nad pęcherzem członków gabinetu cieni. Według najnowszych wytycznych „totalną opozycję" zastąpić ma także „totalna", ale „propozycja". Co stanie się wtedy z opozycją? Czyżby miała zniknąć? Propozycja rzeczywiście totalna, choć – patrząc na Nowoczesną – częściowo realna.

Ucho Prezesa – (patrz: „Adrian" oraz „Myszka Agresorka") – gasnący w oczach i więdnący w uszach „projekt kabaretowy", uderzający we władzę z całej siły salonowego humoru, a także w opozycję – dla zachowania równowagi à la Krzywa Wieża w Pizie. Po kilku pierwszych odcinkach podjęto znacznie śmieszniejszą niż sam kabaret próbę rozpętania debaty: czy „Ucho..." bardziej ociepla, czy oziębia wizerunek prezesa PiS. Ku pierwszej wersji skłaniał się Stefan Niesiołowski, co inteligentnym ludziom mówi w zasadzie wszystko.

Wolne media – gazety, tygodniki, radia, telewizje i portale tworzące w Polsce ostatnie bastiony wolności słowa. W czasach przyjaźni z władzą milczące, gdy likwidowane były czasopisma opozycyjne, a w czasach przyjaźni z opozycją rozdzierające szaty, kiedy z mediów publicznych „nowa władza" usunęła osoby na media te plujące. Wolność „wolnych mediów" została im odebrana w dniu, gdy po raz pierwszy dojenie kasy z państwowych spółek zaczęło być czynnością nieprzyjemną, bo jałową. Warto przypomnieć, że czołową postacią „wolnych mediów" jest człowiek, który nagrywał kolegów, by na nich złożyć doniesienia do prokuratury i którego podwładni przez pół roku ustalali potem to, co studentowi dziennikarstwa (pod warunkiem że bez stażu w „Wyborczej") zajęłoby tydzień.

Wolne sądy – hasło z transparentów obrońców kasty sędziowskiej, sugerujące, że polskie sądownictwo nie pracuje zbyt szybko. W rzeczywistości chodzi o to, by nie zamykać sędziów za kradzieże oraz ustawianie przetargów. Sami się oczyszczą, jak każda szanująca się organizacja, w której z ojca na syna przechodzą nie tylko geny, lecz i genialne dojścia do złotych stolców.

Zamach na demokrację – codzienna praktyka obecnej władzy. Zamachy terrorystyczne w Europie Zachodniej to przy zamachach na demokrację ludzi Kaczyńskiego zaledwie „incydenty". Po wpisaniu hasła w wyszukiwarkę Google wyświetla się 445 tys. wyników. Gdyby nie Angela Merkel i oskarżenia pod jej adresem z ust Martina Schulza, musielibyśmy przyznać, że wszystkie zamachy na demokrację, co do jednego, dokonane zostały w ciągu ostatnich dwóch lat w Polsce. Tak kanclerz Merkel ratuje dobrą zmianę.

Zdradzieckie mordy – w nieco zapomnianym języku Niesiołowskim zwrot ten oznaczałby zapewne „podłe, obrzydliwe, pisowskie kanalie, które trzeba zamknąć w psychiatryku". W żargonie Wałęsowym chodziłoby z pewnością o „Kaczyńskych" i „Cenckiewyczów", którzy nadają się jedynie do wyrzucania przez okna. Niestety to ukochane przez salony określenie padło z ust Jarosława Kaczyńskiego pod adresem posła Budki, gdy ten po raz kolejny ohydnie obrażał szefa PiS. Liczba mnoga „mordy" jest tu zatem nieco myląca, ale przecież nie wzięła się znikąd i jest wynikiem zachowania nie tylko słynnego „Borysława". Słowo „morda" święciło już pewne sukcesy podczas kampanii wyborczej PiS, gdy zwrotem „Mordo ty moja" w spotach tej partii zwracali się do siebie przedstawiciele tzw. układu. Dziś niektórzy z nich, podobnie jak w przypadku „gorszego sortu", podpisują się na portalach społecznościowych właśnie jako „zdradzieckie mordy". Wydaje się, że trafniejszy byłby przymiotnik „zdradzające", bo w wielu przypadkach mogą one rzeczywiście sporo powiedzieć o właścicielu. Oczywiście dla podniesienia poziomu debaty publicznej w Polsce należałoby wspomniane „mordy" zamienić na „twarze". Tylko jak, skoro nie wszyscy mają?

eprasa.pl b7843a2655

Osobiste zapiski prymasa

„Wigilia Bożego Narodzenia. Rano Msza św. w kaplicy domowej. A potem zwykły bieg gorączki przedświątecznej. Mnóstwo papierów do podpisu, sterty listów i spraw pilnych” – taki zapis prymasa Stefana Wyszyńskiego widnieje pod datą 24 grudnia 1951 r.



MILENA KINDZIUK

Tego dnia w Domu Arcybiskupów Warszawskich przy Miodowej wiele się działo: najpierw, tradycyjnie już przed południem, przybyli księża z całej archidiecezji, by złożyć prymasowi życzenia. Ale też, aby wysłuchać jego wystąpienia. „Starałem się zawsze, by przemówienia wigilijne nie były zdawkową tradycją” – pisał kard. Wyszyński. „Staram się podrzucić coś programowego. I tym razem mówię o problemie duchowieństwa warszawskiego. Widziało ono tyle, patrzyło na największe okropieństwa czasów powstań, przeżyło wraz z ludem Warszawy gehennę niedającą się opisać, wróciło do gruzów. To wszystko tworzy »problem« duchowieństwa. Bo przecież Bóg nie czyni nic bez celu. Skoro pozwolił tyle przeżyć, chciał przez to wiele nauczyć”.

OPŁATKI I UPOMINKI

Jak wynika z zapisków „Pro memoria” (tytuł znaczy: „dla pamięci”, „ku pamięci”), w Wigilię 1951 r. prymas udał się też do sióstr karmelitanek z życzeniami. „Siostrom zleciłem modlitwę w mojej intencji. Nazywam je swoją »nogą«, na której chodzę”. Po południu wziął jeszcze udział w „opłatku” w warszawskim seminarium. Dopiero pod wieczór wrócił na Miodową i mógł zasiąść do wieczerzy wigilijnej. „Domownicy zbierają się o godz. 18.30 w sali domu […]. Jak bardzo jestem wdzięczny Bogu za dobór ludzi, którzy ułatwiają mi ciężką pracę” – pisał.

Podobny charakter miały kolejne Wigilie prymasa: w roku 1952 rano odbył dwugodzinną rozmowę z Bolesławem Piaseckim, następnie spotkanie z rektorem KUL, po południu odwiedził księży emerytów w ich domu, skąd od razu pojechał na spotkanie opłatkowe do karmelitanek, a stamtąd na Wigilię w seminarium duchownym. Dopiero o 19.00 prymas usiadł do wieczerzy wigilijnej przy Miodowej, po czym o północy odprawił Pasterkę. „Dzień był pracowity” – zanotował w „Pro memoria”. O pierwszym dniu Bożego Narodzenia pisał: „[…] składam życzenia wiernym, zachęcam do pielęgnowania religijnych tradycji narodowych Bożego Narodzenia […]. Żegnam obecnych. Przy samochodzie, jak zwykle, gromada ludzi i dzieci, czekających na odjazd. Rozdaję dziatwie obrazki”.

Prymas Wyszyński odnotowywał wszystkie spotkania opłatkowe, na które się udawał lub na które zapraszał różne środowiska praktycznie przez cały grudzień. Rozdawał też przy tej okazji upominki: egzemplarze Pisma Świętego z osobistą dedykacją, a także encyklikę Piusa XII „O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży”. Widać, jak uważnie rejestrował wydarzenia. Pod datą 16 grudnia 1951 r. pisał: „Sposób zachowania się młodzieży jest budujący. Odnoszenie się do kapłanów pełne zaufania. Nie kryją swych trudności wynikających z obecnego systemu nauczania. Wszczepiany materializm swoje robi, choć ludzie są zbuntowani przeciwko gniotącej rzeczywistości powszechnego braku i niedostatku”.

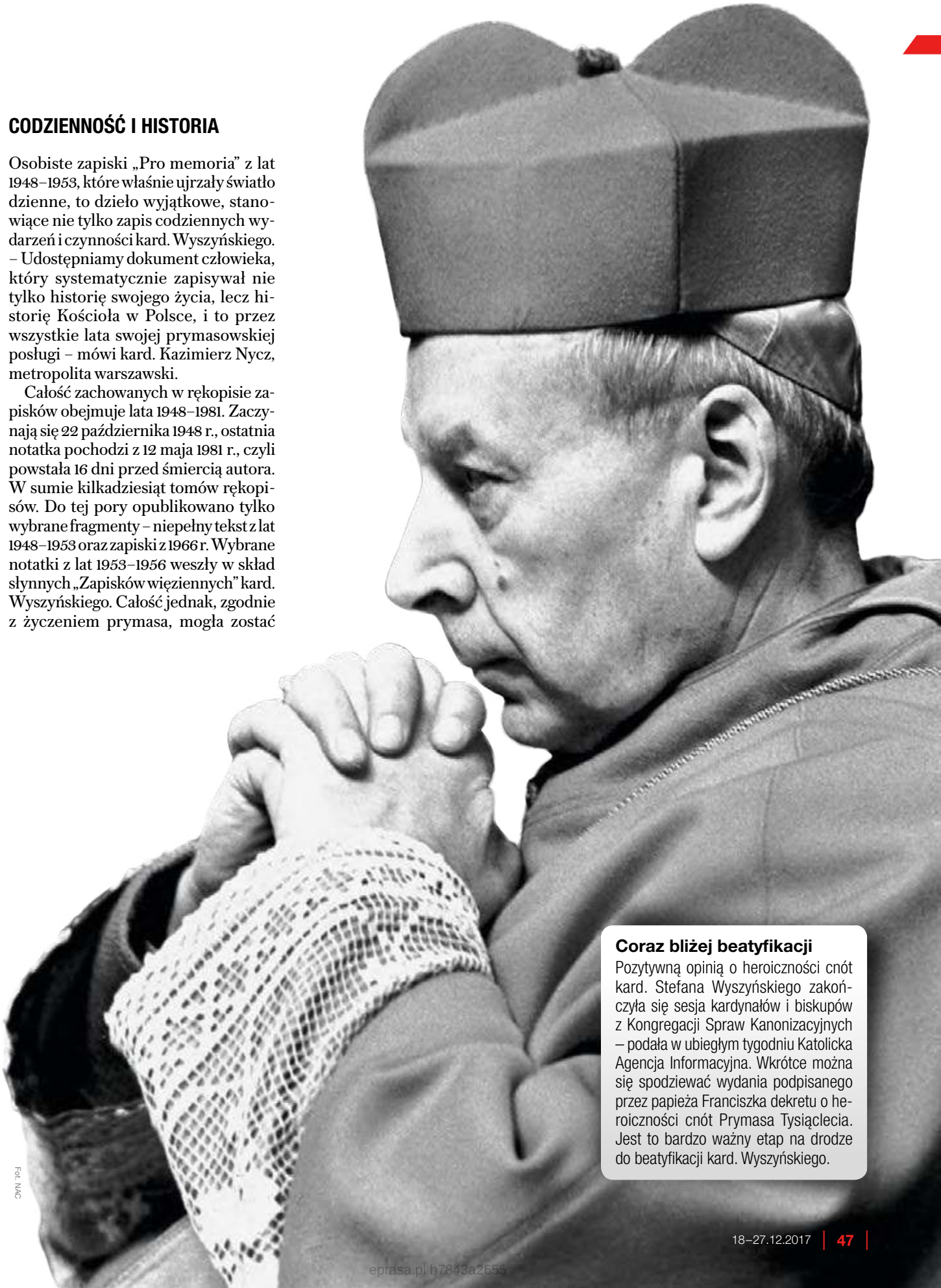
Stefan Wyszyński był też doskonałym obserwatorem rzeczywistości. Dostrzegał każdy szczegół. W „Pro memoria” pod datą 19 grudnia 1952 r. zapisał: „Wieczorem udałem się do internatu akademickiego sióstr urszulanek przy Dobrej na opłatek. Dziewczęta wystąpiły ze wspaniałą szopką betlejemską, mocno zmodernizowaną, oraz śpiewami. Dekoracje niezwykle gustowne – wiele talentów ujawniają”. Dzień później zanotował: „Pojechałem na opłatek do gimnazjum sióstr felicjanek. Dziewczęta wystąpiły z adwentową sztuką Jerzego Zawieyskiego […]. Dekoracja pierwszorzędna”.

eprasa.pl b7843a2655

CODZIENNOŚĆ I HISTORIA

Osobiste zapiski „Pro memoria" z lat 1948–1953, które właśnie ujrzały światło dzienne, to dzieło wyjątkowe, stanowiące nie tylko zapis codziennych wydarzeń i czynności kard. Wyszyńskiego. – Udostępniamy dokument człowieka, który systematycznie zapisywał nie tylko historię swojego życia, lecz historię Kościoła w Polsce, i to przez wszystkie lata swojej prymasowskiej posługi – mówi kard. Kazimierz Nycz, metropolita warszawski.

Całość zachowanych w rękopisie zapisków obejmuje lata 1948–1981. Zaczynają się 22 października 1948 r., ostatnia notatka pochodzi z 12 maja 1981 r., czyli powstała 16 dni przed śmiercią autora. W sumie kilkadziesiąt tomów rękopisów. Do tej pory opublikowano tylko wybrane fragmenty – niepełny tekst z lat 1948–1953 oraz zapiski z 1966 r. Wybrane notatki z lat 1953–1956 weszły w skład słynnych „Zapisków więziennych" kard. Wyszyńskiego. Całość jednak, zgodnie z życzeniem prymasa, mogła zostać



Fot. NAC

Coraz bliżej beatyfikacji

Pozytywną opinią o heroiczności cnót kard. Stefana Wyszyńskiego zakończyła się sesja kardynałów i biskupów z Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych – podała w ubiegłym tygodniu Katolicka Agencja Informacyjna. Wkrótce można się spodziewać wydania podpisanego przez papieża Franciszka dekretu o heroiczności cnót Prymasa Tysiąclecia. Jest to bardzo ważny etap na drodze do beatyfikacji kard. Wyszyńskiego.

eprasa.pl b7843a2655

opublikowana dopiero 30 lat po jego śmierci. Teraz więc, gdy ten okres już minął, wszystko zostaje udostępnione. W sumie ma być 27 tomów.

Na razie ukazały się dwa pierwsze. Jak twierdzi prof. Paweł Skibiński, redaktor tomu I oraz przewodniczący zespołu redakcyjnego, pierwsze lata prymasostwa ukazują Wyszyńskiego, który uczy się swojej posługi, wyrabiania sobie zdania o ludziach. – Sam borykał się wtedy z gigantycznymi problemami, Kościół był zniszczony materialnie, wiele świątyń zburzono, na wojnie straciły życie miliony ludzi, wielka liczba księży oraz aktywny laikat angażujący się w czasie okupacji w ruch oporu. Trzeba było odbudować i zlepić struktury Kościoła, wręcz implantować Kościół na ziemiach zachodnich. Zdziwienie i szacunek budzi to, że wobec tak gigantycznej liczby zadań prymas zachowywał święty spokój, a właściwie spokój świętego, człowieka o wyjątkowo pogłębionej duchowości – podkreśla prof. Skibiński.

Na ten aspekt zwraca też uwagę członek Rady Programowej „Pro memoria" prof. Jan Żaryn: – Prymas zachowywał spokój także wobec zbliżających się represji, zapowiadanych atakiem w mediach. Tuż przed aresztowaniem we wrześniu 1953 r. bierzmował ponad 1,4 tys. dzieci. Widział codzienne problemy Kościoła, widział sprawy wielkie i małe. Sprawy polityczne zaś wtapiał w szerszy horyzont zagadnień Kościoła i duchowieństwa.

Zdaniem bp. Jana Kopca, przewodniczącego Rady Programowej serii wydawniczej, zapiski stanowią ważny dokument, który ukazuje, czym był Kościół w Polsce w bardzo konfrontacyjnym okresie relacji z państwem. – Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że dzieło to jest nie tylko źródłem historycznym, lecz również pokazuje człowieka, który odegrał ważną rolę w Kościele i państwie. Widać też, jak głęboko prymas pojmował Kościół.

Biskup Kopiec dodaje: – Można się pokusić o stwierdzenie, że zapiski są źródłem na tyle istotnym, iż mogą nawet wpłynąć na zmianę spojrzenia historyków na okres komunizmu w Polsce.

NOWY ROK BOŻY

Trudno nie przyznać temu racji. Kard. Wyszyński był przecież jedną z kluczowych postaci Kościoła, przez 33 lata sprawował urząd prymasa, pełniąc jednocześnie funkcję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski i Rady Głównej, zarządcy dwóch diecezji: gnieźnieńskiej i warszawskiej, ordynariusza obrządków wschodnich, miał również specjalne uprawnienia od Stolicy Apostolskiej i odgrywał faktycznie rolę nuncjusza. Pamiętniki tak wpływowej osoby muszą więc mieć szerszy kontekst. Oto przykład krótkiej, ale ważnej, notatki z 12 lutego 1952 r: „Podpisany przeze mnie i Komisję Księży Biskupów memoriał w sprawie konstytucji złożył dziś ks. dr Hieronim Goździewicz w kancelarii cywilnej pana prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Prawdopodobnie pozostanie bez odpowiedzi, jak tyle naszych listów i pism. Panuje bowiem dziwny zwyczaj w Kancelarii Prezydenta Polski Ludowej, że na głosy ludu milczy. Jesteśmy zresztą obywatele ostatniej klasy, prawdziwi »liszeńcy«".

> Pamiętniki, zgodnie z życzeniem Wyszyńskiego, mogły zostać opublikowane dopiero 30 lat po jego śmierci. Teraz więc wszystko zostaje udostępnione. Ma być 27 tomów, na razie ukazały się dwa

Interesujące są również charakterystyki osób, które pozostawił Wyszyński w „Pro memoria". Przykładem są trafne portrety działaczy komunistycznych, np. Franciszka Mazura, członka Biura Politycznego KC PZPR, czy Antoniego Bidy, szefa Urzędu ds. Wyznań, których jednak – co ciekawe – przedstawia dosyć łagodnie, z wyrozumiałością. Więcej surowych uwag kieruje w stronę duchownych. Pisał np.: „Przed obiadem przyjąłem ks. Mystkowskiego, który ma zawsze tylko jedną krótką sprawę. Siedzi godzinę i dotyka stu spraw, na każdą sam sobie odpowiadając. Ostatecznie trwa monolog. Nie trzeba się zbytnio angażować w rozwiązywanie trudności" (pod datą 25 listopada 1952 r.). W innym miejscu opisuje zachowanie księży podczas mszy św. z okazji Trzech Króli: „W stallach kanonicy się modlą, już nie rozmawiają jak przed dwoma laty" (6 stycznia 1952 r.). Albo siostry zakonne: „Plotkarstwo sióstr zakonnych jest okropne [...], można to wytłumaczyć tylko brakiem ducha modlitwy" (24 grudnia 1951 r.). Tego typu gorzkich refleksji znajduje się sporo.

W „Pro memoria" nie brakuje także ogólnych ważnych opinii lub refleksji duchowych, choćby dotyczących Kościoła: „Nie trzeba deprecjonować Kościoła. Nie wolno myśleć, że Kościół już się tak wyczerpał, że nowym czasom nic do powiedzenia nie ma" (28 grudnia 1952 r.). Albo posługi prymasowskiej: „Dzisiaj muszę pokochać Warszawę i oddać jej swe siły i życie" (6 lutego 1949 r.).

Gdy miał nastać nowy rok kalendarzowy, prymas pisał o nim w „Pro memoria" niezmiennie: „Nowy Rok Boży". Pod datą 1 stycznia 1949 r. czytamy: „Nowy Rok Boży – 1949. W Imię Pańskie! Ku czci Maryi Jasnogórskiej! Zaczynam nowy rok pracy. Nie myślałem, że wypadnie mi w tym roku pożegnać Lublin. Ale cóż jestem tylko Bożym chłopcem na posyłki". Piękny język, choć czasem archaiczny, niesamowita postawa pełna pokory i świadomość służby.

W podobnym tonie jest zapis z 1 stycznia 1952 r.: „Nowy Rok Boży – 1952. Upadam z pokorą przed Ojcem wieków, obejmując sercem polską ziemię [...]. Przyrzekam jej służbę w znaku zwycięstwa Chrystusowego. Czegokolwiek zażąda Bóg – uczynię".

Lektura tych zapisków jest niezwykle interesująca, gdyż ukazuje głębokie spojrzenie kard. Wyszyńskiego nie tylko na swoje życie i bieżące, ówczesne wydarzenia, lecz na cały bieg dziejów, widziany zawsze w ostatecznym odniesieniu do wiary. Potwierdza też ogromny patriotyzm prymasa, który, jak sam mówił, Polskę kochał tak samo jak Boga.

eprasa.pl b7843a2655

Francuski łącznik

Dzięki transformacji ekonomicznej zagraniczne firmy stanowią dziś istotną część polskiej gospodarki. Wśród liderów są firmy znad Sekwany

Dynamiczne zmiany, jakie zaszły na polskim rynku przez ostatnie 27 lat, sprawiły, że Polska od początku cieszy się dużym zainteresowaniem ze strony inwestorów zagranicznych, głównie z Niemiec, Francji i USA. Obecność zagranicznych firm nad Wisłą dała impuls do rozwoju gospodarczego. Przyszłością Polski jest innowacyjna gospodarka, co znalazło swoje odzwierciedlenie w rządowej Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (zwanej strategią Morawieckiego) opracowanej w Ministerstwie Rozwoju. Zakłada ona, że polska gospodarka nie powinna się ograniczać do roli konsumenta napędzanego przez światowe potęgi postępu technologicznego, ale brać w tym postępie udział poprzez tworzenie warunków do rozwoju innowacyjnych sektorów.

Nie od dziś wiadomo, że jednym z najbardziej innowacyjnych sektorów większości gospodarek jest przemysł biotechnologiczny i farmaceutyczny. W Polsce również, czego dowodzi jego status w tzw. strategii Morawieckiego. – Sektor farmaceutyczny i biotechnologii znalazł się bardzo wysoko wśród naszych priorytetów. Skoro jest drugim po zbrojeniówce sektorem, w którym najwięcej inwestuje się w innowacje, byłoby nieroztropne nie wykorzystać tego potencjału – przekonuje Jadwiga Emilewicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju. – Rząd dostrzega globalne trendy, dlatego oferuje innowacyjnym firmom szeroki pakiet wsparcia w inwestycjach w innowacje. Począwszy od ulg podatkowych, w tym możliwości odliczenia od podatku 100 proc. kosztów ponoszonych przez przedsiębiorcę na prace badawczo-rozwojowe, zakup nowych technologii, a także zatrudnienie osób, które takie technologie będą rozwijać. Dla firm zagranicznych, w tym farmaceutycznych, które zainwestują w Polsce w centra badawczo-naukowe z polską kadrą, przewidujemy status „Przyjaciela polskiego przemysłu". Przy czym tu nie chodzi tylko o tytuł, z nim będzie się wiązało kilka przywilejów, m.in. uproszczona i szybsza ścieżka w negocjacjach z Narodowym Funduszem Zdrowia – dodaje wiceminister Emilewicz.

Oprócz tego jasnego sygnału dla branży farmaceutycznej Ministerstwo Rozwoju we współpracy z resortami zdrowia i nauki chce stworzyć i promować mapę laboratoriów i centrów biotechnologicznych, których w Polsce jest całkiem sporo, i to takich na najwyższym światowym poziomie. Problem w tym, że nie są w pełni wykorzystywane. Resort rozwoju ocenia, że ich aktualny potencjał jest wykorzystany na poziomie 30 proc. To wraz z powstaniem mapy ma się zmienić.



Fot. Katarzyna Rainka | 25/1217/F

Od lewej: Ilona Soja-Kozłowska, burmistrz dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy, Joanna Drewla, dyrektor generalna Servier Polska, Colm Murphy, dyrektor Zakładu Produkcyjnego Servier Polska, Jadwiga Emilewicz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju

Bez wątpienia jedną z pozycji na tej mapie będzie nowoczesne laboratorium kontroli jakości leków otwarte w Warszawie przez firmę Servier. Firma farmaceutyczna z Francji, która weszła do Polski równo ćwierć wieku temu, zainwestowała już ponad 733 mln zł, m.in. w nowoczesny zakład produkcyjny i laboratoria oraz centrum badawcze, stając się jedną z czołowych firm farmaceutycznych w Polsce, zatrudniającą ponad pół tysiąca osób. – Nasza fabryka w Warszawie, w którą właściciel zainwestował ponad 150 mln zł, jest obecnie piątym co do wielkości zakładem produkcyjnym firmy Servier na świecie, po fabrykach we Francji, Irlandii, Rosji i Chinach. Z taśm produkcyjnych zjeżdża rocznie ponad 26 mln opakowań leków stosowanych w leczeniu, m.in. cukrzycy typu 2, nadciśnienia tętniczego, choroby wieńcowej i depresji. 60 proc. tej produkcji trafia do polskich pacjentów – mówi Joanna Drewla, dyrektor generalna Servier Polska. – Nowe laboratorium pomoże nam w usprawnieniu produkcji leków, którą chcemy poszerzyć o innowacyjne leki onkologiczne – dodaje dyrektor Drewla.

Francuskie plany dalszych inwestycji w Polsce nie dziwią Moniki Constant, dyrektor generalnej Francusko-Polskiej Izby Gospodarczej. – Polska dla francuskiego biznesu od początku była atrakcyjnym, dynamicznie rozwijającym się i, co ważne, stabilnym rynkiem pozwalającym na szybkie i bezpieczne wdrożenie technologii. Dodając do tego potencjał w postaci wysokiej klasy specjalistów, tak ważnych w branży farmaceutycznej i biotechnologicznej, zrozumiała jest determinacja firmy Servier i wielu innych do inwestowania w Polsce w najbardziej innowacyjne przedsięwzięcia z korzyścią dla wszystkich stron – wyjaśnia ekspert.

Anna Szymczak

eprasa.pl b7843a2655

Zaryzykował dla przyjaciół

Nie ma wątpliwości, że prezydent Donald Trump sporo zaryzykował, ogłaszając 6 grudnia uznanie przez USA Jerozolimy za stolicę Izraela



JAN ROKITA

W czarnym scenariuszu mogło być nawet tak, że rozwścieczonym na Amerykę radykałom z Hamasu i Hezbollahu udałoby się wywołać na Zachodnim Brzegu Jordanu rewoltę na dużą skalę, z licznymi ofiarami. A świat z niekłamaną satysfakcją ogłosiłby, iż winnym ofiar jest Trump. Ale choć na piątek 8 grudnia przywódcy Hamasu ogłosili „Dzień Gniewu", to wierni opuszczający w ów święty dzień palestyńskie meczety okazali znikomy poziom gniewu. W wielu światowych mediach, jak zwykle życzących jak najgorzej amerykańskiemu prezydentowi, można było nawet wyczuć swoistą nutę rozczarowania, iż liczne buńczuczne zapowiedzi islamskich polityków okazały się mocno na wyrost. Zapewne w Palestynie, podobnie jak w sąsiedniej Syrii, zmęczenie okrucieństwami wojny wśród zwykłych ludzi jest tak wielkie, że spokój jest tam dziś traktowany jako wartość dużo ważniejsza niźli zwycięstwo. Z najnowszej historii Polski znamy dobrze ten rodzaj zbiorowego nastroju z pierwszych miesięcy po wypędzeniu Niemców w 1945 r.

Drugie ryzyko podjęte przez Trumpa wiąże się z delikatnymi relacjami USA z państwami islamskimi. Wojujący ostatnio z Ameryką prezydent Turcji Recep Erdoğan zwołał natychmiast do Stambułu zjazd Organizacji Współpracy Islamskiej, na którym amerykańską decyzję uroczyście potępiono, uznając ją za „pustą i nieważną". I w odwecie ogłoszono aprobatę dla stołeczności wschodniej Jerozolimy w państwie palestyńskim, które wszak ciągle de facto nie istnieje. Jednak w stosunku do retoryki zawziętego Erdoğana czy wojennych pohukiwań liderów palestyńskich stambulska deklaracja 57 państw islamskich była dość umiarkowana. Ale i tak wikła się ona w widoczny paradoks. Z jednej strony próbuje potraktować decyzję Trumpa jako papierową i bez rzeczywistego znaczenia, z drugiej zaś sam fakt zwołania nagłego kryzysowego szczytu islamskiego zaprzecza tezie o jej „pustości i nieważności". Widać jak na dłoni, że przywódcy islamscy są zaskoczeni polityczną stanowczością Trumpa i zupełnie nie mają pomysłu, co mieliby wobec niej naprawdę zrobić.

Nawet dwór saudyjski, który ostatnio (jak wyśledził „The New York Times") próbuje ponoć lepić wraz z doradcami Trumpa jakiś nowy plan polityczny dla Palestyny, wezwał prezydenta USA do ponownego rozważenia decyzji, argumentując, iż: „jest ona dużym krokiem do tyłu w wysiłkach na rzecz procesu pokojowego". Ta teza, iż Trump zaszkodził perspektywie pokoju na Bliskim Wschodzie, jest powtarzana jak mantra przez polityków nie tylko islamskich, lecz także europejskich. Wygłosił ją np. prezydent Emmanuel Macron (dodając, iż decyzja Trumpa jest „godna pożałowania"), choć trzy dni później przyjmował już w Pałacu Elizejskim izraelskiego premiera Benjamina Netanjahu, który tłumaczył mu, iż właśnie teraz Amerykanie podejmują „poważne wysiłki na rzecz pokoju na Bliskim Wschodzie". O szkodliwości decyzji Trumpa dla pokoju przekonana jest także większość międzynarodowych komentatorów podkreślających (w ślad za słowami polityków islamskich), że Ameryka utraciła w ten sposób rolę „bezstronnego mediatora" na Bliskim Wschodzie. Na szczycie islamskim w Stambule zasugerowano nawet, że to Rada Bezpieczeństwa ONZ miałaby się teraz zastanowić, jak zorganizować na nowo mediacje między Żydami a Palestyńczykami, skoro Waszyngton utracił walor bezstronności i dalej już owej misji pokojowej prowadzić nie może.

Wszyscy ci, którzy twierdzą dziś, że uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela szkodzi pokojowi na



Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl b7843a2655

Bliskim Wschodzie, zakładają implicite, że ów pokój jest możliwy do osiągnięcia jedynie w efekcie rezygnacji Izraela z suwerenności nad wschodnią Jerozolimą, w której znajdują się zarówno Wzgórze Świątynne, Ściana Płaczu, jak i Bazylika Grobu Bożego. Wszystkie owe najświętsze dla trzech religii miejsca miałyby zostać w efekcie tzw. procesu pokojowego przekazane... muzułmanom, którzy w tej części miasta mieliby utworzyć swoją stolicę państwa palestyńskiego. Istotnie, jeśli takie rozwiązanie miałoby oznaczać trwały pokój w Palestynie, to Trump utrudnił tę perspektywę. Tyle tylko, że nie jest łatwo zrozumieć, jak w ogóle można traktować tego rodzaju wydumaną perspektywę w kategoriach politycznych realiów. Dlaczego Żydzi, którzy w 1967 r. wygrywając wojnę, doprowadzili do zjednoczenia miasta i w 1980 r. ogłosili go swoją stolicą, mieliby kiedykolwiek zgodzić się na dobrowolne oddanie Arabom świętego dla nich Starego Miasta? Nawet słynna rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ z 1947 r., na którą teraz powołują się wszyscy przeciwnicy decyzji Trumpa, nie przewidywała takiego wariantu zdarzeń, ale chciała na 10 lat ustanowić Jerozolimę wolnym miastem po to, by później przeprowadzić w niej bliżej niesprecyzowany plebiscyt. Dziś tamte postanowienia ONZ wyglądają ledwie na jakąś mocno naiwną polityczną bajkę.

Ale z perspektywy chrześcijańskiego Zachodu jest w tej całej logice jeszcze wątpliwość całkiem innej natury. Mało kto ma dziś wątpliwość, że islam znajduje się w fazie historycznej przemiany i wewnętrznego konfliktu, porównywalnego być może z czasem europejskiej reformacji i kontrreformacji. Efektem tego kryzysu są nieustanne wojny domowe, powstanie i upadek Państwa Islamskiego, a przede wszystkim rosnąca siła fundamentalistycznych ruchów salafickich, akceptujących terroryzm jako metodę walki. W takich warunkach idea, aby święte miejsca żydów i chrześcijan przekazać w polityczne władanie muzułmanom, jest co najmniej ryzykowna. A szansa, iż pod władzą dominującego dziś w Palestynie Hamasu Jerozolima pozostałaby miejscem wolnego kultu żydów i chrześcijan – dla realisty musi wydawać się nikła. Z perspektywy europejskiego chrześcijanina trzeba w końcu powiedzieć rzecz całkiem jasno. Na politycznej mapie dzisiejszego Bliskiego Wschodu tylko demokratyczny Izrael, z jednej strony tolerancyjny religijnie, a z drugiej wystarczająco silny, aby przeciwstawić się każdej przemocy, może być politycznym gwarantem wolności religijnej w Jerozolimie i nietykalności tamtejszych miejsc świętych. Wiadomo o tym nie tylko z prawa, jakie Izraelczycy uchwalili w tej materii w 1980 r., gdy proklamowali Jerozolimę swoją stolicą, lecz także z całej praktyki półwiecza izraelskiego panowania nad miastem.

> Po decyzji Trumpa polityczny związek USA z Izraelem staje się jeszcze ściślejszy

O ile więc wizja pokoju osiągniętego przez oddanie wschodniej Jerozolimy Arabom jest co najmniej wątpliwa, o tyle teza o błędzie Trumpa, polegającym na wyrzeczeniu się mediacyjnej roli Ameryki na Bliskim Wschodzie, wydaje się niedorzeczna. Waszyngton odgrywa od lat istotną rolę w tym konflikcie nie dzięki swojej rzekomej „bezstronności", która prawie nigdy nie była cechą amerykańskiej polityki w tym regionie. Od paru dziesiątków lat Ameryka uważa się za gwaranta niepodległości Izraela, a co najmniej od lat 60. XX w. wszystkie kolejne rządy w Jerozolimie traktują USA jako pierwszego sojusznika państwa żydowskiego. To nie kto inny jak Amerykanie od lat blokują antyizraelskie rezolucje w ONZ, utrzymują po części izraelską armię i ochraniają państwo żydowskie w konfliktach, w jakie ustawicznie wchodzi. Ameryka nie jest neutralna wobec Izraela i neutralna nie będzie również w przyszłości. A jej mediacyjna rola brała się i nadal bierze z zupełnie innych przesłanek: po pierwsze, z globalnej potęgi USA, a po drugie, właśnie z roli swoistego „protektora" Izraela, bez którego gwarancji żaden trwały traktat nie jest możliwy. Żadna z tych okoliczności nie ulega zmianie w wyniku decyzji Trumpa. Więcej: polityczny związek USA z Izraelem staje się jeszcze ściślejszy, a więc i rola Waszyngtonu w jakimkolwiek przyszłym układzie pokojowym staje się całkowicie nieodzowna.

Trwały pokój na Bliskim Wschodzie jest w ogóle mało prawdopodobny, ale z pewnością jest całkiem nieprawdopodobny bez uznania przez świat trwałości zwierzchnich suwerennych praw państwa żydowskiego nad Jerozolimą. Decyzja Trumpa jest krokiem w tym kierunku. W Jerozolimie znajdują się izraelski parlament i rząd, z wyjątkiem jedynie resortu obrony ulokowanego w Tel-Awiwie. Ma rację były polski ambasador w Izraelu Jan Wojciech Piekarski, gdy obecną praktykę symbolicznego utrzymywania ambasad poza Jerozolimą, 60 km od faktycznego centrum władzy państwa żydowskiego, nazywa „niedobrą zabawą". Wyłom, jaki czyni w tej mierze Trump, jest jaskółką zapowiadającą przyszły koniec owej „zabawy".

Z polskiej perspektywy decyzja Trumpa ma jeszcze pewien uboczny, ale całkiem niebłahy wymiar. Prezydent pokazuje bowiem pewien nowy w Waszyngtonie styl uprawiania polityki, którego istotą jest gotowość podejmowania nawet sporego ryzyka politycznego ze względu na interesy najbliższych amerykańskich sojuszników. W interesie Izraela Trump zaryzykował zarówno własną pozycję polityczną, wystawiając się w nie najlepszej dla siebie sytuacji na kolejną falę zajadłej krytyki na całym świecie, w tym oskarżenia o polityczną ciemnotę i brak rozumu. Wystawił także Amerykę na ryzyko, co prawda zapewne przejściowe, pogorszenia relacji z państwami islamskimi, w tym także tymi, na których współpracy Trumpowi obecnie zależy (np. Arabii Saudyjskiej). Obama, który bardziej bał się wrogów Ameryki, niźli troszczył się o jej przyjaciół, nigdy czegoś takiego by nie zrobił. Uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela wymagało bowiem głębokiego przewartościowania amerykańskiego spojrzenia na świat. Przewartościowania – dodajmy – korzystnego dla bezpieczeństwa i interesów Polski.

eprasa.pl b7843a2655



Zdjęcia M. Czutko

Dostarczyciele dobra

„Drużyna marzeń" nie jest ani fundacją, ani stowarzyszeniem. To grupa przyjaciół, która chce pomagać potrzebującym na Ukrainie. Nie tylko Polakom, bo bieda przecież nie ma narodowości

Patrzę na listę „marzeń" podopiecznych lwowskiego Caritasu. Dokładnie tak, „marzeń", a nie potrzeb czy nawet życzeń. Ciarki przechodzą po plecach, a łzy same nabiegają do oczu. Marika marzy o... spinkach do włosów – i to największa ekstrawagancja, jaką widzę w zestawieniu. Kristina potrzebuje swetra, Teresa chciałaby czapkę, a Diana ręcznik. Anastasia ucieszyłaby się z poduszki. Reszta próśb w większości dotyczy ubrań, nie muszą być nowe, dobrze gdyby po prostu były.



MARCIN WIKŁO

PIERWSZA CHOINKA

Do skromnej świetlicy we Lwowie trafiam z grupą wolontariuszy z Lubartowa. Kilka godzin jazdy, autokar zała-

eprasa.pl b7843a2655

dowany paczkami. Pismo z konsulatu, że jedziemy z pomocą pozwala w miarę bezproblemowo przekroczyć granicę. Ukraińscy celnicy zwrócili większą uwagę w zasadzie tylko na choinki. Pomiędzy kilkoma dorodnymi drzewkami mógłby się przecież ktoś ukryć...

Gdy z jednym z takich iglaków wchodzimy do Caritasu, praca ustaje. Podopieczni oklejają i pakują świece, które będzie można kupić przed Bożym Narodzeniem. Niewielkie pomieszczenie natychmiast wypełnia się intensywnym zapachem. Kilkanaście osób dosłownie zamarło. – Jalinka, jalinka... [ukr. choinka] – słyszę głosy zachwytu. – Nigdy jeszcze tutaj nie mieliśmy żywego drzewka. Nie stać nas, są bardzo drogie – tłumaczy Natalia Zachajko, która od 17 lat pracuje w świetlicy we Lwowie. Najmłodszy z podopiecznych ma 22 lata, najstarszy 50. Mają różne stopnie niepełnosprawności i intelektualnej, i fizycznej. – Sens naszej pracy widać gołym okiem. Trafiają do nas ludzie zamknięci w sobie, zupełnie nieprzystosowani do życia. Tutaj bawią się i pracują, ale przede wszystkim nabierają pewności siebie i poczucia, że ktoś się nimi zajmuje, ktoś ich kocha – mówi wychowawczyni.

Pochodzą albo z rodzin bardzo biednych, albo z patologicznych. Za każdą pomoc są wdzięczni, choć nie zawsze potrafią ją okazać lub wyrazić. Kilka osób jest na tyle chorych, że nie ma z nimi kontaktu. Inni, wręcz przeciwnie. Natychmiast chcą rozmawiać, przytulać się, żartować. Anastazja uwielbia śpiewać, prosi tylko o włączenie jakiegoś polskiego przeboju na YouTubie. Najlepiej, żeby to był Enej. – Dałem ci kamień z napisem Love! – brawa wcale jej nie zawstydzają. Andrej pokazuje w komórce fotografię dziewczyny. Nie mówi, rozbawiony pokazuje na siebie. – To twoja dziewczyna? – pytam. Przytakuje z jeszcze większym uśmiechem. – A gdzie tam! Proszę mu nie wierzyć! Chciałby, żeby tak było – słyszę od kogoś, kto zna się na żartach chłopaka. Rzadko bywa tutaj tak wesoło, dlatego przyjazd grupy z Polski jest zawsze wyczekiwany.

ANIOŁY Z DRUŻYNY

Kierowniczką wyprawy jest Justyna Świderska-Niedobit. To nauczycielka języka polskiego z II LO w Lubartowie. W szkole stworzyła kiedyś ruch wolontaryjny, zapraszając do niego uczniów. „Anioły z II LO" działają od ponad 10 lat, wiele razy wożąc na Ukrainę pomoc. Teraz, gdy kraj jest w stanie wojny, uczniowie jeździć nie mogą, pomagają



inaczej. Przygotowują paczki i przybory, które potem posłużą do zabawy z dziećmi. Jeżdżą dorośli – to właśnie „Drużyna marzeń", skład nie jest stały, każdy może dołączyć. Polskie przedszkola, sierocińce, Caritas, domy pomocy, także indywidualne osoby, starsi Polacy mieszkający w Lwowie przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem mogą liczyć na dary.

– Często od prezentów ważniejsza dla tych osób jest nasza obecność. Nie mieści im się w głowie, że ktoś chce z tak daleka przyjechać tylko po to, by im coś przywieźć – mówi Justyna z satysfakcją, ale i z dumą z grupy, która i tym razem stawiła się na sygnał, że trzeba jechać do Lwowa. Iwona, Dorota, Dominik, Łukasz, Konrad i Sławek, Grzesiek z Mirką i córką Anią, Beata z Mirkiem, Ewa, Małgosia, Klaudia i Michał. Prywatni przedsiębiorcy, lekarze, dziennikarze, nauczyciele, kierowcy, pracownicy banków. Nikt tu nikogo nie pyta o politykę czy inne ważne rzeczy w „normalnym" świecie. Ta grupa tworzy swój świat i do niego zaprasza. – Chcesz pomóc, jedź z nami. Nie ma formalności, nie chcemy rejestrować stowarzyszenia, działamy w oparciu o wzajemne zaufanie. Może osiągnęlibyśmy więcej, gdyby to wszystko sformalizować, ale stracilibyśmy coś nieuchwytnego – mówi Michał Żmurek, przedstawiciel jednej z sieci komórkowych i właściciel restauracji. Podczas tego wyjazdu to on bierze na siebie najbardziej odpowiedzialną rolę. Będzie św. Mikołajem.

Pierwsze poznają go dzieci z polskiego przedszkola. Olga Konkowska, dyrektor placówki, mówi, że starają się dbać o polskość, ale to niełatwe zadanie. Rodzice to Polacy, ale połowa z nich języka nie używa, więc skąd mają znać go dzieci. – Piosenki i wierszyki, to działa najlepiej – mówią opiekunki. Kontakt z osobami z Polski też pomaga, bo dzieci nasłuchują naszej mowy. Bezcenne doświadczenie. Wspólna zabawa, choinkowe ozdoby i potem zawieszanie ich na drzewku, które przyjechało z Lubartowa.

PROSTOWANIE MORALE

– Ho, ho, ho! – donośny głos dobiega zza drzwi sporej sali, w której z wolontariuszami bawią się dzieci z Domu Dziecka nr 1. To kolejne miejsce pracy drużyny. Maluchy rzucają wszystko. Nie są już ważne wyklejane błyszczącymi papierkami choineczki i motylki. Tak, to ten moment! Naprawdę idzie św. Mikołaj! Widać, że tym dzieciom brakuje rodziny, chcą się przytulać, pragną dotyku, głaskania. Ale między sobą bywają bezwzględne. Prezentów pilnują jak największego skarbu. Moja zabawka to moja zabawka. Można to zrozumieć w miejscu, gdzie wszystko, nawet ubranka są wspólne. Cały świat malucha zamyka się w boksie dwa na trzy metry, gdzie jest jego łóżeczko, a rzeczy osobiste mieszczą się w małym pudełeczku.

– Sporo dzieci nie ma rodziców, ale są też takie, które rodzicom odebrano. Patologia. Pijaństwo, często, niestety

eprasa.pl b7843a2655



Danuta Agniel



Stefania Łabaziewicz



Stanisław Płachetko

przemoc. No i wszechobecna bieda. Ukraińskie służby są bardzo restrykcyjne w tym zakresie i szybko reagują – mówi Manila Jaroslawiena, dyrektor sierocińca.

Odwiedzamy dzieci tuż po popołudniowej drzemce. Wychowawczynie proponują, by nam trochę pośpiewały, by się rozbudziły. Potem dzielimy się na pięć grup, zajęcia plastyczne, zabawa, wspólne odpakowywanie prezentów. Mały chłopiec nie mówi nic, gdy wchodzi św. Mikołaj. Stoi jak zaczarowany, gdy dostaje torbę ze słodyczami i samochodzik, ale gdy przebrany Michał próbuje się pożegnać i iść do kolejnej grupy, zaczyna spazmatycznie płakać. Trzeba go wziąć na ręce, przytulić. I mówić do niego. Spokojnie, po cichu. Dla nas to także wyczerpująca sytuacja. Nie zrozumie tego być może ktoś, kto nie zobaczy wyciągniętych w swoim kierunku pięciu, może sześciu par malutkich rączek. Nie da się przecież objąć wszystkich naraz. – Po wyjściu z takiego miejsca człowiek docenia własny komfort i dochodzi do wniosku, że to, czym czasem się przejmujemy, to są zwykłe pierdoły – słyszę od kilku osób.

Nie mniejszym emocjonalnym ciosem są odwiedziny w kolejnym sierocińcu. Tym razem to placówka, w której większość dzieci ma chory centralny układ nerwowy. Lżejsze przypadki to dzieciaczki, które nieco utykają. Ciężej chorzy uczą się chodzić i mówić. Część leży i wiadomo, że już nigdy nie wstanie. Na nowe twarze reagują różnie, czasami nie wiedzą, kto je odwiedza, ale bardzo dobrze reagują na ciepło dłoni. Jak niewidomy i niesłyszący chłopiec, który stoi tylko dzięki specjalnemu stelażowi. Bez końca mógłby masować nasze ręce. Na przemian, męską i kobiecą. Czuje różnicę. Gdy odsuwam rękę, wyraźnie się irytuje. Pielęgniarki mimo chęci nie mają dla tych dzieci aż tyle czasu.

SAMOTNOŚĆ BOLI

Ostatni dzień pracy w Lwowie to odwiedziny u Polaków, przeważnie starszych i samotnych. Dzielimy się na kilka zespołów. Do rozwiezienia jest 25 paczek w różnych częściach miasta. Podarunki przygotowały konkretne osoby dla konkretnych odbiorców. Często nie pierwszy raz. – Działamy w miarę naszych możliwości i możliwości naszych przyjaciół. Zawsze w okresie przedświątecznym zgłaszamy się do znajomych i prosimy o przygotowanie paczek. Nigdy nie odmawiają – opowiada Justyna Świderska-Niedobit.

Pani Stefania Łabaziewicz mieszka wraz z chorym synem na przedmieściach, w brzydkim nieotynkowanym bloku. Ma 85 lat, jest chora, chodzi o kulach, mieszkanie jest od lat nieremontowane. Siadamy przy herbacie i kanapkach z miodem. – To niesamowite, że jest w Polsce ktoś, kto chce dla mnie zrobić coś dobrego... – wzruszona kobieta kręci głową, otwierając list i laurkę od Klary i Rity. Dziewczynki, mimo że to nie rodzina, napisały: „Dla naszej babci". Pojawiają się łzy. Musimy chwilę pomilczeć. Dopiero później porozmawiamy jeszcze o innych sprawach. Że na Ukrainie drogo, że emerytury nie rosną i dlaczego w Polsce zmienili premiera. Potem jedziemy do pani Danuty Agniel. Miała dzisiaj odwiedzić syna, żeby się wykąpać, bo u niej akurat nie ma ciepłej wody. Ale zapowiedziała, że nie ruszy się z domu na krok, dopóki nie przyjmie gości z Polski. – Za prezenty bardzo dziękuję, ale najbardziej jestem wdzięczna za waszą obecność – mówi kobieta. Na stole stoi wazon z czerwonymi goździkami. To od syna na 83. urodziny, które obchodziła kilka dni temu.

Trzecią wizytę zapamiętam na długo. Pan Stanisław Płachetko mieszka prawie w centrum Lwowa, mieszkanie jest bardzo skromne. Dwa pokoje, ale ostatnie podwyżki cen gazu przymusiły go do ogrzewania tylko jednego pomieszczenia. Mężczyzna na początku jest bardzo niepewny siebie, dopiero po czasie opowiada nam o swojej sytuacji. – Niekiedy wychodzę z domu, ale ostatnio coraz mniej, bo spuchła mi noga – mówi. Z tego powodu nie pojedzie też na święta do syna do Krakowa. Z tęsknotą opowiada o czasach, gdy było wokół niego wielu ludzi, gdy pracował w kinie, puszczał widzom filmy. We Lwowie teraz nie ma już nikogo. Dwie żony pochował wiele lat temu. Niedawno zmarł jego przyjaciel i żona drugiego kolegi. Smutno.

– Chcemy pomagać i chcemy pokazywać innym, że są wokół nas ludzie, którzy tej pomocy naprawdę potrzebują. To jest najważniejsze – podsumowuje nasz wyjazd Justyna. W drodze powrotnej jest czas na wymianę myśli i refleksji, choć po tak krótkim czasie jest o nie bardzo trudno. Każdy z nas, członków drużyny marzeń, opowiada, co z tej wyprawy wyniósł i co do niej wniósł. Uśmiech dzieci, nadzieja starszych, wypełnienie pustki wokół samotnych. Tego nie da się zmierzyć. Ale nawet nikt nie próbuje, bo nie chodzi tutaj o wynik, tylko o poczucie dobrze wykonanej pracy.

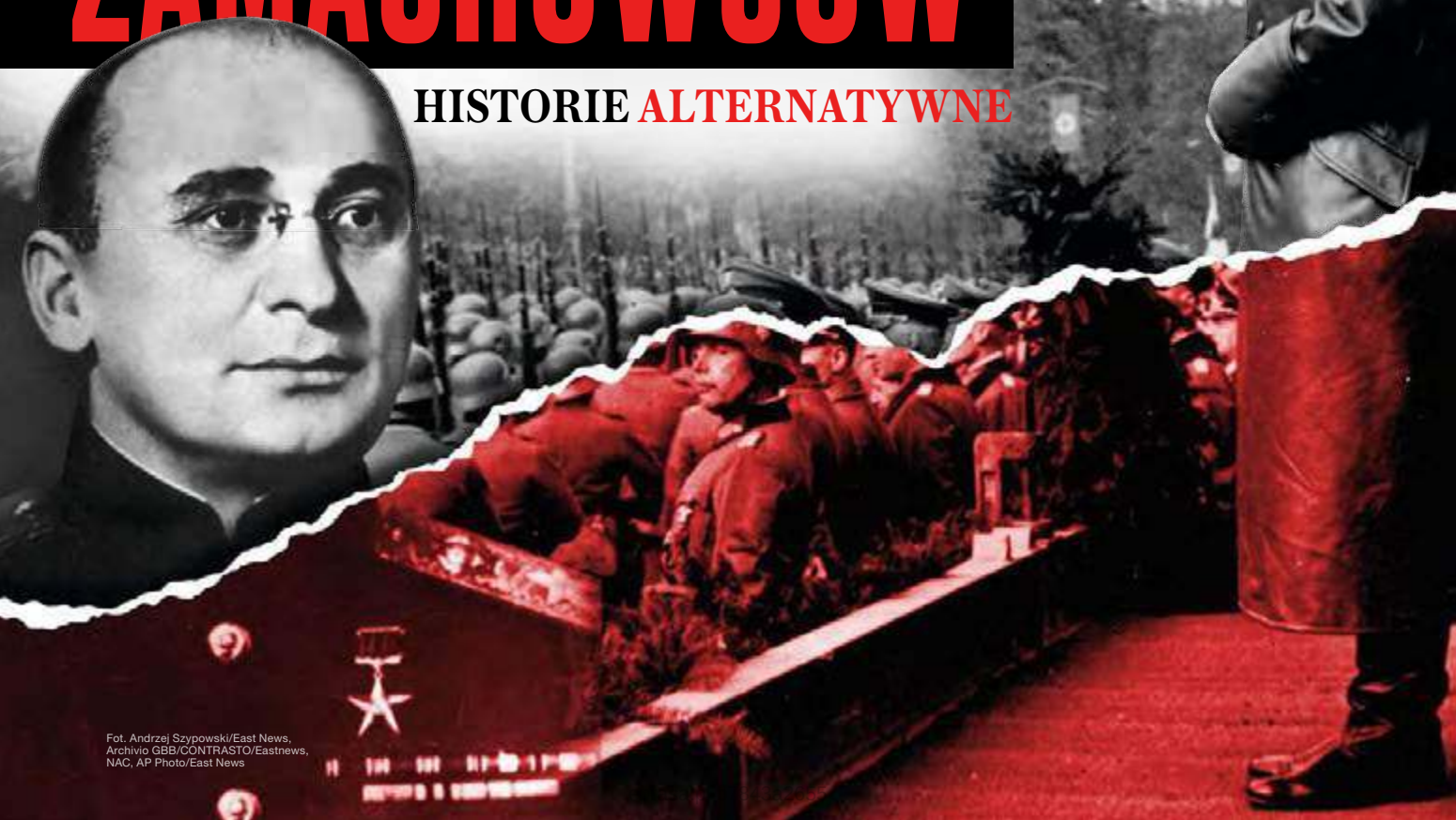
eprasa.pl b7843a2655

SIECI



NA CELOWNIKU ZAMACHOWCÓW

HISTORIE ALTERNATYWNE



Fot. Andrzej Szypowski/East News, Archivio GBB/CONTRASTO/Eastnews, NAC, AP Photo/East News

Smak zemsty



W październiku 1939 r. w Warszawie historia mogła radykalnie zmienić bieg

Fot. NAC



PIOTR SKWIECIŃSKI

Proszę wykonać rozkaz, panie poruczniku. I niech pana Bóg prowadzi.

Mimo ciemności panującej w piwnicy Cafe Clubu Unterberger dostrzegł, że pułkownik Niepokólczycki zagryzł wargi chyba aż do krwi. Nie dał jednak niczego poznać po sobie. Odpowiedział, czując suchość w ustach:

– Rozkaz, panie pułkowniku.

Obaj oficerowie podali sobie ręce.

* * *

Na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Światu Leni Riefenstahl odepchnęła operatora od kamery i ustawiła odpowiedni kadr. Operator był przyzwyczajony do takich zachowań szefowej, więc nie żachnął się, tylko spojrzał przez obiektyw (przedtem w jego róg wchodził czubek hełmu stojącego przed ekipą żołnierza, ale Leni skorygowała to ustawienie, mistrzowsko, jak to ona) na charakterystyczne wejście do tego gmachu po drugiej stronie ulicy. „Zdaje się, że to jakiś bank" – pomyślał. Była to jedna z ostatnich myśli w jego życiu.

Leni szybko przemieszczała się wzdłuż szpaleru żołnierzy w stronę narożnika Książęcej. Tam stała inna jej ekipa, ale chodziło głównie („Nie oszukuj sama siebie, hipokrytko" – pomyślała) o tego przystojnego kapitana kawalerii, który wydawał się dowodzić na tamtym skrzyżowaniu. Ekipa miała spędzić w Warszawie noc i byłoby bez sensu leżeć w pustym łóżku.

Już dochodziła do celu, kiedy z tyłu usłyszała warkot wielu silników. To mogło oznaczać tylko jedno. Führer już jechał, a ona źle obliczyła czas i nie tylko nie była na miejscu, w którym miał odbierać defiladę, lecz wręcz przy żadnej z kamer. Nie oglądając się, ruszyła biegiem.

Jakaś potężna siła rzuciła nią do przodu. Uderzyła nie w ścianę, ale w jakiegoś policjanta, i chyba to uratowało jej życie. Zanim zemdlała, usłyszała głuchy huk.

To między gmachem BGK a Zarządem Kolei, pod Nowym Światem, eksplodowało 500 kg trotylu.

* * *

Z ręką na temblaku i bandażem na głowie Leni pracowała nieprzerwanie już kilkanaście godzin. Zdołała sfilmować kondukt, który w asyście czołgów wiózł zmasakrowane ciało Führera na Okęcie, uroczystość i odlot junkersa z trumną. Ale tak naprawdę zajmowało ją dokumentowanie czegoś innego. Starogermańskiej zemsty. Sama czuła się jak nordycka bogini gniewu, tyle że wyposażona nie w miecz, tylko w kamerę.

Przez konieczność doglądania eksportacji Hitlera nie była przy egzekucji 400 zakładników wziętych jeszcze przed zamachem, w tym spośród warszawskiej elity elit – Starzyńskiego, Lubomirskiego, Śliwińskiego... Ale już z Okęcia dostrzegła chmury dymu wzbijające się nad Śródmieściem.

Wróciła do centrum, kiedy pierwsza i w dużej mierze spontaniczna reakcja, polegająca na strzelaniu do wszystkiego, co ruszało się na ulicy, ustąpiła już miejsca niemieckiej orga-

eprasa.pl b7843a2655

nizacji. Generałowie von Rundstedt, Blaskovitz, Milch i von Cochenhausen, przy słabym oporze humanitaryści von Brauchitscha i nie czekając na rozkazy z Berlina, które w tej sytuacji nie wiadomo kto miałby wydać, podjęli decyzje bezprecedensowe, tak jak bezprecedensowa była dokonana przez Polaków zbrodnia wojenna.

Nakazali natychmiastową egzekucję wszystkich dorosłych mężczyzn z domów w promieniu kilometra od miejsca zamachu i spalenie tych budynków. Wykonujące rozkaz oddziały nie były zbyt skrupulatne w oddzielaniu mężczyzn od kobiet i dzieci, w większości wypadków podwórka kamienic pokrywały warstwy trupów obu płci i w każdym wieku, natychmiast polewane benzyną i podpalane. Poza „strefą śmierci" zaś wojsko dokonywało masowych rewizji, zabijając na miejscu wszystkich „podludzi" w kamienicach, w których znaleziono nie tylko broń, lecz w ogóle cokolwiek, co jakiemuś podoficerowi wydało się podejrzane. Po dwóch godzinach zresztą „warszawska junta" uznała, że jej rozkaz wymaga uzupełnienia i nakazała rozstrzelanie co dziesiątego mężczyzny z całego obszaru Warszawy spoza strefy bezwzględnej eksterminacji.

W całym okupowanym kraju, od Gdyni po świeżo przejęte od odstępujących na wschód Rosjan Zamość i Szczebrzeszyn, wyglądało to podobnie. Najpierw spontaniczna zemsta żołnierzy na ludności, przyjmująca zwykle formę otwierania ognia do ludzi na ulicy. Potem miejscowi dowódcy zemstę „ujmowali w karby", co z reguły polegało na wywlekaniu z domów i mordowaniu, kogo dało się ująć z miejscowej inteligencji. Część zabijano od razu, a część zamykano w tworzonych naprędce obozach, gdzie osadzonych maltretowano w sposób niewiarygodny.

Przy tym spontaniczne strzelanie do ludzi na ulicach ustało bynajmniej nie od razu. A w kilkudziesięciu miejscach wymordowano z cekaemów jeńców jeszcze nieodesłanych do Reichu.

Nikt nigdy nie podliczył dokładnie, ilu Polaków i Żydów zostało zamordowanych lub zakatowanych w ciągu tych kilkunastu strasznych dni października. Wszystkie późniejsze szacunki zaczynały się od 300 tys. Z całą pewnością życie straciła co najmniej jedna trzecia męskiej populacji Warszawy.

Wszystko to działo się z inicjatywy tej części generalicji i dowództwa SS, która znajdowała się w okupowanej Polsce. W Berlinie zemstę akceptowano, ale raczej nie wydawano rozkazów. Bo też Berlin naprawdę miał w tym momencie ważniejsze sprawy na głowie.

* * *

– Meine Herren, śmierć kanclerza zwalnia nas ze złożonej mu przysięgi. Nie możemy dopuścić do tego, żeby ta banda śmieciarzy z niższych sfer dalej rządziła Niemcami. Jeśli teraz pozwolimy, żeby Göring objął władzę, to nie tylko stracimy szansę, lecz ich system rządów się utrwali. Poza tym Gruby Hermann z tym szczekaczem Goebbelsem na pewno będą chcieli, tak jak niestety chciał Führer, uderzyć na Francję, a to może oznaczać koniec Rzeszy. Trzeba ratować Niemcy.

Te słowa szefa sztabu generalnego Franza Haldera nie przekonały generałów Günthera von Kluge i Ludwicka Becka. Nie musiały. Pruscy arystokraci w mundurach myśleli tak samo.

Ale to było łatwe do przewidzenia również dla drugiej strony.

– Ci wszyscy panowie „von und zu" marzą, że teraz znów będą rządzić. Jak za kaisera. Niedoczekanie – perorował kilka berlińskich przecznic dalej Mały Doktor, jak w kręgach partyjnych zwano Goebbelsa. Hess, Himmler i Heydrich kiwali głowami. Sam Gruby Hermann, prawny następca Hitlera, tylko się, jak to on, jowialnie uśmiechał, i jak to on, szykował do powiedzenia jakiegoś nieskończenie cynicznego żartu. W sumie wolałby objąć władzę w zgodzie z generalicją, ale wiedział, że teraz nie może sobie pozwolić na kłótnię z narodowo-socjalistyczną ekipą.

Nie docenili jednak determinacji przeciwnika. Otworzyły się drzwi, wszedł sekretarz Goebbelsa.

– Panie ministrze, Wehrmacht właśnie zajmuje Kancelarię Rzeszy.

* * *

Ale armii nie szło łatwo. Luftwaffe i SS były w rękach Göringa i partyjniaków. Ogłoszony kanclerzem ambasador w Turcji, Franz von Papen, musiał się udać do Niemiec drogą lądową – nie tylko nie było możliwości wysłania po niego samolotu, lecz było wręcz jasne, że gdyby to się udało, grozić mu będzie zestrzelenie. To spowalniało akcję. Tym bardziej że choć teoretycznie przewaga była po stronie wojska, to gros Wehrmachtu wciąż znajdowało się jeszcze w Polsce albo już nad Renem – na froncie zachodnim. W sercu Rzeszy zaistniała więc chwiejna równowaga sił.

Tymczasem Gruby Hermann wraz z Małym Doktorem umocnili się w koszarach SS. Ogłosili mobilizację SA i Hitlerjugend, wezwali Niemców do „bitwy z reakcją". W odpowiedzi armia opublikowała dekret von Papena, delegalizujący partie polityczne, co – ponieważ wszystkie inne ugrupowania zostały już zakazane przez nazistów – oznaczało oczywiście wyłącznie uderzenie w NSDAP.

Podczas próby zajęcia przez Wehrmacht siedziby dowództwa operacyjnego Luftwaffe pod Poczdamem padły pierwsze strzały.

* * *

Gdy Mołotow i Beria skończyli referować, Josif Wissarionowicz milczał jeszcze przez ponad minutę. Tak jak miał w zwyczaju, spacerował wzdłuż stołu, za którym siedzieli członkowie kierownictwa. Spokojnymi ruchami skończył nabijać fajkę. Zaciągnął się dymem.

– Sytuacja, towarzysze, jest jasna. Z jednej strony Niemcy pogrążają się w wojnie domowej i taki moment ich słabości już się nie powtórzy. Z drugiej strony, jeśli wygra tam dowództwo wojskowe, będzie to równoznaczne z objęciem władzy przez kręgi najbardziej reakcyjne i najbardziej antyradzieckie. Za chwilę dogadają się z Anglią i Francją i ruszy przeciw nam zjednoczony front interwentów. Z trzeciej strony i jedni, i drudzy gwałtownie przerzucają wojska z Polski do Rzeszy, odsłaniając tym samym naszą granicę. Z czwartej strony, jak wynika z referatu towarzysza Berii, to, co dzieje się w Polsce, oznacza, że możemy liczyć na wsparcie naszych wojsk przez mordowaną ludność polską, trochę tak jak w przypadku Ormian, którzy za poprzedniej wojny witali armię carską wyzwalającą wyrzynaną przez Turków Armenię. Jak to mówiłeś, Ławrientij, ilu

eprasa.pl b7843a2655

Polaków teraz codziennie ucieka na naszą stronę przed Niemcami?

– Od dwóch tygodni najpierw po kilka, a teraz po kilkanaście tysięcy, towarzyszu Stalin.

Stalin zatrzymał się przed mapą i ustnikiem fajki zakreślił na niej coś w rodzaju dwóch łuków. Pierwszy zaczynał się gdzieś w okolicach Brześcia, a kończył w rejonie Łodzi. Drugi zaczynał się tam, gdzie kończył się pierwszy, a sięgał Berlina.

– Wnioski, towarzysze, są chyba oczywiste?

* * *

Radzieckie uderzenie było potężne i niespodziewane. Do Warszawy Rosjanie doszli niemal bez walki, witani bramami triumfalnymi, stawianymi zgodnie przez Żydów i Polaków. NKWD szło za armią, nie narzucało się w tych pierwszych dniach.

Dopiero pod Warszawą Niemcy zaczęli stawiać niepewny opór. Niepewny, bo w sercu Reichu trwały już walki na całego. Żeby wyprzeć z Berlina wspierane przez Luftwaffe jednostki SS i SA, Halder musiał użyć dywizji pancernych, których zabrakło nad Wisłą. A i to nie zakończyło zbrojnego konfliktu. Gruby Hermann stworzył rząd w Norymberdze, do której na jego rozkaz przebił się z Polski Sepp Dietrich na czele SS-Leibstandarte Adolf Hitler. Prawie 60 proc. Rzeszy było pod kontrolą armii, ale 40 proc. – partii.

* * *

„W chwili, w której na Europę ruszyła czerwona nawała, a w Niemczech armia wreszcie stworzyła normalny rząd, nie ma już tego szaleńca Hitlera i realna jest ostateczna likwidacja stworzonego przez niego chorego systemu, Halder i von Papen muszą otrzymać nasze wsparcie. Przede wszystkim muszą być pewni, że kiedy będą wyduszać w Niemczech resztki nazistów i bronić całej zachodniej cywilizacji przed bolszewizmem, nie otrzymają od nas ciosu w plecy" – tak brzmiały konkluzje angielsko-francuskiego szczytu, podpisane przez premierów Daladiera i Chamberlaina.

O Polsce w konkluzjach nie było mowy. Jeśli nie liczyć jednego zdania mówiącego, iż jej los i granice muszą stać się przedmiotem rozmów z Niemcami – gdy ci ostatni pokonają ostatecznie Związek Radziecki. Ze stenogramu wynikało poza tym, że zabójstwo Hitlera zostało przez sojuszników ocenione negatywnie, wręcz ze wstrętem – jako czyn zdecydowanie niedżentelmeński. „Polacy nigdy nie rozumieli zasad fair-play" – powiedział w kuluarach szef Foreign Office, lord Halifax.

> Z ręką na temblaku i bandażem na głowie Leni Riefenstahl zdołała sfilmować kondukt, który wiózł zmasakrowane ciało Führera na Okęcie

Szczyt teoretycznie był ogólnoaliancki, ale polskiego premiera, gen. Sikorskiego, zaproszono jedynie na jego zakończenie – aby zaznajomić go z postanowieniami. Sikorski zniósł cios spokojnie.

Natomiast grupa publicystów i polityków z Ksawerym Pruszyńskim, Adolfem Bocheńskim, liderem Stronnictwa Narodowego Tadeuszem Bieleckim, Stronnictwa Ludowego – Stanisławem Mikołajczykiem, oraz PPS – Hermanem Liebermanem zareagowała manifestem, w którym oddanie Polski na pastwę Niemców – nie tylko agresorów, lecz przede wszystkim sprawców rzezi październikowej – określono jako zdradę. Sygnatariusze dokumentu stwierdzili, że w tej sytuacji trudno mieć zaufanie co do losu ojczyzny, o którym decydować mają „pruscy mordercy i ich nowi przyjaciele".

Ambasador ZSRR w Paryżu Jakow Zacharowicz Suric w tajnej depeszy informował Moskwę, że odwiedził go nieoficjalnie Lieberman, z którym znali się jeszcze sprzed I wojny – obecny ambasador działał wtedy w żydowskim Bundzie. Teraz Lieberman doręczył mu antyaliancki manifest i poinformował, iż podpisani pod nim uznają, że polski interes narodowy jest dziś bliższy interesowi radzieckiemu niż zarysowującego się trójkąta Paryż–Londyn–Berlin. Suric pytał Kreml, czy ma podtrzymać kontakty z polskimi emigrantami.

Rozkaz przygotowania i wykonania zamachu na Hitlera wydał parę dni przed kapitulacją Warszawy generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski, pierwszy komendat Służby Zwycięstwu Polski (późniejszej AK). Ogromny ładunek wybuchowy umieszczono na Nowym Świecie przy Alejach Jerozolimskich – jak się potem okazało, we właściwym miejscu, przez które istotnie przejechał Hitler, zmierzając ku skrzyżowaniu Alej Ujazdowskich i Chopina, gdzie miał odebrać defiladę. Wyznaczony na dowódcę akcji pułkownik Franciszek Niepokólczycki przygotował ją, lecz w kluczowym momencie na kilka dni zniknął z Warszawy. I nikt nigdy się nie dowiedział, dlaczego i gdzie. Przyczyną nie był z pewnością strach – potem Niepokólczycki był pierwszym dowódcą Kedywu, powstańcem warszawskim, po 1944 r. prezesem WiN. Aresztowany, wytrzymał śledztwo i proces bohatersko. Dostał karę śmierci zamienioną potem na więzienie. Wyszedł w 1956 r.

Również bezpośredni wykonawcy zamachu, oficerowie saperów z porucznikiem Franciszkiem Unterbergerem na czele, choć w momencie kapitulacji zostali już zaprzysiężeni jako żołnierze armii podziemnej, po niedoszłej do skutku akcji nieoczekiwanie włożyli z powrotem mundury i oddali się do niewoli. Woleli oflag niż rozliczenia z podziemiem za niewykonanie rozkazu?

Narzuca się myśl, że zaangażowani w sprawę oficerowie zdecydowali samowolnie, iż zamachu nie przeprowadzą. Zapewne obawiając się represji wobec ludności cywilnej.

Niepokólczycki po wyjściu z więzienia, aż do śmierci w latach 70., mieszkał w Warszawie. Prowadził zupełnie normalne życie. Z jednym wyjątkiem. Jego żona twierdziła, że przez te prawie 20 lat zawsze kategorycznie odmawiał przejścia lub przejechania przez krótki odcinek Nowego Światu – między placem Trzech Krzyży a Alejami Jerozolimskimi. I nie zdołał zmusić się do tego ani razu.

To miejsce wyraźnie budziło w nim wspomnienia lub refleksje, z którymi nie potrafił dać sobie rady.

eprasa.pl b7843a2655



Fot. East News

Wielka Trójka nie żyje!

Koniec listopada 1944 r. Jest rocznica dramatycznego zdarzenia: w Teheranie niemieckim agentom udało się zastrzelić Józefa Stalina, Winstona Churchilla i Franklina Delano Roosevelta. Nowy amerykański prezydent Henry Wallace leci na Krym



PIOTR ZAREMBA

28 LISTOPADA 1944

Oficer wprowadził Elmera Davisa do prezydenckiego saloniku w samolocie. Dziennikarzowi wydało się, że tenże oficer rzucił mu lekceważące spojrzenie. Może nie mogło być inne. Weszli do najbardziej przegranej osoby na świecie. Pomijając te kilka milionów, co już zginęły.

Jakby na potwierdzenie prezydent z termosem kawy w dłoniach wydał mu się przeraźliwie samotny. Jego niedawno jeszcze zdrowa twarz farmera z Iowy była wychudła, a nawet wyschła. Tak nie powinien wyglądać Amerykanin. Nawet podczas wiecznej, niekończącej się wojny.

– Siadaj, Elmer. Wiesz, jak zawsze mówił o tobie Franklin? „Elmer jakiś tam. Ten ze śmiesznym akcentem". Mówisz po brooklyńsku – szemrał. Wskazał mu miejsce obok siebie.

– Tak, nasz wielki prezydent wiedział, co to humor. Chociaż muszę ci powiedzieć, że czasem... Ty jako prosty chłopak mnie zrozumiesz. Myślę, że choć zaczął budować nowy świat, za dużo w nim było pychy – ciągnął amerykański prezydent. Davis nie przerywał.

Zaczął budować nowy świat? Teraz jedynym światem był świat stojących naprzeciw siebie armii i zatrzymanych frontów. Sowieci tkwili od wielu miesięcy na Wiśle. Anglicy samotnie i bez powodzenia wojowali we Włoszech. Amerykanie czekali, bo prezydent Henry Agard Wallace nie mógł się dogadać z wymuskanym premierem Edenem. Wojna mogła trwać lata, dekady, wieki. Wszyscy słuchali coraz bardziej szaleńczych przemówień Hitlera w niemieckim radiu i... Nic z niczego nie wynikało.

– I popatrz, Elmer, na koniec jeszcze wykazuję taką odwagę jak nikt przede mną. Przecież po tamtym strasznym momencie... Zdawało się, że nigdy prezydent nie wytknie nosa poza kontynent. A ja na sam Krym... Powiesz mi coś o tym Krymie?

Dziennikarz pomyślał, że mógłby go chociaż kawą poczęstować. Ale myśli amerykańskiego prezydenta błądziły gdzieś wewnątrz jego własnego świata, szczelnego, porośniętego żółtą kukurydzą i najlepszymi intencjami. W tamtym świecie ten prezydent idzie w samej koszuli i roboczych spodniach nakarmić obywateli. Rozpościera szeroko ramiona, zapomina o wojnie...

eprasa.pl b7843a2655

– Krym, mieszkali tam tak zwani Tatarzy. Są doniesienia, chociaż niepotwierdzone, że Beria kazał ich wysiedlić, kiedy wygonili stamtąd Niemców.

– Nie chcę nic wiedzieć, zawsze ich oczerniano. Człowiek sowiecki jest jak nasz farmer... A co było na naszym wspaniałym starym Zachodzie? Lecę tam jak mieszkaniec Bostonu czy Nowego Jorku na nasz wspaniały Zachód.

– Po co pan tam leci, tak naprawdę, panie prezydencie? Przecież wszystko już... się dla pana kończy. Oczywiście jeszcze pan wróci. Ale po co tak na koniec ryzykować?

Wallace został zaprzysiężony śpiesznie w listopadzie 1943 r., kiedy zabito trójkę przywódców Koalicji gdzieś w tym zaśmierdłym Iranie, którego nikt nie musiał szczęśliwie znać. Niemcy pojawili się jak duchy i wybili ich. Nawet tego ich ludowego komisarza Mołotowa, co go nazywano „kamienna dupa".

Dwa miesiące później zrezygnował sekretarz stanu Cordell Hull. Pięć miesięcy później dziennikarz „Time'a" Whittaker Chambers oznajmił, że nowy sekretarz stanu Laurence Duggan to wieloletni członek komunistycznej konspiracji i sowiecki agent, podobnie jak nowy sekretarz skarbu Harry Dexter White. Wallace wygłosił pełne oburzenia przemówienie radiowe, uznając, że Chambers to „agent pana Hitlera i tych małych nazistowsko-republikańskich pachołków". Roosevelt by coś takiego przetrzymał, ale nie jego następca. Duggan podał się do dymisji, a White wezwany do zeznań przed komisją senacką umarł na serce. Wniosek o impeachment dla Wallace'a upadł ledwie 10 głosami. I jak prowadzić wojnę po czymś takim?

Demokraci odmówili Wallace'owi prezydenckiej nominacji. Wyznaczyli szarego, pracowitego pana Trumana, senatora Trumana, który od lat pilnował uczciwości w prowadzeniu wojny ze swoją komisją. Republikanie postawili na zimnego jak lód pana Deweya, gubernatora Nowego Jorku. Thomas Edmund Dewey niewiele musiał robić. Choć Truman rozpłakał się dwa dni przed wyborami pod portretem „naszego wielkiego prezydenta Roosevelta", nie miał szans na wygraną. Kiedy to demokraci stali się „partią zdrady"? Przez przeklętego farmera od genetycznych hokus-pokus.

A teraz Wallace niczym duch podwójny leciał na Krym. Po co?

– Po co lecę? Mojżesz przyszedł do mnie w nocy i powiedział, jak mam z nimi rozmawiać – nagle w wyblakłych źrenicach Wallace'a zapłonęły latarenki. Był taki jak wtedy, kiedy tłumaczył narodowi amerykańskiemu, dlaczego trzeba zaorać część areału, żeby ratować ceny, ratować farmera, ratować wszystko.

– Ale o czym, panie prezydencie, na Boga. Nie ma już o czym z nimi rozmawiać – w rozmowie z cieniem Davis zdobył się na odwagę.

– Tylko ja wiem o czym. Ale kiedyś wszyscy się dowiedzą. I wtedy znajdę się na kartach historii. Ja od genetycznie udoskonalonej kukurydzy. Ja... – prezydent mówił z wysiłkiem, choć Bóg, w którego tak gorąco wierzył, odmówił mu nawet łaski choroby. Choroby, która pozwoliłaby godnie zejść ze sceny...

– Ty wiesz, Elmer, ja ci zdradzę w tym momencie najtajniejsze sekrety. Rosjanie chcieli szybciej iść do przodu, przez Polskę. Beria chciał... To ja im powiedziałem, żeby zaczekali. Ci Polacy ze swoim śmiesznym powstaniem... Mnie już Hopkins tłumaczył, że dowodzą nimi ci ich landlordowie, plantatorzy, a nawet szlachta. Hopkins dobrze myślał, ale nawet on mnie nienawidził. No tak, nie mogłem być nawet tyci przy naszym wielkim prezydencie – Wallace uniósł dwa palce, demonstrując rozmiar.

– Rosjanie nie mieli siły iść dalej. Przy Stalinie mobilizował ich strach. To ich „kolektywne kierownictwo" to nie to samo – popisał się światową spostrzegawczością Davis.

– Ja się nad jednym zastanawiam. Przecież nikt nie marzył o drugim froncie bardziej ode mnie. Nikt nie chciał klęski nazistów bardziej ode mnie. Dlaczego mnie się nic nie udaje? To ci generałowie sabotują każdy mój ruch. Czekają na Deweya, żeby on mógł wygrać wojnę. No i ci przeklęci Anglicy... Ten Eden jest nawet gorszy od Churchilla.

– Ależ nie musi się pan tym już denerwować, panie prezydencie.

– Muszę, bo ciąży na mnie przekleństwo miłości do świata. Mojżesz mi wszystko wytłumaczył. Ostatnia misja do spełnienia. Największa....

Na chwilę Davisa ogarnęło współczucie. Ten stary, całkiem nieprezydencki garnitur, te od niedawna posiwiałe włosy. On naprawdę dźwigał wielki ciężar. A równocześnie... Wszystko, co dostawał w dłonie, rozsypywało się w nich. Zmieniało w brudny pył...

28 LISTOPADA 1944

Przez chwilę przypatrywali się budynkowi. Ławrientij Pawłowicz Beria lubił ładne rzeczy. Lubił też rozmawiać z synem po gruzińsku.

– Wyobraziłem sobie, Sergo, tego ich łotra Rasputina, na dachu jego własnej willi. Rosjanie nie umieją docenić takich ludzi. Wiesz, widziałem go ostatniej nocy we śnie. Machał do mnie.

– Rasputin? – ciemnowłosy Beria młodszy nosił gruzińską czarną szatę do kolan i wysokie buty. Ojciec był w jasnym garniturze, łysawy i uroczysty.

– Głupi jesteś, Stalin. Machał do mnie z okien tej willi. Pomyślałem sobie, że powinien z nami być, ale tu szczególnie. Jak można było dopuścić, żeby zginął? Wszyscy wierzyliśmy, że jest wieczny – Beria wetknął sobie w zęby fajkę. Zaczął jej używać po śmierci JEGO.

– Przecież każdy człowiek sowiecki czuł go za plecami, to nie bajki. Dlatego my szybko nie wygramy bez niego tej wojny, z tymi Rosjanami. Temu głupcowi z Ameryki tego nie powiem, ale taka jest prawda. Po co on tu przyjeżdża? – Beria zaczął nerwowy spacer parkowymi alejkami. Syn ledwie za nim nadążał.

– Dowiemy się tego już pierwszego dnia. W Teheranie wszystko było przygotowane, żeby ich posłuchać – przypomniał Sergo Bergia. A jego ojciec posmutniał. Lubił samego siebie w takim stanie. Rzadkim, a jakże przez to cennym.

– Coś ci powiem, Sergo. Czasem mam marzenie. Ty, mój syn, jesteś młodzian piękny, sam Stalin się zachwycił. Czy nie może nasz Związek Sowiecki stać się taki piękny? Ten głupiec dałby nam pożyczki, ja bym zapewnił resztę. No tylko on

59/1117/F

eprasa.pl b7843a2655

zaprzepaścił wszystko. Jego już nie ma. I po co na koniec leci do nas? Żeby go ktoś pięknie zestrzelił?

Zamilkli obaj. Beria wypoczywał, nadstawiając twarz ku ciepłemu powietrzu. Jałta milczała, enkawudziści w pobliżu byli idealnie bezszelestni.

29 LISTOPADA 1944

– Wygodnie panu w pałacu liwadyjskim? Wyobraża pan tam sobie cara krwiopijcę? – Beria uśmiechał się do Wallace'a wilgotnymi od wina wargami. Ten popatrywał na niego nieprzytomnie.

Przez ostatni rok, po śmierci Stalina zabitego razem z Rooseveltem i Churchillem w Teheranie, nowy przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych pilnie uczył się angielskiego. I teraz tłumacze mogli być trzymani w pewnej odległości. Nie ma to jak przechadzka władców świata po parku ze starych czasów. Pałacowym parku. Ich władztwo niepewne, warunkowe. Ale tu mogą o tym zapomnieć.

– Aaa, tak. Moi oficerowie na spacerze spotkali dziecko, dali mu tabliczkę czekolady. Żołnierz odebrał dziecku czekoladę. Powiedział, że tu, w sowieckim kraju, nie brakuje jedzenia – skarżył się Wallace.

– W tym wyraża się duma naszego ludu. Niemcy zdewastowali i rozkradli tu wszystko, ale lud jest dumny. Zastanawiam się, co pana tu do nas sprowadza.

– Piękne plany, wizje. Dopiero teraz jest pierwsza okazja omawiać je twarzą w twarz. Nawet jeśli sytuacja na frontach jest... Zna ją pan.

– Ach – dłoń Berii, miękka i biała, spoczęła na kanciastym ramieniu amerykańskiego farmera. – Przecież mówiłem panu. Związek Sowiecki z waszym kapitałem byłby tak piękny jak mój syn. Inni towarzysze tego nie rozumieją, Łazar Mojsiejewicz Kaganowicz pilnuje granic ideologicznych polityki. A ja jestem artystą polityki.

Berii przemknęły przed oczami twarze ludzi, których bił osobiście. Czasem pojawiały się przed nim podczas takich dziwnych rozmów. Nie, niczego mu nie wyrzucały. Po prostu były. A gdyby tak tego uderzyć? Ostrożnie, na próbę tylko, jak Jeżowa. Co by się stało? Amerykanie zerwaliby sojusz?

– Ja to wszystko podzielam. Ale przecież Związek Sowiecki, ten dzisiejszy, już jest piękny. Piękny jak nasz pierwotny, dawny Zachód. Twardzi ludzie strzelali tam do innych ludzi. Nie ma co poprawiać – Wallace prawie krzyczał. Był entuzjastą.

Prezydent chciał przez moment zacząć mówić o swoich pogawędkach z Mojżeszem. Jednak świdrujące świat zza szkieł oczka Berii odebrały mu śmiałość. Potem chciał spytać: dlaczego i tobie, i mnie się nie udaje? ONI, tamci, prowadzili wojnę z większą werwą. A teraz ten gad, stwór z piekła rodem, Hitler odbija się od dna. Ale wstydliwy z natury rzeczy Wallace i na to się nie odważył.

REKLAMA



eprasa.pl b7843a2655

– Zastanawia się pan, dlaczego nam się gorzej udaje niż tamtym. Może pan powinien być bardziej amerykański, przynajmniej na czas wojny. A ja... Stalina nikt nie umie zastąpić. To olbrzym. Bóg, chociaż jesteśmy ateistami.

Niewątpliwie Beria umiał czytać w myślach. Wallace nie miał jednak czasu ani siły analizować tego, co do niego mówiono. Zaraz przyjdzie czas kolacji, zbyt tłustej i za bardzo zakrapianej ciężkimi trunkami. Nie po to rozmawiał nocami z prorokami Starego Testamentu, żeby potem wciskać sobie w żołądek takie kolacje.

Jeszcze przed jedzeniem trzeba wypowiedzieć to, z czym przyjechał...

– Teraz panu to powiem, potem nie będzie okazji – zerknął ku szpalerowi postaci, które ich pilnowały. – Stany Zjednoczone mają potężną broń. Broń, której nie ma nikt na świecie. To znaczy jesteśmy bliżsi niż kiedykolwiek tego, żeby ją mieć. Chcę, żeby pan to wiedział. I pan Kaganowicz, pan Chruszczow, wy wszyscy, wspaniali ludzie sowieccy. Traperzy, pionierzy...

Beria przybrał obojętną minę. Wiedział w ogólnych zarysach, o czym głupiec mówi. Jaką broń ma na myśli. Naturalnie nie zmieniało to przełomowego charakteru całej rozmowy.

– Rozumiem, pan do mnie jak pokerzysta... Ale to powiem więcej. Zaraz po powrocie do Waszyngtonu nakażę udostępnienie wam wyników naszych badań. Mam jeszcze taką władzę... – Wallace zakrztusił się własną śliną, zakaszlał. Świta spojrzała w ich kierunku, jakby ich przyzywał.

– Czy na pewno? – Beria uśmiechnął się mechanicznie. Niebo było już całkiem granatowe.

– Wyobraża pan sobie jego, Stalina, jak prowadzi z panem tę rozmowę? – spytał, bo wydało się, że widzi Soso w jednym z okien pałacu.

POSŁOWIE 1

Na pokładzie prezydenckiego samolotu zwanego „Świętą Krową" doszło do dziwacznego przypadku. Prezydent i większość towarzyszących mu osób, oni wszyscy, zatruli się podczas powrotnego lotu do Egiptu. Henry Agard Wallace umarł wkrótce po osiągnięciu Afryki. Dla reszty skończyło się to niestrawnościami. Elmer Davis, dziennikarz, długo rozważał splot tych okoliczności. Dlaczego oficer, który ich obsługiwał, był taki podekscytowany, i to wkrótce przed tym obiadem?

Ponieważ prezydent Wallace nie miał wiceprezydenta, władzę tymczasowo przejął sekretarz stanu. Był nim pozyskany w pośpiechu po odejściu Duggana poeta lekkoduch Archibald MacLeish. Ten w odruchu bezprzykładnego patriotyzmu następnego dnia mianował sekretarzem stanu Thomasa Deweya i abdykował na jego rzecz. Dewey ogłosił, że wojenna polityka amerykańska jest jedna. I że Wallace przy wszystkich błędach zmarł śmiercią bohatera. Poległ prawie.

Beria dumał tymczasem w Moskwie nad wszystkimi zdarzeniami i zwrotami akcji, zapatrzony w depesze. Czy był samobójcą, godząc się wtedy na obrót zdarzeń w Teheranie zakończonych śmiercią trójki kolosów, czy może twórcą nowego świata? Czy jego Związek Sowiecki okaże się kiedyś piękny? Czy na czele partii może stać Żyd Kaganowicz, czy czas na nowe przetasowania?

W końcu wezwał marszałków i generałów, by dumać nad decydującą ofensywą. Przełamać linię Wisły – to cel jedyny.

POSŁOWIE 2

Wszystkie postaci są autentyczne – łącznie z dziennikarzem i szefem Biura Wojennej Informacji Elmerem Davisem. Ale tekst to historyczny żart. Domniemany niemiecki plan, aby dywersanci Otto Skorzeny'ego zabili podczas konferencji w Teheranie Wielką Trójkę, miał udaremnić 19-letni sowiecki agent Gework Wartanian. Ale czy to prawda, czy legenda? Owszem, Churchilla i Roosevelta straszono możliwością takiego zamachu. Dzięki temu umieszczono ich w sowieckim poselstwie, gdzie byli podsłuchiwani przez Sergo Berię. O samych planach nie wspomniał nigdy żyjący po wojnie i piszący wspomnienia Skorzeny, a sowieckie opisy są nieprzekonujące.

To opowieść o wpływie jednostki na historię. Po Roosevelcie prezydentem zostałby w listopadzie 1943 r. Henry A. Wallace. Ten badacz i wieloletni sekretarz rolnictwa był tak wielkim idealistą, że w roku 1944 dał się zawieźć – jako wiceprezydent – do sztucznie stworzonego sowieckiego łagru. Po to, aby następnie zaświadczyć, że gułag to wspaniały świat, coś w rodzaju Dzikiego Zachodu. Wyobraźmy sobie, że ten człowiek staje na czele Stanów Zjednoczonych.

Franklin Delano Roosevelt był krytykowany za karygodną ustępliwość wobec Sowietów. Uczynienie Wallace'a wiceprezydentem w roku 1940, przy jego naiwnych poglądach na politykę międzynarodową i słabym zdrowiu prezydenta, było skrajnym ryzykiem. Zarazem Roosevelt nie podzielił się jednak ze Stalinem bronią atomową. Wallace miał taki zamiar.

Prawda też, że Wallace chciał zrobić sekretarzem stanu Laurence'a Duggana, a sekretarzem skarbu – Harry'ego Dextera White'a. Obaj byli wpływowymi urzędnikami, ale też sowieckimi szpiegami. Whittaker Chambers, który znał ich z przedwojennej działalności w ruchu komunistycznym, próbował przed nimi przestrzec Roosevelta już w roku 1939. Ten zupełnie to zlekceważył – nie wierząc albo uważając taką „nieszczelność" swojej administracji za nic zdrożnego. Wallace o ich agenturalnej roli zapewne nie wiedział. Za to ich poglądy mu nie przeszkadzały, bo miał takie same. Rewelacje na ich temat Chambers ogłosił dopiero po wojnie, stając się jednym z najgłośniejszych demaskatorów komunistycznej konspiracji w USA.

Zarazem przyjmuję inne założenia. Wallace nie miałby autorytetu Roosevelta, jeszcze mocniej kłóciłby się z Anglią. Chcąc pomagać Sowietom, mógłby im szkodzić, nie potrafiąc skłonić swoich generałów do szybkiej wojskowej akcji. Zwłaszcza że ci, świadomi jego kompromitacji, mogliby chcieć go przeczekać.

Z innych powodów kłopoty z ogarnięciem sytuacji mogłoby mieć sowieckie „kolektywne kierownictwo" pozbawione takiej siły oddziaływania na ludzi, jaką miał terrorysta Stalin. Przypisuję Berii, jednemu z największych sowieckich zbrodniarzy, marzenia o liberalizacji, bo objawił je w ostatnich latach życia.

eprasa.pl b7843a2655



STANISŁAW JANECKI

Dalej od Stalina

Jaki byłby los Polski i Europy Środkowej, gdyby gen. Sikorski nie zginął w Gibraltarze?

Załóżmy, że 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze gen. Władysław Sikorski, premier i naczelny wódz, który wracał do Londynu po inspekcji Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie, nie zginął. Zapewne wtedy Ludwik Łubieński, szef Polskiej Misji Morskiej w Gibraltarze, nie krzyczałby, że „to już koniec Polski". Przed wypadkiem Sikorski miał rozważać gruntowną reorientację polskiej polityki zagranicznej i strategii wojennej. Jedni, m.in. nieżyjący już prof. Paweł Wieczorkiewicz, twierdzą, że widząc rysującą się zdradę zachodnich sojuszników i wynikające z niej plany Józefa Stalina nie tylko okrojenia polskiego terytorium, lecz włączenia Polski do sowieckiej strefy wpływów oraz zainstalowania prosowieckiego rządu, brał pod uwagę otwarty konflikt z ZSRS, nawet za cenę opuszczenia obozu alianckiego i taktycznego sprzymierzenia się z Niemcami. Wtedy Sikorski byłby bardzo niewygodny zarówno dla Stalina, jak Franklina D. Roosevelta oraz Winstona Churchilla. Śmierć Sikorskiego byłaby wtedy wszystkim trzem na rękę, co wzmacnia hipotezę o zamachu na generała. To, do czego premier Sikorski nie chciał dopuścić, potwierdziła zorganizowana kilka miesięcy po jego śmierci konferencja w Teheranie (28 listopada–1 grudnia 1943 r.), podczas której Roosevelt i Churchill zgodzili się ma podział Europy zgodnie z żądaniami Stalina. Polskę okroili terytorialnie od wschodu i praktycznie skazali na satelicką rolę wobec sowieckiej Rosji, a w najgorszym wariancie na sowiecką okupację. Ignorowany przez całą „wielką trójkę" następca Sikorskiego premier Stanisław Mikołajczyk nie mógł niczego zmienić. Z Sikorskim mogłoby być inaczej, a przynajmniej o wiele trudniej.

Wedle koncepcji formułowanej m.in. przez prof. Tomasza Nałęcza, gdyby

Fot. NAC

gen. Sikorski nie zginął w Gibraltarze, przy mocnym wsparciu premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla starałby się doprowadzić do porozumienia ze Stalinem i wznowienia stosunków dyplomatycznych z Sowietami. Stalin zerwał je 26 kwietnia 1943 r. po tym, jak polski premier odmówił uznania sowieckiej wykładni w sprawie zbrodni katyńskiej. I wtedy przez Moskwę został oskarżony o współpracę z hitlerowską III Rzeszą.

Stalin nie wykluczał jednak poprawy stosunków, uzależniając ją od zmian w rządzie Sikorskiego, co zakomunikował Churchillowi. Do tego parł zresztą sam premier Wielkiej Brytanii, ale nie zamierzał się zgodzić na wymianę samego Sikorskiego. Stalin zaczął już wtedy wprawdzie tworzyć komunistyczną alternatywę dla legalnego polskiego rządu, ale początkowo był to raczej środek nacisku. Polscy komuniści dawali bowiem sygnały, że byliby skłonni zgodzić się na premiera Sikorskiego w ewentualnym rządzie jedności narodowej. Porozumienie i wznowienie stosunków dyplomatycznych było ponoć możliwe wbrew ostrej retoryce, czyli oskarżaniu Sikorskiego o współpracę z Niemcami, a z drugiej strony traktowanie przez gen. Sikorskiego dywizji Berlinga jako zdrajców polskiej sprawy, a samego dowódcy jako dezertera. Tym bardziej że na dwa dni przed śmiercią przemawiając do polskich żołnierzy w Kairze, Sikorski nie miał złudzeń co do terytorialnego kształtu Rzeczypospolitej na Wschodzie oraz co do tego, że z Sowietami mimo wszystko trzeba będzie się ułożyć.

SOJUSZ Z NIEMCAMI?

13 kwietnia 1943 r. Niemcy ogłosili, że w lesie katyńskim odnaleźli groby polskich oficerów, i dowodzili, że zostali oni zamordowani przez żołnierzy NKWD. Sowieci natychmiast uruchomili swoją machinę propagandową, twierdząc, że to niemiecka prowokacja. Sikorski miał dość przesłanek, np. takich, jakich dostarczył mu badający sprawę w drugiej połowie 1941 r. oraz w pierwszych miesiącach 1942 r. Józef Czapski, żeby nie uznać sowieckiej wersji. Dlatego m.in. zażądał śledztwa pod kuratelą Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Prof. Paweł Wieczorkiewicz twierdził, że gdyby premier Sikorski nie zginął, mógłby zmienić bieg historii, przede wszystkim wstrząsając amerykańską opinią publiczną prawdą o Katyniu. A to musiałoby wpłynąć na prezydenta Franklina D. Roosevelta. Jeśli amerykański prezydent nie zmieniłby swego nastawienia, Sikorski miałby co najmniej moralne prawo do szukania alternatywy. Taką alternatywą miałyby być jakieś rozmowy z Niemcami, np. za pośrednictwem węgierskiego regenta admirała Miklósa Horthyego oraz z pomocą dyplomacji Watykanu. Niemcy mieliby być otwarci na takie rozmowy, a nawet na spore ustępstwa, licząc na udział polskich oddziałów w walce z Armią Czerwoną oraz na polityczne korzyści wynikające z rozbicia jedności i moralnej spójności aliantów. Wedle tej koncepcji przykład Polski mógłby zachęcić inne narody Europy Środkowej i Wschodniej, żeby po przełamaniu niemieckiego frontu na Wschodzie i kontrofensywy Armii Czerwonej za śmiertelne zagrożenie dla ich bytu uznać Sowiety. W jednej z wersji tej hipotezy Sikorski mógłby w odpowiednim momencie zostać przerzucony do Warszawy i tu proklamować odrodzenie państwa polskiego, nawet tymczasowo okrojonego terytorialnie.

> Gdyby w Polsce w 1945 r. funkcjonował demokratyczny rząd Sikorskiego, Stalinowi nie udałoby się tak łatwo skomunizować Europy Środkowej

Wolta Sikorskiego mogłaby wywołać bunt w polskim Londynie, a nawet w rządzie na uchodźstwie i w polskiej armii, co skutkowałoby np. współpracą z ZPP Wasilewskiej czy później z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Jednak większość polityków i zdecydowana większość polskich oddziałów pozostałaby przy Sikorskim jako premierze i naczelnym wodzu. Z tego powodu część żołnierzy zostałaby zapewne przez aliantów internowana, ale sporo dotarłoby do kraju, by walczyć z Armią Czerwoną w porozumieniu z Niemcami. W tej koncepcji dopuszczono nawet do powstawania złożonych z Polaków dywizji Waffen SS, zasilanych m.in. przez Polaków ze Śląska, Pomorza czy Wielkopolski, wcielonych wcześniej do Wehrmachtu. Nie zmieniłoby to zasadniczo losów wojny, ale mogłoby zmienić warunki pokoju oraz uratować tysiące istnień ludzkich. Ta koncepcja jest o tyle wadliwa, że sam Hitler nie miał ani ochoty, ani nie widział potrzeby sprzymierzania się z Polakami, a tym bardziej tworzenia jednostek wojskowych złożonych z Polaków. Porozumienie z Niemcami wiązałoby się też z rezygnacją z rekompensat na zachodzie w zamian za anektowaną przez ZSRS część terytorium Rzeczypospolitej, bo Berlin nigdy by się na to nie zgodził. A alianci nie mieliby żadnego powodu, żeby cokolwiek rekompensować sojusznikowi Hitlera. Sikorski mógłby oczywiście ogłosić, że wrogiem nie są alianci, tylko ZSRS, ale w praktyce walka z Armią Czerwoną u boku Niemiec i tak zostałaby uznana za działania na szkodę koalicji, ze wszystkimi tego negatywnymi skutkami.

Naciągane wydają się argumenty dotyczące przełomowego wpływu prawdy o Katyniu na amerykańskie społeczeństwo i prezydenta Roosevelta. Nie wstrząsnęła przecież Amerykanami straszna prawda o losie Żydów, przedostająca się do opinii publicznej poprzez działania wysłanników polskiego rządu, przede wszystkim Jana Karskiego. Prawda o Katyniu była Amerykanom znana, przynajmniej dowódcom armii i politykom. Już w kwietniu 1943 r. dwaj amerykańscy jeńcy wojenni ppłk John H. Van Vliet oraz kpt. Donald B. Stewart zostali przez Niemców zawiezieni do Katynia, po czym poinformowali wywiad wojskowy USA, że zbrodni dokonali Sowieci. Roosevelt już w kwietniu

eprasa.pl b7843a2655



Gen. Władysław Sikorski przemawia do junaków podczas inspekcji Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie w 1943 r.

Fot. NAC

1943 r. nakazał, aby za wszelką cenę ukryć prawdę o zbrodni w Katyniu. Najprawdopodobniej w kwietniu 1943 r. powstał raport katyński płk. Henry'ego I. Szymańskiego, służącego w latach 1942–1944 w ataszacie wojskowym USA w Kairze. Szymański przedstawił dowody, że polscy oficerowie „zniknęli" przed zajęciem przez Niemców terenów, gdzie leżą Katyń, Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków. Swój raport Szymański przekazał w maju 1943 r. George'owi V. Strongowi, do stycznia 1944 r. szefowi wywiadu wojskowego. I dokument zniknął w archiwum wywiadu. Już w kwietniu 1943 r., gdy wyszła na jaw prawda o Katyniu, prezydent USA zdecydował, że strategiczne znaczenie mają relacje z ZSRR, natomiast absolutnie marginalne z Polską. Podobnie postąpili zresztą Brytyjczycy: premier Winston Churchill i szef MSZ Anthony Eden nakazali utajnić raport katyński Owena O'Malleya (z maja 1943 r.). Dodajmy, że raport O'Malleya otrzymał prezydent Roosevelt i nic z nim nie zrobił. Liczenie na to, że prawda o Katyniu mogłaby wpłynąć na losy wojny oraz gen. Sikorskiego, wydaje się nie mieć podstaw.

WARIANT CZECHOSŁOWACKI

Bardziej prawdopodobny kształt polskiej polityki, gdyby Sikorski nie zginął 4 lipca 1943 r., oznacza jakąś formę normalizacji stosunków z ZSRS. Przypomnijmy, że kiedy po raz pierwszy doszło do normalizacji relacji z okupantem wschodniej części polskiego terytorium (30 lipca 1941 r.), wybuchł wielki kryzys w rządzie oraz otwarty bunt w wojsku. A jednak rząd przetrwał i realizował układ Sikorski–Majski. Sowiecki rząd unieważnił traktaty z Niemcami i w części zrealizował „amnestię" dla obywateli RP, więźniów politycznych i zesłańców. W 1943 r., ale jeszcze przed konferencją w Teheranie, Churchill zapewne skłoniłby Sikorskiego do porozumienia ze Stalinem. Kosztem byłyby oczywiście ustępstwa terytorialne na wschodzie, np. utrata Wilna, ale już Lwów i tereny roponośne raczej pozostałyby w polskich rękach. Ustalenia w Teheranie, a potem w Jałcie miałyby zapewne korzystniejszy dla Polski charakter na wschodzie i podobny na zachodzie. Nie z powodu łaskawości Stalina, ale większej woli Churchilla, żeby Sikorskiego i jego demokratyczny rząd bronić zdecydowanie bardziej niż Mikołajczyka i jego gabinet.

Na Roosevelta w żadnym wariancie raczej nie można było liczyć, skoro podczas spotkania z Sikorskim w marcu, a potem w listopadzie 1942 r. zapewniał, że nie dopuści do jakichkolwiek rozmów na temat zmian terytorialnych w Europie do momentu zakończenia wojny. Ale na kilka miesięcy przed konferencją w Teheranie, czyli mniej więcej wtedy, gdy zginął gen. Sikorski, Roosevelt był już gotów oddać ZSRS polskie ziemie wschodnie. W zamian za włączenie się do wojny z Japonią oraz wspólne z USA urządzenie nowego porządku światowego w ramach wielkiej organizacji międzynarodowej przewidywanej przez sygnatariuszy Karty Atlantyckiej. Prezydent USA uznał, że sprzedanie Polski i innych państw naszej części Europy jest adekwatną ceną za stabilizację na kontynencie, nawet pod sowieckim butem w jego wschodniej części.

Stalin oczywiście próbowałby zainstalować w Warszawie rząd komunistyczny, ale nie tak nachalnie, jak w wypadku forsowania marionetkowego gabinetu Edwarda Osóbki-Morawskiego. Zwolennicy hipotezy o porozumieniu Sikorskiego ze Stalinem uważają, że gdyby żył, nie doszłoby do powstania warszawskiego, a akcja „Burza" miałaby bardziej ograniczony charakter. W 1945 r. w Polsce mielibyśmy zatem wariant czechosłowacki, z Sikorskim jako premierem – na takiej samej zasadzie, na jakiej w Pradze do 1948 r. funkcjonował Edvard Beneš jako prezydent republiki. Zwolennicy tego wariantu twierdzą, że gdyby w Polsce w 1945 r. funkcjonował demokratyczny rząd Sikorskiego, Stalinowi nie udałoby się tak łatwo skomunizować Europy Środkowej. Tym bardziej że mogłoby dojść do jakiejś formy współpracy Warszawy z Pragą, co wpłynęłoby na inne państwa regionu. Szczególnie że na Węgrzech pierwsze po wojnie wybory wygrała partia drobnych posiadaczy, a nie komuniści. Zwolennicy takiej hipotezy spekulują, że skoro Sikorski miałby pod kontrolą rząd i armię oraz powszechne poparcie Polaków, komuniści pozostaliby marginesem, nawet gdyby weszli do rządu. Nie byłoby polowania na żołnierzy Armii Krajowej i pozostania na Zachodzie większości żołnierzy Andersa. Efektem miałaby być zgoda Stalina na finlandyzację Polski i Czech, a być może całego regionu.

Wieczorkiewicz taki wariant uważał za mało prawdopodobny. Z tego powodu, że w Londynie doszłoby do buntu, łącznie z odwołaniem Sikorskiego z funkcji premiera i naczelnego wodza. Brytyjczycy nie uznaliby tego przewrotu i internowali popierających go żołnierzy. Z kolei w kraju doprowadziłoby to do rozłamu w AK i pozostania części oddziałów w konspiracji. Byłyby one zwalczane przez władze, zapewne z pomocą Sowietów, co wywołałoby podobne skutki, jakie miały rzeczywiste wydarzenia po 1944 r. A Sikorski albo by je firmował, albo został zmuszony do ucieczki, bądź zlikwidowany.

eprasa.pl b7843a2655

Beria. To się nie mogło udać

Gdyby Ławrientij Beria, wieloletni szef NKWD, nie został zamordowany w 1953 r. przez swoich współtowarzyszy, to i tak musiałby w końcu przegrać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Był chłodny wieczór 24 października 1960 r. Pomimo późnej pory na berlińskim lotnisku Schönefeld trwała niezwykła krzątanina. Na płycie, tuż obok wielkiego tupolewa, biegali we wszystkich kierunkach ludzie w mundurach i w roboczych drelichach, ktoś salutował, ktoś podjeżdżał, ktoś inny odjeżdżał. Niektórzy rozmawiali z sobą w małych grup ach, o czym świadczyły kłęby pary z ich ust widoczne z daleka w rozjarzonym reflektorami zimnym powietrzu.



W pewnym momencie wokół samolotu zrobiło się pusto. Pracujące silniki maszyny wypełniały donośnym basem każdy skrawek przestrzeni. Wielki Tu-114 z napisem Aerofłot na burcie zapalił światła i zaczął powoli kołować na pas startowy. W wieży kontrolnej zrobił się tłok. Obok cywilnych kontrolerów zasiedli wojskowi, którymi dowodził rosyjski generał lotnictwa. Stał i wydawał komendy, śledząc wzrokiem poruszający się powoli świecący punkt na pasie startowym. Wszystkiemu przyglądała się stłoczona za krzesłami kontrolerów grupka cywilów w ciemnych garniturach.

Tuż przed 23.30 ciężki Tu-114 zawył pełną mocą swoich czterech silników i rozpoczął start. Samolot przemknął przed obserwatorami zgromadzonymi na wieży kontrolnej, po czym zaczął się ociężale unosić w przestworza. Piloci skierowali go na wschód w stronę pobliskiego Grünau, tam też przelatującą nad nimi ogromną maszynę usłyszeli mieszkańcy i grupki spóźnionych przechodniów biegnących do domu z pobliskiej stacji kolejki.

Samolot przeciął linię kolejową prowadzącą w stronę Chociebuża i dalej do Wrocławia. Nagle z maszyną zaczęło się dziać coś dziwnego. Zamiast wznieść się wyżej, zaczęła opadać. Na nic zdały się rozpaczliwe wysiłki załogi, samolot wydawał się zbyt ciężki, aby się wzbić. W kilka sekund znalazł się tuż nad wierzchołkami drzew i gwałtownie runął wprost do rzeki Dahme, rozpadając się na kilka kawałków w pogrążonej w ciemnościach wodzie.

Po chwili nad lotniskiem Schönefeld rozległy się syreny alarmowe. W stronę rzeki pędziły już kawalkady terenowych gazików wypełnionych żołnierzami. Nad okolicą błyskały oślepiające białe flary.

Miejscowi wiedzieli już, że stało się coś bardzo złego. Następnego poranka usłyszeli w radiu, że koło ich domów rozbił się rządowy Tu-114, na którego pokładzie znajdował się prezydent Ławrentij Beria. Rosyjski przywódca nie przeżył katastrofy.

RUSZA ŚLEDZTWO

Następnego dnia po katastrofie powołana została specjalna komisja państwowa mająca wyjaśnić przyczyny katastrofy. Na jej czele stanął zwalisty Bogdan Kobułow, niegdyś – o czym lepiej było nie pamiętać – wyjątkowo brutalny śledczy, prawa ręka Ławrientija Berii, a teraz szacowny przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Państwa. Swoich ludzi dorzucił też związkowy minister spraw wewnętrznych Siergiej Goglidze.

Fot. East/News/AP Photo

eprasa.pl b7843a2655

Politycznym aspektem śledztwa kierował płk Wiaczesław Nikotin, wyróżniający się oficer Służby Bezpieczeństwa, a sprawami technicznymi płk Siergiej Kasagon – wybitny ekspert od wypadków lotniczych. Wszyscy byli zaufanymi ludźmi Kobułowa.

Kobułow sprawiał wrażenie, jakby bardzo się śpieszył, domagał się natychmiastowych wyników. W coraz częstszych napadach wściekłości groził, że jeśli jego podwładni nie będą działać sprawnie, to skończą „tak jak kiedyś" z kulą we łbie. On też narzucał podstawowe kierunki dochodzenia.

Jako punkt wyjścia – nie czekając na wyniki badań zespołu Kasagona – przyjęto sabotaż. Zgodnie z wytycznymi Kobułowa Nikotin zaczął poszukiwać motywu. W czasie, gdy jego ludzie rozpoczęli zatrzymania, aby ustalić powiązania osób zaangażowanych w przygotowanie feralnego lotu, on starał się znaleźć motyw. Należało prześledzić, komu najbardziej mogło zależeć na śmierci Berii.

WARIANT: KOMUNIŚCI

Oczywisty trop, który od razu się nasunął, to działanie wrogiej grupy w aparacie państwa. Po śmierci Stalina w marcu 1953 r. pozycja Berii nie była silna. Przeciwnicy: przede wszystkim Nikita Chruszczow, Łazar Kaganowicz, do których dołączyli Wiaczesław Mołotow, Anastas Mikojan i Nikołaj Bułganin, obawiali się ambicji wszechwładnego nie tak dawno temu szefa sowieckiej bezpieki. Beria, chcąc przejąć władzę i w ten sposób uchronić się przed spiskiem, rozpoczął błyskawiczny demontaż struktur partii komunistycznej, która była zapleczem jego wrogów. Mając do dyspozycji wciąż mu wierne struktury bezpieczeństwa, zdołał przeciągnąć na swoją stronę Gieorgija Malenkowa, który objął funkcję premiera ZSRS.

> Beria odebrał władzę partii i przeniósł ją do rządu. Oskarżony o stalinowskie zbrodnie Chruszczow został rozstrzelany

Plan był prosty, należało oprzeć struktury władzy na rządzie i czekistach (jak nazywano funkcjonariuszy policji politycznej), eliminując rywala, jakim była osłabiona po śmierci Stalina KPZR. Ważne było także zapewnienie wsparcia armii, co osiągnięto dzięki licznym intrygom wśród generalicji i awansom młodszej kadry zasłużonej podczas wojny ojczyźnianej.

Momentem przełomowym było ujawnienie spisku i aresztowanie jego przywódców: Chruszczowa i Kaganowicza. Wkrótce dołączyli do nich kolejni aparatczycy. Wszystkim zorganizowano proces pokazowy. Ludzie dowiedzieli się, że wysocy funkcjonariusze partyjni szykowali pucz, który miał cofnąć państwo do epoki stalinowskiej. Przypomniano liczne zbrodnie, których się dopuścili i po trzech miesiącach procesu skazano ich na śmierć. Stalin został oficjalnie potępiony, a ideologia komunistyczna uznana za „narzuconą" przez obce mocarstwa w celu zniszczenia Rosji oraz jej klasy robotniczej.

Komunistyczna partia nie doczekała swojego XX Zjazdu. W 1954 r. została rozwiązana, a w jej miejsce powołano Robotniczo-Chłopską Partię Ludową, na której czele stanął młody, ambitny działacz Leonid Breżniew – jeden z tych, których do polityki wciągnął jeszcze Stalin, ale którzy nie mieli – albo tak im się wydawało – żadnych szans na karierę pod rządami antypaństwowej kliki Chruszczowa i Kaganowicza.

Państwo zmieniło nazwę na Wolny Związek Suwerennych Republik (rosyjski skrót pozostał ten sam: SSSR – Swobodnyj Sojuz Suwerennych Respublik), na Kremlu zawisła błękitno-czerwona flaga nowego Związku, a w miejsce dotychczasowego hymnu niezawodna spółka Aleksandrow–Michałkow skomponowała nowy – pozbawiony, jak wyraził się Beria – akcentów „wielkoruskich" i stalinowskich.

Na mocy przyjętej w 1954 r. konstytucji Beria objął nowo utworzone stanowisko prezydenta państwa. Malenkow utrzymał się w roli premiera jeszcze tylko rok, w 1955 został odsunięty na stanowisko ministra energetyki, a jego miejsce zajął Iwan Majski – od 1953 r. minister spraw zagranicznych, człowiek obyty w świecie, a przy tym bezgranicznie lojalny wobec Berii.

Nowa układanka nie oznaczała jednak spokoju w państwie. Stopniowa likwidacja gospodarki planowej, przechodzenie rozbudowanego za Stalina przemysłu ciężkiego na własny rachunek, doprowadziło do poważnego kryzysu w państwie spotęgowanego przez biedę na prowincji, gdzie zdewastowaną przez kołchozy ziemię wzięli w dzierżawę chłopi.

Nowy Związek pękał również pod wpływem ruchów odśrodkowych w republikach, które przeżywały prawdziwe ożywienie narodowe. Powodowało to niezadowolenie zarówno w kręgach wojskowych, jak i wśród działaczy nowej partii, której władza wydawała się iluzoryczna.

Nikotin zastanawiał się, czy wśród generalicji i wysokich działaczy partyjnych nie zawiązał się spisek ukrytych stalinowców, którzy korzystając z niepokojów społecznych, postanowili się pozbyć prezydenta. Organizacja zamachu była w zasięgu ich możliwości. Swoje przemyślenia przesłał Kobułowowi.

WARIANT: SEPARATYŚCI

Istniała również inna opcja. Kobułow rozważał, czy za spiskiem przeciwko Berii nie stali działacze narodowi którejś z republik związkowych. Beria mógł się narazić zarówno na Ukrainie, gdzie coraz bardziej autonomiczną wobec Moskwy politykę prowadził jego dawny zausznik Paweł Mieszik, oraz w republikach bałtyckich, zwłaszcza na Litwie, gdzie zimą 1958 r. po wprowadzeniu przez władze republiki w Wilnie zakazu osiedlania się Rosjan grupka miejscowych aktywistów próbowała ogłosić „suwerenność". Skończyło się niezbyt krwawą interwencją miejscowego garnizonu. Podobnie było w Mołdawii. Tamtejsze postulaty połączenia z Rumunią wywołały konflikty z Rosjanami i mniejszością gagauską, co również skończyło się użyciem wojska.

eprasa.pl b7843a2655

Skomplikowana sytuacja panowała na Kaukazie, dokąd w 1955 r., wraz z amnestią dla więźniów politycznych i ogłoszeniem nowej polityki narodowościowej, zaczęli wracać wygnani przez Stalina Czeczeni i Ingusze. Także w Gruzji mimo unieszkodliwienia dawnych wrogów Berii spiskowano przeciwko Moskwie, na czym korzystali Turcy próbujący zaostrzyć sytuację w regionie.

Przygotowując kolejny raport dla Kobułowa, Nikotin otrzymał wreszcie pierwsze wyniki badań zespołu Kasagona. Wynikało z nich, że przyczyną katastrofy mogło być oblodzenie skrzydeł, które pozbawiło samolot siły nośnej. Beria bardzo się śpieszył do Moskwy i zignorowano niezbędne procedury techniczne przed odlotem. Dlaczego się śpieszył?

Beria dowiedział się, że grupa działaczy skupionych wokół przewodniczącego partii Breżniewa zamierza wystawić go jako kandydata w przewidzianych na 1961 r. wyborach prezydenckich. To była jawna oznaka niesubordynacji, którą Beria zamierzał spacyfikować. Nie zdążył.

Kobułow nie był zadowolony z ustaleń Kasagona. Miotał przekleństwami, groził, wydawało się, jakby palił mu się grunt pod nogami. Kasagon dorzucił więc drugą – także prawdopodobną teorię – że samolot był przeciążony, ale Kobułow nie chciał słuchać. Wydawało mu się to zbyt mało spektakularne, aby było prawdziwe, choć Kasagon tłumaczył, że piloci nie byli świadomi prawdziwej masy samolotu, zatem ktoś, kto załadował większy ładunek, wprowadził ich celowo w błąd.

> Moskwa obiecała zjednoczonym i neutralnym Niemcom zwrot utraconych ziem, które należały teraz do Polski

WARIANT: NIEMCY

Tajemniczym ładunkiem, którego nie powinno być w luku bagażowym samolotu, były wielkie skrzynie załadowane papierem. Jak wykazało śledztwo, zostały one nadane przez niemieckich komunistów i zawierały pełne dossier Stasi oraz współpracujących z nią agentów. Przywódca komunistów Walter Ulbricht zapewniał, że skrzynie zostały załadowane na osobiste życzenie Berii. Tyle że wszyscy Rosjanie, którzy mogliby to potwierdzić, zginęli. O skrzyniach powinni wiedzieć również – z racji zajmowanego stanowiska – Kobułow oraz minister Goglidze, ale ci wypierali się jakiejkolwiek wiedzy na ten temat.

Nikotin zasugerował więc, że obciążenie samolotu dodatkowym ładunkiem było celowym sabotażem ze strony Niemców. Mieli motyw. Beria od 1955 r. prowadził rozmowy z zachodnimi mocarstwami na temat zjednoczenia Niemiec i ogłoszenia traktatu pokojowego. Władzę miał objąć Joseph Wirth, kanclerz Republiki Weimarskiej z ramienia Partii Centrum (poprzedniczki CDU), dobrze kojarzony przez Moskwę jako jeden z twórców układu sowiecko-niemieckiego w Rapallo.

Śmierć Wirtha w 1956 r. pokrzyżowała nieco plany. Zjednoczeniu i związanej z tym planowanej neutralizacji Niemiec przeciwny był zarówno Konrad Adenauer, jak i Walter Ulbricht. Pierwszy, bo oznaczało to odseparowanie Niemiec od Zachodu, drugi – bo wraz z likwidacją NRD musiałby się pożegnać z władzą.

Adenauera wspierały Francja i Włochy, ale Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wydawały się gotowe do zwołania konferencji pokojowej i ponownego podziału wpływów w Europie. Beria grał niemiecką opinią publiczną, sugerując, że wraz ze zjednoczeniem do neutralnych Niemiec wrócą utracone na wschodzie ziemie należące do Polski. Wspominał nawet, co wzbudziło już poważny niepokój w Moskwie, o możliwym zwrocie Prus. Za to w Niemczech był autentycznie popularny.

Wydawało się, że w zaplanowanych wstępnie na 1961 r. wyborach w zjednoczonych Niemczech wygra opcja neutralna. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec z Europy mieli się wycofać Amerykanie, Beria pozostawiał im za to wolną rękę w Azji, gdzie znów zaczynał się tlić konflikt w Wietnamie, i na zachodniej półkuli, gdzie władzę na Kubie przejął właśnie Fidel Castro. Przerzucenie amerykańskiej uwagi na inne kontynenty (zwłaszcza na Azję) było o tyle wygodne dla Moskwy, że wpychało Stany Zjednoczone w konflikt z maoistowskimi Chinami, które w 1956 r. zerwały wszelkie związki z Moskwą i stanowiły dla niej potencjalne zagrożenie. Beria bardzo się cieszył ze spodziewanego zwycięstwa Johna F. Kennedy'ego w trwających właśnie wyborach prezydenckich w USA. – Z nim na pewno się dogadam – zacierał ręce.

* * *

Czy za katastrofą rządowego Tu-114 stała któraś z niemieckich frakcji sprzeciwiających się zjednoczeniu? A może Francuzi, przekonani, że neutralizacja Niemiec oznacza koniec niedawno powstałej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej? A może Polacy, gdzie komunistów zastąpili dawni narodowcy z PAX, domagający się od Moskwy gwarancji, że nie utracą zachodnich ziem? Albo amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy, zagrożony polityką odprężenia?

Nikotin nie odpowiedział na te pytania, ponieważ śledztwo zostało mu odebrane, a on sam odwołany do Moskwy, gdzie zniknął bez śladu. Dochodzenie przejął współpracownik Leonida Breżniewa, dawny działacz Komsomołu Aleksander Szelepin. Na podstawie jego śledztwa ustalono, że przyczyną katastrofy Tu-114 z Ławrientijem Berią na pokładzie był sabotaż przeprowadzony na zlecenie służb amerykańskich przez Kobułowa i Goglidzego, którzy chcieli obalić legalne władze. Obaj przyznali się do winy i w 1961 r. zostali rozstrzelani.

Nowy przywódca państwa Leonid Breżniew oskarżył Amerykę o próbę destabilizacji w Rosji i wezwał do obrony państwa przed obcą interwencją. Świat zaczął powracać w stare koleiny, wielu znowu odetchnęło z ulgą.

eprasa.pl b7843a2655



Szanowni Państwo,

Europa, do której należymy i która jest naszym dziedzictwem, to ponad dwa i pół tysiąca lat skomplikowanych i często trudnych dziejów, wspaniałych osiągnięć, a także bolesnych upadków. Jej główne źródła – grecka filozofia, rzymskie prawo i chrześcijańskie objawienie spraw ostatecznych – przez wieki okazywały swoją moc twórczą, zapładniały wyobraźnię i umysły, pozwalały rozwijać wiedzę i technikę, tworzyć piękno, budować instytucje długiego trwania, zaspokajać potrzeby ducha. Ale zdarzały się epoki, w których dochodziło do załamania tych sił twórczych i Europa ulegała wpływom fałszywych idoli. Jest wiele powodów, by sądzić, że właśnie z takim okresem możemy mieć do czynienia obecnie. Zapraszam do lektury tekstu napisanego przez kilkunastu intelektualistów głęboko zaangażowanych w europejską kulturę, a jednocześnie zaniepokojonych dzisiejszym stanem ducha.

Ryszard Legutko,
współprzewodniczący Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

DEKLARACJA PARYSKA

EUROPA, W JAKĄ WIERZYMY

Europa jest naszym domem

1 Europa należy do nas, a my należymy do Europy. Jej ziemie są naszym domem: innych nie mamy. Powody, dla których kochamy Europę, przekraczają naszą zdolność wyjaśnienia lub usprawiedliwienia naszego do niej przywiązania. To kwestia wspólnych dziejów, nadziei i miłości. To kwestia zwyczajów. Chwil patosu i cierpienia. Inspirujących doświadczeń pojednania i obietnica wspólnej przyszłości. Zwykłe krajobrazy i zdarzenia mają dla nas wyjątkowe znaczenie – dla nas, ale już nie dla innych. Dom to przestrzeń, gdzie wszystko jest znajome i gdzie jest dla nas miejsce, niezależnie od tego, dokąd zbłądziliśmy. Taka jest prawdziwa Europa – nasza cenna i niezastąpiona cywilizacja. Europa jest naszym domem

Zagraża nam fałszywa Europa

2 Europa – z całym swoim bogactwem i wspaniałością – zagrożona jest jednak fałszywym rozumieniem samej siebie. Owa fałszywa Europa uważa, że w swoim obecnym kształcie stanowi wypełnienie naszej cywilizacji; tymczasem tak naprawdę chce zająć nasz dom. Ma skłonność do przesady i zniekształca autentyczne cnoty europejskie, podczas gdy sama jest ślepa na swoje wady. Zadowolona z siebie – posługując się jednostronnymi karykaturami naszej historii – fałszywa Europa tkwi w uporczywym uprzedzeniu w stosunku do własnej przeszłości. Jej orędownicy to sieroty z wyboru, ludzie, którzy zakładają, że sieroctwo – bycie bezdomnym – jest jakimś szlachetnym osiągnięciem. W ten sposób fałszywa Europa szczyci się, że stanowi zapowiedź uniwersalnej wspólnoty – która nie jest ani uniwersalna, ani nie jest wspólnotą. Zagraża nam fałszywa Europa

Fałszywa Europa jest utopijna i despotyczna

3 Patroni fałszywej Europy tkwią pod urokiem przesądów na temat nieuchronnego postępu. Wierzą, że Historia jest po ich stronie, a wiara ta napełnia ich pychą i wzgardą tak, że nie są w stanie dostrzec wad postnarodowego i postkulturowego świata, który sami konstruują. Nie znają, co więcej, prawdziwych źródeł ludzkiej przyzwoitości, która – tak jak nam – jest im przecież droga. Ignorują – czy wręcz odrzucają – chrześcijańskie korzenie Europy. A jednocześnie bardzo się starają, by nie obrazić muzułmanów, którzy – wedle ich wyobrażeń – z ochotą przyjmą ich świecki multikulturowy światopogląd. Pogrążona w uprzedzeniach, przesądzie i ignorancji, zaślepiona pustymi, bezkrytycznymi wizjami utopijnej przyszłości, fałszywa Europa automatycznie tłamsi sprzeciw. A robi to oczywiście w imię wolności i tolerancji. Fałszywa Europa jest utopijna i despotyczna

Musimy bronić rzeczywistej Europy

4 Zbliżamy się do ślepego zaułka. Największym zagrożeniem dla przyszłości Europy nie jest ani rosyjskie awanturnictwo, ani muzułmańska imigracja. Prawdziwym niebezpieczeństwem jest dławiący uścisk, w którym fałszywa Europa trzyma naszą wyobraźnię. Narody i wspólna kultura są wydrążane przez iluzje i samooszukiwanie się

EKR Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

eprasa.pl b7843a2655

co do tego, czym Europa jest i czym być powinna. Przyrzekamy, że będziemy opierać się tym zagrożeniom naszej przyszłości. Będziemy chronić, podtrzymywać i bronić rzeczywistej Europy, tej, do której wszyscy tak naprawdę należymy. Musimy bronić rzeczywistej Europy

* * *

Solidarność i obywatelska lojalność zachęcają do czynnego uczestnictwa

5 Prawdziwa Europa oczekuje i zachęca do czynnego udziału we wspólnym projekcie politycznego i kulturowego życia. Do ideałów europejskich należy solidarność, która opiera się na uznaniu pewnego zbioru przepisów prawa, które stosuje się do wszystkich, ale jest ograniczone w swoich wymogach. Owo uznanie nie musi koniecznie przyjmować formy demokracji przedstawicielskiej. Niemniej nasze tradycje obywatelskiej lojalności są odzwierciedleniem naszych tradycji politycznych i kulturowych, niezależnie od ich formy. Europejczycy walczyli w przeszłości o coraz większe otwieranie się systemów politycznych na powszechne uczestnictwo – a my słusznie czerpiemy dumę z tej historii. Walka ta przyjmowała nierzadko formę otwartej rebelii, a mimo to nasi przodkowie przyznawali, że nawet przy niesprawiedliwościach i wadach wcześniejszych tradycji tradycje te są nasze. Takie poświęcenie na rzecz poprawy pokazuje, że Europa dąży do coraz większej sprawiedliwości, a duch postępu ma źródło w miłości i przywiązaniu do naszych ojczyzn. Solidarność i obywatelska lojalność zachęcają do czynnego uczestnictwa

Nie jesteśmy biernymi poddanymi

6 Europejski duch jedności pozwala na wzajemne zaufanie w przestrzeni publicznej – nawet jeśli jesteśmy sobie obcy. Publiczne parki, rynki i szerokie place naszych miast i miasteczek wyrażają europejskiego ducha politycznego: wspólne jest nasze życie i wspólna res publica. Przyjmujemy założenie, że przyjęcie odpowiedzialności za przyszłe losy naszych społeczeństw jest naszym obowiązkiem. Nie jesteśmy biernymi poddanymi despotycznej władzy, świeckiej czy kościelnej. Nie jesteśmy również bezsilni wobec nieubłaganych sił historii. Bycie Europejczykiem oznacza posiadanie politycznej i historycznej podmiotowości. To my jesteśmy autorami naszego wspólnego przeznaczenia. Nie jesteśmy biernymi poddanymi

Państwo narodowe znakiem rozpoznawczym Europy

7 Prawdziwa Europa jest wspólnotą narodów, które posiadają własne języki, tradycje i granice. Zawsze jednak – nawet gdy się ze sobą nie zgadzaliśmy lub prowadziliśmy ze sobą wojny – dostrzegaliśmy wzajemną więź. Owa jedność w różnorodności wydaje się czymś naturalnym, a jednocześnie czymś nadzwyczajnym i cennym, bo w rzeczywistości nie jest ani naturalna, ani nieunikniona. Najpowszechniejszą polityczną formą jedności w różnorodności jest imperium, które – po upadku Cesarstwa Rzymskiego – wojowniczy europejscy królowe starali się przez stulecia odtworzyć. Pokusa imperialnej formy pozostała, ale przetrwała idea państwa narodowego – systemu, który łączy powszechność z suwerennością. W ten sposób państwo narodowe stało się znakiem rozpoznawczym cywilizacji europejskiej. Państwo narodowe znakiem rozpoznawczym Europy

Nie popieramy wymuszonej jedności

8 Wspólnota narodowa czerpie dumę z tego, że rządzi się na swój własny sposób, szczyci się także wielkimi osiągnięciami swojego narodu w dziedzinie sztuki czy nauk ścisłych – ale rywalizuje z innymi narodami, niekiedy na polu bitwy. Wzajemne wojny zadały Europie wiele – często dotkliwych – ran, ale nigdy nie zagroziły jej kulturowej jedności. Było wręcz odwrotnie: wraz z ustanawianiem i wyodrębnianiem się państw narodowych coraz silniejsza stawała się wspólna europejska tożsamość. Potworny rozlew krwi światowych wojen XX wieku wyzwolił w nas większą determinację, by szanować wspólne dziedzictwo. Świadczy to o głębi i sile europejskiej cywilizacji, która jest kosmopolityczna we właściwym sensie tego słowa. Nie jest naszym celem wymuszona jedność imperialna. Przeciwnie: europejski kosmopolityzm wymaga, by patriotyczna miłość i lojalność obywatelska otwierały nas na szerszy świat. Nie popieramy wymuszonej jedności

Chrześcijaństwo sprzyjało jedności kulturowej

9 Prawdziwa Europa została naznaczona chrześcijaństwem. Uniwersalne duchowe imperium Kościoła nadało Europie kulturową jedność, jednak bez udziału imperium politycznego. Dzięki temu poszczególne obywatelskie lojalności mogły rozwijać się w obrębie wspólnej europejskiej kultury. Cechą charakterystyczną europejskiego życia stała się autonomia tego, co nazywamy społeczeństwem obywatelskim. Co więcej, chrześcijańska doktryna nie wypełnia swoimi nakazami każdej dziedziny życia, co pozwala na zapewnienie i poszanowanie różnorodności świeckich praw narodów, nie zagrażając naszej europejskiej jedności. Nie jest przypadkiem, że wraz z kryzysem chrześcijaństwa w Europie na nowo podejmowane są starania zmierzające do ustanowienia jedności politycznej – imperium pieniędzy i regulacji, które występuje pod przykrywką sentymentów pseudoreligijnego uniwersalizmu, a jest konstruktem Unii Europejskiej. Chrześcijaństwo sprzyjało jedności kulturowej

eprasa.pl b7843a2655

Chrześcijańskie korzenie wzmacniają Europę

10 Prawdziwa Europa uznaje równą godność każdej jednostki, niezależnie od jej płci, rasy czy warstwy społecznej. To również wyrasta z naszych chrześcijańskich korzeni. Nasze szlachetne cnoty jednoznacznie zawdzięczamy chrześcijańskiej spuściźnie: uczciwość, współczucie, miłosierdzie, zdolność przebaczania, pokojowe nastawienie czy miłość bliźniego. To chrześcijaństwo – kładąc nacisk na miłość i wzajemną wierność – w niespotykany sposób zrewolucjonizowało relacje pomiędzy mężczyznami a kobietami. Związek małżeński pozwala rozkwitać we wzajemnej wspólnocie zarówno kobietom, jak i mężczyznom. Gdy dokonujemy poświęceń w życiu, robimy to najczęściej przez wzgląd na naszych współmałżonków i nasze dzieci. Ten duch oddania jest także wkładem chrześcijaństwa w kulturę Europy, jaką kochamy. Chrześcijańskie korzenie wzmacniają Europę

Klasyczne korzenie inspirują dążenia do doskonałości

11 Prawdziwa Europa stale czerpie również z tradycji klasycznej. Identyfikujemy się z dziełami starożytnej Grecji i Rzymu. Jako Europejczycy dążymy do doskonałości, korony cnót klasycznych. W przeszłości chęć zdobycia przewagi prowadziła niekiedy do brutalnej rywalizacji. Ale w swoim najlepszym wydaniu dążenie do doskonałości skłania Europejki i Europejczyków do rozwoju – czy to w dziedzinie tworzenia niezrównanych dzieł artystycznych, czy to dokonywania przełomowych odkryć w naukach i technologii. Prawdziwa Europa zachowała pamięć zarówno o wspaniałości rzymskiej cnoty umiarkowania, jak i o greckiej dumie obywatelstwa oraz duchu filozoficznych dociekań. One również stanowią nasze dziedzictwo. Klasyczne korzenie inspirują dążenia do doskonałości

Europa jest wspólnym przedsięwzięciem

12 Prawdziwa Europa nigdy nie była doskonała, a zwolenników Europy fałszywej nie należy ganić za ich dążenia do rozwoju i reform. Po roku 1945 i 1989 osiągnięto wiele sukcesów godnych pochwały i szacunku. Nasze wspólne życie jest przecież projektem żywym, a nie skostniałą spuścizną. Ale Europa powinna opierać swoją przyszłość na odnowionym przywiązaniu do najlepszych tradycji, a nie na pozornym uniwersalizmie, który domaga się zapomnienia i samowyparcia. Europa nie zaczęła się od Oświecenia. Unia Europejska nie jest zaś ostateczną formą rozwoju naszego domu, który tak kochamy. Prawdziwa Europa jest – i zawsze będzie – wspólnotą narodów, które czasem wydają się zaściankowe (bywa, że nadmiernie), ale przecież jednoczy je duchowe dziedzictwo, o które się spieramy, które rozwijamy, w którym wspólnie uczestniczymy, i które kochamy. Europa jest wspólnym przedsięwzięciem

* * *

Tracimy nasz dom

13 Prawdziwa Europa jest w niebezpieczeństwie. Wszystkie nasze osiągnięcia – narodowa suwerenność, opór wobec imperium, kosmopolityzm harmonizujący z obywatelską miłością, chrześcijański ideał dobrego i godnego życia, głębokie przeżywanie klasycznej spuścizny – wymykają nam się z rąk. Podczas gdy patroni fałszywej Europy konstruują swoją sztuczną religię powszechnych praw człowieka, my tracimy nasz dom. Tracimy nasz dom

Dominuje fałszywa wolność

14 Fałszywa Europa szczyci się niespotykanym poświęceniem na rzecz ludzkiej wolności. Wolność ta jest jednak bardzo jednostronna. Definiuje się ją jako uwolnienie od wszelkich ograniczeń: to wolność seksualna, wolność ekspresji, wolność „bycia sobą". Pokolenie '68 uważa, że swobody te stanowią cenne zwycięskie trofea, wydarte wszechmocnemu niegdyś, represywnemu reżimowi kulturowemu. Rewolucjoniści lat 60. uważają się za wielkich wyzwolicieli, których szlachetne osiągnięcia moralne zasługują na wdzięczność całego świata. Dominuje fałszywa wolność

Upowszechnieniają się indywidualizm, izolacja, i jałowość

15 Ale dla młodszych pokoleń Europejczyków rzeczywistość jest dużo mniej różowa. Libertyński hedonizm prowadzi często do nudy i głębokiego poczucia bezcelowości. Instytucja małżeństwa uległa osłabieniu. Szalejący żywioł seksualnego wyzwolenia nierzadko niweczy głębokie pragnienia młodych ludzi – pragnienia małżeństwa i rodziny. A wolność, która niweczy najgłębsze pragnienia naszych serc, staje się przekleństwem. Nasze społeczeństwa zdają się pogrążać w indywidualizmie, izolacji i jałowości. Zamiast wolności mamy tępe podporządkowanie kulturze konsumpcji i mediów. Trzeba powiedzieć prawdę: pokolenie '68 niszczyło, nie budowało. Stworzyło próżnię, którą obecnie wypełniają media społecznościowe, tania turystyka i pornografia. Upowszechniają się indywidualizm, izolacja i jałowość

Jesteśmy poddawani kontroli i sterowaniu

16 Wbrew głośnym przechwałkom o niespotykanej wolności Europejczyków ich życie podlega coraz głębszej kontroli. Przepisy – sporządzane często, w porozumieniu z potężnymi interesami, przez anonimowych technokratów – kierują naszymi stosunkami w pracy, decyzjami biznesowymi, edukacyjnymi kwalifikacjami, czy informacyjnymi i rozrywkowymi mediami. Obecnie Europa usiłuje zacieśnić istniejące już przepisy dotyczące wolności słowa – rdzennej wolności europejskiej, w której przejawia się wolność sumienia. Nie ogranicza się tu jednak ani wulgarności, ani innych ataków na przyzwoitość w życiu publicznym. Zamiast tego europejskie klasy rządzące pragną ograniczyć mowę jawnie polityczną. Przywódcy,

eprasa.pl b7843a2655

którzy wypowiadają niewygodne prawdy na temat islamu i imigracji, są ciągani po sądach, a polityczna poprawność nakłada tabu na poglądy, które podważają status quo. Fałszywa Europa bynajmniej nie zachęca do kultury wolności. Promuje napędzaną rynkiem kulturę jednorodności i politycznie wymuszonego konformizmu. Jesteśmy poddawani kontroli i sterowaniu

Multikulturalizm jest niewykonalny

17 Fałszywa Europa szczyci się również niespotykanym oddaniem idei równości. Twierdzi, że walczy o niedyskryminację i o integrację wszystkich ras, religii i tożsamości. W tej dziedzinie poczyniono autentyczny postęp, niemniej i tak zwycięża utopijne odklejenie od rzeczywistości. Już od pokoleń dąży się do realizacji wielkiego projektu multikulturalizmu. Domaganie się czy nawet promowanie asymilacji muzułmańskich przybyszów względem naszych zachowań i obyczajów (nie mówiąc już o religii) uznaje się za wielką niesprawiedliwość. Idea równości wymaga – jak słyszymy – byśmy wystrzegali się nawet wzmianki o tym, że wierzymy w wyższość naszej kultury. Jest paradoksem, że multikulturowe przedsięwzięcie, zaprzeczające chrześcijańskim korzeniom Europy, stanowi tak naprawdę wersję chrześcijańskiej idei uniwersalnej miłości, tyle że w przesadzonej i niemożliwej do zrealizowania formie. Wymaga od Europejczyków, by szlachetnie wyparli się samych siebie. Każe nam się wspierać kolonizację naszych ziem i upadek naszej kultury, a ów kolektywny akt samopoświęcenia na rzecz jakiejś nowej, rodzącej się właśnie globalnej społeczności pokoju i dostatku, ma być chwałą Europy XXI wieku. Multikulturalizm jest niewykonalny

Pogłębia się zła wiara

18 W takim myśleniu jest dużo złej wiary. Tak naprawdę większość przedstawicieli naszych klas rządzących nie ma wątpliwości co do wyższości kultury europejskiej, ale takich poglądów nie wolno im głosić publicznie, by nie obrazić imigrantów. Niemniej taka wyższość jest założeniem, skoro uważają oni, że do asymilacji dojdzie naturalnie i szybko. Myślenie imperialne dawnych czasów rozbrzmiewa tutaj ironicznym echem, gdy europejscy technokraci zakładają, że drogą jakichś praw natury czy historii, „oni" z konieczności staną się tacy jak „my". Nie wyobrażają sobie, że może być zupełnie odwrotnie. Tymczasem oficjalnej doktryny multikulturalizmu używa się jako terapeutycznego narzędzia do radzenia sobie z przykrymi, ale „przejściowymi" kulturowymi napięciami. Pogłębia się zła wiara

Nasila się technokratyczna tyrania

19 Znaleźć tu można jeszcze więcej złej wiary, i to mroczniejszego rodzaju. W ciągu ostatnich dziesięcioleci coraz większa część naszej klasy rządzącej zaczęła uznawać, że przyspieszona globalizacja leży w jej interesie. Buduje więc ponadpaństwowe instytucje, które można kontrolować, unikając uciążliwości związanych z narodową suwerennością. Coraz lepiej widać, że „demokratyczny deficyt" Unii Europejskiej nie jest jedynie problemem technicznym, który można naprawić technicznymi środkami. Przeciwnie: deficyt ten jest fundamentalnym celem i gorliwie się go broni. Legitymizując swoje poczynania bądź to koniecznością ekonomiczną, bądź autonomicznym rozwojem międzynarodowego prawodawstwa praw człowieka, ponadnarodowi mandaryni z instytucji unijnych zagarniają polityczne życie Europy, na wszystkie wątpliwości odpowiadając w jeden sposób: Nie ma alternatywy. To łagodna, ale coraz bardziej realna tyrania, z którą musimy się mierzyć. Nasila się technokratyczna tyrania

Fałszywa Europa jest krucha i bezsilna

20 Mimo starań zwolenników fałszywej Europy, by podtrzymywać wygodne iluzje, pycha tego projektu staje się coraz bardziej widoczna. Przede wszystkim widać, że fałszywa Europa jest słabsza niż sądzono. Popularna rozrywka i konsumpcja materialna nie podtrzymują życia obywatelskiego. Nasze społeczeństwa – które multikulturowa ideologia pozbawiła ideałów i chęci do wyrażania patriotycznej dumy – nie potrafią znaleźć w sobie woli do obrony. Retoryka inkluzywności i bezosobowy system ekonomiczny, zdominowany przez gigantyczne międzynarodowe korporacje, nie odbudowują obywatelskiego zaufania i społecznej spoistości. Trzeba powiedzieć otwarcie: społeczeństwa europejskie są mocno zużyte. Wystarczy rozejrzeć się, by dostrzec coraz większe wykorzystywanie władzy rządu, sterowania społeczeństwem i indoktrynacji w szkołach. Uzbrojeni żołnierze wychodzą na ulicę nie tylko z powodu islamskiego terroru. Oddziały prewencyjne policji okazują się teraz niezbędne do opanowania agresywnych antysystemowych protestów, a nawet do okiełznania pijanych tłumów kibiców piłkarskich. Fanatyzm kibiców jest dramatycznym sygnałem głębokiej ludzkiej potrzeby solidarności – potrzeby, której w fałszywej Europie nie da się zaspokoić w inny sposób. Fałszywa Europa jest krucha i bezsilna

Utrwala się kultura odrzucenia

21 Europejskie klasy intelektualne należą niestety do głównych ideologicznych zwolenników pychy Europy fałszywej. Nasze uniwersytety są bez wątpienia dumą cywilizacji europejskiej. Ale podczas gdy kiedyś starały się przekazywać nowym pokoleniom mądrość poprzednich wieków, dzisiaj większość z nich stawia znak równości pomiędzy krytycznym myśleniem a nierozumnym odrzuceniem przeszłości. Dawniej europejski duch kierował się

eprasa.pl b7843a2655

rygorem intelektualnej uczciwości i obiektywizmu. Przez ostatnie dwa pokolenia jednak ten szlachetny ideał uległ przeobrażeniu. Dyscyplina umysłu, która kiedyś broniła przed tyranią dominującej opinii, przerodziła się w beztroską i bezrefleksyjną niechęć w stosunku do wszystkiego co nasze. Taka postawa kulturowego odrzucenia stała się tanim i prostym sposobem na „krytycyzm". Od lat promowana jest w salach wykładowych, stając się doktryną, dogmatem. A każdy nowy wyznawca takiego kulturowego kredo uważany jest za przedstawiciela „oświecenia" i za duchowego wybrańca. W rezultacie nasze uniwersytety są obecnie czynnymi podmiotami trwającej kulturowej destrukcji. Utrwala się kultura odrzucenia

Elity butnie demonstrują swoje cnoty

22 Nasze klasy rządzące wspierają prawa człowieka. Zajmują się walką ze zmianami klimatycznymi. Kierują coraz bardziej zintegrowaną globalnie ekonomią rynkową i ujednoliceniem polityki podatkowej. Monitorują postęp w dziedzinie równości płciowej. Tyle dla nas robią! Jakie mają więc znaczenie mechanizmy, które stały za objęciem przez nich ich urzędów? Jakie znaczenie ma coraz większy sceptycyzm, z jakim ludy europejskie podchodzą do ich zabiegów? Elity butnie demonstrują swoje cnoty

Istnieje alternatywa

23 Ten rosnący sceptycyzm jest w pełni uzasadniony. Europa jest dzisiaj zdominowana przez jałowy materializm, który nie jest w stanie zachęcić kobiet i mężczyzn do zakładania rodzin i posiadania dzieci. Kultura odrzucenia pozbawia przyszłe pokolenie poczucia tożsamości. W niektórych krajach europejskich znajdują się regiony, w których muzułmanie cieszą się nieformalną autonomią wobec lokalnych praw – tak jak gdyby byli kolonistami, a nie współczłonkami narodowości. Indywidualizm izoluje nas od siebie. Globalizacja wpływa na perspektywy życiowe milionów ludzi. Na pytanie, dlaczego tak się dzieje, klasy rządzące Europą odpowiadają, że to element pracy nad dopasowaniem się do tego, co nieuniknione, że to przystosowanie do nieuchronnej konieczności. Że żadna inna droga nie jest możliwa, a każdy, kto myśli inaczej, jest irracjonalny. Że rzeczywistość nie może przedstawiać się inaczej. Tym, którzy się sprzeciwiają, mówi się, że cierpią na nostalgię – która zasługuje na moralne potępienie, gdyż jest oznaką rasizmu lub faszyzmu. Wraz ze zwiększaniem się społecznych podziałów i obywatelskiej nieufności w publicznym życiu Europy rośnie gniew i gorycz, i nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak się to wszystko skończy. Nie możemy już dłużej podążać tą drogą. Musimy odrzucić tyranię fałszywej Europy. Jest alternatywa. Istnieje alternatywa

* * *

Musimy odrzucić pseudoreligię

24 Praca musi rozpocząć się od teologicznego samopoznania. Uniwersalistyczne i uniwersalizujące roszczenia fałszywej Europy pokazują, że stanowi ona namiastkę przedsięwzięcia religijnego, łącznie z silnymi quasi-religijnymi obowiązkami i anatemami. To mocne opium, które paraliżuje Europę jako organizm polityczny. Dążenia religijne należą – podkreślmy to z całą mocą – do dziedziny religii, nie polityki, a tym bardziej nie do biurokratycznej administracji. Odzyskanie przez nas politycznej i historycznej podmiotowości wymaga ponownej sekularyzacji europejskiego życia publicznego. Musimy odrzucić pseudoreligię

Musimy przywrócić prawdziwy liberalizm

25 Będziemy zatem musieli wyrzec się zakłamanego języka, który unika odpowiedzialności i sprzyja ideologicznej manipulacji. Mówienie o różnorodności, inkluzywności i multikulturalizmie jest puste. Taki język jest często wykorzystywany do przedstawiania naszych porażek jako sukcesów: osłabienie społecznej solidarności ma być „faktycznie" znakiem gościnności, tolerancji i integracji. To język marketingu, którego celem jest zaciemnienie rzeczywistości, a nie jej rozjaśnienie. A my musimy odzyskać dla rzeczywistości trwały szacunek. Język jest delikatnym narzędziem i ulega dewaluacji, gdy używa się go jako maczugi. Powinniśmy być patronami językowej przyzwoitości. Uciekanie się do oskarżeń jest znakiem dekadencji dzisiejszych czasów. Nie wolno nam tolerować słownego zastraszania, a tym bardziej śmiertelnych pogróżek. A tych, którzy mówią rozsądnie – nawet jeśli się z nimi nie zgadzamy – powinniśmy chronić. Przyszłość Europy musi być liberalna w najlepszym sensie tego słowa – rzetelna publiczna debata winna być wolna od gróźb przemocy i przymusu. Musimy przywrócić prawdziwy liberalizm

Potrzebujemy odpowiedzialnych przywódców

26 Przełamanie klątwy fałszywej Europy i jej utopijnej pseudoreligijnej krucjaty na rzecz świata bez granic oznacza ukształtowanie nowego rodzaju przywództwa politycznego i nowego rodzaju męża stanu. Dobry polityczny przywódca dba o dobro konkretnej społeczności. Dobry mąż stanu uważa, że nasze wspólne europejskie dziedzictwo i nasze poszczególne narodowe tradycje są darem wspaniałym i życiodajnym, ale jednocześnie kruchym. Nie będzie on odrzucał tego dziedzictwa ani nie zaryzykuje jego utraty na rzecz utopijnych marzeń. Tacy przywódcy pragną szacunku swoich obywateli, a nie aprobaty „międzynarodowej społeczności", która tak naprawdę jest wizerunkowym narzędziem oligarchii. Potrzebujemy odpowiedzialnych przywódców

eprasa.pl b7843a2655

Musimy odnowić jedność narodową i solidarność

27 Uznając szczególny charakter narodów Europy i ich chrześcijańskiego charakteru, nie musimy kłopotać się fałszywymi żądaniami multikulturalistów. Imigracja bez asymilacji jest kolonizacją i jako taka winna zostać odrzucona. Słuszne są nasze oczekiwania, że ci, którzy migrują do naszych ziem, włączą się w nasze społeczeństwa i przyjmą nasze obyczaje. Te oczekiwania musi wspierać rozsądna polityka migracyjna. Język multikulturalizmu przejęliśmy z Ameryki. Ale wielki wiek amerykańskiej imigracji przypadł na przełom XX wieku – okresu gwałtownego wzrostu ekonomicznego – w kraju, w którym praktycznie nie istnieje system socjalny i w którym panuje bardzo silne poczucie tożsamości narodowej, którą imigranci mieli przyjąć. Po przyjęciu ogromnej liczby przybyszów Ameryka zamknęła się niemal całkowicie na dwa pokolenia. Europa powinna przyswoić sobie tę lekcję amerykańskiego doświadczenia, zamiast chłonąć współczesne ideologie. A doświadczenie to mówi nam, że miejsca pracy są silnym motorem dla asymilacji, że hojny system socjalny może ją utrudnić, zaś roztropne polityczne przywództwo czasem nakazuje, by imigrację – niekiedy drastycznie – ograniczyć. Nie wolno dopuścić, by multikulturowa ideologia deformowała nasze polityczne osądy dotyczącego tego, jak najlepiej służyć dobru wspólnemu. To z kolei wymaga, by narodowe wspólnoty, złączone wystarczającą jednością i solidarnością, postrzegały swoje dobro jako wspólne. Musimy odnowić jedność narodową i solidarność

Jedynie imperia są multikulturowe

28 Po II wojnie światowej Europa Zachodnia rozwijała dynamiczne demokracje, a po upadku imperium sowieckiego narody Europy Środkowej odbudowały swoją własną dynamikę obywatelską. Jest to jedno z najcenniejszych osiągnięć Europy. Zostaną one jednak zmarnowane, jeśli nie poradzimy sobie z imigracją i ze zmianami demograficznymi w naszych krajach. Tylko imperia mogą być multikulturowe, i takim imperium stanie się Unia Europejska, jeśli nie uda nam się doprowadzić do tego, by solidarność i jedność obywatelska stały się kryteriami, wedle których oceniać będziemy politykę imigracyjną i strategie asymilacji. Jedynie imperia są multikulturowe

Właściwa hierarchia służy społecznemu dobrobytowi

29 Wielu ludzi głosi błędny pogląd, jakoby Europą wstrząsały jedynie spory wokół imigracji. Tak naprawdę stanowią one zaledwie jeden wymiar procesu ogólnej społecznej dezintegracji, który należy odwrócić. Musimy przywrócić godność poszczególnym rolom społecznym. Rodzice, nauczyciele i profesorowie mają obowiązek kształtować te role wśród tych, którzy znajdują się pod ich opieką. Należy powstrzymać kult eksperckości, który odbywa się kosztem mądrości, taktu oraz kultury w naszym życiu. Nie może być mowy o odnowieniu Europy bez stanowczego odrzucenia nadmiernego egalitaryzmu i redukowania mądrości do umiejętności technicznych. Popieramy polityczne osiągnięcia współczesności. Każdy mężczyzna i każda kobieta powinni mieć równe prawo wyborcze. Ważne prawa należy chronić. Ale zdrowa demokracja wymaga społecznych i kulturowych hierarchii, które zachęcają do dążenia ku doskonałości i wyrażają szacunek wobec tych, którzy służą wspólnemu dobru. Powinniśmy przywrócić poczucie duchowej wielkości i nadać mu stosowne znaczenie tak, by nasza cywilizacja potrafiła bronić się przed wzrastającą władzą samego bogactwa oraz prymitywnej rozrywki. Właściwa hierarchia służy społecznemu dobrobytowi

Musimy odnowić moralną kulturę

30 Ludzka godność to coś więcej niż prawo do świętego spokoju, a doktryny międzynarodowych praw człowieka nie wyczerpują wymogów sprawiedliwości, a tym mniej dobra. Europa powinna odnowić konsensus moralnej kultury, aby ludzie starali się zmierzać ku życiu cnotliwemu. Nie możemy pozwolić, by fałszywy pogląd na wolność krępował roztropne użycie prawa jako narzędzia do odstraszania występków. Musimy wybaczać ludzkie słabości, ale jednocześnie nie zapominać, że rozkwit Europy będzie niemożliwy bez przywrócenia wspólnotowych dążeń do uczciwego postępowania i do ludzkiej doskonałości. Kultura godności wypływa z przyzwoitości i wypełniania obowiązków wynikających z miejsca, jakie zajmujemy w społeczeństwie. Musimy odnowić wzajemny szacunek pomiędzy klasami społecznymi – szacunek, który obecny jest w społeczeństwie ceniącym wkład każdego z nas. Musimy odnowić moralną kulturę

Ład rynkowy powinien uwzględniać cele społeczne

31 Uznając pozytywne aspekty ekonomii wolnorynkowej, musimy jednocześnie sprzeciwić się ideologiom, które absolutyzują logikę rynku. Nie godzimy się na to, by wszystko było na sprzedaż. Sprawnie funkcjonujące rynki wymagają rządów prawa, a nasze rządy prawa powinny mieć za cel więcej niż tylko ekonomiczną wydajność. Rynek działa dobrze, jeśli mieści się w obrębie silnych społecznych instytucji, które zorganizowane są na własnych – nierynkowych – zasadach. Wzrost ekonomiczny, chociaż dobroczynny, nie jest dobrem najwyższym. Rynki powinny zwracać się ku celom społecznym. Dzisiaj korporacyjny gigantyzm staje się zagrożeniem nawet dla politycznej suwerenności. Narody powinny współpracować, aby zapanować nad arogancją i bezmyślnością globalnych sił ekonomicznych. Popieramy roztropne użycie władzy w celu podtrzymania

eprasa.pl b7843a2655

nie-ekonomicznych dóbr społecznych. Ład rynkowy powinien uwzględniać cele społeczne

Edukacja wymaga reformy

32 Wierzymy, że historia i kultura Europy są warte podtrzymania. Nasze uniwersytety zbyt często jednak dopuszczają się zdrady względem naszego kulturowego dziedzictwa. Musimy zreformować programy nauczania w taki sposób, by służyły one przekazywaniu wspólnej kulturowej spuścizny, a nie indoktrynowaniu młodych ludzi kulturą odrzucenia. Na nauczycielach i wychowawcach na każdym poziomie spoczywa obowiązek pamięci. Powinni oni czerpać dumę ze swojej roli jako mostu łączącego przeszłe pokolenia z tymi, które nadejdą. Należy odnowić wysoką kulturę europejską, ustalając za wspólny standard wzniosłość i piękno; odrzucając zaś degradację sztuk i sprowadzanie ich do politycznej propagandy. Będzie to wymagało ukształtowania nowego pokolenia mecenasów. Korporacje i biurokracje okazały się bowiem marnymi mecenasami sztuki. Edukacja wymaga reformy

Małżeństwo i rodzina to podstawa

33 Małżeństwo jest podstawą społeczeństwa obywatelskiego i podłożem harmonii pomiędzy mężczyznami a kobietami. Jest ono intymną więzią, która zbudowana jest wokół utrzymania rodziny i wychowania dzieci. W naszym przekonaniu najbardziej fundamentalnymi rolami społecznymi i ludzkimi jest rola ojców i matek. Małżeństwo i dzieci stanowią integralną część wszelkich wizji ludzkiego rozwoju. Dzieci wymagają poświęcenia od tych, za przyczyną których znalazły się na świecie. To poświęcenie jest szlachetne i powinno być otoczone szczególnym poważaniem. Popieramy roztropne rozwiązania polityczne, które stanowią zachętę i wsparcie dla małżeństwa, rodzenia i wychowywania dzieci. Społeczeństwo, które nie chce dzieci, nie ma przyszłości. Małżeństwo i rodzina to podstawa

* * *

Populizm trzeba zagospodarować

34 Źródłem wielu obaw w Europie jest rosnące w siłę zjawisko nazywane „populizmem", przy czym pojęcia tego nigdy się nie definiuje i najczęściej ma ono obraźliwy wydźwięk. My również mamy pewne zastrzeżenia. Europa musi czerpać z niezgłębionej mądrości swoich tradycji, a nie posługiwać się uproszczonymi hasłami i rodzącymi podziały i emocje odezwami. Musimy jednak przyznać, że ten nowy rodzaj populizmu wydaje się przejawem zdrowego buntu przeciwko tyranii fałszywej Europy, która wszelkie zagrożenie dla swojego monopolu i moralnej legitymacji uznaje za „antydemokratyczne". Tak zwany populizm stawia wyzwanie dyktaturze status quo i „fanatyzmowi centrum" – i taka postawa jest słuszna. Populizm może również oznaczać, że nawet w samym środku naszej osłabionej i zubożałej kultury politycznej jest szansa na odrodzenie się historycznej podmiotowości ludów Europy. Populizm trzeba zagospodarować

Naszą przyszłością jest prawdziwa Europa

35 Za fałszywy uznajemy pogląd, jakoby nie było żadnej odpowiedzialnej alternatywy dla sztucznej pozbawionej ducha solidarności ujednoliconego rynku, ponadnarodowej biurokracji i łatwej rozrywki. Chleb i igrzyska to nie wszystko. Odpowiedzialna alternatywa to prawdziwa Europa. Naszą przyszłością jest prawdziwa Europa

Musimy wziąć odpowiedzialność

36 Zapraszamy zatem wszystkich Europejczyków, by dołączyli do nas i odrzucili utopijną fantazję multikulturowego świata bez granic. Kochamy nasze ojczyzny i pragniemy przekazać naszym dzieciom każdą szlachetną rzecz, którą sami kiedyś – jako spuściznę – otrzymaliśmy. Jesteśmy Europejczykami i dzielimy wspólne dziedzictwo. To dziedzictwo domaga się, byśmy żyli razem w pokoju jako Europa narodów. Odnówmy naszą narodową suwerenność i odzyskajmy godność, która płynie ze wspólnej odpowiedzialności za przyszłość Europy.

Philippe Bénéton (France), Rémi Brague (France), Chantal Delsol (France), Roman Joch (Česko), Lánczi András (Magyarország), Ryszard Legutko (Polska), Pierre Manent (France), Janne Haaland Matlary (Norge), Dalmacio Negro Pavón (España), Roger Scruton (United Kingdom), Robert Spaemann (Deutschland), Bart Jan Spruyt (Nederland), Matthias Storme (België)

Deklarację popierają:

Bronisław Wildstein, Zdzisław Krasnodębski, Stanisław Knaflewski, Marcin Chludziński, Zbigniew Stawrowski, Marcin Roszkowski, Wojciech Roszkowski, Marek Wróbel, Jacek Kloczkowski, Michał Łuczewski, Miłowit Kuniński, Dariusz Karłowicz

13/1217/F

Grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

eprasa.pl b7843a2655

SIECI

POD CHOINKĘ



Ludzie chcą mieć wszystko od razu i tak, jak sobie wymarzyli. Tymczasem trzeba się cieszyć z tego, co się ma, a nie myśleć o tym, czego brakuje, wtedy sami odbieramy sobie szczęście

Ja też szukam miłości

Fot. Andrzej Wiktor

Następne wydanie naszego tygodnika ukaże się w czwartek 28 grudnia 2017 r.

eprasa.pl b7843a2655



Z Martą Manowską, aktorką, dziennikarką prowadzącą show „Rolnik szuka żony" w TVP1, rozmawia Dorota Łosiewicz

Fot. Andrzej Wiktor

Jaki obraz polskiej wsi wyłania się z show „Rolnik szuka żony"?

Marta Manowska: Na pewno to jest inna wieś niż ta, którą zapamiętałam z dzieciństwa. A jako dziecko często jeździłam na wieś. Ta dzisiejsza mocno się zmieniła, rozwinęła. I mam na myśli nie tylko sprzęty czy sposób uprawy lub hodowli. Mam na myśli ludzi. Bardzo się do siebie zbliżyliśmy – ci z miasta i ci ze wsi. Coraz mniej nas różni, ale wciąż dużo możemy się od siebie nauczyć. Pisząc książkę „Rolnik szuka żony", którą tworzą rozmowy z bohaterami trzech edycji naszego show, chciałam właśnie pokazać, jak wiele możemy sobie wzajemnie dać.

Co na przykład?

Od ludzi żyjących na wsi warto się nauczyć przywiązania do ziemi, tradycji, wielopokoleniowej rodziny, korzeni. Nie mówię, że w mieście tak nie jest, ale szybkie wybicie się na niezależność, samodzielność jest powodem do dumy. Na wsi dzieci dziedziczą gospodarstwa po rodzicach. Młodzi je usprawniają, rozbudowują i zostają w rodzinie. I nie jest to dla nich kara, raczej wyróżnienie. Nie ma takiego silnego, przemożnego dążenia do tego, żeby się wyrwać. I nikt, kto został, nie jest piętnowany jako maminsynek. Jednocześnie rodzice są wartością, o którą młodsze pokolenia się troszczą. Bardzo to szanuję. W ludziach ze wsi podoba mi się także szczerość. Z kolei oni mogą się nauczyć od mieszczuchów większej otwartości na drugiego człowieka. W mieście mamy więcej okazji do stykania się z osobami, których nie znamy – w restauracji, na ulicy, w pracy czy w autobusie. Na wsi ludzie funkcjonują wśród znanych sobie osób, mają mniejsze możliwości poznania kogoś. Dlatego często są zaskoczeni tym, jak bardzo my w mieście musimy być otwarci na innych. Bohaterowie „Rolnika..." z ciekawością podglądają nas, a my z ciekawością podglądamy ich. I uczymy się siebie nawzajem.

Mówi pani z niebywałym szacunkiem o mieszkańcach wsi. Wielu polityków czy przedstawicieli tzw. elity mogłoby się od pani uczyć. Mam wrażenie, że oni często gardzą „prostym człowiekiem".

Nie wiem, czy tak jest, ale na pewno okazywanie pogardy źle świadczy o człowieku, który ją okazuje. I dotyczy to wsi, orientacji czy zawodu. Mnie „Rolnik szuka żony" nauczył jeszcze większej akceptacji dla różnorodności, dla wyborów, błędów, woli zmiany. Wiele historii z programu to historia zmiany człowieka. Na przykład jeden z bohaterów kiedyś żył tylko według schematu:

eprasa.pl b7843a2655

praca–dom, praca–dom. Dziś wraca z pola, bierze prysznic i wychodzi, żeby spotkać się z ludźmi, pożyć. Nauczył się zdrowego egoizmu, życia dla siebie. Sama mam z tym problem, częściej daję, niż biorę. Może kiedyś także nauczę się brać. Mamy w programie wiele takich przypadków, gdy bohater pozbywa się kompleksów, zmienia otoczenie. Jeden z bohaterów powiedział kiedyś, że jeśli rozmawia się z rolnikami, to siłą rzeczy rozmawia się o sprawach związanych z rolnictwem. Gdy zmienił otoczenie, zauważył, że zaczął rozmawiać o innych rzeczach, otworzył głowę.

„Rolnik szuka żony" to Polska w soczewce. Zgadza się pani z taką opinią?

Zgadzam się. Podczas jednego z ostatnich spotkań autorskich podeszła do mnie dziewczyna, która pracuje w agencji reklamowej. Powiedziała, że ogląda „Rolnika...", chociaż znajomi się z niej śmieją. Nie zraża się tym jednak, ponieważ ten program jest o tym, czego ona sama szuka i potrzebuje w życiu. Podobnie jak jej znajomi. Z tym że oni nie chcą się przed sobą do tego przyznać. Powiedziała, że dajemy jej wiarę, iż można szczęścia szukać skutecznie. To były takie słowa, które w każdej sytuacji, gdy tylko je sobie przypomnę, przywracają mi siłę.

Poważnie można znaleźć miłość w telewizyjnym show?

Oczywiście. I ten program to udowadnia. Małgosia i Piotr z ostatniej edycji zgłosili się, mówiąc, że widzieli świąteczny odcinek w poprzedniej serii. I będąc w stanie tego pięknego świątecznego „rozmiękczenia", zobaczyli szczęśliwe, przytulające się pary. Pozazdrościli im. Uwierzyli, że można znaleźć miłość w telewizji, dlatego przyszli. Poza tym mamy już na swoim koncie piąte małżeństwo w drodze i trzecie dziecko w drodze. To są szczęśliwe, sakramentalne związki.

Wracając do wsi: jako mieszczuch nie miała pani oporów, by wejść do obory czy do chlewu?

Zupełnie nie. A „nasi" rolnicy traktowali mnie tak, jakbym była „swoja". To po części dlatego, że dużo czasu spędziłam w dzieciństwie na wsi, kopałam ziemniaki, uczestniczyłam w żniwach. Lubiłam to. Po drugie, jakoś tak mam, że dobrze się czuję w bardzo różnych okolicznościach. Nawet kiedyś miałam o to do siebie pretensje, że nie jestem „jedna", tylko „każda". Tak samo dobrze się czułam z gitarą na plaży, słuchając Zeppelinów, czy na koncercie metalowym oraz na balu w eleganckiej sukni. Całkiem niedawno uświadomiłam sobie, że to nie jest wada. Wręcz przeciwnie. Na planie „Rolnika..." byłam tak otwarta na bohaterów, że bezwiednie włączał mi się śląski „zaśpiew". Tak się dzieje, gdy czuję się dobrze, chcę łamać bariery.

> Cała moja rodzina ma tradycje górnicze, więc mam w sobie ogromny szacunek dla tej pracy. Nie da się ukryć, że mam duszę czarną jak węgiel

A przy produkcji „Rolnika..." trzeba szybko topić lody. Wkraczam przecież do domów obcych ludzi i rozmawiam z nimi o najważniejszych w życiu sprawach. A z czasem stajemy się sobie tak bliscy...

Nie angażuje się pani za bardzo?

Bardzo się angażuję. Jestem gąbką zbierającą emocje. Łatwo udzielają mi się nastroje drugiej osoby, która szybko staje mi się bliska. A to na planie dzieje się bardzo szybko. Później wracam po zdjęciach do domu i długo myślę o moich bohaterach. Dzwonimy do siebie. Rozmawiamy. Nie da się, ot tak, po prostu wpaść, zrobić zdjęcia, powiedzieć: „Pa" i zniknąć. A już Zbyszek z ostatniej edycji wszystkich bardzo poruszył swoją prostotą, piękną duszą, sposobem życia, relacją z mamą. To jest piękny człowiek. I takich spotykam wielu. Przy okazji tych spotkań często też myślę o swoim życiu. Ten program dotyczy nas wszystkich, bo wszyscy chcemy być po prostu w życiu kochani.

A co pani robi, gdy emocji jest zbyt dużo?

Wtedy wsiadam w samochód i jadę przed siebie. Ostatnio np. przejechałam sama Litwę, Łotwę i Estonię. Przez Kowno, Wilno, Rygę, Tallin. Wszystko w pięć dni. To mnie odpręża. Słucham wtedy swoich myśli, muzyki, porządkuję emocje. Za oknem zmieniają mi się krajobrazy, język, znaki, ludzie. Podróże to mój wentyl bezpieczeństwa.

Lubi pani podróżować sama?

Lubię jeździć i w grupie, i sama. W tym drugim przypadku jednak łatwiej się dowiedzieć czegoś o ludziach, których się spotyka. Po Kambodży i Wietnamie też w ubiegłym roku podróżowałam sama. To mi pozwala odzyskać spokój, balans. Potrzebuję tych samotnych podróży, żeby uporządkować emocje. Muszę być równa emocjonalnie.

Żeby wyciągać z ludzi piękno?

Ja go nawet nie muszę wyciągać. Oni po prostu są piękni i dzielą się swoim pięknem ze mną, z widzami.

Wspomniała pani o tym, że gdy czuje się swobodnie, włącza się pani ślązacki „zaśpiew". Rozumiem, że nie wstydzi się pani swojej śląskości?

Ona jest we mnie bardzo głęboko i jestem z niej dumna. W Śląsku jest coś wspaniałego, nieuchwytna siła, bezkompromisowość w ludziach i szczerość. Taka sama zresztą jak ta w naszych bohaterach. Śląskie kobiety też są inne. To połączenie siły z dużą wrażliwością. Prawda jest taka, że w Śląsku podoba mi się wszystko, nawet kominy w krajobrazie. Cała moja rodzina ma tradycje górnicze, więc mam w sobie ogromny szacunek dla tej pracy. Mijając kopalnię, zawsze zwalniam i myślę: „Szczęść, Boże", pozdrawiając ludzi, którzy są na dole. Siedzi to we mnie z dziada pradziada. Znam wszystkie barbórkowe pieśni. Jest np. taki walczyk

eprasa.pl b7843a2655



Fot. Andrzej Wiktor

górniczy, który czasem podśpiewuję: „A tam na wierchu słoneczko lśni, żonka się krząta, syneczek śpi". Od razu staje mi przed oczami dziecięce wspomnienie taty w mundurze. Nie da się ukryć, że mam duszę czarną jak węgiel.

Ubranie też.

Nawet ostatnio na spotkaniu autorskim ktoś zauważył, że mam czarne, skórzane spodnie i cała jestem ubrana na czarno, a przecież w „Rolniku..." występuję w niebieskich, zwiewnych sukienkach. Jedno mi pasuje i drugie mi pasuje. Jestem i taka, i taka. Mieszczą się we mnie teatr, podróże, muzyka, samochody. Wracając do kolorów – prywatnie preferuję czerń. Może ten węgiel siedzi w duszy. W człowieku jest po prostu miejsce na skrajności. Można zacząć dzień piękną akcją charytatywną, a wieczorem się wściec i rzucać epitetami.

Z czym kojarzy się pani młodość na Śląsku?

Dla mnie Śląsk stoi ukochanym teatrem Korez, kopalniami, moją szkołą, hip-hopem, Mega Klubem, Kalibrem 44, Paktofoniką. Do szkoły chodziłam w Bogucicach. Tuż obok ten nasz polski hip-hop się zrodził. Czuję, że zaraz po tej rozmowie zagram jeszcze jeden spektakl i tam pojadę. Ciągnie do domu.

Polski hip-hop kojarzy się z buntem. Pani się buntowała?

Mnie hip-hop bardziej kojarzy się z tęsknotą za wolnością. W kontrze do mieszkania w dusznych blokowiskach, zastanego porządku. Faktycznie przeszłam przez okres buntu. Na szczęście tylko jeden i bez dramatów. Miałam wtedy może 16 lat i chciałam poszerzyć swoją wolność. Potrafiłam się kłócić o to, czy mogę wyjść, nawet jeśli nie miałam takich planów. Wystarczyła mi świadomość, że mogę. I to mi zostało. Do dziś lubię wiedzieć, że mogę coś zrobić. Ten typ tak ma. Pamiętam czasy młodości, gdy chodziłam na koncerty i tata odbierał mnie przed występem głównego zespołu. Bardzo mnie denerwowało, że muszę wracać po supportach. Ale tata sam jest sobie winny. To on mi wpoił miłość do muzyki. U nas się słuchało Pink Floyd, Black Sabbath, Led Zeppelin. Ja do tego dołożyłam hip-hop. Teraz jeszcze nam doszedł metal. I teraz to tata jest moim kompanem do koncertów. Razem jeździmy na festiwale.

Teraz mieszka pani w Warszawie. Tak już zostanie?

Mieszkam tu już osiem lat. Bardzo lubię Warszawę, to po Katowicach moje miasto. Akceptuję ją z jej korkami, śpieszącymi się ludźmi, a Pałac Kultury i Nauki uwielbiam. To jednak już 16. miejsce, w którym mieszkam. Były Katowice, Kraków, Hiszpania. Wciąż nie wiem, czy to miejsce docelowe. Kocham Trójmiasto. W wielu miejscach czuję dobrą energię od ludzi.

Czego szuka w życiu Marta Manowska?

Na pewno jak wszyscy szukam miłości. To jest w życiu najważniejsze. Szukam też siebie. Wiem również, że bardziej chcę dawać, niż brać. Szukam momentów. Nie da się chyba być szczęśliwym cały czas. Można tylko bywać szczęśliwym. A bywam szczęśliwa, gdy podróżuję. Lubię też podróżować zdalnie. Wytyczać trasy, planować, gdzie pojadę i co zobaczę. Jestem szczęśliwa, gdy czytam i gdy spotykam się z innymi ludźmi. Czasem szczęście daje mi samotność.

A rodzina dałaby pani szczęście?

Na pewno. Marzę o tym, żeby kiedyś zostać mamą.

Ale miłości życia jeszcze pani nie znalazła?

I tak, i nie. W życiu bywa różnie. Trzeba mieć dużo pokory i cierpliwości. A cierpliwości życie mnie uczy wyjątkowo intensywnie. To, o czym marzę, przychodzi do mnie zawsze z dużym opóźnieniem. Kiedyś marzyłam o aktorstwie i teatrze. To marzenie przygnało mnie do Warszawy. A teatr zawodowy pojawił się dopiero po „Rolniku...". Do pewnych rzeczy dochodzę dłuższymi drogami, naokoło. Ludzie chcą mieć wszystko od razu i tak, jak sobie wymarzyli. Tymczasem trzeba się cieszyć z tego, co się ma, a nie myśleć o tym, czego brakuje, wtedy sami odbieramy sobie szczęście. Tego się najbardziej uczę.

Jaki powinien być pani mężczyzna idealny?

Kiedyś myślałam, że powinien mi imponować. Dziś wydaje mi się, że oprócz inteligencji równie ważna jest inteligencja emocjonalna. Najważniejsze, żeby to był po prostu dobry człowiek. A dobroć jest widoczna w małych rzeczach. W traktowaniu innych z szacunkiem. Widać ją też w oczach. Niedoścignionym wzorem są moi dziadkowie. Właśnie święto-

28/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

wali 60. rocznicę ślubu. Obchodzili ją bardzo uroczyście, m.in. w urzędzie miasta. Każdy opowiadał o swojej rodzinie. Babcia mówiła o swoich wnuczkach i córkach, z których jest bardzo dumna. Cieszę się, że możemy być z siebie nawzajem dumni.

Trudno być katolikiem w show-biznesie?

Show-biznes nie ma tu nic do rzeczy. Trudno być katolikiem w dzisiejszym świecie po prostu. Ja się swojej wiary nie wstydzę, jestem z niej dumna. Chciałabym nawet, żeby była głębsza. Staram się po prostu być dobrym człowiekiem. Można być dobrym w show-biznesie i złym poza nim. Robię program, który kocham, gram w teatrze, który także kocham. Pojawiam się na imprezach, które wiążą się z nominacją do jakichś nagród, bo to zwieńczenie mojej pracy. Tam, gdzie nie muszę, nie bywam. Jestem tam, gdzie to wiąże się z moją pracą. Żyję sobie w swojej bańce. I dobrze mi z tym. Mój rok i moje emocje są podporządkowane „Rolnikowi...".

Hejt panią męczy?

Nie, bo się z nim nie stykam. Mam szczęście, co nie jest oczywiste, że czuję od ludzi sympatię, więc gdy ktoś pisze coś negatywnego, jest grupa broniących. Nie czytam już komentarzy na plotkarskich portalach. Choć kiedyś to robiłam. Nie ma tam nic, co mogłoby mnie interesować. Cóż z tego, że ktoś napisze, iż mam za duży nos albo głowę? To jest płytkie, powierzchowne. Trzeba samemu się akceptować. Znać czyjeś wnętrze – ono dopiero potrafi być piękne. Jeśli tak jest, nie są w stanie nas urazić takie rzeczy. Czytam za to komentarze na profilu programu, bo one są ważne.

Na co pani nie żałuje pieniędzy?

Na podróże. Chociaż nie podróżuję ekskluzywnie. Czasem zmieniam plany. W zeszłym roku planowałam zwiedzić Wietnam, a wylądowałam też w Kambodży. Zdarza mi się również czasem gdzieś polecieć i się wygrzać. Nie żałuję także na książki.

Jak spędzi pani w tym roku święta?

Tak jak zawsze, i to jest najpiękniejsze. Pojadę na Śląsk. Spotkam się z rodziną, będziemy razem gotować. Gdy pojawi się pierwsza gwiazda, przeczytamy fragment Pisma Świętego i usiądziemy do stołu, podzielimy się opłatkiem i pójdziemy na pasterkę. Od zawsze na nią chodzę. Jako dziecko usypiałam na schodach pod ołtarzem, ale nie wyobrażam sobie Wigilii bez pasterki. Wcześniej pójdę na rekolekcje. Lubię usiąść w kościele i zamyślić się nad wszystkim. Prezenty kupię pewnie w ostatniej chwili, ale zawsze wiem, co komu sprawić. Mam nadzieję, że uda nam się w te święta obdarować spokojem i dobrze je przeżyć.

Co chciałaby pani dostać od św. Mikołaja?

„Odrobinę szczęścia w miłości...".

REKLAMA



eprasa.pl b7843a2655



Aleksandra i Józef Piłsudscy z córkami: Wandą i Jadwigą

Fot. Muzeum Narodowe

Kobiety ojców niepodległości

Co łączyło, a co dzieliło kobiety Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego i Romana Dmowskiego?



STANISŁAW JANECKI

Tej kobiety dwóch z trzech ojców niepodległości Polski, czyli Józef Piłsudski i Roman Dmowski, nie cierpiało. A ona, Helena z domu Rosen, po pierwszym mężu Górska, była żoną tego trzeciego – Ignacego Jana Paderewskiego. O inną kobietę, Marię Koplewską, po pierwszym mężu Juszkiewiczową, przez prawie trzy lata Józef Piłsudski rywalizował z Romanem Dmowskim. Najwięcej kobiet, co najmniej kilkanaście, przewinęło się w życiu tego najstarszego i najniższego z nich – Paderewskiego. No ale on był przede wszystkim światowej sławy artystą. Piłsudskiemu, najmłodszemu z „ojców" i drugiemu pod względem wzrostu, przypisuje się bliższe związki z pięcioma (czasem sześcioma) kobietami. Piłsudski, podobnie jak Paderewski, miał dwie żony. Dwie kobiety, z którymi marszałek był związany, popełniły samobójstwo. Trzeci z „ojców", Dmowski, młodszy od Paderewskiego, a starszy od Piłsudskiego i najwyższy z tej trójki, do końca życia pozostał kawalerem. Poza okresem „smalenia cholewek" do Marii Juszkiewiczowej nie związał się z żadną kobietą, choć od płci pięknej nie stronił.

Gdy powstawała i umacniała się niepodległość Polski, Piłsudski prowadził podwójne życie, gdyż faktycznie od lat mieszkał z Aleksandrą Szczerbińską, późniejszą drugą żoną, choć wciąż był żonaty z Marią Juszkiewiczową. Skądinąd Piłsudski poślubił Juszkiewiczową w tym samym 1899 r., w którym Paderewski ożenił się po raz drugi (z Heleną Górską). Obie kobiety Piłsudskiego były znanymi i zasłużonymi działaczkami niepodległościowymi, ale pozostawały w cieniu swego mężczyzny. Być może dlatego, że były doświadczonymi konspiratorkami.

Helena Paderewska była zupełnie inna: uwielbiała błyszczeć i pokazywać swój wpływ na męża. W 1919 r. podczas konferencji pokojowej w Paryżu Dmowski tak charakteryzował Helenę: „Ona swą wulgarnością, śmiesznymi ambicjami i mściwością w stosunku do ludzi, którzy nie skaczą przed nią na dwóch łapkach, psuje wszystko". A poeta Jan Lechoń napisał nawet wiersz o Helenie – „O złej żonie", z takim m.in. fragmentem: „Ona Naczelnika Państwa i stany sejmujące i ministrów w kupie, za nic ma. Kręci Polską, niczym łyżką w zupie". O Dmowskim w czasach niepodległościowego przełomu w kontekście kobiet i ich wpływu na niego nie mówiono wiele. Dmowski był też najbardziej powściągliwy w wyrażaniu swoich uczuć wobec pań. Najbardziej wylewny był Paderewski, po którym zachowało się wiele miłosnych listów, pełnych uniesień, których nie powstydziłby się zakochany nastolatek. Ale i Piłsudskiemu zdarzały się w młodości miłosne wyznania.

eprasa.pl b7843a2655

KOBIETY PIŁSUDSKIEGO

Pierwszą miłością Piłsudskiego była Leonarda Lewandowska, zwana przez niego Leosią. Poznał ją w grudniu 1887 r. w Kiereńsku, gdzie został zesłany za udział w przygotowaniach do zamachu na życie cara Aleksandra III (najpierw trafił do Irkucka). Przyszły naczelnik państwa w Kiereńsku zamieszkał w domu zesłańca Stanisława Landego. Leosia, starsza od Józefa o sześć lat, była siostrą żony Landego.

Przez ponad rok Józef i Leosia mieszkali razem i wtedy wydawało się, że łączy ich głębokie uczucie. Ślad tego pozostał w listach obojga, także tych pisanych przez kilka miesięcy po przymusowym rozstaniu. Po około roku wspólnego życia Leosia skończyła odbywanie kary i przeniosła się najpierw do Irkucka, a potem do domu na Ukrainie. W Irkucku raz się spotkali, gdy Józef załatwił dwutygodniową przepustkę. Wtedy miał jej obiecać, że po powrocie z zesłania ożeni się z nią. Ale już latem 1891 r. w liście napisał: „Leosiu! Nie miałem sił i serca Ci powiedzieć, że stosunek nasz taki, jakim był, nadal pozostać nie może. Leosiu! Zapomnij o mnie, jam Ciebie niegodzien". Po upływie dalszych kilku miesięcy oznajmił: „Ja kochając Ciebie, oddałem się drugiej osobie. Skończyło się na tym, żeśmy się rozeszli, ona z goryczą na mnie, ja z jedną jeszcze plamą na mym życiu". W lipcu 1892 r. Piłsudski wrócił do Wilna, ale z Lewandowską już się nie spotkał. Kilka lat później Leosia popełniła samobójstwo.

Pierwszą żoną Piłsudskiego została Maria z Koplewskich Juszkiewiczowa. Gdy miała 16 lat, wyszła za mąż za urzędnika Ministerstwa Komunikacji w Petersburgu Mariana Juszkiewicza. Miała z nim córkę Wandę, ale pozostawiła ją pod opieką swoich rodziców, opuściła męża i zaczęła działalność konspiracyjną. W konspiracji poznała Piłsudskiego, wtedy już ważnego działacza PPS. Pobrali się 15 lipca 1899 r. Aby poślubić Marię, Józef zmienił wyznanie na ewangelicko-augsburskie. W tym Kościele Maria uzyskała unieważnienie małżeństwa z Juszkiewiczem. Związek wydawał się trwały i oparty na wzajemnej fascynacji. Maria była wtedy nazywana „piękną panią". Piłsudski, znany jako „towarzysz Wiktor", wydawał „Robotnika".

W 1899 r. Piłsudscy zamieszkali w Łodzi. W lutym 1900 r. rosyjska policja wpadła na ślad drukarni, a małżonków aresztowano. Maria wyszła z więzienia po 11 miesiącach. Józef trafił do X pawilonu warszawskiej Cytadeli, gdzie symulował chorobę psychiczną. W grudniu 1900 r. przewieziono go na obserwację do szpitala w Petersburgu, skąd uciekł w maju 1901 r. Piłsudscy zamieszkali w Krakowie, gdzie Maria prowadziła dom otwarty – bywali u nich Stefan Żeromski, Bolesław Limanowski, Stanisław Witkiewicz. Przyjaciel Piłsudskiego Leon Wasilewski tak opisywał Marię z tego okresu: „Była osobą wybitną. Zdolna, szybko orientująca się, wymowna, oddana sprawie, potrafiła wywierać wpływ na otoczenie. [...] Wieczory do późna spędzała w kawiarniach i starała się nie odstępować męża nigdy. Początkowo Ziuk towarzyszył jej do kawiarń, ale później zaczął się buntować". I zaczął się oddalać od żony.



Leonarda Lewandowska

Fot. Biblioteka Narodowa

W 1906 r. Piłsudski poznał Aleksandrę Szczerbińską, młodszą o 15 lat aktywistkę Organizacji Bojowej PPS. Po pierwszym spotkaniu z Piłsudskim napisała: „Odczułam na sobie wpływ jego osobowości, jakąś siłę niezwykłą, nieokreślony magnetyzm, którym promieniował przez całe życie". Poznali się w magazynie broni. W 1907 r. spędzili z sobą kilka tygodni w Kijowie, przygotowując napad na bank (nieudany). Razem uczestniczyli też w napadzie na pociąg w Bezdanach, zabierając ok. 200 tys. rubli, papiery wartościowe i kilkanaście kilogramów srebra. Piłsudski razem ze Szczerbińską zakopali część łupu w lesie koło Jedlinki, a gotówkę przewieźli pociągiem do Kijowa, potem zaś do Krakowa.

Wspólne akcje bojowe tak mocno połączyły Aleksandrę i Józefa, że ten poprosił żonę o rozwód. Maria jednak odmówiła. Od tego czasu przyszły marszałek wiódł podwójne życie: formalnie mieszkał w Krakowie z Marią, ale regularnie jeździł do Lwowa, do Aleksandry. Tak było aż do wybuchu I wojny światowej, kiedy Aleksandra wstąpiła do Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1916 r. zamieszkała w Warszawie. 7 lutego 1918 r. urodziło się pierwsze dziecko Aleksandry i Józefa – Wanda. Piłsudski zobaczył ją dopiero 10 listopada 1918 r., gdy został wypuszczony z twierdzy w Magdeburgu. 28 lutego 1920 r. na świat przyszła ich druga córka – Jadwiga. W sierpniu 1921 r. zmarła Maria Piłsudska (na pogrzeb w Wilnie w zastępstwie pojechał brat Jan) i Józef mógł wreszcie zalegalizować swój związek z Aleksandrą, co stało się 25 października 1921 r. Rodzina zamieszkała w Belwederze. Po wyborach prezydenckich Piłsudski złożył urząd Naczelnika Państwa i 13 grudnia 1922 r. rodzina przeniosła się do willi Milusin w Sulejówku.

Latem 1925 r. Piłsudski poznał w Druskiennikach 27-letnią lekarkę Eugenię



Józef Piłsudski na Madrze, obok niego Eugenia Lewicka

Fot. NAC

Lewicką, urodziwą, wykształconą szlachciankę z Kresów. To ona w Druskiennikach utworzyła „zakład leczenia słońcem, powietrzem i ruchem". Marszałek jeździł do Druskiennik regularnie i bez rodziny. To dla Eugenii zorganizował w styczniu 1927 r. w Warszawie Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Dr Lewicka zamieszkała przy ul. Belwederskiej, a marszałek wpadał do niej „na herbatkę".

W grudniu 1930 r. Piłsudski wyjechał na kilkumiesięczny wypoczynek na Maderę. W towarzystwie Eugenii i płk. Mieczysława Woyczyńskiego. Z Madery Eugenia wróciła wcześniej od Marszałka, co miało wynikać z jakiegoś dramatu w ich relacjach. 27 czerwca 1931 r. dr Lewicką znaleziono nieprzytomną (zatrutą) w pomieszczeniu urzędu wychowania fizycznego. Zmarła po dwóch dniach, nie odzyskawszy przytomności. Do dziś nie wiadomo, czy to było samobójstwo, czy zabójstwo. Marszałek uczestniczył w jej pogrzebie, ale w kościele przebywał zaledwie 10 minut.

Poza związkiem z Lewicką Piłsudskiemu przypisywano jeszcze romans z Jadwigą Burhardt, o 34 lata młodszą od niego wdową, pracownicą Państwowych Zakładów Zbożowych. Zachowały się listy podpisane „J. Piłsudski", których autor zwraca się do Jadwigi „kochana Dzidzia". Znajomość trwała niemal do ostatnich dni marszałka i miała polegać na piątkowych odwiedzinach w mieszkaniu Jadwigi, obdarowywaniu prezentami, a czasem na pomocy finansowej. O znanej poetce Kazimierze Iłłakowiczównie, sekretarce Piłsudskiego, mówi się tylko jako o platonicznie w nim zakochanej.

KOBIETY PADEREWSKIEGO

Antoninę Korsakównę, całkiem majętną i urodziwą studentkę, Paderewski poznał w Instytucie Muzycznym w Warszawie, gdzie sam studiował. Była od niego starsza o cztery lata. Poślubił ją w 1880 r.,



Fot. Biblioteka Narodowa

Antonina Paderewska

mając zaledwie 20 lat. W następnym roku na świat przyszedł ich syn Alfred, cierpiący na chorobę Heinego-Medina. Kilka dni po porodzie Antonina zmarła. Zajęty ćwiczeniami przy fortepianie po 12 godzin dziennie, Ignacy najpierw pozostawił syna pod opieką swego ojca, a po kilku latach ściągnął go do Paryża, gdzie miał wynajęte mieszkanie. Nie radził sobie jednak z opieką nad dzieckiem. Chęć pomocy wyraziła Helena Górska z domu Rosen. Jej ojciec, pochodzący z inflanckiej rodziny Władysław Rosen, był oficerem armii rosyjskiej, matka była Greczynką. Helena po niej odziedziczyła południową urodę. Nie miała jeszcze 18 lat, gdy wyszła za mąż za Władysława Górskiego, skrzypka i kompozytora. Paderewski nie tylko grywał razem z Górskim, lecz także się z nim przyjaźnił.



Fot. Library of Congress/LC-DIG-ggbain-18756

Ignacy Paderewski ze swoją drugą żoną Heleną

Podobno Helena jeszcze w Krakowie, gdzie prowadziła popularny salon, upatrzyła sobie Paderewskiego, ale on jej nie zauważał. W Paryżu nie pozwoliła się już ignorować i w 1882 r. nawiązała ukrywany początkowo romans. Była od Ignacego o cztery lata starsza. Poczciwy Górski dopiero po roku się zorientował, że żonę i przyjaciela łączy coś więcej. Ignacy miał wątpliwości, czy może rozbić małżeństwo przyjaciela, ale Helena była zdeterminowana. „Chcę Ciebie, rozumiesz? Chcę! Po nocach całych wołam, zrywam się do uścisków Twoich. Chcę ust Twoich, chcę rozkoszy". A w innym liście: „Ignasieńku – czy to jest szczęściem kochać tak, jak ja kocham? Kochaj mnie, kochaj, zobaczysz, będziemy bliscy nieba".

Ignacy nie był wierny Helenie, nawiązując kolejne romanse, najczęściej podczas swoich tras koncertowych. 3 października 1884 r. w Krakowie dał wspólny koncert z bardzo znaną wówczas aktorką Heleną Modrzejewską, starszą od niego o 20 lat. Poznał ją kilka dni wcześniej w Zakopanem,

1/1117/F

eprasa.pl b7843a2655



eprasa.pl b7843a2655

gdzie aktorkę witano z wielką pompą. I zakochał się w niej. Gwiazda też była oczarowana Ignacym i pomogła mu w międzynarodowej karierze. Dzięki Modrzejewskiej Paderewski zgromadził środki na studia w Wiedniu u prof. Leszetyckiego. W Wiedniu poznał księżnę Anettę Jessipow-Leszetycką, żonę profesora. I nawiązał płomienny romans. Gdy prof. Leszetycki się we wszystkim zorientował, załatwił Paderewskiemu pracę w Strasburgu. W liście do kochanki Paderewski pisał: „Jestem bardzo niecierpliwy, by Cię zobaczyć, do Ciebie wrócić, spać w Twoich ramionach i tam znaleźć jedyne ziemskie dobro". Dedykował Leszetyckiej Menuet G-dur. Kochanka przedstawiła go księżnej Sarze Balouki de Brancovan i wkrótce także z nią nawiązał romans trwający kilka lat. W Ignacym zakochała się również córka księżnej Brancovan oraz jej kuzynka. Helena Górska była o kolejne kobiety Ignacego zazdrosna, lecz potrafiła czekać. A Ignacy słał sekretne listy do kochanek.

W 1899 r. Helena uzyskała wreszcie unieważnienie małżeństwa i mogła za Ignacego wyjść. Miała wtedy 43 lata i starała się utemperować męża. Wielu jego znajomych, np. socjolog i polityk Ludwik Krzywicki, nie lubiło Heleny. „Baba rozkapryszona, bardzo wymagająca, wścibska i intrygantka" – pisał. Paderewski na to nie zważał. Gdy w styczniu 1919 r. został premierem, Helena pokazała, na co ją stać. Wchodziła na posiedzenia Rady Ministrów, przerywając je dla błahych spraw rodzinnych czy osobistych. To ona selekcjonowała gości premiera. „Potrafiła być demonstracyjnie niegrzeczna dla ludzi poważnych, stale, a nawet z odrazą, traktując pozycję męża jako jakiś niepotrzebny epizod ich życia" – pisał krytyk literacki Adam Grzymała-Siedlecki. W grudniu 1919 r. Paderewski przestał pełnić rządowe funkcje (był także szefem MSZ) i małżeństwo zamieszkało w domu w Szwajcarii. W 1922 r. zmarł syn pianisty Alfred. I przed objęciem przez Paderewskiego funkcji premiera, i później Helena jeździła z mężem w trasy koncertowe.

KOBIETY DMOWSKIEGO

Dmowski przez całe życie pozostał kawalerem. Ciągnęły się za nim dwie legendy. Pierwsza dotycząca kompleksu politycznego rywala, Józefa Piłsudskiego, który zabrał mu ukochaną – Marię Juszkiewiczową. Poznał ją, gdy miał zakaz opuszczania Mitawy. Mimo zakazu odwiedzał Wilnio, by tak móc przebywać w towarzystwie Marii. A ta chętnie się z nim spotykała. Nawet wtedy, gdy w jej życiu pojawił się Piłsudski. Maria spacerowała po Wilnie raz z Józefem, raz z Romanem. I na początku Dmowski cieszył się ponoć większym uznaniem. Rywalizacja trwała trzy lata i Piłsudski wyszedł z niej zwycięsko. Za legendę trzeba uznać twierdzenia, że ta rywalizacja popsuła relacje Piłsudskiego z Dmowskim. A miały się one szczególnie pogorszyć po tym, jak Piłsudski Marię porzucił. Druga legenda jest związana z listem Dmowskiego do pisarza Stefana Żeromskiego (z 26 kwietnia 1892 r.). W tym liście twórca endecji dał podstawy do spekulacji na temat specyficznych kobiet w jego życiu. Napisał Dmowski: „Przyczyna tego [rozstrojenia i złego nastroju] jest coś w rodzaju zagwożdżenia mózgownicy, którego w ostatnich czasach doświadczam, zdaje się pod wpływem życia wstrzemięźliwego (tak!) – kobiety bowiem tu w Paryżu okropnie są drogie". Przeciwnicy Dmowskiego i jego spuścizny na tej podstawie przypisali mu regularne korzystanie z usług córek Koryntu.



Maria Juszkiewiczowa Piłsudska

Fot. Biblioteka Narodowa

Dmowski miał powodzenie u kobiet, szczególnie po zmianie powierzchowności, jaka nastąpiła po wizycie w 1898 r. w Londynie. Od tamtego czasu ubierał się i zachowywał jak angielski dżentelmen. Lubił towarzystwo kobiet, z którymi niewinnie flirtował. Kobiety ceniły jego wiedzę, światowość, znajomość języków, ogładę i wyrafinowanie. W swojej powieści „Dziedzictwo" przedstawiał kobietę – Polkę jako „osobę mającą władzę nad Polakiem – mężczyzną". Taka była jedna z bohaterek powieści – Wanda Czarnkowska, zapewne reprezentująca akceptowany przez Dmowskiego typ kobiety. Takiej najpewniej nie znalazł, więc wiódł kawalerskie życie. Także z powodu dużego obciążenia aktywnością pisarską i polityczną.

> Najpoważniejsze i najbardziej traumatyczne doświadczenia z kobietami miał Piłsudski, najlżejsze czy też wodewilowe – Paderewski, najbardziej enigmatyczne – Dmowski

Trzej ojcowie niepodległości Polski kobietami się fascynowali, jednak mieli z nimi bardzo różne relacje. Najpoważniejsze i najbardziej traumatyczne doświadczenia (samobójstwa dwóch związanych z nim pań) miał Piłsudski, polityk o największej politycznej randze z całej trójki. Najlżejsze czy też najbardziej wodewilowe – Paderewski, bożyszcze kobiet tworzących wtedy wokół niego coś w rodzaju współczesnych groupies. Najbardziej enigmatyczne i – rzec by można – funkcjonalne relacje z paniami miał Dmowski. Na polityczną karierę żadnego z nich ich kobiety większego wpływu chyba nie miały. Jeśli już, to negatywny, przynajmniej w przypadku Heleny Paderewskiej.

62/07/17/F

eprasa.pl b7843a2655



Poświęcając chwilę z naszego życia, aby uczcić narodziny Pana, życzymy Państwu, aby czas Bożego Narodzenia wypełnił się miłością i radością, a nowy rok obfitował w sukcesy i szczęście.

PGZ POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

eprasa.pl b7843a2655



Po bazie radzieckiej w żdżarskich lasach pozostał jedynie schron obsługi anten

Ciała obce

„Ciała obce" i „drzewostany postrzelane" to pojęcia z zakresu terminologii leśnej. Pomimo że odnoszą się do technicznej jakości drewna, jednocześnie zawierają dramatyczny przekaz historyczny. Kolejny raz las splata się z polską historią



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pędziłem autostradą z Krakowa na wschód. Po prawej ręce wzdłuż całej trasy rozciągały się łagodne wzgórza, będące zapowiedzią wysokich gór ukrytych wzdłuż południowych granic Polski. Daleko po lewej stronie miałem dolinę Wisły.

Celem mojej wyprawy był obóz harcerski w lasach na zachodnich rubieżach województwa podkarpackiego. Wydawać by się mogło, że w zielonym skrawku, który na mapie prezentował się jak otoczona polami wyspa, nie może być nic ciekawego. Sośniny, takie same jak niemal wszędzie w Polsce, niemogące konkurować z tajemniczością buczyn karpackich czy dostojeństwem wysokogórskich borów świerkowych. Nic bardziej mylnego. Czekał na mnie las pełen tajemnic i niezwykłych historii.

Połączenie ludzi i lasu determinowało naszą historię jej od początków i sprawiło, że jesteśmy tym, kim jesteśmy. Być może bez milionów hektarów lasów strefy umiarkowanej bylibyśmy innym narodem i innymi ludźmi. Z takim przekonaniem wracałem autostradą pięć godzin później, gdy słońce oślepiało mnie pomarańczowym blaskiem zachodu.

BŁYSK POCISKU

Pierwsze ciało obce objawiło się metalowym błyskiem spod piachu na leśnej drodze w okolicy obozowiska. Błysk nie był mocny, lecz niepokojący. Delikatnie rozgarnąłem piasek i odsłoniłem coś na kształt dekla. Nie trzeba być saperem weteranem, aby kształt ten zrodził nieprzyjemne asocjacje. Szybkim krokiem poszedłem po leśniczego, którego leśniczówka stała nieopodal, na polanie. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że zabezpieczeniem naboju artyleryjskiego muszą się zająć specjaliści.

„Drzewostany postrzelane" to drzewa, które będąc świadkami walk, zostały ugodzone i obecnie w swoim drewnie zawierają pociski rozmaitego typu i kalibru oraz odłamki metali (po minach, detonacjach niewybuchów itp.). Wszystkie takie elementy stanowią wadę drewna, określaną jako „ciała obce". Tu jest ich pełno.

W tutejszych lasach, nieopodal wsi Żdżary, utkwiły jeszcze inne rodzaje ciał obcych. Najgroźniejsze z nich, niczym kolec, wbiło się na północ od miejscowości. Zranienia dokonało obce mocarstwo.

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b7843a2655

TAJNA BAZA W LASACH

Aby „kolec" nie rzucał się w oczy, wybrano gęsty las na uboczu. Miejsc takich w Polsce było kilkadziesiąt, większość spowita lasem. W Żdżarach proces implementacji zaczął się stosunkowo późno, bo w 1985 r. Baza wojskowa była przejawem ostatnich mocarstwowych zapędów imperium radzieckiego, zanim w 1991 r. ostatecznie upadło.

Wszystko zaczęło się na początku lat 80. XX w. od nie do końca oficjalnych wizyt, od pomiarów geodezyjnych w świeżym borze mieszanym między Żdżarami a Czarną Tarnowską. Lokalizacja na tajną bazę wybrana została nieprzypadkowo. Strategiczne położenie przy linii kolejowej zapewniało porządne zaplecze logistyczne. Od 1985 r. zwożono pociągami materiały budowlane i ciężki sprzęt. W Czarnej Tarnowskiej, najbliższej stacji kolejowej, dostosowano do potrzeb obcego imperium rampę, przez którą przechodziły radzieckie dostawy. Wraz z nimi pojawili się pierwsi radzieccy żołnierze. Las zaczęto wyrąbywać...

Z początku, zanim zbudowano baraki, żołnierze mieszkali w namiotach. Teren był już częściowo przygotowany, gdyż jeszcze przed przybyciem Rosjan doprowadzono do lasu prąd i zrobiono ujęcie wody. Na wstępnym etapie obecności Armii Radzieckiej w Żdżarach ogrodzono 15 ha gruntu drutem kolczastym. Wraz z żołnierzami pojawiły się anteny. Szybko się okazało, że polski las stał się kryjówką dla kompanii wojsk łączności.

To, co wyróżniało Żdżary na tle innych radzieckich baz, to nietypowe usytuowanie na mapie Europy. W 1945 r. Armia Czerwona na terytorium naszego kraju ustanowiła Północną Grupę Wojsk, zagnieżdżając swoje jednostki w najbardziej strategicznych punktach zachodniej i północnej Polski. Żdżary to jedyna jednostka Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w południowo-wschodniej Polsce. Zaskakujące było także jej późne powstanie, baza zaczęła swoją działalność zaledwie dwa lata przed upadkiem ustroju komunistycznego w Polsce.

ROSYJSKI LAMPART W SOSNOWYM LESIE

Układ Warszawski pod koniec lat 80. zaczął wdrażać system łączności troposferycznej BARS (po rosyjsku БАРС, lampart), którego elementem miała się stać ta leśna baza. W sumie na terenie Polski istniało siedem węzłów tego systemu, rozłożonych w równą sieć. Wszystkie ukryte były głęboko w lasach. Miały numery od 201 do 207, Żdżarom nadano numer 203. Całość systemu BARS składała się z 26 węzłów łączności na terenie ZSRR, NRD, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii i Polski.

50-metrowe maszty antenowe wystawały wysoko ponad drzewa, a wokół infrastruktury łącznościowej powstały inne obiekty wojskowe oraz osiedle. Na potrzeby kilkuset żołnierzy kwaterujących w bazie zbudowano koszary, bloki mieszkalne, łaźnie, kantynę, budynek straży pożarnej, oczyszczalnię ścieków, kotłownię ale także garaże, schrony, wartownie. Żołnierze rekrutowali się głównie z azjatyckich republik ZSRR. Byli tam więc Tadżycy, Ormianie, Azerowie, Uzbecy i Kirgizi. Pomimo że dobór żołnierzy miał sprzyjać ich izolacji kulturowej na zajętym terenie, ich relacje z miejscową ludnością stały się przyjazne.

> Zaledwie dwa lata przed upadkiem ustroju komunistycznego nad Wisłą polski las stał się kryjówką żołnierzy obcego mocarstwa

Czy to odczucie schyłkowości systemu, czy też potrzeba posiadania trudno dostępnych dóbr sprawiły, że w drucie kolczastym powstały wyrwy, a w radzieckiej kantynie zaczęli się pojawiać mieszkańcy Żdżarów. Zdawali się nic sobie nie robić z wrogości i opresyjności imperium, na którego teren wkraczali. Zaopatrywali się w odkurzacze i sokowirówki otrzymywane z przydziału przez radzieckich żołnierzy, które to sprzęty, z oczywistych względów, żołnierzom zbywały. W kantynie można było kupić produkty spożywcze deficytowe w głębokiej komunie, a niekończące się prace budowlane na terenie bazy nieoficjalnie zaopatrywały okoliczne wsie w papę, cegły czy drut. Wytworzyła się pewnego rodzaju symbioza, pozbawiona wrogości na poziomie relacji międzyludzkich.

„ALIKA ZOSTAWCIE"

Od roku 1989 sytuacja zmieniła się diametralnie. Lasy wokół wciąż nieukończonej jednostki kompanii wojsk łączności Armii Radzieckiej stały się areną działań Konfederacji Polski Niepodległej, partii programowo zakładającej wyrwanie obcych ciał z polskiej tkanki. Demonstracje i pikiety, żądania możliwości wstępu, obnażające wyłączenie tego i innych podobnych miejsc spod polskiej administracji, zaognięły atmosferę. Pojawiły się hasła: „Sowieci do domu!".

W procesie wyprowadzania radzieckich wojsk z terenów Polski w Żdżarach wydarzył się ciekawy epizod. Do przytoczonego hasła wypisywanego na murach całego kraju, w podkarpackiej stacji kolejowej dopisano jeszcze jedno: „Alika zostawcie!". Historia Alika Mahmudowa jest przykładem pozytywnych relacji ludzi pomimo geopolityki. Alik, żołnierz z radzieckiej bazy, zakochał się w miejscowej dziewczynie. Dla niej zdezerterował i miesiącami się ukrywał. Ostatecznie ewakuacja kompanii, która nastąpiła 16 kwietnia 1993 r., odbyła się bez Alika, który po dziś dzień żyje z polską rodziną na Podkarpaciu.

Zabrano sprzęt i ludzi. Wszelkie ruchomości, które dało się zbyć, zostały przez żołnierzy sprzedane. A nieruchomości? Utkwiły na kolejnych 20 lat w żdżarskich lasach. W pierwszych miesiącach po ewakuacji radzieckich wojsk nastąpiła szybka akcja żywiołowego demontażu okien, kaloryferów, cegieł, elementów betonowych oraz wszelkich materiałów budowlanych. I kiedy na terenie jednostki nie pozostało zupełnie

eprasa.pl b7843a2655

nic, co mogłoby się przydać, zaczęła się ona osuwać w niebyt. Smętne ruiny od czasu do czasu odwiedzane były przez pasjonatów historii. Z początku zaistniał pomysł, aby budynki wykorzystać na potrzeby mieszkalne gminy, lecz nigdy nie został zrealizowany. Następnie zrodziła się koncepcja, aby na terenie jednostki stworzyć muzeum – tej idei również nie urzeczywistniono. Jedynie ujęcie wody przekształcono w nowoczesną hydrofornię i zbiorniki zaopatrujące okoliczne miejscowości.

Po wizycie w obozie harcerskim wąską drogą wśród gęsto rosnących sosen podjeżdżam pod ukryty głęboko w lesie schron obsługi anten. Dziś tylko tyle pozostało z bazy. W 2014 r. dokonano ostatecznej rozbiórki i rewitalizacji terenu. „Na powstałej przestrzeni nasadzono drzewa, które w naturalny sposób zagospodarowały teren" – czytam komunikat na tablicy umieszczonej przy monstrualnym, niepoddającym się najcięższym maszynom obiekcie. W cieniu drzew te betonowe hale robią przygnębiające wrażenie.

ŚLAD DRUGIEGO IMPERIUM

Małe Żdżary to miejsce wymownie świadczące o związku wielkiej historii z polskim lasem. Wystarczy pokonać półtora kilometra, aby znaleźć się pod niewielkim obeliskiem. Jedno imperium umiejscowiło w tych borach wrogie wojska. Drugie imperium, brytyjskie, również zaistniało w leśnym teatrze żdżarskiej historii, w zupełnie jednak inny sposób.

Była noc z 14 na 15 sierpnia 1944 r. Porucznik Ralph Lawrence Lawson, 21-letni pilot Południowoafrykańskich Sił Powietrznych (SAAF), wracał znad Warszawy, gdzie dokonał zrzutu. Lżejszy już o ładunek broni i żywności potężny liberator o numerach KG828/F zmierzał w kierunku południowym. Niemal cudownie ocalał z piekła nad Warszawą, które tej nocy pochłonęło życie 30 żołnierzy z pięciu bombowców królewskich sił zbrojnych. Oprócz pilota w samolocie znajdował się jeszcze południowoafrykański nawigator oraz pięciu brytyjskich członków załogi. Od włoskiego lotniska Campo Casale w Brindisi oddzielały ich jeszcze tylko szybko zbliżające się Karpaty, następnie Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia oraz Adriatyk – obce i nieprzyjazne otchłanie w dole. Z otchłani tej wyłonił się niemiecki myśliwiec pilotowany przez Gustava Francsiego. Liberatora dosięgły pociski. Maszyna spadła pod lasem. Życie młodych lotników ze 178. dywizjonu RAF zakończyło się w Żdżarach, w miejscu, którego nie znali, a z którym połączyła ich śmierć.



Fot. Archiwum autora

Obchodzony co roku w listopadzie Rememberance Day ma swój początek m.in. w lesie w Żdżarach, gdzie spadł brytyjski liberator wracający z misji nad powstańczą Warszawą

Wszyscy ci, którzy z liberatora otrzymali pistolety, którzy w końcu mieli granaty na niemieckie pantery, którzy przestali cierpieć głód dzięki racjom żywności z przestworzy, i wreszcie wszyscy ci śpiący niespokojnie pod ciemnym wojennym niebem wzdłuż trasy przelotu brytyjskich bombowców, w których niski, potężny dźwięk silników budził nadzieję na wybawienie, sprawili, że śmierć poniesiona w Żdżarach 15 sierpnia 1944 r. nie poszła na marne.

Dla lotników mieszkańcy wsi wykonali proste drewniane trumny. Mszę odprawił ksiądz z pobliskiej Machowej. Na mogile postawiono prosty brzozowy krzyż.

Tej nocy w okolicach Tarnowa spadły zestrzelone jeszcze dwie maszyny RAF wracające ze zrzutów nad Warszawą: liberator KG873Q z tego samego dywizjonu z siedmioosobową załogą na pokładzie – we wsi Sikorzyce – oraz liberator KG890 z polskiej eskadry numer 1586 do zadań specjalnych, z polską załogą – w Nieszkowicach Wielkich koło Bochni.

Żołnierze 178. dywizjonu RAF, którzy ponieśli śmierć w Żdżarach:
por. Ralph Lawrence Lawson SAAF – pilot
sierż. William George Clement Garner RAF – mechanik pokładowy
sierż. William Huddert RAF – strzelec
plut. Ernest Henry John Page RAF – strzelec
sierż. Roland Charles Pain RAF – radiotelegrafista
sierż. Rupert Vincent Stonier RAF – bombardier
por. Alan D'Egville Stott SAAF – nawigator.

Co roku w listopadzie na krakowskim Cmentarzu Rakowickim, gdzie po ekshumacji zostali pochowani lotnicy, obchodzony jest przez żołnierzy RAF i brytyjskich dyplomatów Rememberance Day, którego początki sięgają żdżarskich lasów.

Wracam. Słońce zachodzi wprost przede mną. Opuszczam na szybę osłonę przeciwsłoneczną. Mijam Tarnów i Bochnię. Mrużę oczy i myślę o zielonej wyspie, która na mapie kontrastowo odcina się od żółci otaczających ją pól. Jeden las, dwa imperia. Pamięć o siedmiu lotnikach podążających z pomocą walczącej Warszawie trwa: w nazwie szkoły w Żdżarach (im. Lotników Brytyjskich), w jej kontaktach z Wielką Brytanią, w małym obelisku, pamiątkowej tablicy, trosce o pamiątki z tamtych dni. Pamięć po ciele obcym – bazie wrogiej armii – zabliźnia się sukcesją mieszanych borów sosnowych.

17/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

TOTALIZATOR
SPORTOWY



**Niezapomnianych Świąt Bożego Narodzenia,
rodzinnych spotkań w atmosferze szczęścia i miłości,
a także wszelkiej pomyślności w nadchodzącym 2018 roku
życzy Zarząd i pracownicy Totalizatora Sportowego**

Razem od ponad 60 lat

eprasa.pl b7843a2655



Fot. Jaromir Kwiatkowski

Nigdy nie powinniśmy się poddawać

Z Rafałem Wilkiem, byłym żużlowcem, trzykrotnym mistrzem paraolimpijskim z Londynu i Rio de Janeiro w handbike'u, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Po prawie 11 latach spędzonych na wózku inwalidzkim zrobił pan ponad 300 kroków. Co się stało 31 marca 2017 r. W mediach zawrzało: „Rafał Wilk stanął na nogi!", „Rafał Wilk znów chodzi!".

Rafał Wilk: Pokonałem te 300 kroków dzięki specjalnemu urządzeniu – egzoszkieletowi. Jednak jestem w tym samym miejscu, w którym byłem 11 lat temu. Ale cieszę się, że dzięki rozwojowi techniki mogłem choć na chwilę podnieść się z wózka i stanąć w pionie. To było dla mnie wielkie przeżycie, choć wtedy chyba nie wszystko do mnie jeszcze docierało. Kiedy oglądałem w domu filmiki z mojego „spaceru", łezka w oku się zakręciła.

To był na pewno olbrzymi zastrzyk nadziei, że kiedyś wstanie pan z wózka na trwałe i będzie się poruszał o własnych siłach...

Medycyna idzie do przodu, dlaczego miałbym nie wierzyć w to, że tak się kiedyś stanie? Pewnie nie zostanę maratończykiem czy piłkarzem, ale myślę, że kilka kroków o własnych siłach będę mógł zrobić. Czy to będzie za dwa, pięć czy dziesięć lat – nie ma to dla mnie znaczenia. Przyjmuję swoją sytuację na chłodno, z dużym dystansem. Chodzić za kilka lat to będzie ogromna radość. A jeżeli się nie uda? Nie będę rozpaczał, uznam, że widocznie tak miało być.

3 maja 2006 r. Mecz żużlowy w Krośnie. Podobno bardzo szeroko wyszedł pan z ostatniego wirażu, odbił się od bandy i upadł na tor. Pana partner z pary, młodziutki Martin Vaculik, nie zdołał ominąć pana motocykla...

Zgadza się. Uderzył w mój motocykl i dostałem maszyną w plecy.

W efekcie stracił pan władzę w nogach. W późniejszych wywiadach powtarzał pan, że dotychczasowe pana życie legło w gruzach, że w ułamku sekundy odebrano panu wszystko. Miał pan wtedy niespełna 32 lata.

Podczas wypadku nie straciłem przytomności, więc cały czas byłem świadomy tego, co się stało. Myślałem, że to będzie zwykła kontuzja; że – jak poprzednio – zdejmę po jednym, dwóch miesiącach gips i zacznę normalnie funkcjonować. Kiedy jednak obudziłem się po operacji, lekarz powiedział mi, że nie będę chodził, a już na pewno nie będę uprawiał sportu. Odpowiedziałem: „Ja tu, k...a, jeszcze wrócę na własnych nogach". Włączyła mi się taka sportowa złość: ja ci jeszcze pokażę, że będę chodził.

eprasa.pl b7843a2655

W pierwszym okresie po wypadku musiał pan jednak przede wszystkim zaakceptować swoją nową sytuację...

...i uczyć się wszystkiego od nowa, bo człowiek staje nagle przed problemem, że nie może tego czy tamtego zrobić.

W jednym z wywiadów opisywał pan to w ten sposób: „Najpierw miałem problem, by wejść do domu. Siedziałem na schodach i płakałem. Nieraz były łzy, gdy nie mogłem czegoś zrobić".

Jestem dobrym przykładem na potwierdzenie tezy, że ograniczenia mamy tylko w głowach. Te schody, na które nie mogłem wejść i przez które płakałem, dziś pokonuję bez problemu. Na początku wejście zajmowało mi 20 minut. Dziś – dwie, a może nawet mniej. To kwestia poukładania sobie tego wszystkiego, pousuwania pewnych blokad. Kiedy uczyłem się jeździć na wózku inwalidzkim, spadałem z niego wielokrotnie, ale za każdym razem się podnosiłem i próbowałem znowu. Bo nieważne, jak upadamy, ważniejsze jest, jak wstajemy.

Wielokrotnie rozmawiałem z osobami po trudnych, często wręcz traumatycznych przeżyciach. Opowiadały mi, że zanim sobie to wszystko poukładały w głowie, często pojawiało się pytanie: dlaczego ja? I pretensja – do Pana Boga, do osoby, która się do ich nieszczęścia przyczyniła.

Widocznie ja jestem inny, bo nigdy nie miałem do nikogo żalu o to, co się wydarzyło – ani do Martina, ani tym bardziej do Pana Boga [śmiech].

Czyli Martin Vaculik mógł spać spokojnie [śmiech].

Z Martinem się przyjaźniliśmy. Nasze drogi trochę się rozeszły, odkąd już nie zajmuję się żużlem, ale jeszcze gdy Martin był zawodnikiem Stali Rzeszów, mieszkał u mnie. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógłbym mieć do niego żal czy pretensje. Takie jest życie, taki jest sport. Nikt nie bierze pod uwagę, że może mu się coś stać. Niestety, akurat trafiło na mnie i cóż... trzeba się było z tym pogodzić.

Czasami znajomi zadają w takiej sytuacji pytania w stylu: a po co ci był ten żużel? Jakby można było przewidzieć, że zdarzy się nieszczęście...

Lubię takie pytania. Po co mi to było? Na przykład po to, bym mógł być teraz w miejscu, w którym jestem. Widocznie tak miało się stać. Ja to wszystko przyjmuję. Przyjmuję życie takim, jakie jest. Mogłoby mnie na przykład już nie być. A jestem, cieszę się z życia. I to jest piękne. Tak naprawdę to od nas zależy, jak nasze życie wygląda. Zawsze mamy wybór. Mógłbym płakać, przeżywać wielką tragedię. Ale po co? Jaki by to miało sens? A można zrobić inaczej: wziąć w swoje ręce życie, jakie jest, i cieszyć się nim. I dać dobry przykład malkontentom, nawet ludziom zdrowym, którzy wymyślają sobie różne problemy i narzekają na wiele rzeczy. Wtedy im mówię: „To popatrz na mnie".

Na ile to, że jest pan sportowcem, pomagało w przyjęciu takiej właśnie postawy?

Myślę, że to kwestia charakteru. Nie tylko w sporcie, lecz w ogóle w życiu, nie należy się poddawać. Gdybym zrezygnował z jazdy na rowerze po pierwszej próbie, podczas której się przewróciłem, toby mnie nie było w tym miejscu, w którym dziś jestem. A to, że „oszlifowałem" cały bok, zmotywowało mnie do treningów.

Powtarza pan, że 3 maja 2006 r. zamknął pan jedną księgę swego życia i otworzył drugą.

Bo tak jest. Jestem dziś innym człowiekiem, od tamtego dnia funkcjonuję inaczej.

Wszystko, każde doświadczenie – jak mawia Krzysztof Ziemiec – jest po coś?

Nie mówię, że przed wypadkiem byłem złym człowiekiem, a teraz jestem o wiele lepszym. Po prostu, inaczej postrzegam życie. W Ewangelii św. Jana jest scena, kiedy uczniowie Pana Jezusa, widząc niewidomego od urodzenia, pytają Go, kto zgrzeszył, że ten człowiek jest taki – on czy jego rodzice. A Pan Jezus odpowiada, że ani on, ani jego rodzice, lecz ten człowiek jest taki, „aby się na nim objawiły sprawy Boże". Myślę więc, że mogę być dla wielu osób dowodem na to, iż nawet wtedy, gdy nasze dotychczasowe życie legnie w gruzach, można je na nowo i pięknie odbudować.

Co by pan powiedział tym, którzy nie mogą sobie poradzić z trudnymi doświadczeniami życiowymi, użalają się nad sobą i obrażają się na cały świat?

Generalnie ludziom się wydaje, że do wszystkiego można dojść łatwą i prostą drogą. Gdy przychodzą niepowodzenia, szybko się poddajemy. A niestety nie ma prostej drogi do sukcesu. Niejednokrotnie jest ona bardzo kręta i długa, a po drodze, zanim dojdziemy na szczyt, trzeba jeszcze „połknąć" kilka porażek. Moje życie po wypadku też nie było historią jak z bajki. Były momenty lepsze i gorsze.

A czy miał pan takie chwile, kiedy czuł totalne zwątpienie we wszystko?

Raczej nie, choć bezpośrednio po wypadku nawet wjechanie na kilkucentymetrowy krawężnik stanowiło dla mnie problem. Spadałem, obijałem się. Ale dałem sobie szansę.

Ktoś mógłby powiedzieć: gdyby nie wypadek, nie byłoby nowego życia i zwycięstw na paraolimpiadach i mistrzostwach świata.

Pewnie, że tak. Dlatego jestem wdzięczny za to wszystko, co mnie spotkało. Nigdy nie robiłem z tego tragedii. Pomimo tego, że jeżdżę na wózku, moje życie nie jest gorsze. Jest inne, ale myślę, że także piękne.

Jest pan dowodem na to, że niepełnosprawność ruchowa nie musi przeszkadzać w życiu – jak to określał śp. ks. Jan Kaczkowski – żyje pan „na pełnej petardzie", realizuje swoje marzenia.

To prawda. Żyję dziś bardziej aktywnie niż pewnie połowa ludzi. Jeżdżę po całym świecie i nie widzę powodu, dla którego wózek miałby mnie w czymś ograniczać.

eprasa.pl b7843a2655

Co w tych 11 latach zmagania się ze swoją słabością było najtrudniejsze?

Najtrudniejsze, przynajmniej na początku, było dla mnie to, że ktoś mi musiał pomagać w podstawowych czynnościach, np. w przesiadaniu się z łóżka na wózek. Gdy szedłem się kąpać, dwie osoby musiały mi pomagać w wejściu i wyjściu z wanny. Byłem świadomy, że jestem bezbronny jak dziecko. To mnie najbardziej ograniczało. Chciałem jak najszybciej stać się samodzielny, bo miałem świadomość, że może przyjść taki dzień, kiedy tych osób nie będzie akurat pod ręką. I co wtedy: rozpłakać się? Ta bezradność była dla mnie najbardziej przerażająca.

Podejrzewam, że miał pan wiele sytuacji, kiedy ktoś niepełnosprawny, a może i pełnosprawny, podziękował panu za postawę życiową, stwierdził, że jest pan dla niego inspiracją...

W przypadku osób na wózkach takich spotkań było bardzo wiele. Ale i od wielu zdrowych usłyszałem, że jestem dla nich inspiracją.

Do czego?

Do tego, by nie narzekali na swoje życie, na to, że czegoś się nie da. Bo jeżeli chcemy, to zawsze znajdziemy sposób, by to zrobić. Pamiętam rozmowę z taką narzekającą koleżanką. Powiedziałem jej: „Zobacz, jeżdżę na wózku. A słyszałaś kiedyś, żebym narzekał?". „No, nie. No to i ja już więcej nie będę". Nie zdawałem sobie sprawy, że takie rzeczy, na które narzekała, mogą stanowić problem. Pewnie mamy taką naturę, że sami wyolbrzymiamy problemy. Ale to nam w życiu wcale nie pomaga.

Lepiej się cieszyć z tego, co mamy, niż się smucić, że czegoś nie mamy?

Dokładnie. Wielu nie docenia tego, co ma. A warto to doceniać, warto się cieszyć każdym dniem, bo dziś ktoś jest zdrowy, a jutro może być zmuszony do tego, by usiąść na takim samym wózku jak ja. Czy przez to stanie się gorszą osobą? Na pewno nie. Dzięki temu, że mają styczność ze mną, zmieniło się podejście moich najbliższych do osób niepełnosprawnych. Wiedzą, jak się wobec nich zachować, jak im pomóc. Duża część społeczeństwa boi się osób niepełnosprawnych, bo tego wszystkiego nie wie. A jak czegoś nie znamy, to się tego boimy. Tłumaczę moim studentom, że niepełnosprawność to nie jest katar, którym można się zarazić przez czyjeś kichnięcie.

Musimy w tym miejscu dodać, że jest pan nie tylko sportowcem, lecz i wykładowcą na Uniwersytecie Rzeszowskim na Wydziale Wychowania Fizycznego. Czy pańskie zajęcia mają związek z niepełnosprawnością?

Tak. Na wychowaniu fizycznym mam zajęcia ze sportu osób niepełnosprawnych, a na turystyce – z turystyki osób niepełnosprawnych. Tłumaczę, że nic nie stoi na przeszkodzie, by niepełnosprawni uprawiali sport, podróżowali.

Jak forsownie musi ćwiczyć zawodnik handbike'u, żeby być najlepszy na świecie?

W ubiegłym roku przejechałem na rowerze ponad 17 tys. km. Najlepiej opisywać to w takich liczbach, bo jak powiem, że ćwiczę 2–3 godziny dziennie, a czasami dłużej, to może to nie zrobić wrażenia. Bardzo wielu ludzi nie przejeżdża rocznie tylu tysięcy kilometrów samochodem, co ja na rowerze, kręcąc rękami.

Jest pan trzykrotnym mistrzem olimpijskim. Przedrostek „para-" biorę w nawias, bo nie ma dla mnie znaczenia, czy chodzi o sport pełnosprawnych, czy niepełnosprawnych.

Tak naprawdę sport jest jeden. Nieważne, czy się ścigam na wózku, czy normalnie. Najważniejsze, że podejmuję wyzwanie.

Mówi się, że nie ma większej satysfakcji dla sportowca niż mistrzostwo olimpijskie. Pan osiągnął je trzy razy. Mam nadzieję, że na tym pan nie poprzestanie.

Nie, nie! [śmiech]. Mam nadzieję, że pojadę na igrzyska jeszcze przynajmniej dwukrotnie.

Co się czuje, gdy grają „Mazurka Dąbrowskiego"? Pytanie nie jest wcale banalne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że niewielu z nas dostąpiło tego zaszczytu.

To niepowtarzalne uczucie. Wydawało mi się, że jestem twardy, bo życie tak mnie nauczyło. Ale po olimpiadzie powtarzałem, że dobrze, iż siedziałem na tym wózku, bo pewnie by mi się nogi ugięły. Człowiek robi się wtedy „miękką fają". Zaraz po igrzyskach w Rio, kiedy udzielałem jakiegoś wywiadu, nie byłem w stanie opanować wzruszenia. Trudno zapanować nad emocjami w sytuacjach, które zdarzają się niesłychanie rzadko, a nawet mogą się już w ogóle nie powtórzyć.

Skąd pan brał przez te wszystkie lata siły do zmagania się z sobą, wręcz do przekraczania siebie?

Myślę, że sami nie zdajemy sobie sprawy, ile mamy siły w sobie. Kiedy spotka nas jakieś trudne doświadczenie, mamy dwa wyjścia: poddać się lub podnieść rękawice i starać się żyć normalnie. Dokładnie tak było w moim przypadku. Mogłem opuścić ręce, powiedzieć: „Nie chce mi się". Nie chciałem jednak być ciężarem dla nikogo, piątym kołem u wozu, chciałem stać się samodzielny. Normalnie żyć, funkcjonować. Myślę, że to motywowało mnie do ćwiczeń. Dziś cieszę się życiem i jestem w 100 proc. samodzielny: jeżdżę samochodem, podróżuję samolotami po całym świecie. Nic nie jest niemożliwe, jeżeli tylko człowiek tego chce.

Rafał Wilk

42 lata, były żużlowiec (uprawiał speedway przez 15 lat, m.in. w Stali Rzeszów i KSŻ Krosno). Po wypadku na torze, do którego doszło 3 maja 2006 r., stracił władzę w nogach i trafił na wózek inwalidzki. Nie zrezygnował jednak ze sportu i zaczął uprawiać m.in. handbike – kolarstwo na rowerze z napędem ręcznym. Dwukrotny mistrz paraolimpijski z Londynu (2012), mistrz i wicemistrz z Rio de Janeiro (2016), kilkakrotnie sięgał też po mistrzostwo świata w tej dyscyplinie sportu.

eprasa.pl b7843a2655

65/1017/F



Zbigniew Bródka - Sochi 2014

Jesteśmy jedną drużyną

#białoczerwoni

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

TAURON — Sponsor

4F — Sponsor Kolekcji Olimpijskiej

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

LOT POLISH AIRLINES — Oficjalny Przewoźnik

Deloitte. COLUMNA MEDICA — Partnerzy PKOl

RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT — Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl b7843a2655



Marzenie o bezdrożach

„Wyzwanie dla tych, którzy startują. Marzenie dla tych, którzy zostają w domu" – to motto ukute przez Thierry'ego Sabine'a, który przed 40 laty postanowił zorganizować rajd wiodący ze stolicy Francji do stolicy Senegalu

Motocyklista zagubił się na bezkresnych piaskach libijskiej pustyni i czekając na pomoc w bezlitosnym żarze północnoafrykańskiego słońca, stwierdził, że to właśnie tutaj powinien się odbywać najtrudniejszy rajd świata. Pomysł Sabine'a szybko stał się rzeczywistością. Mimo że dziś trasa rajdu Dakar nie biegnie już przez pustkowia Czarnego Lądu, ale przez południowoamerykańskie bezdroża, jedno pozostało bez zmian – to wciąż najbardziej wymagający rajd świata.

Dakar 2018 to rajd jubileuszowy z dwóch powodów: będzie to 40. edycja tej imprezy, jak również 10. rozgrywana na terenie Ameryki Południowej. Jak co roku, na starcie zamelduje się pokaźna grupa zawodników z Polski, w tym przedstawiciele ORLEN Team: Jakub Przygoński pilotowany przez Toma Colsoula w klasie aut i Maciej Giemza jadący na motocyklu. Zawodnicy traktują start w Dakarze z jednej strony jako wielką nobilitację, a z drugiej – jako ogromne wyzwanie, świadomi tego, że nie każdy z nich dojedzie do mety. Historia rajdu w pełni usprawiedliwia specjalną wagę, jaką kierowcy przykładają do udziału w nim.

Wszystko zaczęło się od wspomnianego przypadku Sabine'a, a już 12 miesięcy później, w grudniu 1978 r., na starcie debiutanckiego rajdu w Paryżu stawiły się 182 pojazdy, z których jedynie 74 zameldowały się na mecie w Dakarze. Pierwszymi zwycięzcami okazali się rodacy założyciela rajdu, Francuzi Cyril Neveu w kategorii motocykli i Alain Genestier w kategorii samochodów. Bardzo szybko Dakar stał się imprezą, do której zaczęły lgnąć najlepsze firmy konstruktorskie w branży motoryzacyjnej: oprócz kojarzonych z Francją Peugeota, Renault czy Citroëna, także giganci z Niemiec (Mercedes, BMW, Volkswagen, Porsche) czy Japonii (Yamaha, Honda, Mitsubishi). Normą stały się również występy zawodników, którzy wcześniej święcili triumfy w sportach motorowych niezaliczanych do kategorii terenowych.

eprasa.pl b7843a2655

Z pewnością Thierry Sabine sam był zaskoczony tym, że jego ambitny projekt spotka się z tak ciepłym przyjęciem ze strony środowiska sportowego. Od początku przekonywał, że Dakar to coś więcej niż zwykły rajd – to impreza otwarta zarówno na zawodowców, jak i na amatorów, dla których sam udział w przedsięwzięciu jest jedną z najpiękniejszych, ale i najtrudniejszych przygód w życiu. Niestety, jak się okazało, Sabine poświęcił swojemu rajdowi życie: podczas nagłej burzy piaskowej na trasie imprezy w 1986 r. helikopter, którym leciał, rozbił się o wydmy. Oprócz legendarnego organizatora Dakaru w katastrofie zginęły jeszcze cztery osoby, w tym otoczony we Francji wielką sławą piosenkarz Daniel Balavoine. Prochy Sabine'a rozrzucono nieopodal miejsca wypadku, przy Zagubionym Drzewie będącym ważnym punktem orientacyjnym na mapie Sahary. Od tego czasu drzewo nosi imię tragicznie zmarłego Francuza.

Przez kolejne dziesiątki lat Dakar przeżywał swoje lepsze i gorsze chwile. W szczytowych latach na starcie meldowało się niemal 700 pojazdów, w tych najsłabszych – ok. 150. W 1992 r. po raz pierwszy rajd przeprowadzono z użyciem technologii GPS, natomiast dziewięć lat później po raz pierwszy, i jak na razie ostatni, w Dakarze triumfowała kobieta – Niemka Jutta Kleinschmidt. Edycja 2008 musiała zostać odwołana w przeddzień startu z powodu zagrożenia bezpieczeństwa. Zamordowanie francuskich turystów w poprzedzające rajd święta Bożego Narodzenia i bezpośrednie groźby wobec organizatorów oraz uczestników Dakaru wystosowane przez organizację powiązaną z Al-Kaidą spowodowały, że nie było innego wyjścia. W zamian miesiąc później jedyny raz zorganizowano swego rodzaju zamiennik: Rajd Środkowej Europy, który został zaliczony jako Dakar 2008. Łącznie trasa rajdu wiodła dotychczas przez aż 29 państw.

Od 2009 r. Dakar odbywa się w Ameryce Południowej, ale nazwa pozostała – trudno się dziwić, wszak jest ona samoistnym symbolem jednego z najtrudniejszych wyzwań na planecie. Dziś Dakar to niekwestionowany numer jeden na światowej mapie rajdów (wśród sportów motorowych bardziej rozpoznawalna jest tylko Formuła 1), na co z pewnością wpływ ma organizowanie go przez ASO – francuskiego giganta z branży sportowej, odpowiedzialnego także za kolarski Tour de France. Jak twierdzą uczestnicy rajdu, to najlepsza okazja, żeby lepiej poznać samego siebie i pokonać swoje ograniczenia. Z pewnością znów będziemy świadkami wielkich dramatów i pięknych sukcesów. Oby te ostatnie stały się udziałem Polaków z ORLEN Team.

LEGENDY DAKARU



Stéphane Peterhansel (Francja)

Niekwestionowany król Dakaru, w którym między 1988 a 2017 r. triumfował 13-krotnie: sześć razy na motocyklu i siedem razy za kierownicą samochodu. 71 zwycięstw etapowych to absolutny rekord rajdu.



Cyril Despres (Francja)

Pięć razy pierwszy na mecie Dakaru na motocyklu KTM pomiędzy 2003 a 2013 r., obecnie z niezłym skutkiem próbuje swoich sił jako kierowca Peugeot.



Marc Coma (Hiszpania)

Jego rywalizacja z Despresem przeszła już do historii, podobnie jak Francuz pięciokrotnie triumfował na motocyklu KTM. Obecnie dyrektor rajdu odpowiedzialny za trasę.



Ari Vatanen (Finlandia)

Mistrz WRC z 1981 r., który potem za kierownicą peugeota cztery razy triumfował w Dakarze. Z 50 etapowymi zwycięstwami w tabeli wszech czasów jedynie za Peterhanselem i Chaginem.



Cyril Neveu (Francja)

Pierwszy triumfator w kategorii motocykli, potem udawało mu się jeszcze czterokrotnie stawać na najwyższym stopniu podium.



Hubert Auriol (Francja)

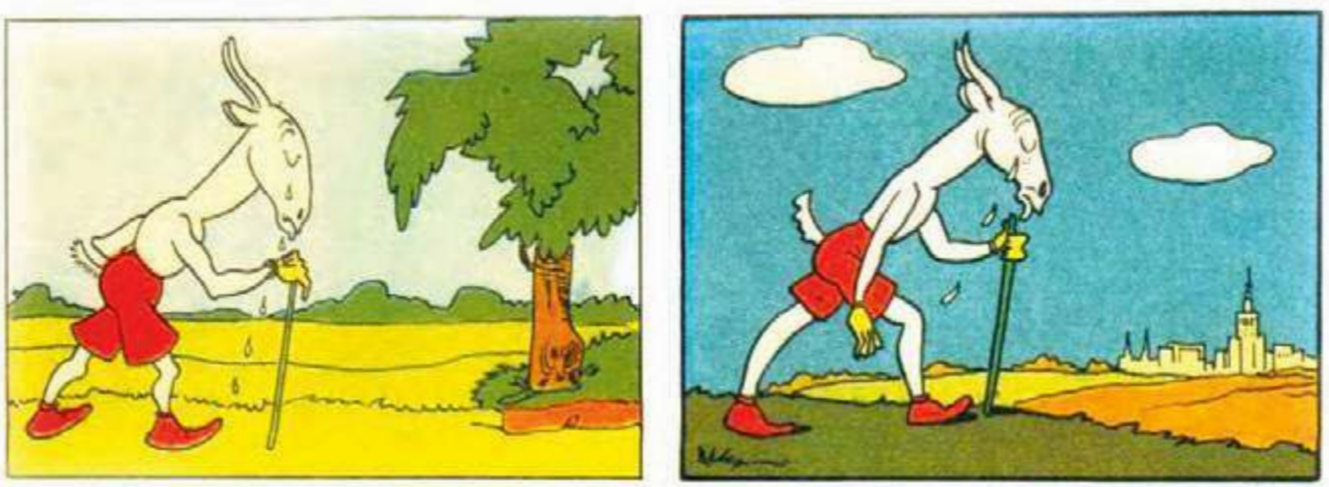
Wieloletni dyrektor Dakaru, którym został po uprzednim trzykrotnym wygraniu rajdu. Był pierwszym zawodnikiem, który zwyciężał w kategorii zarówno motocykli, jak i samochodów, zapoczątkowując tym samym swoistą dakarową tradycję.

Fot. Mananana/Shutterstock.com, cristiano barni/Shutterstock.com, twitter, Soppakanuuna CC BY-SA 3.0, youtube, Thesupermat CC-BY-SA



Jak Koziołka Matołka rysowano na nowo

W latach PRL na różne sposoby cenzurowano i fałszowano dorobek polskiej literatury. Książki znikały z księgarń i bibliotek, a jeszcze niedawno publikujący autorzy zapadali się pod ziemię. To niby nie jest tajemnica, ale mało kto wie, że w tych czasach nie oszczędzono nawet przygód słynnego koziołka



Piesza wędrówka kozła do Warszawy w 1933 (z lewej) i w 1957 r.



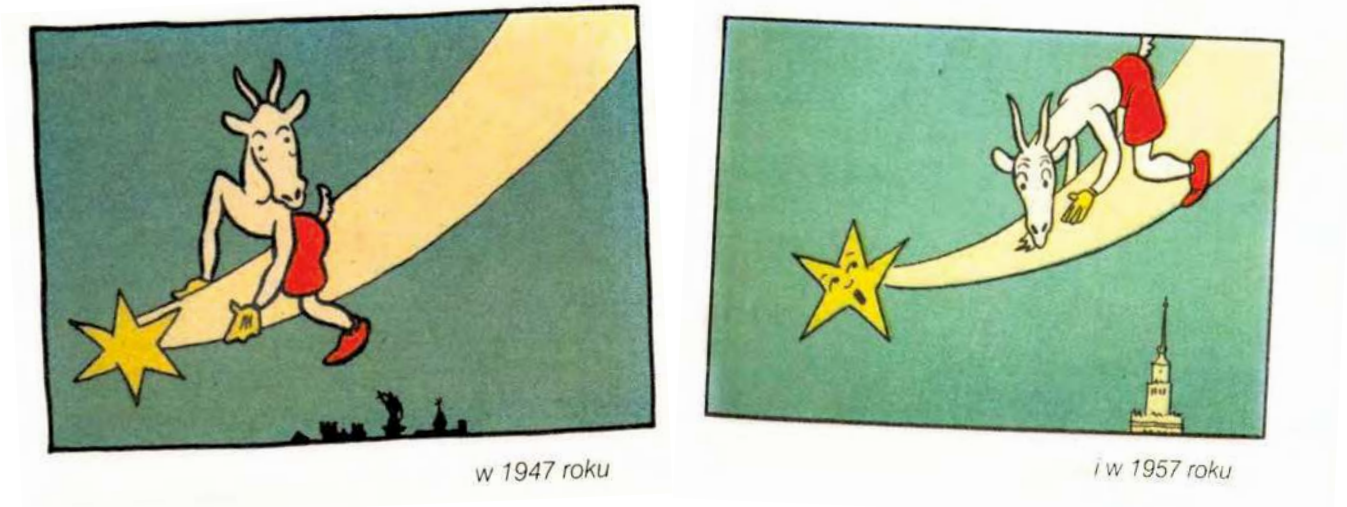
PIOTR GONTARCZYK

Źródła historyczne są zgodne, że pomysłodawcą przygód sympatycznego koziołka był rysownik Marian Walentynowicz. To on wspólnie z dyrektorem bodaj największego przedwojennego Domu Wydawniczego Gebethner i Wolff Janem Stanisławem Gebethnerem w 1932 r. namówił do współpracy literata Kornela Makuszyńskiego. Trochę było w tym amerykańskich wzorców, ale że myszy (Miki) czy psy (Pluto) były już „ograne" przez znane w Polsce produkcje Walta Disneya, to wątek Koziołka zmierzającego do Pacanowa był jak najbardziej krajowy.

Współpraca obu autorów komiksu zaowocowała obficie i w szalonym tempie: już po kilku miesiącach powstała księga „120 przygód Koziołka Matołka", która nadała pewne wzorce całej serii. Rysowane prostą kreską obrazki (sześć w dwóch rzędach na stronie) uzupełniał czterolinijkowy i ośmiozgłoskowy wierszyk Makuszyńskiego. Pierwszy nakład z 1932 r. mimo wysokiej ceny (3,50 zł) zszedł na pniu, toteż szybko pojawiły się dodruki. Nadto w latach 1933–1934 ukazały się trzy nowe księgi przygód Matołka, cieszące się niesłabnącym powodzeniem.

Ale były też głosy krytyczne. „Polonistyka" przestrzegała: „Wszystko tu jest brzydkie! Trudno się też pogodzić z tekstem, który towarzyszy tej filmowo potraktowanej historyjce. Jest tu, jak to u Makuszyńskiego, dużo humoru, ale czy te niesamowite, a bardzo liczne przygody nie wytworzą jakiegoś chaosu w małych główkach?". Wanda Borudzka w „Wiadomościach Literackich" napisała, że to nie tyle przygody Matołka, ile przygody dla matołków (1934). Ale te głosy nie zmieniły tego, że na ogół chwalone w prasie wesołe i pogodne przygody naszego bohatera cieszyły się ogromną popularnością. Do wybuchu wojny łączny nakład wszystkich czterech ksiąg przekroczył astronomiczną wówczas liczbę 150 tys. egzemplarzy!

eprasa.pl b7843a2655



w 1947 roku

i w 1957 roku

PO WOJNIE

W powojennej Polsce pierwsze wydanie przygód Koziołka Matołka ukazało się w 1947 r. Już wówczas Marian Walentynowicz dokonał w nich istotnych poprawek, które z jednej strony uwspółcześniały opowieść, ale z drugiej – miały znaczenie polityczne. Usunięto na przykład żołnierzy w przedwojennych mundurach, szable u boku oficerów, a także generała w galowym mundurze, dobrze pamiętanym przez obywateli z czasów II Rzeczypospolitej. Najwyraźniej takie obrazki były już „niepoprawne politycznie", bo rodziły podejrzenie o „gloryfikację sanacji". Wcześniej jeden z rysunków przedstawiał nawet dumnego kozła na białym koniu, w którym jedni mogliby dostrzec znienawidzonego przez władze gen. Andersa, a inni nawet Marszałka. To musiało zostać i zostało poprawione.

W komiksie zmieniono również liczne aspekty społeczne i typy ludzkie pojawiające się na ulicach polskich miast. Przepadł gdzieś przedwojenny gazeciarz w charakterystycznym ubraniu, znikali i inni „niesłuszni" obywatele. Na przykład Żyd w chałacie, w mycce i z pejsami. W 1947 r. już takich Żydów w Polsce nie było, więc i z komiksu ich wymazano. Ale te zmiany i tak nie nadążały za lokomotywą dziejów, bo w 1948 r. zaczęła się stalinowska ofensywa kulturalna i dorobek Makuszyńskiego znalazł się na cenzurowanym jako niepasujący do realizmu socjalistycznego.

W 1951 r. jeden z czołowych stalinowskich działaczy (aktywny w kulturze PRL do 1989 r.) Grzegorz Lasota na posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich perorował: „Tacy pisarze jak Makuszyński i [Gustaw] Morcinek kształtowali swoje utwory na podłożu negacji walki klasowej". Wanda Grodzieńska i Seweryn Pollak uznali przygody sympatycznego koziołka za niemądre i – co brzmiało niemal jak wyrok śmierci – wzorowane na imperialistycznych pomysłach: „Jako jeden z czynników odwracania uwagi dzieci od tematyki społecznej występują głupawe wierszyki o koziołkach matołkach pełne bzdurnych, nieprawdopodobnych przygód, stanowiące objaśnienia do ilustracji, coś w rodzaju osławionych amerykańskich komiksów".

Rok później Koziołek Matołek definitywnie zniknął z krajowych bibliotek w ramach akcji wycofywania całej przedwojennej literatury dziecięcej i młodzieżowej. Makuszyński żył w biedzie i zapomnieniu. Zmarł w 1953 r. w Zakopanem i tam został pochowany na cmentarzu dla zasłużonych na Pęksowym Brzysku obok Władysława Orkana, Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Tytusa Chałubińskiego.

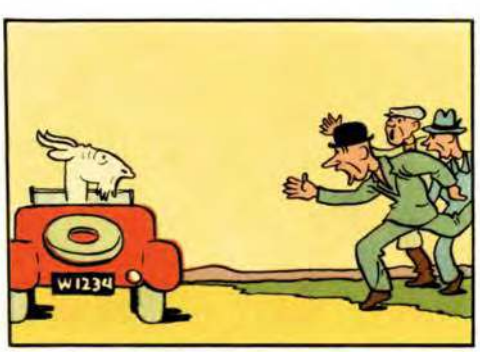
ODWILŻ

Po zmianach politycznych w 1956 r. do łask powrócili i Makuszyński, i jego Matołek. Przygody koziołka znów ukazały się drukiem, tym razem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Antoni Gołubiew ogłosił w „Tygodniku Powszechnym" artykuł „Zwycięstwo Koziołka Matołka nad stalinizmem", chyba nie do końca wiedząc, że sukces miał wysoką cenę. Komiks został bowiem narysowany na nowo i obok zmian artystycznych zawierał zmiany polityczne. Walentynowicz nigdy nie wyjaśnił motywów swojego działania, co sugeruje, że ważniejsze niż nacisk cenzury mogły tu być chęć wydania opowieści i otrzymanie związanego z nim honorarium. W 1957 r. w wierszykach Makuszyńskiego nie przerobiono zbyt wiele (choć na przykład „biedniutkie polskie dzieci" zostały zastąpione przez „kochane", bo – jak wiadomo – tych pierwszych w PRL nie było), ale zmiany w rysunkach często ocierały się o śmieszność.

Z komiksu zniknęły przedwojenne i te tuż powojenne mundury wojskowe, zastępując dawne realia tymi z lat 50. Buty, broń, samoloty – wszystko było już na nową modłę, z okrągłymi czapkami (w miejsce polskich rogatywek) na czele. „Niesłusznych" przedwojennych polskich policjantów z pałkami zastąpili teraz uśmiechnięci funkcjonariusze MO. Naturalnie bez pałek. Zmieniała się również sceneria. Na obrazku, na którym Koziołek Matołek spacerował po polskiej prowincji w 1957 r., widniał kontur wiejskiej chaty. Niby nic, ale sęk



Nagle stanął wóz żelazny,
A tłum wielki w głos wykrzyka:
„Koza! Koza! Łapcie kozę!
Zawołajcie tu rzeźnika!"



Nagle stanął wóz żelazny,
A tłum wielki w głos wykrzyka:
„Koza! Koza! Łapcie kozę!
Zawołajcie tu rzeźnika!"

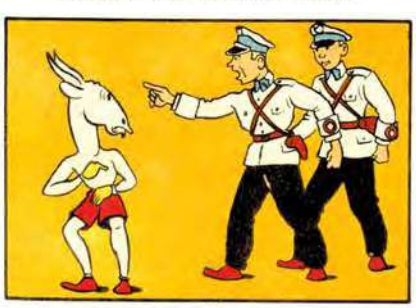
eprasa.pl b7843a2655

w tym, że w wersji sprzed 10 lat był tam kościół. No i generalnie świątyń oraz krzyży było w komiksie dużo mniej niż wcześniej. Gruntownej przeróbki scenografii przygód Matołka dokonano również w Warszawie. Na jednym z obrazków dorożkę zastąpił samochód, a ludzi w strojach z lat 30. wymieniono na szarych obywateli PRL. Co więcej, dorysowano nowe tło w postaci Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, czyli stalinowskiego MDM. Na innym obrazku, na którym Matołek leciał nad stolicą na ogonie gwiazdy, zniknęła Starówka z kolumną Zygmunta. Zastąpił ją Pałac Kultury (niedawno imienia Józefa Stalina). Ten budynek zresztą dorysowano również w innych miejscach.

W nowym komiksie zmieniły się obyczaje, stroje, a nawet obowiązujące kanony kultury. Przed wojną Koziołka żegnała grupa przyjaciół ubrana we fraki i w smokingi. W latach 50. stało się wątpliwe, czy postać tak sympatyczna jak nasz Matołek miał przyjaciół wśród przedstawicieli byłych klas posiadających. Z komiksu zniknęli więc ci kapitalistyczni wyzyskiwacze i próżniacy, których zastąpili zwykli obywatele PRL.



Policjanci zakrzyknęli:
„Ruszaj stąd, koziołku młody!"
A on na to: — „Pragnę umrzeć,
Bo już ślicznej nie mam brody..."



Milicjanci zakrzyknęli:
„Ruszaj stąd, koziołku młody!"
A on na to: „Pragnę umrzeć,
Bo już ślicznej nie mam brody..."



Rzekł do siebie: „Niech wprzód spyta,
Ten, co w drogę się wybiera!"
Więc z powagą wielką wkroczył
Do księgarni Gebethnera.



Rzekł do siebie: „Niech wprzód spyta,
Ten, co w drogę się wybiera!"
Więc z powagą wielką wkroczył
Do księgarni Gebethnera.

W innym rysunku strach na wróble, z którym rozmawiał nasz bohater, musiał zmienić burżuazyjny cylinder na ludowy, słomkowy kapelusz. A z listu, jaki posłaniec wręczał Matołkowi przed wojną, usunięto dwa pierwsze słowa „Jaśnie Wielmożny Koziołek Matołek". „Jaśnie Wielmożni" to byli przed wojną. I wystarczy.

SOCJALISTYCZNA POPRAWNOŚĆ

W innych miejscach komiksu rysownik utrwalił „słuszne" zmiany, jakie nastąpiły w minionym dziesięcioleciu Polski Ludowej w dziedzinie własności środków produkcji. Przed wojną Koziołek Matołek zajrzał do księgarni Domu Wydawniczego Gebethner i Wolff, który był przecież wydawcą jego przygód. Ponieważ jeszcze w latach 40. komuniści odebrali firmę prawowitym właścicielom i ją znacjonalizowali, na rysunku z 1957 r. szyld tej firmy zastąpił napis „Księgarnia". Nawet biednej wiewiórce, która ze swojego sklepiku na drzewie przed wojną sprzedała Koziołkowi orzechy, zlikwidowano podejrzany „prywatny interes". Dostało się i Amerykanom, którzy po odwilży 1956 r. wcale nie przestali być symbolem agresywnego imperializmu i niewłaściwych wzorców kulturowych. W wersji przedwojennej Koziołek Matołek rozmawiał w Nowym Jorku z amerykańskim biznesmenem, z cygarem w zębach, które samo w sobie było symbolem konsumpcyjnego rozpasania. Nowy Amerykanin z 1957 r. mniej przypominał ówczesne karykatury z pisemek satyrycznych i miał w ustach nie cygaro, ale fajkę. Z tym samym rysunkiem zrobiono jeszcze jedną ciekawą rzecz. Ponieważ w USA nie mogło być wówczas niczego pozytywnego, z panoramy Nowego Jorku, gdzie toczyła się wspomniana rozmowa, usunięto Statuę Wolności.

To tylko ciekawsze, ale nie wyczerpujące tematu przykłady poprawek dokonanych w komiksie o przygodach Koziołka Matołka w czasach PRL. Dobrze jednak, że nasz bohater z bródką w ogóle został wówczas przywrócony polskiej kulturze i zadomowił się w niej na stałe. W późniejszych latach powstawały o nim kreskówki, utwory sceniczne i słuchowiska, na trwałe zapewniając mu miejsce w świadomości nie tylko starszego pokolenia. Choć o sprawie manipulacji w jego przygodach wspomnieli pisarka Joanna Siedlecka oraz Adam Rusek, to na rynku wydawniczym dominują wersje przygód sympatycznego koziołka powstałe po wojnie.

Cieszmy się jednak, że jeszcze Koziołka Matołka w ogóle mamy. W Szwecji na przykład ideologiczni szaleńcy w imię „poprawności politycznej" dokonują cięć w słynnych „Przygodach Pippi Langstrumpf", bo są w nich „murzyński król" (oba wyrazy są w tym kraju nie do przyjęcia) i sceny, w których bohaterka nieudolnie udaje Chinkę, co uznano za rasistowskie i obraźliwe. W „Koziołku Matołku" też są rasy, różnice kulturowe, i to nie zawsze nacechowane pozytywnie (dzicy murzyni w Afryce, którzy zjadają gości, a np. Arabowie są naiwni itp.).

Czytajmy więc wszyscy przygody Koziołka, póki jeszcze można. A na wszelki wypadek kupmy po egzemplarzu komiksu do szafy, zanim i naszym życiem zawładną politycznie poprawne matołki.

eprasa.pl b7843a2655

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Grzeszki i wzloty

Moja ulubiona anegdota na temat Zygmunta Solorza: podobno osobiście siadał przed telewizorem, kiedy w jego Polsacie miały się pojawić reklamy, i liczył, co do sekundy, czy wszystko zeszło, tak jak zejść miało. Zaczynał prowadzić swą telewizję w baraczku. Kilka lat później prawicowi chłopcy od telewizji Puls zaczęli od razu od eleganckich biur w drapaczu chmur; zainstalowali tam akwaria z egzotycznymi rybami. I wkrótce ich nie było. Do tego zestawienia wracał często Jarosław Kaczyński, szukając powodów dysproporcji na rynku mediów.

Nie wycofuję zastrzeżeń wobec biografii prezesa Solorza. Ale wielostronny talent docenić muszę. Zmęczyła mnie cokolwiek bombastyczność gali z okazji 25-lecia tej stacji pasowanej przez gości ze sceny Teatru Wielkiego na ostoję wolności i szlachetności. Ba, zdziwił Grzegorz Markowski, który skorzystał ze swej wolnościowej „Autobiografii" do udekorowania tego blichtru. Jednak kiedy Solorz na końcu tylko podziękował, bo „wiecie, że nie jestem mówcą"... Jest w tym człowieku jakaś naturalna skromność, która doprowadziła go na szczyt.

Nie same miłe wspomnienia kojarzą mi się z dawnym Polsatem, choć w Teatrze Wielkim były ochy i wzruszenia, a Paweł Kukiz dziękował, że „byli zawsze blisko ludzi". Pamiętam ich program z drugiej połowy lat 90., w którym Jolanta Kwaśniewska wspólnie z Markiem Siwcem i Lechem Falandyszem zaśmiewając się do łez, parodiowali partyzancką pieśń z II wojny światowej. To był dość typowy fragment tej jego „ludowości".

Te klimaty odnajduję czasem i dziś, choć inne są ich barwy. Choćby wtedy, kiedy kombo jurorów z „Must Be the Music", na czele z Korą i Elżbietą Zapendowską, szydziło sobie z chłopaka, który miał nieszczęście zaśpiewać o Polsce. Po prostu.

Ale przecież jest tyle miłych wspomnień... Choćby niektóre odcinki takich nie wielkich, nie głębokich seriali jak „Sanatorium pod Różą", „To nie koniec świata", „Szpilki na Giewoncie", „Hotel 54". Wynajęci scenarzyści próbowali w nich opowiadać proste historie o zwykłych ludziach.

A moment, kiedy aktorka Joanna Liszowska w programie „Twoja twarz brzmi znajomo" wystąpiła jako Stan Borys i zaśpiewała sławną „Jaskółkę", tak że ciarki przechodziły po plecach? Ja wiem, jak to brzmi. Ale trzeba znać ten program, żeby wiedzieć, jak pięknie wykorzystuje te przebieranki do ujawnienia talentów aktorskich czy wokalnych rozmaitych artystów, pokazując potęgę rzemiosła. A czasem dając nam wzruszenie. Innym zaś razem przyprawiając o paroksyzmy wesołości, jak umiał to ze mną zrobić wielce utalentowany aktor Marcin Przybylski udający Jerzego Połomskiego.

No i niejednoznaczność polityczna. Udział w rozmaitych establishmentowych koalicjach to prawda, ale prawdziwa była też sytuacja, gdy pierwszy team tej stacji potrafił w latach 90. najobiektywniej przepytywać polityków wszystkich opcji podczas kampanii wyborczych. Cząstka tego została do dziś. Na przykład w postaci zawsze zrównoważonego głosu Doroty Gawryluk moderującej debaty współczesne. Podszczypywana przez lewicowych hunwejbinów jest arbitrem dziennikarskiej elegancji. W świecie brutalności, wolnoamerykanki, umie pilnować sprawiedliwych reguł gry. Umie słuchać.



Polsat jest trochę jak Polska. Naszpikowany grzeszkami, powszednimi i poważnymi, a jakoś tam ludzki, wielobarwny. Nieprzerażający fanatyzmem tej czy innej racji. Dużo to czy mało?

Piotr Zaremba

Fot. Materiały Prasowe Polsat

eprasa.pl b7...a2655



„To wspaniałe życie" (1946), reż. Frank Capra

Jestem fanem „Kevina samego w domu". Bronię tego tytułu i ubolewam, że stał się ikoną plastikowej komercji na Boże Narodzenie. Dlatego proponuję przegląd moich ulubionych filmów świątecznych ze złotej ery srebrnego ekranu

Czarno-biały blask

eprasa.pl b7843a2655



Fot. East News

ŁUKASZ ADAMSKI

W nagrodzonej w tym roku Złotymi Lwami „Cichej nocy" Piotra Domalewskiego jest znakomita scena. W przedwigilijnej krzątaninie matka i ciotka nakazują dzieciom wyłączyć telewizor i zabrać się do pomagania w przygotowaniach. „Ale mamo, »Kevin« leci" – mówi obrażona nastolatka wpatrzona w wieczorny film na Polsacie. Tak, nakręcony w 1990 r. „Kevin sam w domu" w reżyserii Chrisa Columbusa stał się jednym z symboli świąt Bożego Narodzenia. To symbol tak znaczący, że został już przemielony nie tylko przez popkulturę, lecz i przez wyższą kulturę, co dobitnie pokazał zwycięzca z Gdyni.

Cenię film Columbusa. Uważam, że to bardzo dobrze skrojona komedia, która nie przez przypadek zarobiła na świecie 0,5 mld dol. Świetnie zagrana przez 10-letniego wówczas Macaulaya Culkina i zdobywcę Oscara za „Chłopów z ferajny" Joe Pesciego. Z muzyką maestra Johna Williamsa (to on napisał też ścieżkę dźwiękową do „Star Wars"), odpowiednim rytmem, humorem i wyrazistymi epizodami weszła do panteonu najlepszych amerykańskich komedii familijnych. Dziś „Kevin sam w domu" bywa odbierany jako symbol świątecznej komercji. Tej pogańskiej, w której nie czeka się na narodzenie Boga, ale celebruje się bożka konsumpcjonizmu. Nowej religii uosobionej przez przyjście otyłego brodacza w stroju krasnala. Niesłusznie. „Kevin sam w domu" ma w sobie ducha tego niezwykłego okresu. To jeden z najbardziej prorodzinnych filmów lat 90. Mimo urwisowskiej otoczki bazuje na najlepszych tradycjach amerykańskiego kina z gatunku „christmas movies".

Mimo że lubię „Kevina", coraz częściej sięgam w tym okresie po czarno-białe świąteczne klasyki, które dziś są pogrzebane pod świecidełkami z choinek i neonów z centrów handlowych. Oto moja lista pięciu najlepszych świątecznych filmów, które nie tylko niezmiennie inspirują, lecz również pokazują, jaki świat utraciliśmy i w jaką stronę ewoluowała popkultura. Pomijam w niej klasyczną „Opowieść wigilijną" według opowiadania Dickensa, gdyż w zasadzie wszystkie jej ekranizacje są bliskie mojemu sercu.

5 „ŻONA BISKUPA" (1947), REŻ. HENRY KOSTER

Podobnie jak w arcydziele, które zajmuje w tym zestawieniu pierwsze miejsce, anioł zstępuje z nieba i przypomina o istocie egzystencji. Pastor Henry (David Niven) jest zajęty budową nowego kościoła. Musi namówić na darowiznę upartą i bogatą wdowę. Ma też całą masę innych problemów na głowie. Przez to wszystko zaniedbuje swoją żonę Julię i ukochaną córeczkę. Przez natłok obowiązków zapomina w końcu, dlaczego zdecydował się zostać pastorem. Nawet nadchodzące święta nie sprowadzają duchownego z destrukcyjnej ścieżki. Dopiero pojawienie się anioła o twarzy Cary'ego Granta zmienia jego percepcję. Tajemniczy przybysz przypomina pastorowi o tym, czemu ten się przecież poświęcił. Przypomina mu o Bogu. Zanim to się jednak stanie, przybysz wzbudza podejrzenia. Czy nie chce ukraść Henry'emu nie tylko kościoła, lecz również żony?



Oparty na powieści Roberta Nathana z 1928 r. film jest równie wymowny dziś, jak ponad 70 lat temu. To szczególnie ważne dzieło opowiada bowiem o ludziach wierzących, którzy nawet w imię Boga potrafią... o Nim zapomnieć. Ale czy nie jest to też głos dotyczący traktowania świąt Bożego Narodzenia przez współczesne społeczeństwa? Nie tylko

eprasa.pl b7843a2655

ludzi zatopionych w komercji symbolizowanej przez św. Mikołaja na ciężarówce Coca-Coli. Również tych, dla których wigilijna kolacja musi być na tyle perfekcyjna, że to przesłania jej istotę. Pastor tak bardzo chciał postawić perfekcyjny kościół, że zaniedbał ognisko domowe, które jest przecież również bożym ogniskiem. Możliwe, że najważniejszym.

4 „GARSONIERA" (1960), REŻ. BILLY WILDER

Pracownik firmy ubezpieczeniowej C.C. Baxter (Jack Lemmon), zwany też potocznie „Buddy Boy", to typowy człowiek o mentalności korporacyjnej. Pnie się po kolejnych szczeblach kariery w firmie ubezpieczeniowej dzięki temu, że posiada klucz do garsoniery, który udostępnia swoim szefom. To najbardziej pożądane miejsce na Manhattanie. Grzeszna dziupla zapewnia Baxterowi kolejne awanse. Do czasu. Pewnego dnia poznaje uroczą kochankę (Shirley MacLaine) swojego szefa. Porzucona próbowała w mieszkaniu popełnić samobójstwo. Teraz miejsce grzechu zostanie wykorzystane do uratowania życia. Tylko czy nie oznacza to końca przywilejów w pracy, które zapewniała zawsze wolna garsoniera? Czy bohater wybierze miłość, czy może karierę?

Melancholijna, ale też zabawna „Garsoniera" to klasyk zrobiony przez legendarnego Billy'ego Wildera. Nie jest to jednak niezobowiązująca komedia, typowa dla jego dorobku, ale film z silnym wątkiem społecznym. Przełamywał on tabu i piętnował hipokryzję „przykładnych mężów". Akcja filmu, który zdobył pięć Oscarów, jest osadzona w okresie Bożego Narodzenia. A więc w czasie kojarzącym się z rodzinnym ciepłem, dobrem i prawdą. Jednak otoczenie „Buddy'ego Boya" jest zatopione w kłamstwie. Tak jak on. To wszystko pcha go jeszcze mocniej w samotność. Samotność człowieka przemykającego przez bezduszny Manhattan. Szukającego miłości i ciepła, które są przecież istotą tego czasu w roku. Nie przez przypadek to na bożonarodzeniowej imprezie wszystkie sekrety wychodzą na jaw. Wilder piętnuje także demoralizację. Pokazuje skutki niewierności, więc nakręcił obraz stricte prorodzinny.

3 „SKLEP NA ROGU" (1940), REŻ. ERNST LUBITSCH

Film osadzony jest w Budapeszcie, ale przenika go duch świątecznego kina wprost z Hollywood. To opowieść o pracownikach i właścicielach sklepu Matuschek i Spółka. Spokojne życie rodzinnego biznesu zakłóca pojawienie się szukającej pracy dziewczyny (Margaret Sullavan). Początkowo nie przypada do gustu najdłużej pracującemu w sklepie Alfredowi (James Stewart). W końcu





jednak znajduje zatrudnienie w czasie świątecznej wyprzedaży. „Kto się czubi, ten się lubi" – to powiedzenie idealnie pasuje do relacji dwójki pracowników. Oboje wdają się w utarczki słowne i złośliwości, nie wiedząc, że od miesięcy wymieniają się anonimowo liścikami miłosnymi. Codziennie zostawiają je w skrytce pocztowej nr 237. Nigdy nie ujawniając swojej tożsamości. Wiele lat później wykorzystano ten motyw w komedii romantycznej „Masz wiadomość".

Ten film jest wręcz modelowym przykładem świątecznej opowieści promującej pozytywne wartości. Dobroć



„Garsoniera" (1960), reż. Billy Wilder

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl b7843a2655



Fot. East News

„Cud na 34. ulicy" (1947), reż. George Seaton

płynąca z ekranu, jasny i klarowny morał – to kwintesencja kina złotej ery Hollywood. Stewart nieraz grał postacie szlachetne. Tutaj tworzy postać wręcz ikoniczną. Ernst Lubitsch wyreżyserował film ponadczasowy z bohaterami, z którymi można się utożsamiać nawet dziś. To po prostu urokliwe kino. W takim sklepie można przesiedzieć całą przedświąteczną gorączkę.

2 „CUD NA 34. ULICY" (1947), REŻ. GEORGE SEATON

Nie mylcie tej wersji z dużo słabszym remakiem z lat 90. Zdobywca trzech Oscarów z 1947 r. to jedna z najcudowniejszych historii świątecznych w historii kina. Tytuł to u nas mało znany, a przecież umieszczono go na liście filmów budujących dziedzictwo narodowe Stanów Zjednoczonych. Jest też wymieniany jako jeden z najbardziej inspirujących obrazów wszech czasów. Kocham go nie tylko dlatego, że ilekroć jestem w Nowym Jorku, zachodzę do kultowego Macy's. Ten film chwyta ze serce i jest czymś więcej niż prostą opowieścią na Gwiazdkę.

Doris Walker (Maureen O'Hara) to młoda kierowniczka sklepu Macy's, która musi się uporać z kompromitującym w tym okresie roku faktem posiadania w sklepie pijanego aktora wcielającego się w św. Mikołaja. Prosi więc o pomoc staruszka z ulicy, który przypomina brodacza z Laponii (Edmund Gwenn). Ten szybko zostaje ulubieńcem dzieci i ich rodziców. Szczególnie że dobro i szczęście potomków przedkłada ponad interesy sklepu. Choć obraz ten powstał 70 lat temu, to jest bardziej aktualny dziś niż w czasie premiery. To kino, które najdobitniej pokazuje, czym jest komercjalizacja Bożego Narodzenia i gdzie kryje się prawdziwy duch świąt. Jak dobro zostało cynicznie przekute przez biznesowych macherów w komercyjny środek? Św. Mikołaj w tej wizji trafia nawet przed oblicze sędziego. Za to, że robi to, czego się od niego oczekuje? „Boże Narodzenie to nie tylko ten jeden dzień. To stan umysłu... I to właśnie się zmienia na gorsze. Dlatego cieszę się, że tu jestem – być może będę mógł coś na to poradzić" – mówi bohater. Na pewno ten film może coś poradzić nawet na nastawienie wiecznych „Grinchów".

> Te filmy nie tylko inspirują, lecz i pokazują, jaki świat utraciliśmy i w którą stronę ewuluowała popkultura

1 „TO WSPANIAŁE ŻYCIE" (1946), REŻ. FRANK CAPRA

W 1990 r. Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych wpisała „To wspaniałe życie" na listę National Film Registry jako film „kulturalnie, historycznie lub estetycznie znaczący". W roku 1995, z okazji stulecia narodzin kina, tytuł ten znalazł się na watykańskiej liście 45 filmów fabularnych, które propagują szczególne wartości religijne, moralne lub artystyczne. To arcydzieło absolutne. Kwintesencja społecznego kina Franka Capry. Kino uniwersalne i ponadczasowo opowiadające o upadku, zmartwychwstaniu ducha, poświęceniu się dla bliskich i zwątpieniu. Kino piętnujące różnych Scroodge'ów z „Opowieści wigilijnej" i chwalące tych, którzy w imię przyjaźni oraz miłości poświęcają samych siebie.

George Bailey (James Stewart) miał być kimś wielkim. Pragnął wyjechać ze swojego miasteczka i zdobyć świat. W dzieciństwie uratował topiącego się pod pękniętym lodem braciszka. Stracił przez to słuch w jednym uchu. Mimo to był bliski wyjazdu z nudnego i sennego Bedford Falls. Śmierć ojca i potrzeba ratowania biznesu zatrzymały go w rodzinnej mieścinie. Mimo że wyrwał się z pazernych łap lokalnego milionera, ożenił się z piękną kobietą i ma gromadkę dzieci, towarzyszy mu poczucie, iż przegrał życie. Nieoczekiwany zbieg zdarzeń pcha go do ostateczności, gdzie Anioł Stróż pomoże mu spojrzeć na całe życie. Wszystko dzieje się w Boże Narodzenie. „To wspaniałe życie" dotyka najbardziej fundamentalnego pytania: czy życie ma sens i jak nasze wybory wpływają na działania innych. Bailey stojąc nad życiową przepaścią, pyta, czy nie lepiej by było, by się nie urodził.

Capra pokazuje, że każde, bez wyjątku, życie jest potrzebne w Bożym planie. Niszczenie tego życia, odbieranie go sobie to sprzeciwienie się woli Boga. Anioł pokazuje George'owi, jak wyglądałoby miasto bez jego codziennej pracy dla dobra rodziny, przyjaciół i tegoż miasta. Pracy nieraz niezauważalnej, ale składającej się na obraz, który dojrzeć możemy tylko z dystansu. A bogactwo, które w końcu lokalny Scroodge mu zabrał? Ono jest drugorzędne wobec innego najważniejszego bogactwa. Bogactwa miłości.

Czy jest przypadkiem, że George rozumie moc przyjaźni i rodzinnej harmonii właśnie w Boże Narodzenie? Capra w swoim arcydziele subtelnie korzysta ze świątecznej otoczki. Ona jest tylko tłem dla tego, co najważniejsze. Reżyser mówi nam wyraźnie: pełnię człowieczeństwa osiągamy, tylko miłując bliźnich i się im poświęcając. Czy nie jest to właśnie istota nauki pewnego Żyda z Nazaretu, którego narodziny celebrujemy każdego 25 grudnia?

eprasa.pl b7843a2655

Najbardziej postna wigilia



Fot. Shutterstock x3

„Tu wam dobrze będzie. Choć z trzech stron świata wichury złych wojen wieją. Ja was błogosławię, nieszczęścia nie zaznacie”. Odchodząc z Trójwsi Beskidzkiej, tak miała powiedzieć starowinka, która przez lata przemierzała szlaki między Istebną, Jaworzynką i Koniakowem. I nikt tam gościny jej nie odmówił, choć w chałupach bieda hulała jak śnieżna zadymka. Przepowiednia się sprawdziła

29/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

Co zapamiętujemy z dzieciństwa? Smaki? Zapachy? Poczucie ciepła i bezpieczeństwa, gdy w pewien wigilijny wieczór, opatulona w wełniane koce jechałam na pierwszą w życiu pasterkę? Zaspy śnieżne sięgały dorosłym do pasa, gwiazdy nad głową błyszczały lodowatym światłem, bo mróz był kilkunastostopniowy. Gdy cały kościół gruchnął pod niebiosa „Bóg się rodzi, moc truchleje", czułam na plecach ciarki. Czuję je i dziś, gdy wspominam tamten wieczór...

Później było wiele pasterek, ale blokowisko na warszawskich Jelonkach skutecznie odarło je z magii, a swoje dołożyła później pogoda. 10 stopni 24 grudnia – no cóż, pewnie tyle było w nocy w Betlejem, gdy Józef i Maryja szukali miejsca, w którym bezpiecznie mogłoby się urodzić ich dziecko, ale... każdy marzy przecież o śnieżnym Bożym Narodzeniu.

Takie właśnie powinny być święta i im do nich bliżej, tym bardziej niecierpliwie, my mieszkańcy nizin, klikamy w swoje aplikacje pogodowe na komórkach, mając nadzieję, że może tym razem będzie inaczej, że na pasterkę pojedziemy sankami, a śnieg choć na tę jedną noc przykryje to, co brzydkie i brudne.

Mieszkańcy wyżyn zwykle takich problemów nie mają. Zaprzyjaźniona góralka wrzuciła ostatnio na FB zdjęcia z naszej ulubionej Jaworzynki – Na Uwietrzu śnieg powyżej kolan, aż błękitny, bo odbija kolory nieba, z okien widać dolinę i czeską stronę – w mgiełce, przez która przebijają się promienie słońca.

Zawsze, kiedy tu jestem, mam wrażenie, że mimo trudnego życia, bo ziemie tu podłe, zboża kiepskie, wszędzie daleko albo pod górę – ludzie są tu bardziej zahartowani przez życie i może dlatego lepsi i szlachetniejsi? Ich szacunek dla tradycji też wygląda nieco inaczej niż w miastach. Wciąż jedzą tradycyjne potrawy, pielęgnują sztukę ludową, nawet młodzi zakładają na uroczystości stroje ludowe, przechowywane na co dzień w szafach jak skarby. Bo i skarbami są – lniana spódnica po babci, ręcznie plisowana w studni pod kamieniem, bialutki kabotek uszyty z setek kółeczek wielkości groszówki, który córeczka dostała na pierwsze urodziny... Kierpce z prawdziwej solidnej skóry, sznurowane rzemieniami, modre i czerwone spódnice...

W nagrodę za dobro i gościnność, których tutejsi górale – choć sami ubodzy – nie poskąpili starej żebraczce, tereny te omijają nawałnice. Tak mówi jedna z legend o Trójwsi. Zarówno te z groźną historią w tle, jak i te pogodowe. Przekonałam się o tym latem, gdy burze z wichurami pustoszyły Śląsk Cieszyński, a tu naderwały tylko jeden dach w Koniakowie.

WYCZAROWAĆ POTRAWY

Tradycyjnie obchodzą też święta. Nawet teraz, gdy można w czasie wigilii jeść schabowego. Nasza gospodyni Janina Juroszek z Jaworzynki napisała o lokalnych obrzędach piękną pracę, skupiając

REKLAMA



eprasa.pl b7843a2655

się głównie na jedzeniu towarzyszącym rozmaitym imprezom. Niektóre z nich, jak choćby redyk, do dziś można oglądać w Istebnej, Koniakowie i Jaworzynce.

Nie ma się co oszukiwać – panowała tu bieda, surowy klimat nie sprzyjał uprawom zbóż, jedynie ziemniaki i owies jako tako dawały radę. Ludzie trudnili się pasterstwem i wyroby pochodzące od owiec stanowiły podstawę ich egzystencji. Ale ponieważ w czasie postów nie jadano też sera, wigilijny jadłospis był postny do bólu. Turyści, którzy chcą posmakować prawdziwego regionalnego jedzenia, mogliby mieć problem, gdyby zamarzyło im się skosztowanie tradycyjnych bożonarodzeniowych potraw. Nie były to z pewnością szynki, golonki ani inne tłuste mięsa, ich podawanie jest dziś koniecznością, jeśli chce się zwabić przybyszów do karczmy. Gospodynie, które z ziemniaków, śliwek, kapusty i fasoli potrafiły zrobić święta, zasługują na najwyższy podziw.

ADWENT Z ZIEMNIAKAMI

Czas oczekiwania na narodziny Jezusa był niezwykły. We wsiach robiło się cicho, nie urządzano wesel, szkubaczek z muzyką. Nawet dziewczęta nie nosiły czerwonych wstążek we włosach – zastępowały je niebieskimi. Mięsa nigdy nie było dużo, dlatego jedzono to, co zwykle, a więc placki, kapustę kiszoną, ziemniaki. Niezbyt bogato, ale zdrowo. Wodę z kapusty obowiązkowo zostawiano – na niej warzono kwaśnicę z suszonymi grzybami i kawałkiem schabu. Takich kwaśnic na żeberku jak w okolicach Istebnej, Koniakowa i Jaworzynki nie ma nigdzie. Są rewelacyjne o każdej porze roku, a po nartach wprost niezastąpione. Czasem na obiad pieczono wielki placek z mąki żytniej mielonej na domowych żarnach z surowymi ziemniakami. Jedzono go z mlekiem. Pieczono też placki na blasze, okraszone szpyrkami, czyli skwarkami ze słoniny lub gęstą śmietaną. Smakują wybornie.

Na kolację w Adwencie jadano ziemniaki z mlekiem. Na dworze zaś odbywało się czarowanie rzeczywistości, żeby przywabić urodzaj w następnym roku. Grupy przebranych mikołajów – część na biało, część na czarno – rozpraszały ciszę i budziły ziemię, żeby była urodzajna i rodziła więcej zboża. 23 grudnia był szczodry dzień – po domach chodzili biedni i dostawali różne prezenty.



Łazanki z makiem
Z mąki i jaj zagniatamy ciasto makaronowe, kroimy w kwadraty lub romby, gotujemy. Mak moczymy, gotujemy i 2–3 razy przepuszczamy przez maszynkę. Dodajemy trochę mleka, masła, cukru i soli, łączymy z łazankami.

Gryska z masłem
Gotujemy na sztywno kaszę mannę w mleku, gdy zgęstnieje, doprawiamy masłem.

Bryja
Suszone gruszki, jabłka i śliwki trzeba namoczyć na noc, a potem rozgotować z cynamonem, anyżem, solą i cukrem. Gdy danie osiągnie konsystencję gęstej marmolady, jest gotowe. Podaje się je na zimno do chleba.

Groch ze śliwkami
Moczony przez noc groch zalewamy świeżą wodą i gotujemy z odrobiną soli. Namoczone śliwki gotujemy z cukrem. Groch polewamy zasmażką z masła i mąki, dodajemy śliwki.

Grzybula
Namoczone grzyby gotujemy w tej samej wodzie, żeby był piękny zapach, gdy zmiękną, kroimy je w paseczki i dodajemy do wywaru z włoszczyzny. Zabielamy mąką i śmietaną, dodajemy masło i podajemy z ziemniakami.

W WIGILIĘ...

...poszczono i pracowano. Tylko dzieci dostawały pieczoki, czyli ziemniaki pieczone na blasze. Dorośli uwijali się jak w ukropie. Pieczono kołacze, robiono masło, gotowano dla ludzi i zwierząt, żeby w święta można było świętować, a nie pracować. Zanim na znak pokoju przełamano się moczaniną, czyli plackiem drożdżowym maczanym w maśle (wcale nie opłatkiem, bo go nie znano), sąsiedzi jednali się, popijając na gorąco wódkę z korzeniami i miodem. Wszyscy starali się być mili, dzieciaki siedziały jak trusie, żeby cały rok był tak dobry i spokojny jak ten dzień. Wreszcie na stole rozsypywano siano i pieniądze, na to kładziono biały obrus, a potem owies, chleb, ziemniaki, jabłka, miód. Tradycyjne potrawy były bezmięsne: słodka kapusta z ziemniakami, zupa grzybowa, bryjka, groch ze śliwkami, łazanki z makiem, gryska z masłem, kołacze, kompot z pieczek. Plony z pola i lasu – grzyby i miód, zboża, owoce, od czasu do czasu ryby. Prawdziwy post.

Karp, sałatka jarzynowa czy barszcz, który coraz częściej wygrywa z zupą grzybową, są na tych terenach daniami stosunkowo młodymi. Nie trzymano się zasady, że potraw ma być 12, ale gospodynie stawały na głowie, żeby świąteczne jadło różniło się od codziennego. Były więc makowce, kołacze, łazanki z makiem.

Potem wszyscy szli na pasterkę i wróżyli z nieba. Jeśli noc była księżycowa, zapowiadał się pomyślny rok, jeśli niebo wygwieżdżone – rok bogaty w jajka, pochmurno – mało jajek, ale za to dużo mleka od krów.

Następnego dnia rano dojadano resztki po wieczerzy, kurczaki i wieprzowina pojawiały się dopiero na obiad, podobnie jak kawa, podawana tylko od wielkiego dzwonu.

Niektóre z tych świątecznych smakołyków jada się do dziś. Bardziej po to, żeby pielęgnować tradycję niż dla smaku. I choć dziś święta obchodzone są na bogato, bez tych prostych potraw pokazujących, jak skromnie i surowo się żyło w górach, nie byłoby prawdziwych świąt. Taka Wigilia, bez ozdobników i kulinarnych fajerwerków, najbardziej zbliża nas do prawdziwego Bożego Narodzenia.

Anna Monicka

22/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

Podnieście głowy!



To mogło zdarzyć się tylko w Polsce

Album „Podnieście głowy!" jest nie tylko podsumowaniem Wielkiej Pokuty i Różańca do Granic - dwóch wielkich inicjatyw modlitewnych, które miały miejsce w naszej Ojczyźnie w przeciągu niecałego roku. To również fascynująca podróż przez dzieje wiary w Polsce, nowe spojrzeniei próba odczytania znaków czasu.

Bogato ilustrowane wydawnictwo, zawiera setki nigdy niepublikowanych zdjęć. Wspaniałe przypomnienie i pamiątka dla uczestników tamtych niezwykłych zdarzeń. Doskonały prezent na święta.

Książka dostępna na: **www.sklep.mikael.pl**

Więcej informacji na:
www.rozaniecdogranic.pl i www.wielkapokuta.pl

Książkę można również zamówić pod numerem telefonu:
22 213 93 32

Dochód ze sprzedaży książki przeznaczony jest na finansowanie kolejnych inicjatyw organizowanych przez Fundację Solo Dios Basta.





Premiera książki 8 grudnia w święto Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny.

MECENASI GŁÓWNI: Energa

MECENASI: RENOVIS, SCALAM

WSPÓŁPRACA: MIKAEL

eprasa.pl b7843a2655

Prawdziwa opowieść o św. Mikołaju

Przykładem człowieka pełnego ofiarnej miłości, którego tradycja powiązała ze świętami Bożego Narodzenia, jest św. Mikołaj. Postać ta łączy radość z przyjścia na świat Zbawiciela z uśmiechem dziecka obdarowanego łaską miłości i... prezentami



PIOTR SŁABEK

Podróbka wyparła oryginał. Komercja zastąpiła świętość. Rubaszny Santa Claus zajął miejsce św. Mikołaja, męża pobożnego i ascetycznego" – tak pisał dwa tygodnie temu na tych łamach Grzegorz Górny w tekście „Zawrotna kariera Santa Clausa". Co się stało, że „centralnym wydarzeniem świąt nie jest już przyjście na świat Zbawiciela, lecz przybycie komiwojażera z prezentami"? I co to ma wspólnego z prawdziwą historią św. Mikołaja? Wróćmy do źródeł i przypomnijmy, kim naprawdę był biskup z Miry.

ŚW. MIKOŁAJ I JEGO CZASY

Z uwagi na bardzo skąpe informacje historyczne o świętym nie można napisać biografii mocno udokumentowanej historycznie. Można jednak w oparciu o przekazy tradycji (najstarsze z nich sięgają VI w., czyli powstały 200 lat po jego śmierci, a najstarszy znany żywot świętego pochodzi z IX w.) opowiedzieć o prawdopodobnym życiu św. Mikołaja i czasach, w których przyszło mu działać.

Mikołaj urodził się prawdopodobnie w Patarze w 270 r. Zmarł 6 grudnia – między 345 a 352 r. Jego rodzice byli gorliwymi chrześcijanami. Miejscowość Patara była oddalona o prawie 200 km od Miry, stolicy Licji – krainy leżącej w Azji Mniejszej (dzisiejsza Turcja – północno-wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego, między wyspą Rodos a Cyprem). Kraina ta była miejscem, do którego chrześcijaństwo dotarło bardzo wcześnie. Przez Patarę wiodła trasa trzeciej podróży św. Pawła, Mira zaś to port, w którym prawdopodobnie apostoł Paweł zatrzymał się w czasie swojej ostatniej podróży misyjnej. Chrześcijaństwo w III w. było na tych terenach silne, odsetek chrześcijan sięgał w niektórych miejscowościach 60 proc.

Rodzice Mikołaja posiadali znaczny majątek ziemski, który dawał im źródło utrzymania oraz możliwość wspierania ubogich i potrzebujących. Mimo wielu starań nie posiadali potomstwa. Dopiero po 20 latach małżeństwa Pan Bóg obdarzył ich długo oczekiwanym dzieckiem. Postanowili, że jeśli



Fot. Shutterstock

urodzi się syn, dadzą mu imię Mikołaj. Greckie imię Mikołaj znaczy „zwycięski lud".

Chłopiec uwielbiał towarzyszyć rodzicom podczas uroczystości, gdy po łamaniu chleba podczas tzw. agapy przygotowywali dar do podziału między najuboższych we wspólnocie. Dorastający Mikołaj również nie przepuszczał żadnej okazji, by pomóc potrzebującym. Szybko umiał ocenić, kto najbardziej wymaga wsparcia. To zaś, co potrzebne, potrafił dostarczyć niezauważony przez nikogo.

Tych niespodziewanych prezentów było tak wiele, że początkowo niektórzy spośród bardziej zabobonnych pogan

eprasa.pl b7843a2655

wymyślili, iż dzieje się to za sprawą dobrych duchów opiekuńczych miasta. Dopiero po jakimś czasie zagadka została rozwiązana, i to dzięki strażnikom miejskim, którzy kilkakrotnie zauważyli młodego Mikołaja niosącego nocą tajemnicze pakunki. Chłopiec miał wtedy 15 lat.

Pewnego razu niestety miasto nawiedziła zaraza. Wielu ludzi zachorowało i zmarło, w tym rodzice Mikołaja. Był to dla niego wielki cios, lecz podtrzymywany przez braci chrześcijan nie upadał na duchu. W wieku 18 lat zakończył solidną edukację, o którą zatroszczyli się jeszcze jego rodzice.

DROGA DO KAPŁAŃSTWA

Nadchodził czas wyboru drogi życiowej. Mikołaj chciał jak najwięcej pomagać ludziom. Był jednak niezdecydowany, czy iść w kierunku małżeństwa, czy przygotować się do życia kapłańskiego. Podjął decyzję, że chce zostać kapłanem, sprzedał część majątku, a pieniądze rozdał ubogim. W tych czasach większość kapłanów i diakonów, a nawet biskupów, pracowała w swoich zawodach, lecz w miarę zwiększania się ich zaangażowania w pracę duszpasterską byli częściowo wspomagani przez wspólnotę chrześcijan.

Mikołaj przygotowywał się do kapłaństwa, a także do pracy lekarza. Wiele czasu poświęcał na odwiedziny najuboższych we wspólnocie. Po pół roku przyjął święcenia diakonatu, a po dwóch latach święcenia kapłańskie. W roku 300, osiem lat od święceń kapłańskich, został wybrany na biskupa Miry.

PRZEŚLADOWANIA

Prześladowania za cesarzy Dioklecjana i Maksymiana były dla wielu chrześcijan zaskoczeniem. W ciągu niespełna roku (303 do 304) władze wydały aż cztery edykty coraz ostrzej wprowadzające prześladowanie chrześcijan. W kwietniu 303 r., gdy prześladowania dotknęły również Mirę, wielu wiernych namawiało Mikołaja, by opuścił miasto, a kilku z nich, bardziej zamożnych, oferowało swoje rezydencje na wsiach.

Pięć dni po ogłoszeniu edyktu oddział stationarii najpierw spalił, a później zrównał z ziemią zgliszcza kościoła w dzielnicy portowej. Dzień później rozpoczęły się aresztowania i przesłuchania podejrzanych o przynależność do grup chrześcijan. Rankiem do domu Mikołaja zapukało dwóch żołnierzy. Odmówił złożenia nakazanych prawem pogańskich ofiar i wyrzeczenia się swoich przekonań. Został więc zesłany na Sardynię, do pracy w kamieniołomach.

Sardynia jest wraz z Sycylią największą z wysp Morza Śródziemnego. Jej powierzchnia jest górzysta, od wieków znajdowało się na niej wiele kamieniołomów i kopalń, w których wydobywano cynk, ołów i węgiel. Praca tam należała do najcięższych, szybszą śmierć więźniom niosły tylko kopalnie i Koloseum z lwami. Ciężko pracujący więźniowie nie żyli dłużej niż sześć, osiem lat. Ludzie ginęli tu z przemęczenia, braku wody, z powodu chorób i częstych wypadków.

Mikołaj nawiązał dobry kontakt ze współwięźniami, wielu z nich, zbudowanych jego przykładem, przyjęło chrześcijaństwo. Uratował też życie kilku więźniom i strażnikowi, których z narażeniem życia wyciągnął spod lawiny kamieni. Posługiwał także jako lekarz. Pracował w kamieniołomie 10 lat, do czasu aż edykt mediolański automatycznie uwolnił wszystkich więzionych chrześcijan. Powrócił wtedy do Miry i dowiedział się, że prześladowania nie wyrządziły zbyt dużej szkody Kościołowi. Większość chrześcijan będących na liście namiestnika zdążyła uciec, cztery osoby poniosły śmierć męczeńską, kilka wyrzekło się wiary.

DOBRE CZYNY ŚWIĘTEGO

Po powrocie biskup ze zdwojoną energią zabrał się do swej pracy. W 323 r. Mikołaj ocalił życie sześciu oficerów, którzy otrzymali wyrok śmierci za zamieszki w mieście. Osobiście udał się w długą podróż do Konstantynopola, aby wstawić się za nimi przed surowym cesarzem Konstantynem, i uzyskał ich ułaskawienie. Później kontynuował pracę, która dawała mu radość i szczęście. Ofiarowując paczki ubogim, czuł się znowu jak nastoletni chłopiec. Mijały dni, tygodnie i lata. Mikołaj był dostojnym, powszechnie szanowanym biskupem, serce miał szczodre i ufne, cieszące się radością innych.

WCIĄŻ ŻYJE W DOBRYCH UCZYNKACH

Nadszedł rok 352. Biskup Mikołaj miał już 82 lata. Nogi, które rozniosły tyle darów, od roku odmawiały mu posłuszeństwa. Leżał więc w łóżku i wiele się modlił. Zbliżał się dzień 6 grudnia. Od kilku dni Mikołaj czuł się bardzo osłabiony. Od południa przychodziła mu do głowy jedna i ta sama myśl: „Dziś jest dzień, w którym spotkasz twoich rodziców i przyjaciół, pośrodku nich będzie Chrystus, obok niego Niepokalana Dziewica Maryja, Apostołowie i nieprzebrana rzesza świętych. Oni wszyscy uśmiechają się do ciebie. Przygotuj się na drogę i poproś o to, co chciałbyś robić w tej radosnej i szczęśliwej wieczności".

Czasy się zmieniły. Jego najbliżsi nigdy by nie rozpoznali go w osobie Dziadka Mroza lub ubranego na czerwono Santa Clausa – Amerykanina przypominającego dużego krasnala, czy w osobie Lapończyka mieszkającego na biegunie północnym, jeżdżącego potężnymi saniami zaprzężonymi w renifery. Mimo to jestem pewien, że sam święty prawdziwie jest obecny i przychodzi, gdy chcemy dobra dla innych, gdy kogoś bezinteresownie obdarowujemy. Jest obecny w dobrych czynach, w miłości, która może się kryć za prezentami dawanymi ze szczerego serca.

Całe jego życie było jednym wielkim darem dla innych, więc patronuje on tym wszystkim, którzy choćby nieudolnie chcą go naśladować. Życie świętego jest zachętą do naszej przemiany, możemy zacząć od rzeczy małych i naszych pragnień, bo – jak mówi św. Jan Chryzostom –„Gościnny jest Pan. I nad ostatnim się lituje, i pierwszego wynagradza, i jednemu daje, i drugiego wspomaga. I uczynki przyjmuje, i zamiary wita, i wysiłki szanuje, i chęci pochwala... Przeto wejdźmy wszyscy do radości Pana swego, wszyscy przyjmijcie bogactwo miłosierdzia".

Niech czas świąt, czas nadejścia Pana, naszego Zbawiciela świata, wskaże cel naszego życia – wieczne przebywanie z naszym stwórcą w Jego królestwie. Wcielenie, kiedy Bóg staje się prawdziwym człowiekiem, jest początkiem naszego zbawienia.

eprasa.pl b7843a2655

Czytanie jako sp

Pieczeń z wołciela

Wojciech Stanisławski

Nie sztuka pisać ciekawie o operacjach wywiadu, spiskach i strajkach; ale żeby napisać fascynującą historię tego, ile wyrobów czekoladowych można było dostać na M-II, a ile na M-IID, naprawdę potrzeba talentu

Ta praca to gratka dla wszystkich poszukiwaczy „mikrohistorii", lecz i przytyczek pod adresem tych, którzy zbyt łatwo toną w socnostalgii podyktowanej tęsknotą za młodością – tęsknotą zrozumiałą, ale nie mniej przez to irytującą. W syntezie poświęconej dziejom handlu reglamentowanego w PRL Andrzej Zawistowski zawarł doświadczenia najbardziej powszechne: w działalność opozycyjną angażowało się nie tak wielu, na wybory chodziła połowa, ale kartkami posługiwali się wszyscy – albo prawie wszyscy, bo odmawiano ich rygorystycznie w nadziei na zdyscyplinowanie „niebieskich ptaków", niepracującym.

„Bilety do sklepu" traktują o całym półwieczu PRL, ale ponad połowę książki zajmuje opis trzeciego i najdłuższego w dziejach Polski Ludowej okresu kartkowego, trwającego od sierpnia 1976 aż do zapaści systemu w roku 1989. To zrozumiałe: reglamentacja w „Polsce Lubelskiej", trwająca do 1948 r., miała swoje odpowiedniki w demokratycznej, ale również wyniszczonej wojną Europie Zachodniej (ba, powojenne racjonowanie najprędzej zakończyło się, paradoksalnie, w Związku Sowieckim!), był to więc typowy mechanizm służący zaspokojeniu potrzeb społecznych na podstawowym poziomie. Krótkotrwała próba przywrócenia reglamentacji w roku 1951 zakończyła się po kilkunastu miesiącach i w znacznej mierze zatarła się już w pamięci społecznej. Dopiero wprowadzenie w 1976 r. „biletów na cukier" („A kto dostaje cukier na gapę?" – pytała już trzy miesiące później na łamach paryskiej „Kultury" Zofia Hertz) uczyniło z PRL kuriozum nawet na skalę bloku wschodniego.



Książka Andrzeja Zawistowskiego stanowi oczywiście, w pierwszym przybliżeniu, kopalnię prawdziwych anegdot, których nie powstydziłby się żaden film Barei, historii tyleż zabawnych, ile smutnych, pokazujących przeraźliwą ciasnotę, przaśność i niewydolność tamtego systemu. Ileż warta jest choćby informacja, że funkcjonariuszom MO i SB w dowód ich szczególnych zasług w okresie stanu wojennego przyznano w czerwcu 1982 r. szczególny przywilej: prawo do zakupu 20 sztuk papierosów Popularnych dziennie! Albo to, że do największych afer kartkowych dochodziło, gdy ktoś zdołał wydrukować kartki na mięso za granicą i przemycić do kraju. Albo że pierwsze „bilety towarowe" na cukier konwojowały w sierpniową noc uzbrojone konwoje milicyjne...

System dusił się we własnych ograniczeniach, Laokoon sam sobie zaciskał macki: wobec obostrzeń w obrocie benzyną, po specjalne, nadliczbowe przydziały stali zgodnie w kolejce dyplomaci, posłowie na Sejm PRL i inseminatorzy bydła, w systemie zamienników gubili się nawet inspektorzy PIH: owszem, w listopadzie 1983 r. na kartkę na wyroby czekoladowe o nominale 100 g można było dostać towar w wymiarze 200 g, a za 12 paczek papierosów przysługiwała butelka sowieckiego wina musującego, ale jak przeliczyć oliwkę dla niemowląt na kaszę manną?

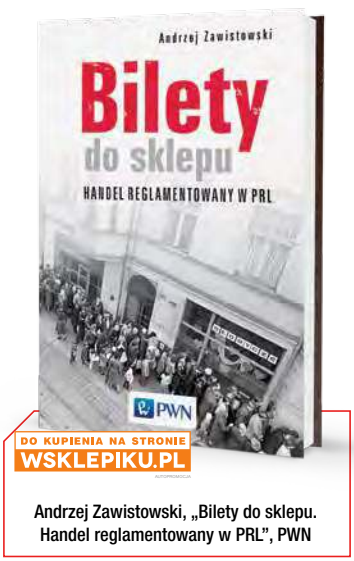
A przecież obok tradycyjnej reglamentacji poszczególne towary sprzedawano określonym grupom odbiorców, istniały talony, rozdzielniki, wykazy, subskrypcje, listy imienne, przydziały indywidualne oraz polityka poszczególnych resortów i szczebli administracji. Autor książki kilka lat

temu stworzył scenariusz „Kolejki”, polskiej gry planszowej, na którą sprzedano licencje już do kilkunastu krajów świata; co za tym idzie, jest pewnie jednym z niewielu, który potrafi odtworzyć wszystkie możliwe schematy dystrybucji dóbr deficytowych w realnym socjalizmie.

Oczywiście władza na najwyższym szczeblu zdała sobie sprawę, jaki policzek dla kraju i systemu stanowi utrzymywanie mechanizmów reglamentacji. Na najniższym szczeblu skwapliwie z nich korzystała, rozdzielając groszowe przywileje: esbekom papierosy, windziarzom, obsługującym segment fabryki, gdzie używano szkodliwych substancji – dodatkowy przydział ćwierć kilo tytułowego „wołciela”, czyli „mięsa wołowego lub cielęcego”, a zarządowi gminnemu ZSMP w Kamienniku dodatkowych 5 kg kiełbasy z przeznaczeniem na ognisko integracyjne, na skwierczącą przynętę.

Bardziej zdumiewający jest jednak w perspektywie historycznej fakt, że wprowadzenie kartek „na mięso i przetwory” pojawiło się jako postulat podczas sierpniowych strajków. Reglamentacja nadchodziła przedtem na łapkach kota, w wielu zakładach pracy przed rokiem 1980 wprowadzano tzw. zakładowe kartki, gwarantując załodze minimum dostaw, ale to walczący o wolność stoczniowcy zażądali rozciągnięcia reglamentacji na najważniejszy, prócz cukru, towar konsumpcyjny w systemie. Potem system rozrósł się nieubłaganie na mocy paradoksu: jeśli „na kartki” jest jedynie część towarów, w gospodarce niedoboru czym prędzej rozpoczyna się wykup dóbr jeszcze nieracjonowanych.

Nie była to „ucieczka przed wolnością”: była to ucieczka przed głodem, władza jednak ochoczo podjęła propozycję, z której wywikłała się dopiero za sprawą ostatnich decyzji ekipy Rakowskiego, podejmowanych w lecie roku 1989 w trybie „po nas choćby potop”. Niezwykłym doświadczeniem jest czytanie o tamtych procedurach – wkładkach do dowodu, stemplach wbijanych w książeczce zdrowia, organizowaniu tzw. sprzedaży sterowanej zeszytów szkolnych na postawie imiennych wykazów uprawnionych – w czasach, kiedy zżymamy się na choinki i coca-colowe mikołaje pojawiające się w witrynach sklepów nazajutrz po Święcie Niepodległości, na obsesję zakupów i festiwal najgłupszych sloganów reklamowych (moim faworytem jest w tym roku hasło „W te święta jedyną zasadą jest radość”, ochoczo propagowane przez sieć oferującą sprzęt sportowy). Każda epoka ma bowiem własne zagrożenia wolności.



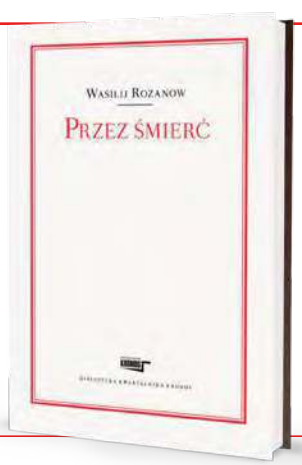
Andrzej Zawistowski, „Bilety do sklepu. Handel reglamentowany w PRL”, PWN

Czarny Rozanow

Niesłychane, jak po dekadach cenzury, zapomnienia, czasem alergii zaczynają być w Polsce czytani rosyjscy myśliciele sprzed wieku. Swego czasu odkrywano Lwa Szestowa: teraz za sprawą kwartalnika „Kronos” trafia do nas cały dorobek Wasilija Rozanowa.

Tylko jak o nim pisać? Tomiki wierszy łatwiej już recenzować niż te aforyzmy: rwane, celne, nerwowe, z których każde zdanie wywołuje reakcje niczym młotek neurologa, ale razem niekoniecznie składają się na spójny obraz. Są natomiast świadectwem tego, że w świecie konwencji, gestów i „plemion”, równie obecnych w Petersburgu w roku 1900, co w Warszawie 117 lat później, niski, rozgadany, epileptyczny Rozanow, którego największym dokonaniem pozostaje w oczach wielu odczytanie na nowo „Legendy o Świętym Inkwizytorze” Dostojewskiego, sam był jak z jego powieści: czytający Ewangelię, spierający się z nią i gorąco pragnący, by okazała się prawdziwa. Wielkoruski, prawosławny, raz i drugi nieznośny ze swoimi czarnosecinnymi uwagami, sam kojarzy się jednak (czy to możliwe, że to rodzaj odpłaty, jaka nieraz spotyka antysemitów?) z literackim obrazem Wiecznego Tułacza: ze swoją nierówno przystrzyżoną brodą, rozedrganiem, pytaniami na pograniczu pretensji i nadziei, jakie stawia Panu, trochę jak małe dziecko spierające się z dorosłym: pisał zresztą o sobie w trzeciej osobie, ale nie jak Cezar, lecz właśnie per „mały Rozanow”.

Ten mały Rozanow widział bardzo jasno: „Lata 60. XIX wieku nie chcą rozpoznać siebie w dekadentach i symbolistach – a przecież rozpoznają siebie w rehabilitacji ciała, które uległo wycieńczeniu po trzydziestu latach »wolności«, w triumfie osoby nad społeczeństwem, w dzieciach, które nie mogą dać nam wnuków. Kara poszła wnet za zbrodnią”. Czy nie brzmi to jak epitafium dla pokolenia dzieci kwiatów? Choćby dlatego warto sięgnąć po przestrogi proroka zmarłego z głodu w dniach komunizmu wojennego, w drewnianym domku na obrzeżach Moskwy.



Wasilij Rozanow, „Przez śmierć”, Biblioteka Kwartalnika „Kronos”

eprasa.pl b7843a2655

Adamski poleca





Internet/telewizja

Templariusze, czyli Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, nieustannie pobudzają wyobraźnię. W końcu doczekali się serialu, który ma wszelkie predyspozycje, by stać się hitem. Wielka polityka, religia, spiski, święty Graal i legendarni, romantyczni rycerze podstępnie zlikwidowani przez pazernego króla – to gotowy przepis na sukces. Produkcja ta jest robiona z wielkim rozmachem (widać rękę twórców „Wikingów") i realistyczną brutalnością nieczęstą nawet w kinie. Chociaż pewnie jak w „Rodzinie Borgiów" twórcy pomieszają, uproszczą i przeinaczą historyczne fakty. Przy takiej produkcji to jednak naturalne.

Pierwszy odcinek „Templariuszy" zapowiada dobrą rozrywkę nie tylko dla dużych chłopców lubiących opowieści o dzielnych rycerzach. Bez wątpienia romantyczni bracia zakonni broniący wiary, Żydów (w pierwszym odcinku ratują ich od linczu francuskich antysemitów) i najsłabszych są predestynowani do tego, by być nowymi popkulturowymi bohaterami. Szczególnie nadają się do oglądania w Boże Narodzenie. W końcu walczyli w imię Tego, którego narodziny celebrujemy.

„TEMPLARIUSZE" SERIAL JEST DOSTĘPY NA HBO I HBO GO

Dustin Hoffman powiedział, że wszystko, co osiągnął, zawdzięcza żonie, i zadedykował jej film „Kwartet". Piękny prezent, skoro aktor jako reżyser zadebiutował w wieku... 75 lat. Film oparty jest na sztuce Ronalda Harwooda, który zdobył Oscara za „Pianistę". „Kwartet" opowiada historię muzyków, którzy lata swojej świetności mają już dawno za sobą. Mimo to przygotowują występ z okazji rocznicy urodzin Giuseppe Verdiego, którym mają uratować zmagający się z finansowymi problemami ośrodek. Hoffman złożył hołd brytyjskim gigantom ekranu, których obsadził w głównych rolach, samemu pozostając wyłącznie na krześle reżyserskim. Słuszna decyzja. Tom Courtenay, Maggie Smith, Billy Connolly rozsadzają energią każdy kadr!



Telewizja

Ten film pokazuje, jak wspólna pasja i miłość do muzyki potrafią nadać sens życia w jesieni tegoż życia. Hoffman przypomina, jak bardzo nasze wyobrażenia o karierze, sławie są błahe w porównaniu z zapomnianymi wartościami, takimi jak miłość i przyjaźń. Widzimy, że przewartościowanie swojego świata pełnego ambicji, pychy, potrzeby poklasku może pomóc w cieszeniu się życiem normalnych ludzi, których czas nieubłaganie się kurczy. „Kwartet" kipi pozytywnymi emocjami. To mądre i wzruszające kino w sam raz na refleksyjny czas.

„KWARTET" W TVP KULTURA, NIEDZIELA 24 GRUDNIA, GODZ. 15.36

eprasa.pl b7843a2655

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

na święta


Telewizja

Film scenarzysty „Braveheart" Randalla Wallace'a to absolutny hit kina chrześcijańskiego, który zarobił ponad 100 mln dol.! Oparty na bestsellerze pastora Todda Burpa i Lynn Vincent „Niebo istnieje... naprawdę!" opowiada historię czterolatka (Conor Corum), który po doświadczeniu śmierci klinicznej utrzymuje, że widział niebo. Trudno było w to uwierzyć jego rodzinie, choć ojciec (Greg Kinnear) jest pastorem.

Colton oznajmia rodzicom, że opuścił swoje ciało podczas zabiegu. Wiarygodnie opisuje, co dokładnie jego rodzice robili, gdy leżał na stole operacyjnym. Opowiada o wizycie w niebie i o spotkaniach z członkami rodziny, których nigdy nie poznał. Zna też rodzinne sekrety, których nie powinien nawet rozumieć w swoim wieku. Kościół katolicki ze swoimi dogmatami i usystematyzowaną teologią jest ostrożny w koncesjonowaniu takich relacji. Ta wygląda jednak wiarygodnie. Szczególnie że film nie skupia się tylko na wizjach chłopca, lecz dotyka kwestii ewangelizacji. To siła tego dobrze zagranego i solidnie wyreżyserowanego obrazu. Protestanckie kino religijne ma pobudzać, inspirować i poruszać sumienia za pomocą prostych środków. Pamiętajmy, że Bóg zawsze pojawia się w półcieniu, a wiara nie polega na absolutnej pewności, że On istnieje... naprawdę.

„NIEBO ISTNIEJE... NAPRAWDĘ!" W TVP1, PONIEDZIAŁEK 25 GRUDNIA, GODZ. 21.20

Żółty szalik" to najwspanialszy polski film świąteczny, który polecam każdego roku. Nie wiem, czy TVP przypomni go na swojej antenie w te święta. Jest jednak dostępny na stronach TVP za darmo. Wystarczy podłączyć komputer do telewizora. Dzieło Janusza Morgensterna z 2000 r. trwa zaledwie godzinę, ale opowiada o upadku nie gorzej niż elaboraty najlepszych moralistów. Historia dwóch dni z życia prezesa firmy (wielki jak zawsze Janusz Gajos) ma w sobie nieprawdopodobny ładunek emocjonalny. Duet scenarzystów Morgenstern/Jerzy Pilch doskonale pokazuje błędne koło, w jakie wpadają alkoholicy, których cały dzień jest mierzony czasem od jednego kieliszka do drugiego.

Prezesa prężnej firmy obserwujemy 48 godzin przed tym, jak ma odwiedzić w Wigilię swoją matkę. Z każdym kolejnym łykiem drogich trunków, po nieudanych spotkaniach z ukochanym synem, byłą żoną czy dwiema innymi kobietami życia popada w otchłań szaleństwa i autodestrukcji. Bezimienny bohater opowieści Pilcha dostaje od syna w prezencie żółty szalik, który w przeszłości zawsze gubił. Taki sam prezent znajduje pod choinką w domu matki. Żółty szalik jako talizman ma go uchronić przed powrotem do alkoholu. Symboliczny prezent byłby jednak niczym, gdyby nie absolutna miłość matki (w tej roli zjawiskowa Danuta Szaflarska), która przy wigilijnym stole wykłada synowi podstawowe życiowe prawdy, otaczając go ciepłem i miłością. Ten film 24 grudnia nabiera niebywałego wymiaru.


Internet

„ŻÓŁTY SZALIK" JEST DOSTĘPNY NA VOD.TVP.PL

eprasa.pl b7843a2655

Wojna flag



MAJA NARBUTT

Miało być zupełnie inaczej. Separatyści przekonywali swoich zwolenników, że Europa czeka na niepodległą Katalonię z otwartymi ramionami. Teraz stracili złudzenia i zawieszoną przez Madryt autonomię. Wynik przedterminowych wyborów wydaje się niepewny, sondaże są wyrównane

Niemal każdy w tłumie wypełniającym plac św. Jakuba i wąskie uliczki Dzielnicy Gotyckiej ma hiszpańską flagę. Trzyma się ją nad głową lub owija wokół ciała jak pelerynę. To demonstracja, która ma pokazać, że wielu mieszkańców Katalonii wcale nie chce jej oderwania od reszty kraju. Ludzie śpiewają głośno „Eviva España" – zapomniany przebój z lat 70., który nieoczekiwanie odkurzono. To nic, że skomponowana w Belgii piosenka mówi o niecierpliwym czekaniu na wspaniałe wakacje w Hiszpanii, teraz przeciwnicy niepodległości Katalonii zwani unionistami wybrali ją na swój nieoficjalny hymn.

– Jestem wściekła na zagranicznych dziennikarzy. Przekazują tak jednostronne informacje, jakby rozmawiali wyłącznie z separatystami – mówi mi stojąca w tłumie Maria, 52-letnia księgowa.

Złość miesza się z poczuciem rezygnacji. Separatyści na razie nie wygrali, ale sprawy niepodległości nie da się już cofnąć i wymazać. Dlatego Maria uważa, że kiedy przejdzie na emeryturę, będzie musiała wyjechać z Barcelony i wrócić do Andaluzji, skąd jej rodzina – podobnie jak dziesiątki tysięcy innych – w poszukiwaniu lepszej pracy przyjechała kilkadziesiąt lat temu. Dla takich jak ona, którzy wierzą, że Katalonia to część Hiszpanii, życie w Barcelonie staje się coraz trudniejsze.

– Wszystko zaczęło się od szkół. Szkoła to podstawa, indoktrynacja zaczyna się wcześnie. Oglądałam podręczniki mojego syna i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Uczą tam zupełnie zmanipulowanej historii, nie liczą się fakty, ale ideologia. Wszystko ma udowadniać, że Katalonia jest pełnoprawnym państwem – opowiada Maria.

Jednak problem ze szkołami polega nie tylko na nauczaniu historii, lecz i na języku. Hiszpański w zasadzie ze szkół publicznych zniknął – dzieci mają tylko dwie godziny tygodniowo lekcji w tym języku.

Kiedy w latach 80. zaczęto wypychać hiszpański ze szkół, wielu intelektualistów protestowało. Atmosfera była napięta – jednego z sygnatariuszy listu protestacyjnego porwano i przestrzelono mu kolana. To właśnie wtedy działała katalońska terrorystyczna organizacja Terra Lliure, która dążyła do utworzenia niepodległej – i marksistowskiej – Katalonii. Ten dziwny melanż skrajnie lewicowych i niepodległościowych poglądów jest nadal obecny w Katalonii, a nadużywane czasem pojęcie „lewacki" idealnie pasuje do opisania niektórych działających tu ugrupowań politycznych. Terra Lliure zrezygnowała z terroru na początku lat 90., ale nie znaczy to, że jej aktywiści zupełnie nie funkcjonują już w życiu publicznym.



Zdjęcia z archiwum autorki

– Zatruta wisienka na torcie separatyzmu. Za liderami chowają się ukryci w trzecim szeregu ludzie z Terra Lliure – twierdzi z ponurą satysfakcją Maria.

Jednak nie to najbardziej martwi demonstrantów zgromadzonych na placu św. Jakuba, przed opustoszałą siedzibą

eprasa.pl b7843a2655

katalońskiego rządu. To, co ich dotyka, związane jest z codziennym życiem i narastającym przekonaniem, że ci, którzy nie pasują do schematu Katalończyka propagowanego przez separatystów, są wykluczeni. Niedoskonały akcent kataloński przekreśla szansę nawet na podrzędną posadę w instytucjach związanych z regionalnymi władzami.

– Separatyści lubią nazywać tych, którzy się z nimi nie zgadzają, „faszystami". W rzeczywistości to oni są faszystami, powtarzając brednie o wyższości rzekomo istniejącej katalońskiej rasy nad Hiszpanami – tłumaczy jeden z demonstrujących unionistów.

Kultura hiszpańska jest przez zwolenników niepodległości Katalonii traktowana niechętnie. Przekonałam się o tym sama – podczas sympatycznej rozmowy z urzędnikiem katalońskich władz wspomniałam o Carlosie Ruizie Zafónie, megagwieździe literatury, pisarzu tłumaczonym na 40 języków. Jego popularność jest olbrzymia, niektórzy turyści przyjeżdżają do Barcelony po to, by chodzić śladami bohaterów jego powieści. Urzędnik powiedział, że nigdy o nim nie słyszał – zrozumiałam potem, iż zrobił tak dlatego, że Zafón nie dość, że pisze po hiszpańsku, to krytykuje separatyzm.

BUNT KOLONII

– Byliśmy trochę naiwni. Prawdę mówiąc, nasz plan skończył się 1 października, gdy udało się przeprowadzić referendum w sprawie niepodległości. Wszystko, co stało się potem, zupełnie nas zaskoczyło – przyznaje Jordi, szef jednej z ważnych instytucji związanych z rządem Katalonii.

Chce przedstawiać dziennikarzom punkt widzenia separatystów, ale też zachować anonimowość. Boi się, że spotkania mogłyby zostać uznane za złamanie rozporządzenia władz w Madrycie. Katalońscy urzędnicy rządowi dostali zakaz prowadzenia jakiejkolwiek działalności propagandowej. Zastosowanie artykułu 155 hiszpańskiej konstytucji, czyli zawieszenie autonomii Katalonii, ma rozległe i dotkliwe konsekwencje.

– Teraz już wiemy, że aby proklamować niepodległość, trzeba mieć kontrolę nad swoim terytorium. Potraktowano nas jak zbuntowaną kolonię. Nie użyto armii, przysłano za to kilka tysięcy hiszpańskich policjantów – opowiada Jordi.

Podobno hotele solidarnie odmawiały ich zakwaterowania, w końcu policjantów musiano ulokować na statkach zacumowanych przy nabrzeżu w nadmorskiej dzielnicy Barcelony. Na ulicach tego miasta jednak ta wzmocniona obecność policjantów niespecjalnie rzuca się w oczy. Nie muszą interweniować, nie ma protestów przeciw wprowadzeniu rządów władz centralnych. Najwyraźniej separatyści przyjęli zasadę, którą stosuje Jordi – nie warto się narażać na represje.

Przykład dał sam lider ruchu niepodległościowego, prezydent Katalonii Carles Puigdemont. Kiedy prokurator generalny Hiszpanii oskarżył go i jego ministrów o bunt i zdradę stanu oraz wezwał na przesłuchanie, Puigdemont wsiadł w samochód i pojechał do Marsylii. Stamtąd poleciał do Brukseli i nic nie wskazuje na to, by chciał wrócić.

– Nie może się narażać, musi myśleć o swojej rodzinie, ma przecież dwie córki. Nadal mieszkają wraz z matką w Gironie, gdzie wcześniej był merem. Na pewno rozłąka jest bolesna – tłumaczy urzędnik katalońskiego rządu.

Jeśli współpracownicy mają wątpliwości dotyczące ucieczki Puigdemonta, to starannie je ukrywają. A jednak wśród zwolenników niepodległości ucieczka musiała wywołać konsternację – w jednej z katalońskich gazet zamieszczono artykuł, w którym przestrzega się, by nie opowiadać dowcipów na temat pobytu prezydenta w Brukseli, bo jego ośmieszenia chcą zwolennicy pozostania Katalonii w Hiszpanii.

Nastroje są przygaszone, jednak perspektywa niepodległości wydaje się secesjonistom nadal realna, choć przyjdzie na nią poczekać dłużej, niż sądzono.

– Dla mojego pokolenia niepodległość od dzieciństwa wydawała się czymś, co po prostu nadejdzie. Urodziłem się w 1975 r., gdy zmarł gen. Francisco Franco, niemal całe życie spędziłem w UE. Podobnie jak moi rówieśnicy nie czułem nigdy strachu przed wojną domową, dyktaturą, represjami. To my pociągnęliśmy swoich rodziców za sobą – opowiada Jordi.

> Gdyby separatyści nawet wygrali, wydaje się wątpliwe, by mogli znów objąć władzę

Pamięta symboliczny moment. Zawiesił na balkonie katalońską flagę w przeddzień święta narodowego. Chciał zdjąć zaraz po święcie, ale kiedy wyszedł na balkon, zobaczył, że nieoczekiwanie wielu sąsiadów za jego przykładem też zawiesiło flagi i najwyraźniej nie zamierza ich zdejmować. Był rok 2012, właśnie wtedy na niespotykaną wcześniej skalę Katalończycy zaczęli manifestować dążenie do niepodległości.

KTO KRADNIE

Okazuje się teraz, że za dążenie do secesji Katalonia musi płacić cenę nie tylko polityczną.

– Już poczuliśmy gospodarcze skutki referendum w sprawie niepodległości. Największy bank Katalonii, Caixa, natychmiast przeniósł swoją centralę do Walencji, podobnie inne duże firmy. Towary wytwarzane w Katalonii są bojkotowane w całej Hiszpanii, nie chcą już nawet kupować cavy, naszego słynnego wina musującego. A może być jeszcze gorzej, jeśli wyprowadzą się nie tylko centrale firm, lecz przeniesie się także produkcję – przyznaje Olga Grau, dziennikarka prywatnej gazety „El Periódico". Waży słowa, stara się przedstawić sytuację obiektywnie.

Przez całe lata separatyści przekonywali Katalończyków, że pozostawanie w składzie Hiszpanii przynosi im tylko straty. „Hiszpania kradnie" było chwytliwym hasłem. Wierzono, że bogata Katalonia finansuje uboższe regiony i jeśli się od centrum odetnie, zapanuje tu jeszcze większy dobrobyt.

eprasa.pl b7843a2655

Teraz separatyści gładko prześlizgują się nad kwestiami gospodarczymi. Właściwie wolą o nich nie wspominać.

Tak zachowuje się i Jordi, który na własnej skórze doświadczył fatalnych skutków jednostronnie zapowiadanej niepodległości. Gdy rząd w Madrycie odciął finansowanie, Jordi i inni urzędnicy autonomicznych instytucji stracili pracę. To ironia losu – walcząc o niepodległość, sam podciął gałąź, na której siedział.

– Separatystyczne idee wynikały z obrzydzenia panującą w Hiszpanii korupcją. Mieliśmy takie hasło „Uczynić Hiszpanię bardziej katalońską". Chcieliśmy wyplenić złe zjawiska, wprowadzić do życia publicznego wartości – mówi teraz Jordi. Coraz bardziej się nakręca, opowiada o premierze Hiszpanii, który pochodził z Katalonii, a którego zabito. Co prawda, jak się okazuje, było to w XIX w., ale dla Jordiego to i tak znakomity przykład upadku Hiszpanii.



Brzmi to ciekawie, ale jest jedna zasadnicza sprzeczność w narracji o czystej etycznie Katalonii i skorumpowanej Hiszpanii. Bo właśnie w Katalonii kilka lat temu wybuchło kilka nieprawdopodobnych wręcz skandali korupcyjnych. Najpierw okazało się, że nazywany ojcem katalońskiej autonomii Jordi Pujol, wieloletni premier Katalonii, przez dziesięciolecia transferował za granicę i ukrywał w rajach podatkowych miliony euro. W aferę zamieszane były także jego dzieci, które oskarżono o łapownictwo i handlowanie wpływami politycznymi. Jakby tego było mało, wkrótce okazało się, że istnieje korupcyjna ośmiornica, obejmująca kataloński rząd i wielkie firmy, a za kontrakty na zamówienia publiczne biznesmeni muszą płacić łapówki w wysokości 3 proc. Przy okazji stało się jasne, że przez lata afery były zamiatane pod dywan, bo milczały miejscowe media, korzystające z subwencji od katalońskiego rządu.

O patologicznym zamkniętym układzie, w którym wszystko jest pod kontrolą separatystów, traktujących Katalonię jako swoją własność, mówią ich przeciwnicy polityczni. Kiedy groźba oderwania Katalonii od Hiszpanii stała się realna, zaczęli wychodzić na ulice.

TO NIE WAKACJE

„Kiedy oglądam Arrimadas w telewizji, życzę jej, by kiedy wyjdzie na ulicę, została zbiorowo zgwałcona, bo tylko na to zasługuje ta obrzydliwa suka" – wpis katalońskiego internauty, który pojawił się na Facebooku, poruszył opinię publiczną.

Inés Arrimadas, 36-letnia liderka katalońskiej partii unionistycznej, liberalnej Ciudadanos, zdecydowała się wtedy podać sprawę do sądu.

Separatyści jej nienawidzą – to właśnie ona ma zostać premierem katalońskiego rządu, jeśli unioniści wygrają w wyborach. Na razie sondaże wskazują, że separatyści i unioniści idą łeb w łeb, wynik przedterminowych wyborów rozpisanych przez Madryt na 21 grudnia jest trudny do odgadnięcia.

– Będę głosować na Ciudadanos, bo jest szansą na normalność. Pozostanie Katalonii w Hiszpanii i UE jest naturalnym wyborem – twierdzi Carla Margalef, studentka politologii, która rozdaje ulotki na wiecu Inés Arrimadas. Ale kiedy pytam, czy jej otoczenie myśli podobnie, okazuje się, że nawet w domu rodzinnym opinie są podzielone. Ona i matka uważają, że Katalonia to część Hiszpanii, ojciec jest zdeklarowanym separatystą.

– Rozmawiamy o polityce przy stole i tak każdy zostaje przy swoim zdaniu – przyznaje Carla. Podobnie jest w innych katalońskich rodzinach, podziały polityczne są często zaskakujące.

Najlepszym i dość zabawnym przykładem jest to, co dzieje się w małżeństwie samej Inés Arrimadas. Poślubiony rok wcześniej mąż w poprzednich wyborach startował z wyborczej listy partii Puigdemonta. Oficjalnie nie jest już w partii separatystów, ale przezornie nie ujawnia swych poglądów, milczy jak zaklęty na tematy polityczne.

Plakaty wyborcze z Arrimadas pojawiły się na ulicach Barcelony natychmiast po ogłoszeniu startu kampanii wyborczej. Są zdzierane, niszczone, często nakleja się na nie plakat jej największego rywala, lidera separatystów – Carlesa Puigdemonta.

Jest pewna zasadnicza różnica – jeśli wygra Arrimadas, to zostanie premierem. Sukces Puigdemonta będzie tylko symboliczny.

– Musiałby odebrać mandat osobiście, a przecież ciągle przebywa w Brukseli. Wyborcy są zdezorientowani, ale ludzie Puigdemonta opowiadają im, że jak wygra, to na pewno obejmie władzę. Na listach wyborczych jest też czterech innych liderów niepodległościowych, którzy nadal siedzą w areszcie w Madrycie – mówi Olga Grau, dziennikarka „El Periódico".

Puigdemont jest jedynką na liście wyborczej proniepodległościowego bloku Razem dla Katalonii. Napis na jego plakacie wyborczym głosi: „Nasz prezydent".

– Nie porzuca się przywódców dlatego, że są na wygnaniu czy w więzieniu. Nie będziemy się rozglądać za nowymi liderami, tak jak zrobił Afrykański Kongres Narodowy, gdy uwięziono Nelsona Mandelę – podkreśla Jaume Clotet, dyrektor ds. komunikacji katalońskiego rządu.

Śmiałe porównanie, biorąc pod uwagę to, że Puigdemont zdecydowanie nie przypomina męczennika za sprawę. Kiedy mówię o tym Clotetowi, jest oburzony. – Przecież nie pojechał do Brukseli na wakacje, ale żeby głosić idee katalońskiej

14/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

niepodległości – deklaruje uroczyście. I dorzuca kolejne niestosowne porównanie, specjalnie na użytek Polaków– pobyt Puigdemonta w Brukseli kojarzy mu się z sytuacją naszego emigracyjnego rządu po II wojnie światowej.

Separatyści katalońscy naprawdę mają spory problem z wyborem języka, którym mówią o sytuacji politycznej. Starają się podkreślić swój heroizm, posuwając się nawet niekiedy do porównywania hiszpańskiego rządu premiera Mariano Rajoya z reżimem gen. Franco.

Często udaje się im sprawnie przepchnąć swoją narrację do zagranicznych mediów. Wśród separatystów jest zaskakująco dużo dziennikarzy – począwszy od samego Puigdemonta – dobrze więc sobie radzą z przedstawianiem swego punktu widzenia.

Popełnili jednak zasadniczy błąd w ocenie sytuacji międzynarodowej, przeceniając sympatię, jaką niektórzy politycy europejscy wyrażali wobec idei narodu katalońskiego. – Byliśmy naiwni. Poparcie dla nas okazywano w komisjach spraw zagranicznych kilku parlamentów, np. w Słowenii czy Estonii. Ale ta życzliwość gwałtownie się skończyła, gdy sprawa niepodległości Katalonii trafiła na szczebel rządowy – przyznaje jeden ze współpracowników Puigdemonta.

Zdecydowana i ostra reakcja świata na próbę oderwania Katalonii od Hiszpanii była dla separatystów zimnym prysznicem. Nie wiadomo, czy nie wpłynie na wynik wyborów, przekonując niezdecydowanych, że nie warto stawiać na tę opcję.



– Wierzymy, że wygramy i tym razem. Bo jeszcze nigdy, od czasów śmierci gen. Franco, nie przegraliśmy wyborów w Katalonii – zapewnia wiceszef sztabu wyborczego partii Puigdemonta.

Jednak gdyby separatyści nawet wygrali, wydaje się wątpliwe, by mogli znów objąć władzę. Wprowadzając rządy bezpośrednie, rząd w Madrycie zapowiedział, że autonomia będzie przywrócona, kiedy zapanują warunki gwarantujące demokrację. Trudno przypuszczać, by uznał, że te warunki mogą zagwarantować separatyści.

REKLAMA

Szanowni Państwo,

Święta Bożego Narodzenia to czas spotkań. Odwiedzamy swoich najbliższych, spędzamy chwile w rodzinnym gronie, wspólnie świętujemy. Podróżujemy do tych, którzy są dla nas ważni. My, kolejarze, każdego dnia staramy się, aby te podróże były jak najlepsze – to nasza misja, którą z pasją realizujemy.

Codziennie czuwamy nad Państwa bezpieczeństwem oraz komfortem podróży. Prowadzimy wielkie modernizacje, dzięki którym już wkrótce będzie można przemieszczać się jeszcze szybciej. Zmieniamy także oblicze polskich dworców, tak były one miejscami przyjaznymi i nowoczesnymi, zapewniającymi obsługę pasażerską na miarę XXI wieku. Polska kolej zmienia się na lepsze każdego dnia.

Życzymy Państwu spokojnych Świąt Bożego Narodzenia. Dużo odpoczynku i pięknych chwil spędzonych z najbliższymi.

GRUPA PKP

PKP

eprasa.pl b7843a2655

Przyszedł czas polskiej wielkości



Polska znalazła się – a jeżeli jeszcze nie znalazła, to się znajdzie – na marginesie Europy, a nawet świata. Tym marginesem grożą nam różni politycy urzędujący w Komisji Europejskiej i europarlamencie. Groźby powtarzają, nie kryjąc satysfakcji, europosłowie z PO i SLD. No i z czego oni się tak cieszą? Ich koleżanki i koledzy z totalnej opozycji są takiego samego zdania i dzielnie współpracują z Różą Thun, Januszem Lewandowskim i resztą w dziele wypychania Polski na ten margines, a nawet poza UE, co ma przynieść zwycięstwo opozycji w wyborach samorządowych i parlamentarnych. Mają też nadzieję, że jak już Polski konserwatywnej nie będzie w Unii, to naród się odwróci od Prawa i Sprawiedliwości, a Donald Tusk zostanie prezydentem III RP i będzie tak, jak było. I z tego cieszą się najbardziej. A władze będą rządzić i choć nie będzie już unijnych dotacji, to – cytuję Jerzego Urbana – „rząd się wyżywi". Odnoszę wrażenie, że nasza opozycja jest słabsza na umyśle, niż sądziliśmy my, obywatele. Nie tylko straciła kontakt z polską i zagraniczną rzeczywistością, lecz także oderwała się od własnych poglądów, które, przynajmniej w PO, były konserwatywno-liberalne albo liberalno-centrowe. Wszystko jedno. Ich poglądy sytuują się dziś na poziomie KOD i Obywateli RP, czyli zbieraniny awanturników z politycznej ciemnoty i postkomunistycznego zabobonu reprezentowanego przez czerwonych emerytów i ich rodziny. Całe to towarzystwo w obliczu sukcesów dobrej zmiany popadło w desperację, czego wyrazem był atak na dziennikarkę TVP czy podpalenie biura poselskiego Beaty Kempy. A także nawoływanie do krwawego rozprawienia się z rządem i PiS, co przestaje już być zabawą w politykę, a zaczyna zagrażać stabilności państwa. Różni prominenci totalnej opozycji usprawiedliwiają akty agresji ze strony swoich zwolenników, bo się wkurzyli czy zwyczajnie „wyszli z nerw" na znak niezgody na rządy prawa i sprawiedliwości pozostające w głębokiej sprzeczności z rządami kłamstwa, złodziejstwa, korupcji, jakie panowały przez 27 lat i dobrze było.

Na tle tych wydarzeń trudno się dziwić, że przywódca PO Grzegorz Schetyna zapowiedział, że będzie nękał nowego premiera rządu Mateusza Morawieckiego, który i tak nie będzie rządził, bo Polską rządzi Jarosław Kaczyński z tylnego siedzenia. Opozycja już wyczerpała zasób antykaczyńskich i antypisowskich sloganów, czemu nie należy się dziwić. Wszak znalazła się na tylnym siedzeniu polskiej polityki, a w Brukseli to nawet sterczy na korytarzu. I się pieni. A tymczasem właśnie dzięki prospołecznym i gospodarczym reformom Polska znalazła się w czołówce europejskich państw pod względem tempa wzrostu gospodarczego. Agencje ratingowe podnoszą prognozy rozwoju naszego kraju, mnożą się inwestycje zagraniczne, powstają nowe obiekty przemysłowe, a także użyteczności publicznej. Widzi to nawet niemiecki portal Onet i pisze: „Polska wchodzi w etap ekonomicznego boomu, spodziewany jest nawet dwucyfrowy wzrost wynagrodzeń".

Bez wątpienia sukcesy gospodarcze w dużym stopniu zawdzięczamy reformom Mateusza Morawieckiego i jego ekipy. Czy Schetyna tego nie widzi? Być może widzi, ale słabo, bo siedzi na samym końcu polityki i wszystko zasłaniają mu różni Trzaskowscy i Budki, tęgie głowy od paplaniny na temat praworządności i konstytucji, których już nikt nie słucha. A tymczasem świat idzie do przodu i pilnie obserwuje przemiany zachodzące w Polsce.

Oto, co powiedział o pozycji Polski George Friedman, wybitny socjolog amerykański o liberalnych poglądach, twórca Instytutu Stanforda, w wywiadzie dla gazety „Nasz Dziennik". Friedman stwierdził wprost, że „Unia Europejska nie ma przyszłości. Po prostu integracja europejska nie udała się. […] Myślę, że przyszedł czas polskiej wielkości. […] USA to globalne mocarstwo. A kiedy patrzę na Europę, Polska jest dla mnie głównym partnerem dla USA. A to jest ogromna zmiana w polskiej historii".

Bez wątpienia sukcesy gospodarcze ostatnich dwóch lat w dużej mierze zawdzięczamy Mateuszowi Morawieckiemu

Opozycjonista Władysław Frasyniuk w obliczu rosnącej siły państwa polskiego i autorytetu jego konserwatywnych elit postraszył Polaków na antenie TVN24: „W dłuższej lub krótszej perspektywie polecą kamienie". Radzę Frasyniukowi i jego establishmentowi rąbnąć się kamieniem w głowę, i to solidnie, może wtedy doznają oczekiwanego przez Polaków wstrząsu opozycyjnych mózgownic i przywołają je do porządku, przede wszystkim wobec prawa. I zastosowanie się do zasad praworządności, której ponoć bronią.

24/1117/F

eprasa.pl b7843a2655

Zabiorą się i do nich

Nie tylko Arabowie w swoich krajach protestują przeciwko zapowiedzianemu przez prezydenta USA Donalda Trumpa przeniesieniu ambasady amerykańskiej z Tel Awiwu do Jerozolimy. Przeciwko tej decyzji manifestują wyznawcy lewicowej ideologii spod znaku multikulti i genderyzmu, a wśród nich Europejczycy żydowskiego pochodzenia nienawidzący z całego serca Izraela i wyznawców judaizmu. Fanatycznie broniący polityki antyizraelskiej Palestyny i pozostałych krajów muzułmańskich otaczających ten malutki kraj, z trudem utrzymujący swoją niepodległość. Ulicami Berlina, Monachium i szwedzkiego Göteborga przetaczają się masowe demonstracje antyizraelskie. Dochodzi do zamachów na synagogi w Niemczech i we Francji, nasi starsi bracia w wierze boją się nosić na głowach tradycyjne jarmułki, synagogi w zachodniej Europie muszą być ochraniane przez policję. Bez wątpienia tłumnie uczestniczą w tych protestach arabskie mniejszości narodowe i muzułmańscy imigranci przybyli do Europy w ostatnich latach.

Rosnąca fala antysemickich demonstracji zaalarmowała nawet brukselską centralę Unii. Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans i komisarz ds. sprawiedliwości Věra Jourová są – jak oświadczyli – tym zszokowani, podobnie powtarzającymi się atakami na synagogi i aktami nienawiści w stosunku do Izraela. Dziesięciolecia antyizraelskiej i nachalnie propalestyńskiej propagandy przynoszą owoce. Demonstruje młodzież niemiecka wychowana w szkołach i na uczelniach w duchu lewackiego antysemityzmu, w tym młodzież żydowskiego pochodzenia. Na tych demonstracjach palone są flagi Izraela, prezentowane hasła domagające się zagłady tego państwa. Najwyraźniej Niemcy, których przodkowie zagazowali w obozach koncentracyjnych miliony Żydów, mają w duszach zakonotowaną nienawiść do tej rasy i do narodu żydowskiego. No i ta miłość do Palestyny, której celem jest zniszczenie Izraela – woda na młyn terrorystów i salafickich ekstremistów, których jest coraz więcej w UE. Gdy za aprobatą Niemców wymordują wszystkich europejskich wyznawców judaizmu, zabiorą się i do nich.

Krystyna Grzybowska

REKLAMA

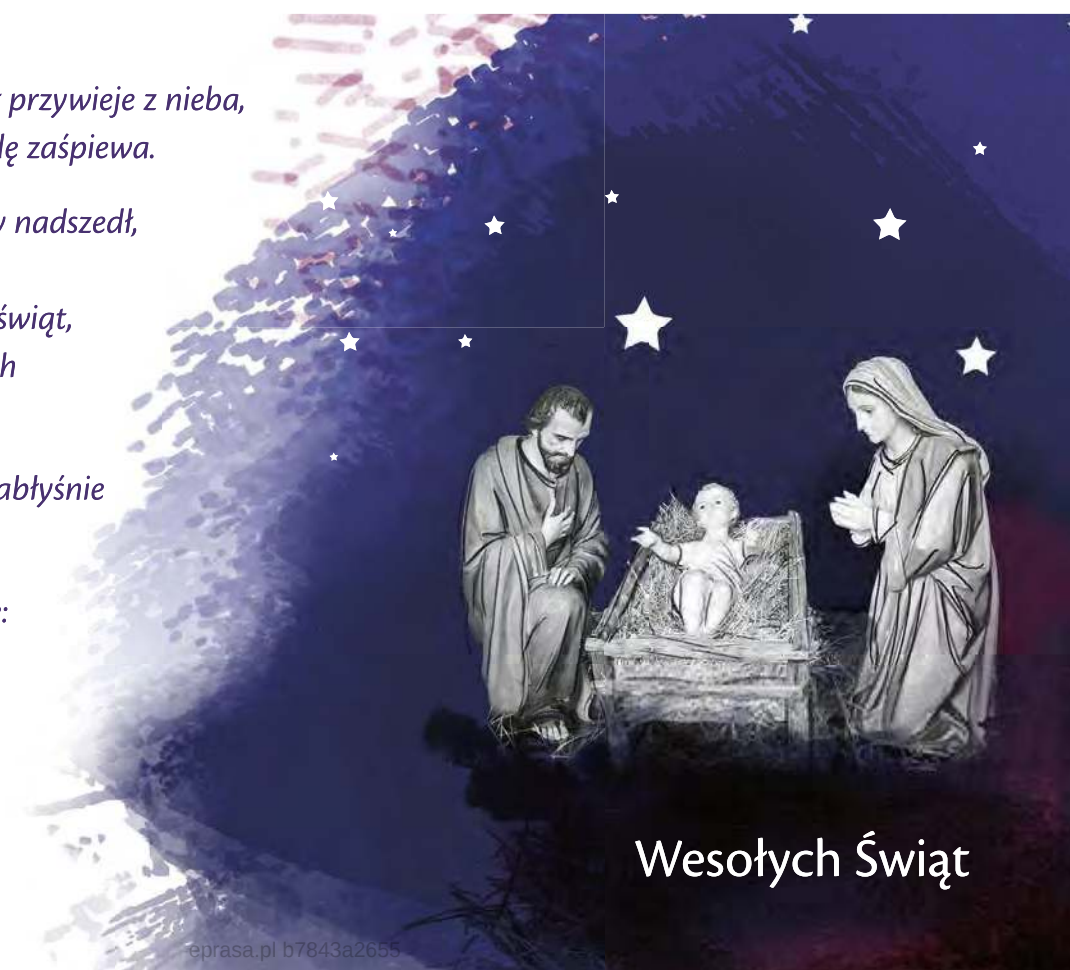
Serdeczne życzenia niech Anioł przywieje z nieba,
podaruje ogrom nadziei i kolędę zaśpiewa.

Bożego Narodzenia czas piękny nadszedł,
wszystko się rodzi na nowo,
więc w blasku tych radosnych świąt,
życzymy Państwu by w domach
zagościło dobro.

Niech Gwiazdka Betlejemska zabłyśnie
i marzenia spełni wszystkie.

Niech spełni się to, co najlepsze:
zdrowia, szczęścia i miłości!

Zarząd i pracownicy
Kasy Stefczyka



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

eprasa.pl b7843a2655

Citronex chce być największym producentem pomidorów szklarniowych w Europie



Fot. Julita Szewczyk | 62/1117/F

Zielone krzaki stoją w równych rzędach, pnąc się po specjalnych konstrukcjach na wysokość kilku metrów. W powietrzu unosi się oszałamiający zapach świeżych pomidorów, słychać buczenie trzmieli. Trudno uwierzyć, że za oknem leży śnieg i jesteśmy w byłym PGR

Jeszcze pięć lat temu wszystko wskazywało na to, że Przedsiębiorstwo Ogrodnicze „Siechnice" pod Wrocławiem podzieli los ponad 1,7 tys. państwowych przedsiębiorstw rolnych, które masowo upadały po wprowadzeniu w Polsce gospodarki rynkowej. Na szczęście los chciał inaczej. Wystarczyło trochę wyobraźni, odwagi i ponad 200 mln zł, żeby Siechnice z wielkiego, ale zadłużonego i niedoinwestowanego gospodarstwa ogrodniczego zmieniły się w jedną z najnowocześniejszych w Europie plantacji pomidorów pod szkłem. Dziś z 40 ha co roku zbiera się tu po kilkanaście tysięcy ton tzw. malinówek. A będzie więcej, bo buldożery właśnie przygotowują teren pod kolejne hale. W sumie ma tu być 46,5 ha pod szkłem, specjalizujących się w uprawie pomidorów, głównie malinowych. To rarytas, który do niedawna można było kupić tylko na targu, i to za cenę dwa razy wyższą niż tzw. zwykle pomidory. Trudno się dziwić, bo malinówka jest kapryśna i wymagająca: na jej uprawę porywali się do tej pory głównie ogrodnicy i działkowcy hobbyści. W szklarniach czy pod folią nikt w Polsce nie odważył się ich sadzić. Dopiero właściciele Citronexu kilka lat temu postanowili, że zgłębią tajemnicę malinówki. Dziś owe malinówki można kupić w najpopularniejszej w Polsce sieci sklepów. Prezes Zarzecki przyznaje, że sukces firmy nie byłby możliwy bez udziału Biedronki. Jest to partner, który szczególną uwagę przywiązuje do jakości oferowanych produktów. Wspólnie pracujemy także nad nowymi pomysłami czy innowacyjnymi opakowaniami. Biedronka dzięki dużej kampanii reklamowej uświadomiła Polakom, że pomidory polskie można hodować u nas przez cały rok, i spowodowała, że pomidory stały się naszym wspólnym sukcesem.

BANANY I POMIDORY

W 2012 r., gdy rodzina Zarzeckich zainteresowała się malinówkami, gospodarstwo miało około 20 mln zł długów i ledwo wiązało koniec z końcem. Zatrudniało świetnych specjalistów – szklarniowców – i produkowało znane w całej Polsce pomidory i ogórki, ale zniszczone szklarnie, pamiętające jeszcze czasy poprzedniej epoki, były przestarzałe i bardzo energochłonne. Przychody ze sprzedaży nie zawsze pokrywały koszty wytwarzania, a już o nowych inwestycjach, które poprawiłyby rentowność firmy, nie było co marzyć. Co gorsza, gdy na wysokie koszty produkcji, nałożyły się wypadki losowe, straty szły w miliony złotych. Tak było np. w 1997 r., gdy część upraw zniszczyła powódź stulecia. Fatalny dla zakładu okazał się także rok 2011, gdy w Niemczech wybuchła epidemia wywołana przez bakterię coli, a tamtejsze służby sanitarne ogłosiły, że źródłem zarażenia są importowane ogórki i pomidory. Okazało się to nieprawdą, ale efektem był kolosalny spadek sprzedaży pomidorów i ogórków w całej Unii Europejskiej.

eprasa.pl b7843a2655

– Po kilku miesiącach sprawę wyjaśniono, ale nasze długi tak urosły, że nie byliśmy już w stanie wyjść na prostą – wspomina Ireneusz Kucharski, były wiceprezes, a dziś jeden z szefów produkcji ogrodniczej spółki. – Wiedzieliśmy, że poprawa rentowności jest możliwa, tyle że niezbędne były inwestycje, na które nie mieliśmy pieniędzy. Citronex ze swoim pomysłem spadł nam jak z nieba.

Rodzina Zarzeckich złożyła ofertę w przetargu na zadłużone gospodarstwo, proponując 12 mln zł. Zobowiązała się też doinwestować i zrestrukturyzować dawne PRL-owskie gospodarstwo. W rodzinie Zarzeckich za segment „pomidorowy" odpowiada wiceprezes Rafał Zarzecki. Rafał biznes ma niejako we krwi, bo jest synem Artura Toronowskiego, założyciela i właściciela Citronexu. Citronex to rodzinna firma, która powstała w 1988 r. jako przedsiębiorstwo zajmujące się handlem owocami i warzywami. Dziś zatrudnia ponad 2 tys. pracowników i działa w kilku sektorach gospodarki takich jak: import bananów, produkcja i dystrybucja pomidorów, ale również logistyka, transport, myjnie i serwis samochodów ciężarowych, stacje paliw, hotele, restauracje oraz supermarkety. Każdy z właścicieli spółki ma swoje zadania. Założyciel – Artur Toronowski – jest odpowiedzialny za strategię, żona Barbara zarządza pionem finansowym, starszy syn – Rafał Zarzecki zajmuje się biznesem bananowym i pomidorowym, a młodszy – Robert odpowiada za flotę kilkuset tirów, zarządza siecią stacji benzynowych i myjni. Łączne obroty należącej do grupy firm wynoszą ok. 1,5 mld zł.

– Szczerze powiem, że jak przejmowałem stery Siechnic, mało wiedziałem o uprawie pomidorów i szklarniach – przyznaje Zarzecki. – Owszem, mieliśmy jedną z największych i najnowocześniejszych w Europie dojrzewalni bananów, ale o pomidorach wiedziałem tylko tyle, że rosną na krzakach. I że je bardzo lubię – dodaje z uśmiechem.

POŻYTECZNE OWADY

Nowy prezes, żeby poznać tajniki uprawy, zakasał rękawy i zabrał się do doglądania warzyw. Cierpliwie słuchał ludzi, którzy pokazywali mu, jak należy obrywać liście, mówili, ile owoców powinno być w kiści i jakie plamki powinny spędzać mu sen z powiek. Uświadomili go również, że niezastąpione w zapylaniu kwiatów są trzmiele, a szkodniki powodujące choroby najlepiej zwalczać nie chemią, tylko innymi owadami, które nie są groźne dla roślin, a zjadają tzw. złe robaki. Sprzymierzeńcami Zarzeckiego w uprawie pomidorów są więc: dziubałeczek mączlikowy, dobrotnica szklarniowa i dobroczynek szklarniowy.

Zarzecki zatrudnił też najlepszych w Europie specjalistów do budowy szklarni, sprowadził wreszcie do Siechnic holenderskich fachowców, którzy technologię uprawy malinówek mieli w małym palcu.

– Uparłem się na te malinowe, bo wiedziałem, że zwykłymi rynku nie zawojuję: konkurencja zarówno krajowa, jak i zagraniczna była bardzo duża – mówi Zarzecki. – Wiedziałem też, że dla klientów, którzy mają duży wybór na rynku, liczy się nie tylko cena, lecz też smak, zapach i wygląd.

W ciągu ostatnich dwóch dekad liczba producentów pomidorów, a także ich zbiory wzrosły w Polsce z 45 tys. ton (w roku 2004) do 260 tys. ton w roku 2016. Na dodatek znacząco zwiększył się import. Z danych Eurostatu wynika, że w 2016 r. do Polski trafiło 144,3 tys. ton pomidorów. Najwięcej z Hiszpanii (52,3 tys. ton) i Holandii (38,8 tys. ton), ale importowaliśmy również z Niemiec, Francji i Turcji. O tym, że pomidor stał się popularnym warzywem, świadczą stoiska w sklepach, gdzie pomidory można kupić przez cały rok. Ich ceny też są zmienne: zależą od wielkości zbiorów w poszczególnych krajach, ale też coraz bardziej od jakości. Z danych Komisji Europejskiej wynika, że średnia cena hiszpańskich pomidorów wynosiła w marcu 2017 r. 0,85 euro za kg, a włoskich, bardziej cenionych przez handlowców i smakoszy – 1,50 euro za kg.

KOMPUTERY I SPECJALIŚCI

Pomidory uprawiane w Polsce są droższe, czemu trudno się dziwić. Aby zbudować nowoczesną, doświetlaną szklarnię, taką jak w Siechnicach lub w Bogatyni, trzeba wyłożyć nawet 170 euro na metr kwadratowy. W zamian ma się zapewnioną energooszczędność i przewidywalność całorocznych zbiorów, bo systemy komputerowe sterują temperaturą, nawodnieniem, odżywieniem roślin. Każdy krzak ma swoje niezależne zasilanie, które precyzyjnie dawkuje mu kropla po kropli porcje składników mineralnych. Owoce czerwienieją więc dokładnie wtedy, kiedy „ogrodnik" to zaplanował. Co więcej, zbiory można zaprogramować niemal co do kilograma! Warto tu zaznaczyć, że obecnie w Bogatyni Citronex uprawia pomidory na 10 ha, a w najbliższej przyszłości planuje budowę kolejnych 60 ha.

Zwiększeniu rentowności służy też nowoczesny system grzewczy z odzyskiem ciepła (szklarnie wykorzystują parę wytwarzaną przez elektrociepłownię Wrocław i elektrownię Turów w Bogatyni) oraz park maszynowy. Są tu specjalne podnośniki, które umożliwiają ludziom bezpieczną pracę przy kilkumetrowych krzakach, nie ma też problemów z transportem, bo skrzynki przewożą bezobsługowe wózki indukcyjne. Szklarnie, których właścicielem jest Citronex, są obecnie najnowocześniejsze i najbardziej innowacyjne w Europie.

– Ludzie, którzy pierwszy raz odwiedzają Siechnice, nie mogą się nadziwić, że wózki same jadą jak po sznurku – śmieje się prezes.

Mimo dużej automatyzacji praca ludzka i wiedza są tu nie do zastąpienia. Z zapełnieniem wakatów jest dziś największy problem. PPO „Siechnice" jest obecnie jednym z największych pracodawców w rejonie. W tej chwili zatrudnienie znajduje tam 550 osób, kolejne 120 pracuje w Bogatyni. Zatrudniamy również dużo młodych ludzi: inżynierów, doktorantów z zaprzyjaźnionego Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

– Wielu pracowników to okoliczni mieszkańcy, ale coraz częściej zatrudniamy również osoby z zagranicy – przyznaje Zarzecki. – Dlatego inwestujemy też w nowy hotel pracowniczy, tworzymy własny oddział, który będzie się zajmował rekrutacją i szkoleniem pracowników.

Już dziś ta polska rodzinna firma jest jednym z czterech największych producentów szklarniowych w Unii Europejskiej. A gdy spółka zakończy realizowane właśnie inwestycje, będzie największym europejskim „ogrodnikiem".

Ewa Wesołowska

eprasa.pl b7843a2655



Wspólna odpowiedzialność

Dlaczego firmy nie odpowiadają karnie jako przedsiębiorstwa? Koncerny zagraniczne mogą w Polsce czuć się bezkarne, za oszustwa nie ponoszą odpowiedzialności. Skazywani są przeważnie tylko pracownicy. Dlatego w redakcji „GB” przedstawiciele Sejmu, środowisk sędziowskich, prokuratorskich oraz Ministerstwa Sprawiedliwości rozmawiali o zmianach w prawie podczas debaty „Odpowiedzialność karna podmiotów zbiorowych”. Współorganizatorem spotkania była Fundacja Wyszehradzka

Gdyby w Bałtyku koncern BP wydobywał ropę i doprowadził do katastrofy ekologicznej, gdyby z winy zaniedbań lub przesadnych oszczędności na materiałach dewelopera zawalił się wieżowiec albo gdyby pracownicy brali udział w korupcji na rozkaz zagranicznej centrali, to nie było i nadal nie ma w Polsce możliwości pociągnięcia do odpowiedzialności samej firmy jako podmiotu. Można skazać prezesa, ale jemu też trudno cokolwiek udowodnić. Można skazać pracownika, ale przecież jest on tylko trybikiem większej maszyny, któremu trudno wykazać udział w zorganizowanym procederze przestępczym.

– Po pierwsze, szkodliwość społeczna czynu – występku – popełnianego przez podmiot zbiorowy jest dużo większa niż podmiotu indywidualnego. Jeżeli firma w swojej działalności zatruwa środowisko, ma to przecież dużo większą szkodliwość – ocenił Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości. – Jeżeli firma korumpuje urzędników państwowych, złożoność i struktura takiego zachowania sprawia, że szkodliwość jest większa, a proceder trudniejszy do wykrycia. Ustalenie odpowiedzialności jednej osoby za przestępstwo może być trudne. Podział obowiązków w firmie jest przecież tak rozłożony, że każda osoba odpowiada za część zadań. Dopiero zebrane dają czyn zabroniony i zawinienie. Wszyscy składają się na przestępstwo, więc wykryć, oskarżyć oraz skazać winnych jest dużo trudniej – dodał.

Przestępcze zachowanie firm jako zorganizowanych podmiotów jest zatem dużo bardziej szkodliwe społecznie i znacznie trudniejsze do wykrycia. Do tego obecnie obowiązujące przepisy są bublem prawnym i dodatkowo utrudniają pociąganie firm do odpowiedzialności – zgodzili się uczestnicy debaty. W efekcie dziś sądzić i skazać karnie można pracowników firmy, a nie firmę jako podmiot. To ewenement na skalę europejską. Kiedy gdzie indziej firmy płacą wielomilionowe kary i odszkodowania za łamanie prawa, w Polsce kary są symboliczne, a sądzeni są jedynie pracownicy, członkowie zarządów, prezesi...

– Co z tego, że skażemy prezesa? Co z tego, że prezes trafi na wiele lat do więzienia? Przestępstwa nie dokonał prezes, tylko zrobiła to firma – organizacja. Do więzienia pójdzie prezes, a firma wygra przetarg, będzie nowy prezes i wszystko dalej działa – komentował Rafał Kierzynka, sędzia Wydziału Europejskiego i Międzynarodowego Prawa Karnego Departamentu Legislacyjnego Ministerstwa Sprawiedliwości. – Dochodzenie roszczeń na drodze cywilnej prowadzi nas na manowce. Może się okazać, że prezes działał samodzielnie, może nie, ale sama odpowiedzialność osób fizycznych nie wystarcza. Konieczne jest uzupełnienie odpowiedzialności osób fizycznych o odpowiedzialność osób prawnych – ocenił.

BIAŁE KOŁNIERZYKI I TEORETYCZNE PRAWO

Co niesamowite, obecne prawo... chroni przestępców! Bardzo często podmioty

eprasa.pl b7843a2655



Fot. Julita Szewczyk | 9/1217/F

zbiorowe wykorzystywane są do popełniania przestępstw karnoskarbowych, jak karuzele VAT czy wyłudzenia funduszy unijnych. Takie przestępstwa dokonywane są właśnie za pomocą firm, czyli podmiotów zbiorowych. Dlatego przestępcy kupują takie podmioty, firmy w celu popełnienia przestępstwa. Jak mówili uczestnicy debaty, można już nawet kupić takie spółki na portalach społecznościowych – tylko po to, by wykorzystać spółkę jako narzędzie do popełnienia przestępstwa. Wszystko dlatego, że obecne prawo jest dziurawe, a Kodeks karny i Kodeks postępowania karnego odnosi się tylko do osób fizycznych, nie do spółek z o.o., spółek komandytowych czy spółek akcyjnych.

– Obecnie bardzo trudne jest pociągnięcie takiego podmiotu do odpowiedzialności. Osoby prawne to takie podmioty, które mają zdolność prawną i należą do samych siebie. Dlatego nie można stosować do nich reguł określonych w Kodeksie karnym ani Kodeksie postępowania karnego – oceniła prokurator Elżbieta Orzeł z Departamentu ds. Przestępczości Gospodarczej w Prokuraturze Krajowej. – Muszą istnieć szczególne rozwiązania dla tych podmiotów, żeby – zwłaszcza widząc spółki powołane tylko do popełnienia przestępstwa – doprowadzić do jak najszybszego wstrzymania ich działalności, zabezpieczenia mienia, wycofania ich z rynku – dodała.

Jak oceniła pani prokurator, dziś również narzędzie rekwirujące majątek pochodzący z przestępstwa, czyli możliwość zabezpieczenia majątkowego na mieniu podmiotu, który osiągnął korzyść majątkową w wyniku popełnienia przestępstwa przez określoną osobę, jest tylko częściowo dobrym przepisem, bo... działa jedynie wtedy, gdy coś ukradziono skarbowi państwa. Nie działa w przypadku okradania obywateli.

– Tak, jest taki przepis – kapitalny przepis, który zmierza do zabezpieczenia mienia w trakcie postępowania przygotowawczego, ale tylko w wypadku, kiedy korzyść majątkowa została osiągnięta kosztem szeroko rozumianego skarbu państwa. Pozostaje nam więc jeszcze luka, gdy chodzi o podmioty wykorzystywane przez sprawców na szkodę osób prywatnych. Myślę, że zmiany w ustawie o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych mogłyby tę lukę wypełnić – dopowiedziała Elżbieta Orzeł.

Firmy są bezkarne i mogą traktować łamanie prawa w Polsce jako ryzyko wkalkulowane w koszty osiągnięcia wielokrotnie większych korzyści. Takie prawo nie działa.

– Są luki, są obszary niedopowiedziane, które dają możliwość ucieczki przed organem. Wzorcowym przykładem jest przekształcenie spółki. Innymi słowy, pierwszą rzeczą, jaką doradzam, gdy przychodzi taki klient, jest „Przekształćcie spółkę" – spółka przekształcona, nie ma sprawy. Rozwiązania obecnej ustawy są fasadowe – ocenił Michał Roszkowski z kancelarii Accreo Legal M. Roszkowski i Wspólnicy, ekspert w doradztwie z zakresu procedur sądowych i karnoskarbowych. – Obecna ustawa ma wady elementarne. Nie ma konieczności dokonywać złożonej interpretacji przepisów, bo treść ustawy ma podstawowe błędy konstrukcyjne. Ustawę o odpowiedzialności podmiotów zbiorowych pokazuję u mnie na wykładach na jednym lub dwóch ostatnich slajdach prezentacji – trzeba wiedzieć, że jest, ale w praktyce nie działa albo rzadko jest stosowana, a przecież, jak mówimy dziś, jest tak ważna – dodał.

Jak ocenili uczestnicy debaty, prawo zostało napisane tak, by praktycznie uniemożliwić ściganie oszustów w białych kołnierzykach i firm jako podmiotów.

– Napisano ustawę tak, żeby ona nie działała – skomentował wiceminister Marcin Warchoł. – To wielki grzech zaniechania w tamtym okresie. Spójrzmy na inne kraje i na to, jak to tam wygląda: w 2016 r. były dwa orzeczenia z tej ustawy. W 2015 r. – trzy wyroki, w 2014 – osiem wyroków, w 2013 – trzy wyroki, a w 2012 zero wyroków. Razem kilkanaście wyroków. Tymczasem we Francji od roku 1994 do 2002 wydano 1442 wyroki skazujące wobec firm! Przez osiem lat! Od 2002 do 2005 r. skoczyła statystyka i wydano już 2 340 wyroków skazujących dla firm – tylko w ciągu trzech lat. Teraz we Francji zniesiono katalog

eprasa.pl b7843a2655

przestępstw i firma może ponosić odpowiedzialność już za wszystkie możliwe przestępstwa.

NOWA USTAWA – REALNE PRAWO

Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiedziało zmiany dotyczące odpowiedzialności podmiotów zbiorowych. W przygotowanym projekcie nowej ustawy zaproponowało zlikwidowanie wymogu uprzedniego prawomocnego skazania osoby fizycznej jako warunku odpowiedzialności podmiotu zbiorowego. W efekcie np. do wytoczenia sprawy nieuczciwej spółce ma wystarczać ustalenie prokuratora, że popełniono w niej przestępstwo. Jednocześnie w sprawach dotyczących odpowiedzialności podmiotów zbiorowych będą prowadzone postępowania przygotowawcze.

– Wysokość kar, które proponuje nowa ustawa, wynosi od 30 tys. do 30 mln zł. To przemówi do wyobraźni kierujących dużymi podmiotami i korporacjami – zapowiedział Waldemar Buda, poseł RP (Prawo i Sprawiedliwość), radca prawny. – W kalkulacji procederu przestępczego musi wyjść, że to się nie opłaca. Jeśli mamy sytuację, że jakiś czyn jest zagrożony karą 5 tys. zł, a zyski z jego funkcjonowania są milionowe, to jest podstawa do kalkulowania straty jako niewielkiego kosztu procederu. 30 mln to wartość, która zadziała prewencyjnie i wyeliminuje sens ekonomiczny wielu przestępstw.

– Dziś nie ma na rynku równości. Uczciwy jest obecnie na straconej pozycji; jeśli np. jeden podmiot płaci za wywózkę śmieci, a drugi bezkarnie wyrzuca wszystko do lasu, to już zaburza to konkurencję – skwitował Rafał Kierzynka.

Przykłady także z Niemiec pokazują, że prawo wobec firm działa i pociąga firmy do odpowiedzialności. Jak podawali uczestnicy debaty, Siemens musiał zapłacić 201 mln euro kary za aferę korupcyjną. MAN, producent ciężarówek, zapłacił karę 151 mln euro w 2009 r.

Uczestnicy rozmowy zgodzili się, że zmiany, które proponuje resort sprawiedliwości, mają załatać luki w polskim prawie i sprawić, by ono działało oraz stało się przestrogą dla firm i organizacji.

– Przede wszystkim likwidujemy prejudykat – wymóg wcześniejszego skazania osoby fizycznej. Po drugie, likwidujemy katalog czynów. Mamy świadomość tego, że firma może odpowiadać za każdy czyn – to może być śmierć pracownika, korupcja, pranie pieniędzy, nie ograniczamy tego. Znamy kazus z USA, gdy pracownik firmy kurierskiej zgwałcił panią odbierającą przesyłkę. Firma została skazana, bo wiedziała, że pracownik był wcześniej karany, że były na niego skargi związane z takich zachowaniem, a pracodawca je lekceważył... To firma zatem poniosła odpowiedzialność za gwałt. Nam się to w głowie nie mieści, ale takie są standardy międzynarodowe – mówił wiceminister Marcin Warchoł.

– Przestawiamy też ciężar dowodu na podmiot zbiorowy. To firma będzie musiała wykazać, że dochowała najwyższej staranności, by zapobiec przestępstwu. Wiemy, że np. w Stanach Zjednoczonych, gdy nie opłaca się ścigać jednej osoby ze względu na trudności dowodowe, stawia się na ławie oskarżonych całą firmę. Dopiero jeśli firma wyda odpowiedzialnego za przestępstwo menedżera, z przedsiębiorstwem dyskutowana jest ugoda. Wtedy dochodzi do postawienia indywidualnej osoby na ławie oskarżonych. Czy to się u nas sprawdzi? Prawdopodobnie nie, ze względu na zasadę legalizmu, ale my dajemy możliwość ścigania równocześnie firmy i osoby, natomiast podpowiadam, że w systemie anglosaskim jest możliwość ścigania najpierw firmy, potem indywidualnych osób – dodał wiceminister.

– Ustawa jest potrzebna bez dwóch zdań. Jeśli jestem firmą prowadzącą w Polsce biznes w dziurawym otoczeniu prawnym, to w momencie decydowania się na działanie niezgodne z przepisami, bez straszaka, jakim jest skuteczne prawo, o wiele łatwiej zaakceptować ryzyko przestępstwa. Ale jeśli wiem, że jest taka ustawa i ona działa, to przy każdej okazji będę rozważał ryzyko odpowiedzialności. Teraz, gdy będziemy mieli skuteczniejsze, bardziej konkretne i rygorystyczne prawo, w momencie kiedy ktoś mnie zapyta właśnie o ryzyka, to będę musiał je wymienić, także nową ustawę o odpowiedzialności firm – wyjaśniał mec. Michał Roszkowski.

Projekt nowych przepisów zostanie wkrótce poddany konsultacjom zewnętrznym z innymi resortami. Jak mówili przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości, jest nadzieja, że jeszcze przed Nowym Rokiem ustawa trafi pod obrady Rady Ministrów. W najbliższym czasie projekt zostanie też upubliczniony.

(MW)

W debacie udział wzięli:

- ***Marcin Warchoł**, wiceminister sprawiedliwości*
- ***Rafał Kierzynka**, sędzia Wydziału Europejskiego i Międzynarodowego Prawa Karnego Departamentu Legislacyjnego Ministerstwa Sprawiedliwości*
- *Prokurator **Elżbieta Orzeł** z Departamentu ds. Przestępczości Gospodarczej w Prokuraturze Krajowej*
- ***Michał Roszkowski**, wspólnik w Accreo Legal M. Roszkowski i Wspólnicy, ekspert w doradztwie z zakresu procedury podatkowej, postępowania sądowo-administracyjnego oraz postępowania karnego skarbowego*
- ***Waldemar Buda**, poseł RP (PiS), radca prawny*

FUNDACJA WYSZEHRADZKA

Debata została zrealizowana przez Fundację Wyszehradzką i sfinansowana przez Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Funduszu Sprawiedliwości w zakresie przeciwdziałania przyczynom przestępczości (Program II, Priorytet I) dla jednostek niezaliczanych do sektora finansów publicznych i niedziałających w celu osiągnięcia zysku, w tym stowarzyszeń, fundacji, organizacji i instytucji na rok 2017.

eprasa.pl b7843a2655

ZTE

ZTE – Siła dwóch kamer

w najlepszej cenie na rynku



Zastosowanie głównego aparatu z asymetrycznymi obiektywami i matrycami 13 Mpx oraz 2 Mpx pozwala na robienie znacznie lepszych zdjęć, szczególnie w trudnych warunkach. Dzięki podwójnej kamerze możliwa jest też zmiana ostrości już po wykonaniu zdjęcia, a także uzyskanie artystycznego efektu rozmycia tła (bokeh), znanego z lustrzanek. Efekt ten pozwala na wybranie elementów rozmytych i wyostrzonych na zdjęciu, także później już po jego zapisaniu.

Oba smartfony są idealnym wyborem dla wszystkich miłośników mobilnej fotografii, multimediów i cyfrowej rozrywki. Zainteresują także osoby ceniące sobie elegancki wygląd, doskonałe parametry techniczne i najwyższą jakość użytych materiałów.

ZTE BLADE V8

- Ekran 5,2’ FullHD 2.5D
- Podwójny aparat 13+2 Mpx – super jakość zdjęć, wysoka jasność, tryb bokeh
- Przedni aparat 13 Mpx z lampą LED
- Pamięć 3 GB RAM + 32 GB, procesor 8-rdzeniowy
- Elegancka, metalowa obudowa
- Bezpieczeństwo danych – czytnik linii papilarnych
- ZTE Locker – codziennie nowe, najwyższej jakości tapety

Dostępny w sieci Plus już od 1 zł oraz na rynku pozaoperatorskim od ok. 899 zł.



ZTE BLADE V8 MINI

- Ekran 5,0’ HD 2,5D
- Podwójny aparat 13+2 Mpx – super jakość zdjęć, wysoka jasność, tryb bokeh
- Przedni aparat 5 Mpx z lampą LED
- Pamięć 2 GB RAM + 16 GB, procesor 8-rdzeniowy
- Elegancka, metalowa obudowa
- Bezpieczeństwo danych – czytnik linii papilarnych
- ZTE Locker – codziennie nowe, najwyższej jakości tapety

Dostępny na rynku pozaoperatorskim od ok. 659 zł.



Więcej szczegółów oraz pełna gama oferowanych produktów marki ZTE na: pl.ztedevice.com.

39/1117/F

eprasa.pl b7843a2655

MONIKA ŚMIGIELSKA **AUTORKA BLOGA KUCHENNY KREDENS**

Domowe historie



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Gdy w przedświąteczny czas kuchnia staje się centrum kulinarnego dowodzenia; gdy wypełnia się tak dobrze rozpoznawanymi zapachami, wśród których grzyby walczą o pierwszeństwo z piernikiem, chętniej zaglądamy w przeszłość. Także tę wyznaczoną przepisami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie, lecz i kuszącą nowymi, choć niegdysiejszymi smakami oraz rytuałami.



Monika Śmigielska z pasją odkrywa kulinarne tradycje sprzed lat. Pokazuje ludzi i ich potrzeby krążące wokół stołu i kuchni, która jest, jak wiadomo, sercem domu. W książce „Kuchenny kredens. Polska kuchnia przedwojenna" (wyd. Znak Horyzont) przypomina dawne potrawy, lecz również ich nierzadko intrygujące nazwy. „Perduty w śmietanie"? Brzmi znacznie lepiej niż „jaja w koszulkach". Słodkie merengi obiecują więcej od przekładanych masą kawową bezików, a krem szodonowy tylko po części przypomina włoskie zabaglione. W cwibaku z kolei, wypartym dziś przez keks, nie znajdziemy ani grama masła czy proszku do pieczenia.

Vol-au-venty (pasteciki z francuskiego ciasta) dawniej wypełniano m.in. powszechnie dostępnymi rakami. Z rzadka pojawiały się w farszu wykwintne szampiony, czyli... pieczarki. Dziś pasteciki do wigilijnego barszczu kuszą podniebienie leśnymi grzybami. W niejednym domu ciekawostką w świątecznym menu mogłaby się stać popularna niegdyś zupa migdałowa. Jej przepis Monika Śmigielska podaje na swoim blogu (www.kuchennykredens.pl).

Kulinarną pasję łączoną z wędrówkami w przeszłość tłumaczy tak: Za pomocą smaku można w ułamku chwili przywołać wspomnienia, dodać komuś otuchy, a nawet podobno rozkochać. Czy jest więc zatem lepszy sposób na odkrywanie korzeni, historii pisanej przez poprzednie pokolenia kobiet niż właśnie poprzez smaki?.

O kuchni tradycyjnej mówi się dziś czasem głośno i głupio, że jest nudna, przaśna i niezdrowa. Bzdura! W dawnej kuchni zafascynowało mnie właśnie bogactwo przepisów, różnorodność składników i potraw, ich wykwintne podanie, ale także możliwość odkrywania historii związanych z poszczególnymi daniami.

Kiedy te właśnie zapomniane, przedwojenne receptury zaczęłam publikować na blogu, nie spodziewałam się, że tak wiele osób zechce nie tylko je ze mną odtworzyć, lecz również podzielić się własnymi rodzinnymi historiami. W książce »Kuchenny kredens...« starałam się część tych smaków ocalić od zapomnienia i jeśli zagoszczą one w kilku choćby polskich domach, to znaczy, że było warto.

Ze starych książek, z artykułów publikowanych na łamach magazynów kobiecych wiele się nauczyłam – o gotowaniu, sposobie podawania, zwyczajach, lecz także o zdrowym, kobiecym dystansie do tego wszystkiego. Smaki konkretnych potraw, ich zapach rozchodzący się po domu to nie tylko coś, co wspomnienia przywołuje, lecz przede wszystkim – tworzy. Większość z tych najważniejszych w życiu historii to bowiem te pisane smakiem przez kolejne pokolenia kobiet w zaciszu ich własnych kuchni".

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Anna Ciupczyńska

Zupa migdałowa

Fot. Monika i Paweł Śmigielscy



Składniki: 250 g migdałów, 1,5 l mleka, cukier do smaku, cynamon, pół szklanki ryżu, garść rodzynek. **Przygotowanie:** Ryż ugotować na sypko z odrobiną cynamonu. Migdały sparzyć wrzątkiem i obrać. Zetrzeć na masę, zakrapiając mlekiem lub wodą, by uniknąć wydzielania się oleju. Masę migdałową zalać wrzącym mlekiem i po chwili przecedzić przez serwetę. Jeśli wolimy, by zupa zachowała większą gęstość, pozostawić podczas odcedzania część masy migdałowej w zupie. Czynność powtórzyć dwukrotnie. Przed podaniem dodać ugotowany ryż oraz rodzynki. Podawać gorącą lub zimną.

eprasa.pl b7843a2655



SŁODKO-SŁONY

Z rodzynkami i piernikiem

ANNA MONICKA

Będzie najważniejszym daniem aż do dnia, kiedy zostanie pogrzebany wraz z garnkiem żuru na znak zakończenia postu. Śledź – absolutny król świątecznego stołu. I niestety podawany do znudzenia z olejem, śmietaną lub w postaci rolmopsa. Bardzo to smaczne dania, ale ileż można jeść to samo?

Tymczasem warto poszukać ryb nie tylko solonych, lecz i świeżych. Śledź pieczony, nadziany masełkiem czosnkowym z pietruszką, może być hitem Wigilii i pokonać nawet karpia. W sałatce jarzynowej – fasolowo-jabłkowej z cebulką i majonezem – można go podawać do ziemniaków pieczonych w mundurkach. Podobnie w tzw. szubie, czyli sałatce układanej piętrowo z ziemniaków, szczypioru, jabłek, śledzia, jajek, buraków i kwaszonych ogórków; warzywa nakrywamy warstewką Majonezu Kieleckiego.

W sosie musztardowym z kurkumą śledź odmieni nagle oblicze stołu, bo będzie jaśniał w salaterce jak słońce. Przy okazji kurkuma – najzdrowszy na świecie żółty barwnik do jedzenia – znacznie złagodzi śledziowy zapach. Mnie on akurat zupełnie nie przeszkadza, ale znam takich, którzy nie biorą ryby do ust, bo... pachnie śledziem.

Wreszcie odmiana klasycznej pozycji nr 1 – śledź z olejem, ale nie w cebulce, lecz w dużej ilości poszatkowanego pora zmieszanego z tartym imbirem. Jeśli boicie się zaryzykować na Wigilię, zróbcie już teraz takiego śledzika, na próbę. Jest doskonały, zwłaszcza gdy uda się wam dopaść gdzieś tłuściutkiego, delikatnego matiasa. Takiego nie trzeba w ogóle przyprawiać, wystarczy kilka piórek świeżo startego chrzanu na grzbiecie i mamy niebo w gębie.

Tyle o rybach słonych. Odważni mogą przygotować śledzia na słodko, np. z cytryną i goździkami albo w sosie piernikowym z rodzynkami. Przepis numer 1 – dorodne dzwonka moczymy przez noc w soku z cytryny albo pomarańczy, a potem posypujemy goździkami, kaparami i okrywamy poszatkowaną cebulką, uprzednio sparzoną i posypaną odrobiną cukru i soli. Zalewamy olejem winogronowym. Przepis drugi – domowe pierniczki lub plaster piernika suszymy i miksujemy, wymoczonego w mleku, osuszonego śledzia zalewamy marynatą z utartego pieprzu, goździków i ziela w ciepłym oleju. Po dobie kroimy w paseczki i mieszamy z sosem: zmiksowanymi piernikami i octem balsamicznym. Można dodać rodzynki lub dosłodzić miodem. Uwaga – do tego śledzia nie pasuje wódeczka.

WINNICA MAZURKA

Luis szumi w głowie

ROBERT MAZUREK

Jak zima drogowców, tak tę rubrykę zawsze zaskakiwało Boże Narodzenie i sylwester. Wszystko grzecznie, spokojnie, aż tu łup. Ale nie tym razem, wszak tydzień temu opisałem, co mam zamiar pić w święta, a teraz pora na noworoczne bąbelki. Piszę noworoczne, bo na sylwestra w plenerze takich win po prostu szkoda. Tu się prawdziwa dobra zabawa zapowiada, ot co.

A w dodatku będzie to zabawa oryginalna, bo ani to szampan, ani prosecco, tylko musujące wino z... Portugalii. Nie znają państwo? OK, ale mogą państwo kojarzyć nazwisko Luisa Pato. Też nie wszyscy? Dobrze, to po kolei. Powiedzmy, że ruszamy z Lizbony na północ, w kierunku Porto. Po drodze mijamy Fatimę, piękną starą Coimbrę, dawną stolicę Portugalii, i dalej rozpościera się region Beira. Już jesteśmy w domu. Najlepsze wina robią tam w denominacji Bairrada, a w niej najlepszy jest Luis Pato. Kiedy w 1980 r. obejmował winnicę po ojcu, był młody i gniewny, znakomity materiał na winiarskiego rewolucjonistę, którym został. Wszyscy kochają go za wina czerwone, doceniają świetne białe, ale musujące?

Ależ oczywiście! Dekadę temu zaczął wszak robić pierwsze wina musujące z pojedynczej parceli, z jednego szczepu. Ja mam dwa wina. Maria Gomes to akurat nie portugalska księżniczka, tylko szczep winogron (więc winien być pisany jako maria gomes), znany również jako fernão pires. Tu z maleńką domieszką kolejnego szczepu o niewymawialnej nazwie daje wesolutkie, lekkie, urocze wino. Nie wiadomo, kiedy kończy się butelka.

Touriga nacional to jeden z najszlachetniejszych czerwonych szczepów Portugalii. W musującym wydaniu Luisa to nie tylko fiołki, wiśnie, czereśnie, lekko poziomkowe nuty, to przede wszystkim świetny, uniwersalny towarzysz ryb i mięs. Ech, życzmy sobie więcej takich bąbelków w 2018 r., a na razie szukajmy tych w warszawskiej Hali Gwardii i w internetach.



Luis Pato Maria Gomes 2012 69 zł



Luis Pato Touriga Nacional 69 zł

Atlantika.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl b7843a2655

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ja jestem drogą, prawdą i życiem

Świąteczny numer naszego tygodnika zobowiązuje. To może zatem kilka przypomnień, najpierw z ziemskich karnych paragrafów, a potem z serca czy może raczej z ewangelicznego ducha.

Dla dziennikarza taką ostrą wiszącą nad nim siekierą jest wciąż artykuł 212 kk: „Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną nie mającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie, karze ograniczenia albo pozbawienia wolności do roku". Ale ustawodawca, ten dawny, jeszcze komunistyczny, żeby mieć mocny bicz na dziennikarzy, dodał do artykułu w paragrafie drugim wzmocnienie. Wyższa sankcja, czyli grzywna, kara ograniczenia wolności albo pozbawianie wolności do dwóch lat (sic!) spotyka sprawcę, który przestępstwo popełnił za pomocą środków masowego komunikowania, czyli w prasie, radiu, telewizji, w książkach, nagraniach elektronicznych, w internecie. A pomówić to bezpodstawnie coś zarzucić, niesłusznie komuś coś przypisać, o coś posądzić, o coś oskarżyć. Jakże łatwo to udowodnić, jak ma się kiepskiego obrońcę, a sędzia „jest rozgrzany". Trudno, oberwałem z tego paragrafu, ale takie prawo, dura lex sed lex.



Pomówienie i zniewaga to wykroczenia przeciwko prawdzie uregulowane, bez żadnej ziemskiej sankcji, w Katechizmie Kościoła Katolickiego

Inny bicz to artykuł 216 kk o znieważeniu. „Kto znieważa inną osobę w jej obecności albo choćby pod jej nieobecność, lecz publicznie lub w zamiarze, aby zniewaga do osoby tej dotarła, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności". Tu także stary ustawodawca, tak jak w przypadku pomówienia, przewiduje wyższą sankcję dla sprawcy, gdy przestępstwo to popełnił za pomocą mediów. Nie dość tego, bo co prawda pomówienie i zniewaga podlegają trybowi ścigania z oskarżenia prywatnego, czyli od woli pokrzywdzonego, to do postępowania sądowego może się włączyć także prokurator, gdy „wymaga tego interes społeczny". A więc pomówienie i zniewaga. Dwa delikty, które kiedyś często załatwiano prywatnie. Oskarżenie naturalnie się neutralizowało, szybko i bez sądów. Znieważony wulgarnym słowem, epitetem, gestem czy pismem lub rysunkiem satyrycznym żądał satysfakcji. Rozstrzygał los czy może czyjeś większe szczęście. Ale sprawę zniewagi wzięło na siebie państwo, czyli sądy. Trochę szkoda, gdyż przy zniewadze, gdzie znieważonym jest konkretna osoba, a nie instytucja czy osoba prawna, jak w przypadku pomówienia, sprawa wydawała się do szybkiego załatwienia. Kiedyś mówiło się „ta zniewaga krwi wymaga". No ale mstę, czyli zemstę, Kościół bezpowrotnie wyeliminował z życia publicznego.

To może warto w świątecznej atmosferze przypomnieć, że najpierw był zwyczaj, obyczaj, a potem dopiero prawo, państwo i karne paragrafy.

Pomówienie i zniewaga to wykroczenia przeciwko prawdzie uregulowane, bez żadnej ziemskiej sankcji, w Katechizmie Kościoła Katolickiego. To właśnie stare ósme przykazanie zabraniało fałszowania prawdy w relacjach z drugim człowiekiem. Niemoralne słowa i czyny były obrazą wierności Bogu, bo podważały podstawy Przymierza (KKK2464).

A zatem fałszywe świadectwo to wypowiedź sprzeczna z prawdą wyrażona publicznie. Krzywoprzysięstwo to fałszywe świadectwo wyrażone pod przysięgą. Pochopny sąd to uznanie winy bliźniego, nawet milczące, bez dostatecznej podstawy. Obmowa to ujawnienie czyjegoś błędu lub wady bez obiektywnie ważnej przyczyny. Oszczerstwo to wypowiedź sprzeczna z prawdą, która szkodzi dobremu imieniu bliźniego. A kłamstwo to mówienie nieprawdy z intencją oszukania. Takie kłamstwo narusza zarówno sprawiedliwość, jak i miłość. A wtedy wina jest większa, gdyż intencja oszukania może mieć zgubne skutki dla tych, których odwraca od prawdy.

„Wykroczenia przeciwko prawdzie" można czasami zobaczyć wywieszone na tablicach przy kościołach, jak te, które zanotowałem telefonem w Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej na Krzeptówkach w Zakopanem.

Są pięknym świadectwem trwania naszego Kościoła katolickiego, wiecznym drogowskazem nieprzemijającego wymogu zachowania moralności. Gdyby jeszcze ludzie chcieli dostrzec ten oczywisty, naturalny język, za pomocą którego stara się do nas dotrzeć. A to jest wciąż ten sam polski język, dyktowany słowami Chrystusa – „Ja jestem drogą, prawdą i życiem".

eprasa.pl b7843a2655

Panteon Dzieci Polskich

Zarówno w orędziu prezydenta Andrzeja Dudy z okazji 150. rocznicy urodzin marszałka Józefa Piłsudskiego, jak i w exposé premiera Mateusza Morawieckiego donośnie wybrzmiało wezwanie do zerwania z pedagogiką wstydu. Obaj mówcy z pasją przekonywali, że nasze dzieje to inspirująca opowieść o wielkich bohaterach, ale też o zwyczajnych ludziach, którzy w obliczu dramatycznych wydarzeń wykazali się odwagą i męstwem. Wygląda na to, że na czele Rzeczypospolitej nareszcie stoją politycy traktujący polskie doświadczenia historyczne nie jako balast, lecz jako kapitał moralny i polityczny. Najwyższy czas, by ta wspaniała opowieść stała się spoiwem wspólnoty narodowej i pomagała budować pozycję Polski na świecie. Pozostaje do ustalenia, jaką formę jej nadać, by naprawdę głęboko wryła się w świadomość, z jednej stron – młodych Polaków, z drugiej – nieufnych wobec wielkich idei mieszkańców Zachodu.

Ukażmy światu naszą historię przez pryzmat małych bohaterów

Tydzień przed Bożym Narodzeniem TV Trwam przypomniała nakręcony w ubiegłym roku dokument Łukasza Bindka „Odebrano nam całe dzieciństwo". Film przedstawia historię obozu koncentracyjnego dla polskich dzieci, który działał na terenie getta przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Od grudnia 1942 r. do końca wojny Niemcy zwozili do tego obozu synów i córki „polskich bandytów", małych Ślązaków, których rodziny odmówiły podpisania folkslisty, a także sieroty z całego kraju. Wiek osadzonych wahał się od lat dwóch do szesnastu. Skutkiem niewolniczej pracy, chorób, przemocy fizycznej i terroru psychicznego były zgony, codzienne cierpienie i trauma na resztę życia. Z cytowanych relacji tych, którzy ocaleli, wyłania się poruszająca scena w zatłoczonym baraku: „Pamiętam, jak jeden (chłopiec) konał trzy dni. Wołał matkę, a wszyscy płakali". W finale dokumentu abp Marek Jędraszewski wspomina swoją wizytę w jerozolimskim Jad Waszem: „Tam jest cały wielki oddział poświęcony pamięci dzieci żydowskich zamordowanych w czasie Holokaustu. Pomyślałem, dlaczego my, Polacy, nie mamy pamiętać o losie naszych dzieci".



Czuła pamięć o ofiarach jest bardzo ważna, ale czy wystarczy? Fenomen polskich dzieci polega na tym, że w wielu aktach narodowego dramatu były one postaciami pierwszoplanowymi. Wychowane w duchu chrześcijaństwa i polskości w godzinie próby zwykle odnajdowały w sobie zdolność do męstwa, wytrwałości, poświęcenia. Trudno je uznać za postaci bierne, pozbawione podmiotowości, odgrywające rolę pionków w rozgrywce dorosłych. Kto wie? Może warto ukazać światu naszą historię właśnie przez pryzmat małych bohaterów. Zbudować Panteon Dzieci Polskich – wielkie, nowocześnie zaprojektowane centrum pamięci, łączące świadectwa krzywdy i chwały, cierpienia i jego przekroczenia, łez i radości.

Postaci do przedstawienia jest mnóstwo. Od dzieci wiezionych kibitkami na Sybir po powstaniu listopadowym do tych, które wzięły udział w powstaniu warszawskim. Od walczących z germanizacją dzieci Wrześni po broniącą krzyża młodzież z Miętnego i Włoszczowy. Od Orląt Lwowskich i Przemyskich do uczestników uczniowskiej konspiracji w okresie stalinizmu. Do opowiedzenia są setki historii: o przedwojennym harcerstwie i Szarych Szeregach, o ofiarach niemieckiej organizacji Lebensborn i dzieciach Zamojszczyzny, o męczennikach Wołynia i kilkuletnich bohaterach z rodzin ukrywających Żydów, o „Ince" i Romku Strzałkowskim, o małych zesłańcach na Wschód, którzy z Armią Andersa wyszli z domu niewoli, by trafić do osiedli dla uchodźców w Indiach czy Afryce, wreszcie o młodzieżowych „dywizjach Papieża", które uwierzyły, że warto mieć w życiu „jakieś swoje Westerplatte". Wiem z wiarygodnego źródła, że na lekcjach historii każdy z tych tematów wywołuje ogromne zainteresowanie. Uczniowie zadają pytania, zapamiętują fakty, dyskutują we własnym gronie, zamawiają wspomnieniowe książki u św. Mikołaja. Gdyby w Łodzi albo w Warszawie powstał Panteon Dzieci Polskich, walilibyy tam drzwiami i oknami. Nie tylko w ramach szkolnej wycieczki.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl b7843a2655

Islamska Europa

DARIUSZ KARŁOWICZ

Dziś będzie dużo liczb, ale wydaje mi się, że warto je przemyśleć. Sprawa dotyczy islamu, a dokładnie wielkości populacji muzułmańskiej w Europie w stosunkowo nieodległej przyszłości, bo już w 2050 r. Szacunki przygotował Pew Research Centre – instytucja określająca się jako „fact tank", której misję stanowi dostarczanie danych pomocnych w rozumieniu współczesnego świata. Nie są to prognozy ani tym bardziej proroctwa, ale trzy modele możliwego rozwoju wypadków. Warto im się przyjrzeć, pamiętając, że tylko w latach 2010–2016 na Stary Kontynent przybyło ponad 6 mln muzułmanów. Choć sprawa znacznie przekracza horyzont bieżących napięć związanych z relokacją uchodźców w UE, nie jest przecież pozbawiona związku z dyskusją na temat postawy wobec przybyszów z krajów, w których dominuje islam. Mowa wszak o rewolucyjnych zmianach demograficznych, które wpłyną na kulturowe, polityczne, a zapewne również prawno-ustrojowe oblicze Europy. Mowa o rewolucji, która dotknie nas bezpośrednio.

Zacznijmy od demografii. Punktem wyjścia analiz jest sytuacja z połowy zeszłego roku, kiedy w Europie mieszkało 25,8 mln muzułmanów stanowiących 4,9 proc. całej branej pod uwagę ludności (UE plus Norwegia).

Pierwsze, co w przedstawionych szacunkach rzuca się w oczy, jest to, że niezależnie od przyjętych założeń zawsze mówimy o liczbach, które rosną z oszałamiającą prędkością.

Nawet w pierwszym modelu, zakładającym wysoce nieprawdopodobną możliwość zerowej migracji muzułmanów, ich udział w ciągu najbliższych 32 lat wzrośnie o połowę i już w 2050 r. wyniesie 7,4 proc.

W drugim modelu, w którym za podstawę obliczeń wzięto zwykły dotąd poziom średniej migracji, szacowany udział muzułmanów podniesie się ponaddwukrotnie (do 11,2 proc.), co oznacza, że islam stanie się wyznaniem co dziewiątego Europejczyka.

W modelu trzecim, który zakłada z kolei utrzymanie się skali migracji z lat 2014–2016 (co biorąc pod uwagę malejącą liczbę imigrantów, wydaje się założeniem zbyt śmiałym), za 30 lat będziemy mieli do czynienia z udziałem blisko trzykrotnie wyższym od obecnego (14 proc.), a to znaczy, że w 2050 r. muzułmaninem byłby już co siódmy mieszkaniec Unii.

Druga sprawa to wyraźny podział na wschód i zachód Europy.

W 2016 r. na czele krajów o największym procencie ludności muzułmańskiej w starej Unii stały: Francja (8,8 proc.), Szwecja (8,1), Holandia (7,6), Austria (6,9), Wielka Brytania (6,3), Niemcy (6,1); gdy w nowej – z wyjątkiem oczywiście osobnych przypadków Bułgarii (11,1) Słowenii (3,8) i Chorwacji (1,6) – procent muzułmanów nigdzie nie przekraczał 0,4 (w Polsce wynosił 0,1).

Zdaniem Pew różnica ta nie tylko się utrzyma, lecz nawet pogłębi.

Dla przykładu powiedzmy tylko, że w drugim modelu w 2050 r. procent muzułmanów w Szwecji wyniesie 20,5, we Francji 17,4, w Anglii 16,7, w Niemczech 10,8 – gdy w Polsce w tym samym roku osiągnie zaledwie 0,2 proc., w Czechach 1,1, a na Węgrzech 1,3.

Nie jestem demografem ani specjalistą od migracji, więc nie podejmuję się szczegółowej oceny przedstawionych przez Pew modeli. Zainteresowanych odsyłam do łatwego do znalezienia w internecie raportu. Interesuje mnie co innego.

Jeśli Pew prawidłowo identyfikuje podstawowe tendencje, to widać, że islam już niebawem stanie się jedną z najsilniejszych tożsamości współczesnej Europy Zachodniej. Porażka ideałów multikulturalizmu jako nowego lepiszcza wspólnoty politycznej pokazuje, że przybysze niechętni przyjęciu wartości nowej ojczyzny okazują się trwale obcy, a nierzadko również wrodzy wobec nowego otoczenia. Popularność islamskiego radykalizmu wśród wnuków dawnych imigrantów dowodzi, że problem nie jest pozorny.



Każdy, kto pobieżnie choćby śledzi, co w tych sprawach dzieje się we Francji, widzi, jak pod presją permanentnego konfliktu liberalno-demokratyczne ideały ustępują miejsca rzeczywistości stanu wyjątkowego. Kiedy jedności nie chroni już ład kultury, chronić go muszą policja i służby specjalne. O tym z kolei, że grupa stanowiąca 20 proc. populacji może mieć wpływ na politykę, przekonywać chyba nie trzeba.

Jeśli wierzyć symulacjom Pew, już niedługo stara Europa stanie się nową, nieznaną dotąd Europą. Czy będzie Europą stanu wyjątkowego? Czy raczej ulegnie islamizacji? Jakie rozwiązanie zostaną przyjęte, by zagwarantować bezpieczeństwo i pokój? Nie wiemy. Kraje, w których co piąty, a nawet co trzeci obywatel będzie muzułmaninem, zmienią się zasadniczo. Już perspektywie 30–40 lat nasze relacje z Europą Zachodnią mogą być relacjami z państwami, w których islam stanowi grupę mającą ogromny wpływ na politykę, w tym na politykę zagraniczną czy imigracyjną.

Z taką Europą będziemy od zachodu sąsiadować. Jeśli ufać demografom z Pew, stanie się to już niedługo.

21/1017/F

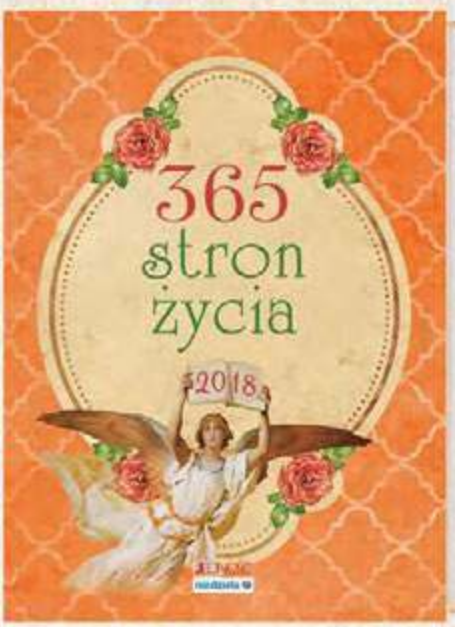
ODKRYJ 365 STRON ŻYCIA Z TERMINARZEM NA 2018 ROK

WYDAWNICTWA „JEDNOŚĆ" I TYGODNIKA „NIEDZIELA"

Kolejna edycja bestsellerowego terminarza dla wszystkich członków rodziny

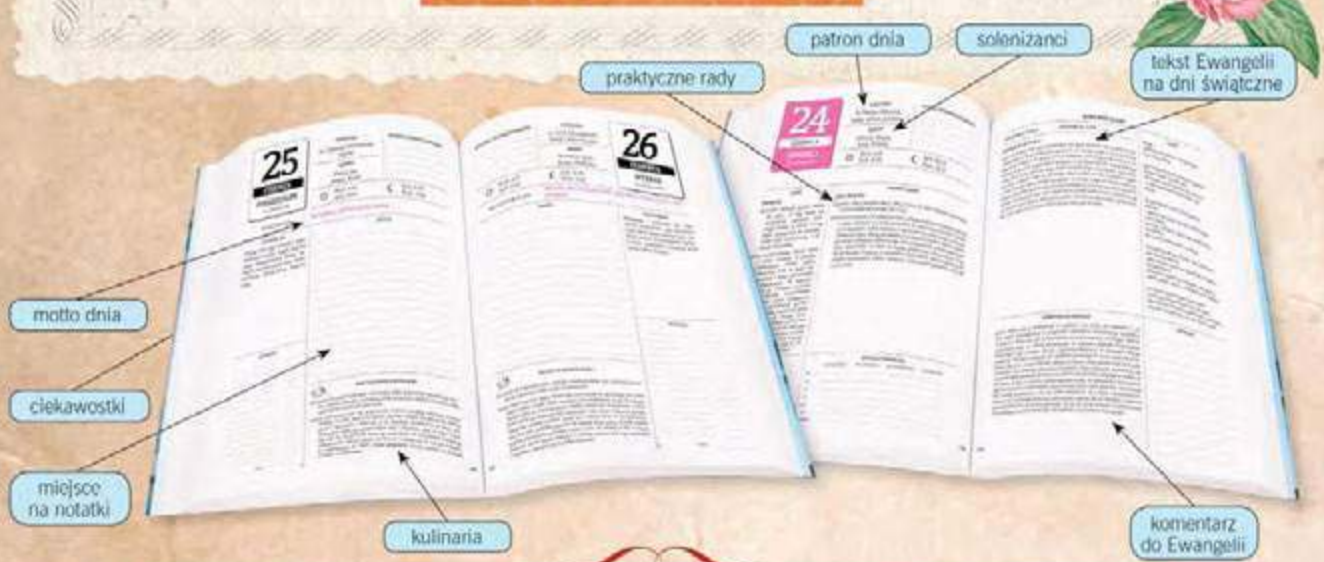
Kupując terminarz, masz cztery książki w jednej:

- EWANGELIĘ
- KULINARIA
- CIEKAWOSTKI
- KALENDARZ



Znajdziesz w nim:

- *Ewangelię z komentarzami*
- *Słowo Boże na każdy dzień*
- *Myśli znanych ludzi*
- *Wiele praktycznych rad oraz ciekawostek*
- *Informacje, kto jest patronem dnia, a także kto w danym dniu obchodzi imieniny*
- *Miejsce do notowania oraz zapisywania wydarzeń i rocznic rodzinnych*
- *Przepisy na pyszne dania i desery*
- *Godziny wschodów i zachodów słońca*



Terminarz można zamówić pod adresem: **www.ksiegarnia.niedziela.pl**
Telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00**
Pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

19,90 zł

eprasa.pl b7843a2655

Morawiecki i aspiracje

PIOTR SKWIECIŃSKI

To trudne do uwierzenia, ale sprawa zamiany Beaty Szydło na Mateusza Morawieckiego, wyobracana już na wszystkie, zdawałoby się, możliwe strony przez ekspertów i publicystów, może mieć jeszcze jeden aspekt, dotąd przez nikogo nie podniesiony. Wręcz niezauważony.

Bo jest on rzeczywiście trudny do dostrzeżenia, zwłaszcza jeśli komentuje się z perspektywy Warszawy czy Krakowa. Mnie na ten aspekt zamiany zwrócił uwagę ktoś, kto bardzo dobrze orientuje się w życiu polskiej prowincji. I to tej zwanej głęboką.

Idzie o to, że niemal wszyscy komentatorzy podkreślają, iż ta polska prowincja pokochała panią premier, bo odnalazła w niej obraz samej siebie. Osoby swojskiej i tradycjonalnej. Pasującej, mówiąc krótko, do rzeczywistości lokalnego festynu, gdzie lokalna pani poseł rokrocznie wręcza nagrody zwycięzcom lokalnej loterii. I onieśmiela ich oczywiście, jak to poseł, ale tylko troszeczkę, bo tylko troszeczkę ponad nich wyrasta. Bo jest dla nich kulturowo własna.

I to wszystko to oczywiście najprawdziwsza prawda, ale we współczesnym świecie wszystko zmienia się błyskawicznie.

Jedną z najważniejszych przyczyn wyborczej porażki PiS w 2007 r. było przegapienie postępującej wówczas dynamicznie zmiany kulturowej. Rządzący zaufali wówczas dobrym (tak jak teraz) wskaźnikom gospodarczym i rosnącej stopie życiowej. Nie dostrzegli na własne nieszczęście, że mentalność Polaków się zmienia. Że stając się coraz zamożniejsi, aspirują do rzeczywistości kulturowej uosabianej wtedy niemal jedynie przez sfery PiS wrogie. A co za tym idzie – chcąc (we własnych oczach) stać się częścią świata własnych marzeń, przejmują antyprawicowe wzorce polityczne.

Minęło 10 lat, zmieniło się wiele. Wtedy opozycja była potężna, teraz jest w rozsypce. Wtedy sukces gospodarczy był przede wszystkim wynikiem ogólnoświatowej koniunktury, dziś jest znacznie wyraźniej związany z działaniami polskiego rządu.

Ale zarazem pewien aspekt rzeczywistości przypomina ówczesną. Teraz też rośnie dobrobyt. A ten wzrost, na skutek celowej polityki władz, w największym stopniu dotyczy warstw ludowych, czyli przede wszystkim Polski poza wielkimi miastami. Tam największy jest efekt zarówno 500+, jak i innych prospołecznych posunięć rządu. Innymi słowy – ten wzrost dobrobytu (często jest to raczej wychodzenie z biedy) dotyczy ponadproporcjonalnie elektoratu PiS. Tego stałego i tego przedtem raczej niegłosującego, a uaktywnionego przez partię Kaczyńskiego w 2015 r.

A gdy ów elektorat zaczyna obrastać w piórka (bo 500 zł miesięcznie, przemnożone przez dwójkę czy trójkę dzieci, w połączeniu z posiadaniem stałej pracy i poczuciem braku lęku przed jej utratą, z perspektywy małego miasteczka daleko od autostrady jest bezdyskusyjnie obrastaniem w piórka), zaczyna jeździć na wakacje, podłącza sobie internet (boom internetowy na głębokiej prowincji to też niezauważany fenomen ostatnich dwóch lat) i kupuje tablet, to zaczyna też – i to jest nieuchronne – ewoluować kulturowo.

Zaczyna aspirować.

I powoli (powoli to znaczy, że nie dzieje się to w jednym momencie, to proces, ale – jak napisałem wyżej – takie zmiany we współczesnym świecie postępują wielokrotnie szybciej niż niegdyś) zaczyna ukradkiem wstydzić się kulturowych wzorców, z których we własnej opinii już wyrósł. Innymi słowy: część ludzi, którzy wyjście z biedy zawdzięczają PiS, utożsamionemu ze swojską Beatą Szydło, może zacząć w tajemnicy przed samymi sobą wstydzić się tej swojskości. Przynajmniej aż takiej swojskości.

I długofalowo mogłoby to mieć konsekwencje polityczne. Bo tożsamość kulturowa bardzo wpływa na polityczne wybory.

Że to jest strasznie niesprawiedliwe? Oczywiście. Świat w ogóle jest niesprawiedliwy, a polityka chyba najbardziej.



Elektorat PiS subiektywnie zmienia pozycję społeczną. I to może mieć skutki nieoczekiwane

Ale jeżeli przyjmiemy, że opisane powyżej zjawisko jest realne, to możemy innym okiem spojrzeć na zamianę premierów.

Bo choć Mateusz Morawiecki jest z PiS, to zarazem – nie ze świata prowincjonalnej swojskości. Jakkolwiek by się nie starał, nie pasuje do ludowego festynu. Należy do „lepszego świata", i to dotąd uznawano za wyborczy minus dla prawicowego polityka.

Ale to zarazem oznacza, że nowy premier może znacznie lepiej pasować do świata rozbudzanych właśnie aspiracji sporej części ludowo-prawicowego elektoratu. Może więc wręcz zabezpieczyć partię przed potencjalnym wykruszaniem, wymywaniem poparcia w tej grupie wyborców.

Bo w nowym świecie, którego częścią oni – czysto wirtualnie, ale co z tego? – zaczynają się czuć, akurat jego nie trzeba się wstydzić.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b7843a2655

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Nowa miotła, bicz?!

Zmiana premiera nie oznacza, że wszystko pozostanie takie samo jak w pierwszych dwóch lach rządów PiS. Gdyby była to tylko kwestia personalna, sprawy nie zaszłyby tak daleko.

Mam nadzieję, że to ruch wyprzedzający wszystkie wyobrażenia, ruch, który obezwładnił wewnątrzpartyjne koterie. Morawiecki dostał do ręki bicz, dzięki czemu może ostro przećwiczyć pisowskich baronów, którzy chyba poczuli się zbyt pewnie. Jeżeli Morawiecki ma być biczem na dziadostwo, prywatę i chamstwo, jakie już zaczęło się plenić w obozie władzy – to ja jestem zwolennikiem nowego premiera!



Witold Gadowski

Wysunięcie do przodu Morawieckiego wskazuje na to, że będzie on miał jednak coś do powiedzenia także w polityce, bowiem decyzja o powierzeniu mu sterów była właśnie ważną decyzją polityczną.

Politycznie to śmiały ruch. PiS, które już się skojarzyło z polityką prosocjalną, któremu premier Szydło nadała wymiar empatii wobec poszkodowanych przez III RP, teraz wzięło ostry wiraż – stawia na zmiany w gospodarce i finansach.

Jest tylko jedna sytuacja, w której i Zbigniew Ziobro, i Antoni Macierewicz, i Jarosław Gowin skłonią głowy przed Morawieckim – uzyskał on osobiste gwarancje od Kaczyńskiego! Takie gwarancje to nie pozycja Kazimierza Marcinkiewicza, to nawet nie pozycja Andrzeja Dudy, takie gwarancje to wskazanie, że Morawiecki stał się numerem dwa w środowisku PiS.

Morawiecki jest znakomitą odpowiedzią na niedawne jeszcze przekonanie, że PO zna się na gospodarce. Właściwie to właśnie Morawiecki w rządzie Szydło odniósł największy sukces. Teraz otrzymał zapewnienie, że ma wolną drogę do mocniejszego i bardziej brutalnego zmieniania układów władzy i gospodarki. Jak sądzę, we wszystkich spółkach skarbu państwa zwiększyło się spożycie środków uspokajających. Dotychczas bowiem – w III RP – było tak, że spółki podlegały kilku ministrom i każdy tworzył w nich swoje żerowisko. To bodaj pierwsza sytuacja, gdy wszystko, co państwowe w naszej gospodarce, znajdzie się w jednej silnej dłoni.

Wygląda zatem na to, że premier Szydło wykonała znakomite rozpoznanie, swoisty audyt stanu polskiego państwa, a teraz nadszedł czas, aby z tej diagnozy wyciągnąć wnioski i ruszyć z lawiną realnych zmian. Pisząc te słowa, sam się nieco sceptycznie uśmiecham do siebie. Chyba chciałbym, aby tak właśnie było, podobnie jak marzyłbym o tym, aby różnice zdań między prezydentem Dudą a PiS były jedynie elementem szachowo wyrafinowanej zagrywki, która prowadzi do zepchnięcia PO i Nowoczesnej w zaułek złych emocji, populizmu i szaleństwa. Ot, takie wishful thinking Gadowskiego.

Boże Narodzenie

Kiedy ma się za sobą kilkadziesiąt Wigilii, jest co wspominać. I można (nawet trzeba!) trochę „pozgredzić". Pamiętam jeszcze choinki przyozdabiane tym, co zrobiło się samemu – choćby łańcuchami, misternie sklejanymi z pasków kolorowego papieru. I te prawdziwe, kapiące stearyną świeczki, mocowane szczypczykami do zielonych gałązek drzewka tak, by nie zajęły się płomieniem „anielskie włosy" lub wata udająca śnieżnobiały śnieg. I nie mniej ważne od bombek, podkradane po cichu przez dzieci cukierki, po których wkrótce zostawały tylko misternie opróżnione „wydmuszki" papierków. Skromne prezenty, na które z utęsknieniem czekało się cały rok. I przede wszystkim tę niepowtarzalną atmosferę rodzinnych spotkań, dzielenia się opłatkiem, wspólnego śpiewania kolęd i podniosłego uroku pasterki. Duchowy sens Wigilii.



Lech Makowiecki

Kolejne święta zaskakiwały mnie w przeróżnych miejscach: choćby w wojsku (roczne szkolenie podchorążych) czy też w pracy (koncerty kolędowe w kraju i za granicą, w tym egzotyczny rejs na transatlantyku „Stefan Batory"). Przez pomyłkę spędziłem nawet Wigilię w portowym areszcie w Hamburgu (za co mnie potem gorąco przepraszano, opiszę to kiedyś w oddzielnym felietonie). A kiedy już założyłem własną rodzinę, pojawiła się naturalna potrzeba kontynuowania tradycji świąt Bożego Narodzenia pod naszym dachem. Dziś to u nas ogniskują się świąteczne spotkania całej familii. I to w tym uduchowionym, tradycyjnym wydaniu. W miarę powiększania się rodziny przyrastał nam (na szczęście) metraż. Ale czy to w skromnej kawalerce, czy w przestronnym salonie – mieściliśmy się zawsze bez problemu. Gdy w zlaicyzowanej Europie przebrany na czerwono brodacz rozkręca już od listopada szaleństwo konsumpcji (wciskając nam świąteczne bonusy wraz z kredytami na ich zakup), my niezmiennie wracamy do korzeni naszej Wiary – ostoi miłości i przetrwania.

[...] I jeśli podtrzymamy tradycję w rodzinie,
To nie zginęła Polska! I nigdy nie zginie...

eprasa.pl b7843a2655

PRZEZ ŚWIETLIK

Te okropne katedry

W okresie przedświątecznym furorę nie tylko w polskiej polityce zrobiło określenie „rechrystianizacja" rzucone przez nowego premiera Mateusza Morawieckiego. Oto kolejna czarna zmora, która pojawiła się nad Wisłą i cofa nas w wieki średnie. Zresztą zdaje się, że w średniowieczu był faszyzm, bo pojęcia te dość często są traktowane wymiennie. No więc cofamy się do faszystowskiego średniowiecza (zapewne chodzi o lata 2005–2007).

A przecież byłoby tak fajnie, gdyby chrześcijaństwa nie było. Ślicznie prezentowałaby się tak lubiana przez europejskich laicyzatorów siedziba ich rozlicznych instytucji w Strasburgu, kiedyś nazywanym „miastem tysiąca kościołów". Nie byłoby katedry z jedną wieżą, o której pisał Goethe, nie byłoby średniowiecznej, o pardon, dzielnicy Petite France, ale niekoniecznie byłby też okrągły budynek europarlamentu z placem imienia samego Bronisława Geremka w środku, a przynajmniej nie w tej formie. Bo współczesna architektura, także ta biurowa, urzędowa, oficjalna, w sporym stopniu korzysta z dorobku i wynalazków budowniczych katedr (no może też trochę Arabów), różnych sklepień krzyżowych i rozet, które dziś można znaleźć w eleganckich europejskich dworcach, nowojorskich siedzibach banków i hiszpańskich hotelach dla snobów. W stopniu zdecydowanie większym niż np. z dorobku budowniczych wigwamów, jurt, a nawet tybetańskich świątyń.



Jakoś tak się składa, że wszystkie regulacje, zasady i pomysły, na które powołują się luminarze dzisiejszej „europejskości", zrodziły się w chrześcijańskich klasztorach i na uczelniach

Mogłoby się wydawać symptomatyczne, że dwie oblężone przez deklarację Morawieckiego twierdze naszych obrońców Europy wolnej od kruchty posiadają piękne katedry, bo przecież jest i Notre-Dame w Brukseli. Mogłoby, gdyby nie to, że dość typowe dla wszystkich tych stolic i miejsc, gdzie zasiadają ci wszyscy czołowi europejscy liderzy postępu (nomen omen, madame Róża Thun jest z Krakowa).

Jakoś tak się też składa, przypadek pewnie, że wszystkie te regulacje, zasady i pomysły, na które powołują się luminarze dzisiejszej „europejskości", zrodziły się akurat w obszarze tej kultury. Wszelkie parlamenty, konstytucje, trójpodziały, prawa człowieka, kobiet, dzieci, a nawet zwierząt futerkowych i niefuterkowych nie zrodziły się w umyśle panów Robespierre'a, Lenina ani nawet pani Senyszyn, ale w chrześcijańskich klasztorach i na uczelniach, na których nie darmo katedry nazywały się katedrami.

Gdyby nie jezuici, panowie Timmermans z Verheugenem mieliby kłopot z lotami klasą pierwszą czy klasą biznes do Tajlandii, i w ogóle regularnymi lotami samolotami, bo trudne by one były bez nowoczesnego kalendarza. Podobnie jak bez nowoczesnej inżynierii, hydrauliki, fizyki. Gdyby nie benedyktyni, nie powstałoby nowoczesne pismo, w związku z czym pan Gutenberg nie wynalazłby potem w tej formie druku, w której go mamy i który daje tyle szczęścia koleżeństwu z „Gazety Wyborczej". Ciekawe, ile osób w Europie dziś kojarzy, że Mikołaj Kopernik był kanonikiem?

Osobiście uważam, że jeśli nie wszyscy, to większość polityków do nadmiernego moralizatorstwa czy nauk etycznych się nie nadaje. Publicystów większość też nie, bo wtedy przypominamy za bardzo prałata z fraszki Kochanowskiego, co to miał „kucharkę" w domu, ale gdy o sprawę pytano, odparł, że za kazanie dostaje tylko pięćset, a i za tysiąc nie żyłby tak, jak uczy w kościele. Trochę inną jednak sprawą jest z wyżyn swojej nieskalaności potępiać jednych, a czym innym zauważyć i przekonać drugich, że wszyscy mamy pewne korzenie, bez których co najwyżej możemy się pozjadać nawzajem. I tego, byśmy jak najbardziej do nich wrócili w te święta w miłości, radości i spokoju, serdecznie Państwu życzę.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu Trzeciego Polskiego Radia

eprasa.pl b7843a2655

Nie wybaczę



Aleksander Nalaskowski

Dzisiaj mija dziewięćdziesiąta rocznica urodzin mojej mamy. Zmarła w 1979 r. Miała niecałe 52 lata. I pewnie nie robiłbym z tego osobistego faktu historii medialnej, gdyby nie to, że jej życie było charakterystyczne dla całego jej pokolenia. Bo oto wojna zastała ją jako dwunastolatkę. Jeszcze we wrześniu gestapo zabrało jej ojca, który miał już nigdy nie wrócić. Był lokalnym politykiem, dziennikarzem, ale dla Niemców przede wszystkim dezerterem, który z ich armii kiedyś zwiał i zaciągnął się do gen. Hallera. Z Błękitną Armią przybył do Torunia i tu został. Trzeba było organizować polskie życie, polską administrację, szkoły. Babcia była „przy mężu".

W czasie wojny matka chodziła do niemieckiej szkoły i pracowała. Roznosiła też „po adresach" grypsy, które ktoś przynosił z więzienia. Poza tym pracowała u ogrodnika. Było ich w domu sporo, a wszyscy byli nieletni i do wtedy uczący się. Pracowali, jak umieli – wszyscy. Za ziemniaki, za sacharynę, za papierosy (czyli walutę wymienną), a rzadziej za jakieś konkretne kwoty. Mama uczyła się też tajnie u pani Bugajskiej. Zatem krótko po wojnie mogła przystąpić do matury w liceum pedagogicznym. Zaczęła pracę w wiejskiej czteroklasówce i równolegle studia. Była nauczycielką geografii. Wyszła za mąż. Ojciec jako jedyny magister ze swojego rocznika studiów dostał skierowanie do pracy w takiej samej czteroklasówce, gdzie kierowniczką była jakaś importowana działaczka PPR, ale za to bez matury. Nic dziwnego. Tato wrócił z Anglii. Służył tam w lotnictwie, za co dostał po czasie medal Jerzego VI. No i był synem kułaka.

Poznał matkę. I zaczęła się tułaczka. Od wsi do wsi, od czteroklasówki do czteroklasówki. Aż w końcu znaleźli przystań w małym miasteczku. I tak zostało na wiele, wiele lat. Kto wtedy żył, to zna prząśność, prowincjonalizm, układy, kacykostwo małych miasteczek polskich okresu gomułkowskiego. Wszystko było problemem. Węgiel na zimę, buty dla dzieci, wakacje, jedzenie, zakup choinki. W zasadzie tylko wódy nie brakowało.

Gdybym miał definiować beznadzieję, to właśnie tamtymi obrazami. Wybawieniem były targowiska, te resztki wolnego handlu, gdzie można było zamówić i kupić kartofle, miód czy śmietanę. Bardzo, bardzo rzadko rąbankę, czyli najprostsze mięso. Gdzieś tam na Wybrzeżu pojawiły się Czerwone Gitary, gdzieś indziej ciekawe książki, filmy polskiej szkoły. Ale nie tutaj. Artyści z koncertami przyjeżdżali rzadko, cyrk raz na rok, a w kinach dominowały filmy radzieckie i polskie klasy B. Rodzice harowali za pięciu i na pięciu. Gdy przyszedł czas studiów i dwoje starszego rodzeństwa wyjechało po naukę, to pieniędzy już nie starczało. Matka pracowała w przepełnionej szkole na dwie zmiany, chwytała nadgodziny, udzielała korepetycji, gotowała, prała, sprzątała. Ojciec wcale nie mniej. Ale i to pozwalało na życie od pierwszego do pierwszego.

Ale taki był los całego pokolenia, które zasiedlało polską prowincję. Generacji zanurzonej w beznadziei, chociaż pracującej najuczciwiej, jak można było. A wszystko to pod szyldem głupawo uśmiechniętego socjalizmu, nauki języka rosyjskiego traktowanego niekiedy jak opresja, pochodów pierwszomajowych, w których nad biało-czerwonymi flagami dominowały czerwone szturmówki, „sojuszu miast i wsi" i braków wszystkiego. Ma się rozumieć „przejściowych" braków. Jakże inaczej wyglądałyby ich losy, gdyby nie wojna, a potem jedynie słuszna „opieka" Sowietów nad naszym krajem.

Jeśli tylko ten życiorys pomnożyć przez miliony innych Polaków, to ukaże nam się perspektywa niepojęta w swej bezduszności

Mama dożyła wyboru polskiego papieża. Była już bardzo chora, ale nie umiała ukryć wzruszenia. Jeszcze była w stanie wysłuchać czerwcowego „Niech zstąpi Duch Twój", miesiąc potem odeszła. Nie doczekała końca moich studiów, doczekała dwójki spośród siódemki wnucząt i żadnego spośród tuzina prawnucząt. Nie licząc krótkiego okresu przedwojennego, ale przecież tylko częściowo przez nią pamiętanego, resztę życia spędziła w zniewolonej Polsce. Jak wielu z jej pokolenia. W dorosłe życie wkroczyła w socjalizmie i w tym parszywym ustroju umarła. Była geografem, któremu systemowo zabroniono zobaczenia świata, matką, która nie doczekała sukcesów swoich dzieci, babką, która nie zdążyła porozmawiać z wnukami, gdyż one jeszcze nie umiały mówić. Była żołnierzem całego ogromnego legionu pracowitych, zatroskanych, systematycznie pozbawianych nadziei i perspektyw obywateli jakiejś Polski Ludowej, bierutowskiej, gomułkowskiej, gierkowskiej.

Jeśli tylko ten życiorys pomnożyć przez setki, a może miliony innych Polaków, to ukaże nam się perspektywa zupełnie niepojęta w swej bezduszności, rozciągnięta na całe ludzkie, niepowtarzalne istnienia. Naprawdę, nie do wybaczenia.

eprasa.pl b7843a2655

ROBERT MAZUREK

Spełnienia marzeń i chodu

Nie wiem, dlaczego tak zrobił, ale zrobił. Nazwał mnie „niemal etatowym pesymistą". Czyli pesymistą na stówę, ale nie wiedział, czy to etat, czy zamiłowanie. Mógłbym oczywiście polemizować z PT Czytelnikiem, że nie jestem pesymistą, jeno dobrze poinformowanym, mógłbym określenia inne wymyślać. Ale, pomyślałem, może ma rację? Tu nie ma nad czym rozważać, tylko coś optymistycznego napisać na święta trzeba.

Ha, tylko co? Każdemu życzymy spełnienia marzeń, a wyobraziliście sobie państwo, co by to było, gdyby im się spełniły? Że mielibyśmy z kilkuset premierów, to pikuś, to nie ma znaczenia. Teraz mamy jednego, a i tak z każdą duperelą trzeba na Nowogrodzką jeździć. Mielibyśmy też z mendel prezydentów, ale znów, to nie taki problem, pomieściliby się, a jak nie, to Tusk by w nogach spał.

Posłów byłoby z kilkanaście hektarów, więc na salę obrad trzeba by zaadaptować to nowo budowane megagigahiperlotnisko, co miałoby całą masę zalet. Primo, nikt by ich nie rozpoznawał, nikt by całej tej hałastry nie zapraszał do telewizorów, więc szybko przestałoby im się podobać całe to posłowanie. Zwłaszcza kiedy dowiedzieliby się, że głupia sprawa, ale diet nie będzie, bo forsa poszła na zbudowanie tego megapierdzielnika, w którym siedzą. Secundo, mielibyśmy ten cały bardak z daleka od Warszawy. Tertio, nie musielibyśmy budować lotniska, lecz rozbudowalibyśmy Radom.

Mielibyśmy z tuzin wielkich, kilkusettysięcznych tygodników, w których wyżywaliby się niespełnieni redaktorzy i felietoniści. Owszem, nie mielibyśmy czytelników, ale można by zarządzić interwencyjny skup prasy na podobieństwo skupu żywca. W ten sposób znaczna część nakładu mogłaby z miejsca iść na przemiał, a resztę uzupełnialiśmy z wycinki lasów. Bo minister Szyszko po tym, jak wyciąłby w Puszczy Białowieskiej wszystko prócz red. Wajraka, mógłby się wziąć za Bory Tucholskie, Bieszczady czy gdzie tam komu jakieś drzewo widok na hutę przesłania.

Każdy miałby, czego by tylko sobie zażyczył, i tylko wytrzymać by się w tym cholernym raju nie dało. Czyli zupełnie jak teraz

Wielki rozkwit czekałby także media elektroniczne. Nikt nie niepokoiłby karami telewizji TVN, która miałaby pucz codziennie, z czego najbardziej cieszyliby się dostawcy kanapek i organizatorzy Eurowizji, mogący odkryć wiele talentów nucących „Nie pucz, kiedy odjadę". Zachwycona byłaby także telewizja publiczna, dająca paski nie tylko w TVP Info, lecz i w każdym innym kanale, z TVP ABC na czele, oraz przymierzała się do otworzenia TVP Pasek składającego się wyłącznie z rzeczonych. Trzeba by tylko znaleźć drugiego paskowego, bo dotychczasowy dokonałby coming outu, wystąpił w kilku talk-showach i wystartował z list Nowoczesnej na prezydenta Słupska.

Spełnilibyśmy też marzenia posła Arłukowicza i każdy miałby dofinansowane in vitro bez względu na przekonania, wiek czy płeć. Bony na in vitro można by wymieniać w aptekach na witaminę C albo spirytus salicylowy. Stałoby to co prawda w jawnej sprzeczności z marzeniami poseł Sobeckiej, więc in vitro byłoby w Polsce legalne, wręcz nakazane, w dni parzyste oraz surowo zakazane w nieparzyste. W niedzielę i święta byłoby możliwe tylko w supermarketach, gdzie osobiście przyjmowałby dr Petru, który zostałby lekarzem rezydentem. Pozostali rezydenci rezydowaliby na wczasach w Kurdystanie.

Opozycja byłaby totalna, jak ciuchy posłanki Scheuring-Wielgus i dowcipy prof. Pawłowicz, władza zaś rządziłaby z miłością, na jaką stać jedynie prokuratora Piotrowicza. Każdy miałby, czego by tylko sobie zażyczył, i tylko wytrzymać by się w tym cholernym raju nie dało. Czyli zupełnie jak teraz.



Fot. Andrzej Wiktor

robert.mazurek@hotmail.com

Salon Pod Rysiem



Jerzy Jachowicz

Czy można się dziwić, że Ryszard Petru połknął bakcyla polityki? I że tym śladem wiernie podąża? Skoro polityka uczyniła go sławnym. Wszak wcześniej, poza Balcerowiczem i własną żoną, nikt o nim nie słyszał. Polityka dała mu też popularność. Zjednała powszechną sympatię. A jakby tych korzyści było mało, pod zeszłoroczną choinkę zesłała drogą lotniczą prezent dlań najwspanialszy – wymarzoną istotę płci żeńskiej. Konkurencyjną wobec dotychczas posiadanej żony. Absolutnie niespodziewaną, bo w ramach „służbowej podróży w celach partyjnych".

Zrozumiałe więc się staje, że w wyniku splotu tak wielu sprzyjających okoliczności, w których polityka odcisnęła na nim niezatarte piętno, również swoje życie zawodowe coraz głębiej w nią zanurza, poszerzając ją o nowe horyzonty. Nieogarniane do tej pory ludzką wyobraźnią. Być może jakiś wpływ na nowatorskie przedsięwzięcie miała porażka w wyborach wewnątrzpartyjnych na funkcję przewodniczącego Nowoczesnej. Jakże jednak mało znają Ryszarda Petru ci, którzy byli przekonani, że po przegranej zbrzydnie mu polityka. Odsunie się od niej. Nic takiego nie nastąpiło. Odwrotne, pchnął ją na nowe tory.

Od kilku dni w Sejmie do skrzynek parlamentarzystów wkładane są kolorowe foldery informujące, że od nowego roku w podziemiach parlamentu w jednej z sal otworzy swoje podwoje Salon Tatuażu Politycznego „Pod Rysiem". Na początek działalności Ryszard Petru zapowiedział duże ulgi dla tych, którzy zdecydują się zrobić sobie tatuaż według jego gotowych wzorów, chronionych przez Urząd Patentowy RP. Oto niektóre z nich: „Głowa psuje się od góry", „Obrus złej zmiany", „Usuwanie aborcji", „Przekroczyli Rubikoń", „Kręcenie filiżanką w szklance bez cukru", „15-procentowa przerwa w obradach Sejmu", „Imperia upadają w szczycie chwały", „Aż 130 parę krajów na świecie", „Premier Anglii Dawid Kamerun", „Był już kiedyś Głuchy Sejm", „Polityczna dziewica", „Prysnąć na Maderę", „Protest rotacyjny", „Zakompleksiona maturzystka", „Święta, święta i po Sześciu Królach".

CO MNIE ZDUMIEWA

Waltz i walec



Katarzyna Łaniewska

Te dwa słowa różnią się w wymowie jedną literą, ale ich znaczenie różni się diametralnie.

Pierwsze z nich – wymawiane: walc – to też piękny klasyczny taniec. Walc klasyczny. Walc angielski – dostojny, nazwałabym go smukłym. Walc Chopina cis-moll. Któż go nie grał, któż go nie słuchał. Na czyich ustach nie pojawił się półuśmiech pół zakochania, pół melancholii, jak pisał poeta. To również walczyk na trzy pas. Na trzy czwarte. Walczyk dziecięcy. To pierwsze kroki dziecka w tańcu – raz, dwa trzy, raz, dwa, trzy.

Drugie słowo z literą „e" w środku – walec – to wielka i groźna, owszem użyteczna, maszyna. Maszyna miażdżąca, gniotąca.

Takie skojarzenie przyszło mi do głowy, kiedy przysłuchiwałam się zeznaniom świadka komisji reprywatyzacyjnej Andrzeja Waltza, małżonka prezydent Warszawy – profesor prawa Hanny Gronkiewicz-Waltz, o nazwisku brzmiącym jak piękny taniec. Ujmę to wprost – świadek udawał. Udawał, że pytania posłów i posłanek z komisji są poniżej jego godności. Ciągle chciał się dowiedzieć, czy ma odpowiadać na zadane mu pytanie. Czasami mówił, że z rodziną, od której otrzymał spadek, właściwie nie utrzymywał kontaktu. Spotykał się z nią może raz w roku. O szmalcownikach działających w sprawie odzyskania kamienicy nic nie wiedział. Skoro dostał spadek, to dlaczego miał go nie przyjąć. Twierdził też, że nigdy nie rozmawiał na ten temat ze swoją żoną. Ta wyższość, buta i poniżenie wszystkich zadających pytania wyziewały z niego. Był złośliwie dowcipny. Tylko nogi, które ujął na chwilę kamerzysta, pod krzesłem nie wybijały rytmu na trzy czwarte. Widzieliśmy w nich zdenerwowanie i przerażenie.

Po tym, jak komisja zdobyła ostatnie dokumenty, które mówią, że świadomie w tym wszystkim uczestniczył, mogę zakończyć: przyjdzie walec i wyrówna.

eprasa.pl b7843a2655





Przeczytaj wSIECI HISTORII

Naród polski do zlokalizowania nie jest raczej koło Kijowa czy nawet na tzw. Kresach, ale jest jak najbardziej na Opolszczyźnie, na Śląsku i na Pomorzu – *z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jan Żaryn*

Polskie Państwo Podziemne z okresu II wojny światowej było zjawiskiem unikatowym, ale niekoniecznie oryginalnym. Przy jego tworzeniu odwoływano się do pomysłu na „Tajemną Polskę" z czasu powstania styczniowego – *pisze Wojciech Lada*

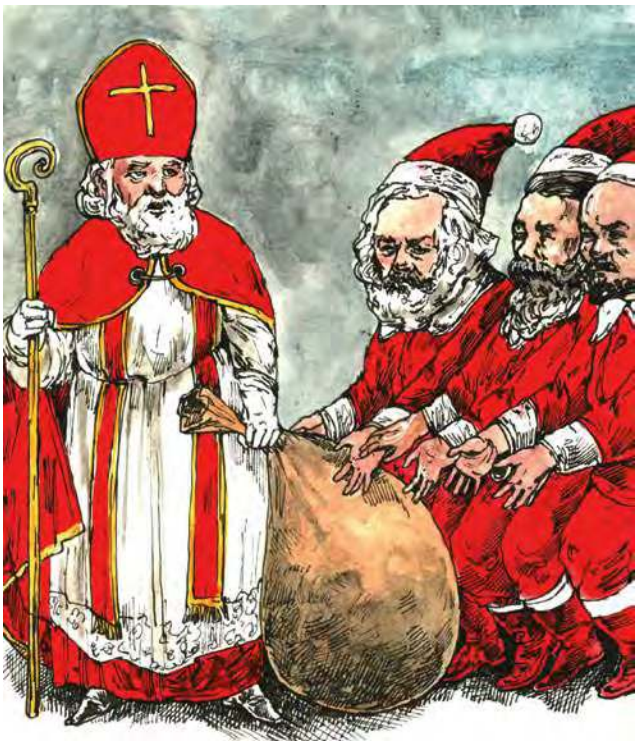
Rząd Mazowieckiego miał szansę przejść do historii jako gabinet dokonujący zerwania z peerelowską przeszłością. Czy ją wykorzystał? – *pyta Przemysław Waingertner*

Po 13 grudnia 1981 r. „Solidarność" rozpoczęła falę druków konspiracyjnych. Pokoleniowa zdolność konspiry doprowadziła do pojawienia się pism nieocenzurowanych. Wiele prac drugiego obiegu traktowało o Piłsudskim – *pisze Adam S. Lewandowski*

Wigilijna bitwa pod Łowczówkiem zamyka szczęśliwą siódemkę działań legionowych z 1914 r. Rosjanie zostali powstrzymani – *przypomina Krzysztof Jabłonka*

eprasa.pl b7843a2655

Zawistowski prezentuje: ***M.E.L.***



Wycinki z przeszłości

Tygodnik „Światowid" z 22 grudnia 1934 r. zawierał między innymi żartobliwy „Wywiad z karpiem". Ponieważ rzecz pozostaje aktualna, przytaczamy poniżej:

– Jak się panu powodzi? – zapytałem karpia, którego wyciągnięto właśnie sakiem z kadzi.

– Dziękuję, doskonale, nareszcie przestałem „pływać" i jestem ustabilizowany.

– Jakież są pańskie plany na najbliższą przyszłość?

– To będzie zależało od okoliczności. Przede wszystkim pójdę na lód, bo to przecież zima, a ja ogromnie lubię sporty zimowe. Następnie wybieram się do pewnej zacnej familji, gdzie zarezerwowano dla mnie wygodną wannę, a potem patelnię. Wigilię zaś spędzę na półmisku.

– No, to widzę, że pańska przyszłość zapowiada się różowo.

– O nie, postanowiono, że zostanę przyrządzony na „szaro".

– W każdym razie powinien pan być zadowolony, że w tak ciężkich czasach zasiądzie pan przy dobrze zastawionym stole.

– Oczywiście. I dlatego cieszę się, jak... ów misjonarz, którego ludożercy zaprosili na wspaniały obiad w charakterze doskonałej pieczeni. Zatem do widzenia... na talerzu.


WYWIAD Z KARPIEM

MK/KUM

Z kolędą 2017!



Leszek Długosz

Pięć lat temu w świątecznym numerze „Sieci" po raz pierwszy ukazał się ten tekst. Tak otworzyło się egzystujące nieprzerwanie do tej pory okienko poetyckie tygodnika. Postanowiłem przypomnieć ów „debiutancki wiersz". Po pierwsze, dlatego że z pewnością mało kto go pamięta, po drugie, przez ten czas przybyła zupełnie nowa klientela. A i po kolejne, uważam, że nic się w nim nie zdezaktualizowało. Ów malec, wspomniany na końcu, z tym samym pragnieniem dalej krąży tam wokół choinki. W przestrzeni bowiem pamięci, wyobraźni, uczuć... (w świecie ducha, jakby ujął Krasiński) czas bowiem oddala, ale to nie on decyduje o likwidacji czy choćby odkształceniu... Z taką samą serdecznością jak przed laty dołączam dzisiejszą kolędę 2017!

Piosenka na Boże Narodzenie

Urastaj mi powracaj cieniu domu dalekiego
I ty choinko pod oknem świetlista
Łzo czysta skryta u oka dziś mojego
Raduj się wesel mi się jeszcze
Dziecinne moje Boże Narodzenie
Po calutkim choćbym szukał świecie
Nie wypatrzę gwiazdki tak pierwszej
Nie napotkam pasterzy weselszych
– Nie ma już zim takich na Ziemi
i na Firmamencie
Rozpierzchło się przeweseliło
Ono śliczne wtenczas świętowanie
Łańcuch ludzi aniołów pospołu u stołu
– Biel święta na sianie
Urastaj wspominaj mi się świątecznie
Cieniu domu pierwszego
– Mateczniku żywiczny starodrzewiany
Przez pokoje twe przeszły pokolenia liczne
Ażeś sam się rozstąpił
na Cichą poszedłeś Polanę
Snuj się mi kolędo
Na dalekich jak już kilometrach
Mrok na polach ciemne drogi
A w okienku urojonym
Lśni choinka ustrojona
– daleko...
Urwis mały cięgiem przy niej chodzi
Złoconego gwałtem urwać chce orzecha
z samego czubeczka
– Na imię mu Leszek. Jeszcze mu nie przeszło.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl b7843a2655

OD A DO ZYBERTOWICZA

Pamiętam swoją niechęć

Był taki czas, gdy telewizję, zwłaszcza programy informacyjne, oglądałem często i gęsto. Z okresu tego pamiętam swą niechęć do scen, gdy pracownicy TVN24 na korytarzach sejmowych lub w innych publicznych miejscach podchodzili do polityków Prawa i Sprawiedliwości i za wszelką cenę domagali się od nich odpowiedzi na zadane znienacka pytanie.

NĘKANIE

Przy wychodzeniu i wchodzeniu do samochodu, w drzwiach, na schodach, rano i późno w nocy, gdy politycy PiS przechodzili sami, gdy z kimś rozmawiali. Posiadacze mikrofonu i kamery natarczywie domagali się odpowiedzi na jakieś – zazwyczaj kłopotliwe – pytania. Czasem szło o sprawy z punktu widzenia polityki i polskiego państwa istotne, a czasem o jakieś duperele. Czasem pytania były rzeczowe, czasem przekłamane.

Niekiedy odnosiło się wrażenie, że mamy do czynienia z jakimś swoistym, medialnym, zinstytucjonalizowanym nękaniem. Z polowaniem na czarownice, czyli na tych złych polityków o niewłaściwych poglądach. Że idzie o to, by kogoś zaskoczyć, wepchnąć go w niewygodną sytuację – niech powie coś nieprzemyślanego, najlepiej w dodatku niegrzecznego. Potem będzie to można przez kilka dni w kółko cytować i – a jakże – piętnować.

Pamiętam swoje ówczesne wkurzenie na stosowanie tej metody komunikacji politycznej.

ODROBINA SYMETRII

Pamiętam swą tamtą niechęć do takiego stylu „rozmowy" politycznej i dlatego nie budzi mej sympatii powielanie tej samej metody przez niektórych pracowników dzisiejszej telewizji publicznej. Nie czuję żadnej satysfakcji, widząc polityka wijącego się jak piskorz na jakimś korytarzu. W studiu, podczas audycji, to co innego.



Przebudowa Polski nie może polegać na zmianie beneficjentów moralności Kalego. Źle było, gdy „oni" nękali naszych, a teraz jest OK, bo nasi dziennikarze nękają ichnich polityków

Dlaczego dziś postępowanie uznawane za co najmniej nieeleganckie, gdy stosowane było (jest nadal? – tego nie wiem) przez TVN24 wobec parlamentarzystów PiS, mamy akceptować w wykonaniu pracowników telewizji sympatyzujących z polityką dobrej zmiany? Rozumiem potrzebę odreagowania poczucia dawnego upokorzenia odczuwanego przez sporą część wyborców PiS, gdy ich reprezentantów w transmisjach na żywo „ścigano" z pomocą mikrofonów i kamer TV. Rozumiem, ale nie akceptuję.

Przebudowa Polski nie może bowiem polegać na zmianie beneficjentów moralności Kalego. Źle było, gdy „oni" nękali naszych, a teraz jest OK, bo nasi dziennikarze nękają ichnich polityków.

I nie trafia do mnie argument, że nasi politycy na takie traktowanie nie zasługiwali, a dzisiejsza totalna opozycja to już jak najbardziej.

„PRZYTRZYMAŁ SIĘ MIKROFONU"

Taki właśnie tok myślenia towarzyszył mi w niedzielę 10 grudnia 2017 r., gdy z ramienia Kancelarii Prezydenta RP uczestniczyłem w programie TVP Info „Woronicza 17". Najpierw pokazano niedawne nagranie, na którym widać grupę polityków Platformy Obywatelskiej oraz sędziów zaangażowanych w krytykę reformy sądownictwa wspólnie idących ulicą Wiejską do Sejmu. Scena ta miała ukazywać upolitycznienie grupy sędziów, ich zaangażowanie w politykę dzisiejszej opozycji. Kolejne ujęcie to dziennikarz TVP, który w Sejmie domaga się od posła PO Rafała Grupińskiego, by sytuację z nagrania skomentował. Poseł wykonywał uniki, a w pewnym momencie, w połowie schodów, na podeście, chwycił mikrofon (jakby zamierzał go wyrwać) i po chwili puścił.

Odmówiłem – wbrew nieukrywanemu rozżaleniu, a nawet złości części internautów – gromkiego potępienia zachowania posła, przywołując właśnie „mistrzów" takiej szkoły „dziennikarstwa" z TVN24. I zgodziłem się z żartobliwą uwagą innego uczestnika programu „Woronicza 17", że poseł tylko „przytrzymał się mikrofonu".

A entuzjastów takiego stylu uzyskiwania komentarzy politycznych zachęcam, by trzymali się zdrowego rozsądku.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 23/1217/F

eprasa.pl b7843a2655

Zrób bliskim prezent na święta...

Radość potrwa cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA SIECI + WSIECI HISTORII

40% TANIEJ



PRENUMERATA NA 12 MIESIĘCY

SIECI + WSIECI HISTORII
~~467,60 zł~~ **280 zł**

SIECI
~~360,80 zł~~ **229 zł**

WSIECI HISTORII
~~106,80 zł~~ **75 zł**

Zamówienia prenumeraty można składać:

● telefonicznie: **22 616 15 70** ● przez internet: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata** ● e-mailem: **prenumerata@fratria.pl**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **78 1750 1325 0000 0000 2103 8946,**
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując rodzaj prenumeraty i pełne dane adresowe do wysyłki.

Autopromocja

eprasa.pl b7843a2655

Dołącz do Sieci Przyjaciół

i odbierz koszulkę od tygodnika SIECI

Marek Pyza i Marcin Wikło

dziennikarze śledczy,
laureaci Nagrody Głównej Watergate
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich



Zamów subskrypcję na 12 miesięcy,

a koszulkę RED IS BAD™
o wartości 103 zł otrzymasz
GRATIS!

1 miesiąc	19,99 zł
3 miesiące	49,99 zł
6 miesięcy	89,99 zł
12 miesięcy	159,99 zł

+ koszulka gratis



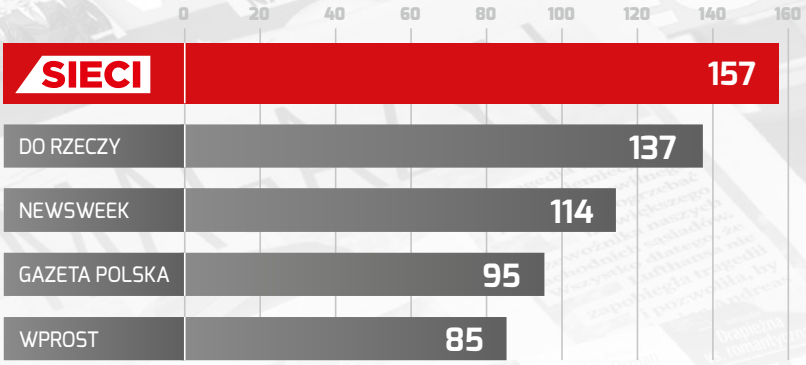


www.SiećPrzyjaciół.pl

Autopromocja

b7843a2655

Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki

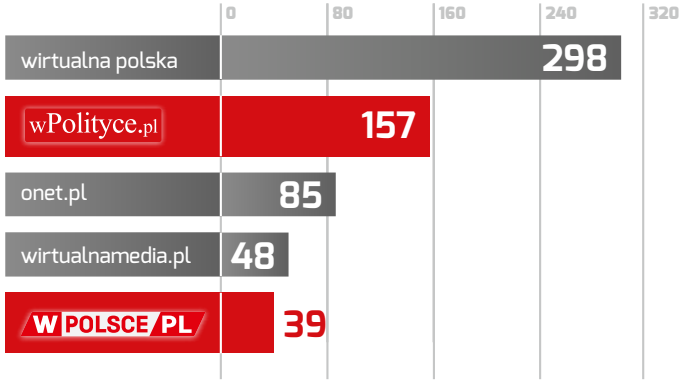




NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe





ŹRÓDŁO: INSTYTUT MONITOROWANIA MEDIÓW „NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE POLSKIE MEDIA W LISTOPADZIE 2017 r."
NA PODSTAWIE MATERIAŁÓW Z MONITORINGU PRASY, RADIA I TELEWIZJI

eprasa.pl b7843a2655


Docenisz różnicę
Bank Pekao S.A. to Twój partner w codzienności. Pomagamy Ci działać, bo wiemy, że zmiany są dobre, ale jeszcze ważniejsze jest wsparcie, które je ułatwi. Bank Pekao S.A. to polski bank, który sprawi, że docenisz różnicę!
Bank Pekao
www.pekao.com.pl | 801 365 365 (opłata wg cennika operatora)